

Już po pierwszych stronach tej powieści zwątpisz,  
czy kiedykolwiek czytałeś prawdziwy thriller psychologiczny...

# FITZEK TSOKOS

Najwybitniejszy niemiecki autor thrillerów psychologicznych  
i najwybitniejszy ekspert medycyny sądowej  
połączyli siły, byś doznał, czym naprawdę jest strach.

# ODCIĘCI

Poczujesz się tak,  
jakbyś sam  
trzymał skalpel

  
AMBER



**FITZEK  
TSOKOS**

**ODCIĘCI**

Przekład  
BARBARA TARNAS  
VIKTOR GROTOVICZ



Redaktor serii

Małgorzata Cebo-Foniok

Redakcja stylistyczna

Ryszard Turczyn

Konsultacja medyczna

dr hab. med. Wojciech J. Łebkowski

Korekta

Renata Kuk

Halina Lisińska

Projekt graficzny okładki

Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce

© Shutterstock

Zdjęcia autorów

© FinePic®, München

© Andreas Franke

Tytuł oryginału

Abgeschnitten

Copyright © 2012 by Verlagsgruppe Droemer Knauer GmbH & Co.  
KG, Munich, Germany

[www.sebastianfitzek.de](http://www.sebastianfitzek.de).

The book has been negotiated through AVA international GmbH,  
Germany ([www.ava-international.de](http://www.ava-international.de)).

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana

ani przekazywana w jakiegokolwiek formie zapisu

bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition

Copyright © 2016 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-6154-6

Warszawa 2016. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.

02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58

[www.wydawnictwoamber.pl](http://www.wydawnictwoamber.pl)

Konwersja do wydania elektronicznego

P.U. OPCJA

Sąd Krajowy skazał 61-letniego mężczyznę na dwa lata pozbawienia wolności w zawieszeniu. Mężczyzna przyznał się do 282 przypadków molestowania seksualnego. Sprawca skorzystał na tym, że minęło wiele lat, zanim jego ofiara zdobyła się na złożenie zeznań. Ponadto, jak stwierdził sąd, „czyny popełniono od 13 do 18 lat temu”. W roku 1992, kiedy sprawca rozpoczął molestowanie swojej ofiary, dziewczynka miała siedem lat.

Źródło: „Der Tagesspiegel”  
z 16 kwietnia 2010

Sąd Krajowy w Hamburgu skazał oszusta giełdowego na karę pięciu i pół roku bezwzględnego pozbawienia wolności. Biznesmen zakupił miliony tzw. groszowych akcji („penny-stocks”), następnie kolportując fałszywe informacje, wywindował ich cenę i szybko sprzedał swoje udziały, zanim cena znowu spadła.

Źródło: „Frankfurter Allgemeine Zeitung”  
z 17 kwietnia 2009

## Prolog

Gdzie ty się podziewasz?

Głos jej matki doskonale pasował do mroźnej temperatury otoczenia. Słuchawki podpięte do komórki Fiony wydawały się przyciągać zimno jak magnesy. Uszy miała już tak zdrętwiałe, że prawie nie czuła wetkniętych słuchawek.

– Zaraz będę w domu, mammo.

Wpadła w lekki poślizg, zjeżdżając z oblodzonego fragmentu drogi. Nie odwracając się, sprawdziła, czy szkolny plecak nadal jest w koszu bagażnika.

– Co to u ciebie znaczy zaraz, moja panno?

– Za dziesięć minut.

Tylne koło roweru zabuksowało i Fiona zastanowiła się, czy nie lepiej będzie, jak zsiądzie przed zakrętem. Migocące przednie światło dopiero w ostatniej chwili ostrzegało ją przed przeszkodą na krętej drodze. Ale przynajmniej nie było tutaj tyle śniegu, co na ścieżce rowerowej wzdłuż Königallee.

– Dziesięć minut? Miałaś być na kolacji godzinę temu.

– Odpytywałam jeszcze Katrin ze słówek – kłamała Fiona. W rzeczywistości spędziła całe popołudnie u Sandro, no ale tego nie musi od razu matce mówić. Ona i tak jest przekonana, że Sandro ma na nią zły wpływ, tylko dlatego że jest pełnoletni i ma kolczyk w brwi.

*Gdyby ona wiedziała...*

– Mammo, telefon mi pika. Mam tylko dwa procent baterii. – Tym razem mówiła prawdę.

Matka westchnęła.

– No to się pośpiesz, ale nie jedź skrótami, dobrze?

– Tak, mammo – westchnęła dziewczynka lekko wkurzona i poderwała kierownicę do góry, żeby przeskoczyć przednim kołem przez korzeń. *Kurcze, przecież nie jestem już dzieckiem, mam trzynaście lat!* Czemu rodzice ciągle traktują ją, jakby była małym dzieckiem? Sandro powiedział, że nie ma bezpieczniejszego miejsca na świecie niż las nocą.

*Przecież logiczne. Komu by się chciało odmrażać dupę w nadziei,*



*że napatoczy się jakaś ofiara na rowerze?*

Statystycznie rzecz biorąc, znacznie więcej przestępstw dokonuje się w świetle dziennym albo w oświetlonych pomieszczeniach niż po ciemku, a mimo to wszystkim się zdaje, że niebezpieczeństwo czyha przede wszystkim w ciemnościach. Zupełnie taki sam idiotyzm jak to wieczne przestrzeganie przed obcymi. Większość przestępców seksualnych to krewni albo znajomi ofiar, często wręcz ich rodzice. Ale oczywiście nikt nikogo nie ostrzega, żeby nie wsiadał do samochodu mamy czy taty.

– To się pośpiesz, Fionuś – brzmiały ostatnie słowa matki, zaraz potem akumulator ostatecznie wyzionął ducha, wydając z siebie długi piszczący sygnał.

*Fionuś!* Kiedy ona wreszcie skończy z tym głupkowatym zdrobieniem?

*Kurde, jak ja nienawidzę tej mojej głupiej rodziny! Żebym już tak mogła wynieść się z domu.*

Wściekle naciskała na pedały.

Dróżka przed nią robiła się coraz węższa i wiła się między sosnami, tworząc coś w rodzaju znaku zapytania, żeby ostatecznie wyjść na leśny dukt. Ledwie Fiona wyjechała spoza osłony drzew, dopadł ją przenikliwy wiatr i oczy zaczęły jej łzawić. Dlatego tylne światła samochodu dostrzegła najpierw jako rozmyte plamy.

Duże kombi było zielone, czarne albo niebieskie. W każdym razie coś ciemnego. Samochód stał z włączonym silnikiem obok ułożonych w sąg ściętych pni. Tylne drzwi były podniesione i w słabym świetle lampy w bagażniku Fiona zobaczyła, że coś się tam porusza.

Serce zaczęło jej bić jak młotem, jak zawsze, kiedy się czegoś bała.

*Daj spokój, przecież nie jesteś mięczakiem. Nieraz już byłaś w niebezpiecznych sytuacjach. Czemu, kurcze, zawsze się wtedy tak boisz?*

Przyśpieszyła, trzymając się zewnętrznego skraju drogi. Kiedy była zaledwie kilka metrów od samochodu, stało się coś, co zmroziło jej krew w żyłach. Z bagażnika bezwładnie zwisała ludzka ręka.

Przynajmniej tak to na pierwszy rzut oka wyglądało w nienaturalnym świetle wydobywającym się z bagażnika. I rzeczywiście, to ludzka ręka dyndała na tle zabłoconej tablicy rejestracyjnej, reszta

ciała znajdowała się w bagażniku.

– Pomóż mi! – wyrzeźił z bagażnika męski głos. Mężczyzna był stary, przynajmniej jak dla Fiony, dla której każdy człowiek powyżej trzydziestki mieścił się w kategorii zombi. Mówił tak cicho, że odgłos pracującego diesla prawie całkowicie zagłuszał jego słowa. – Pomocy!

W pierwszym odruchu Fiona chciała po prostu pojechać dalej. Ale wtedy mężczyzna podniósł głowę, *zakrwawioną głowę*, i wyciągnął rękę w jej stronę. Fiona od razu przypomniała sobie plakat w pokoju Sandro, gdzie widać było rękę zombi wystającą z ziemi świeżego grobu.

– Proszę, nie zostawiaj mnie – wyrzeźił mężczyzna trochę głośniejsze. Zatrzymała się, zsiadła z roweru i z wahaniem patrzyła na niego z pewnej odległości.

Oczy miał podpuchnięte, z ust ciekła krew, prawa noga była jakoś tak nienaturalnie wykręcona.

– Co się panu stało? – spytała Fiona. Jej głos dygotał w rytmie jej pulsu.

– Napadli mnie.

Fiona podeszła bliżej. W świetle lampy w bagażniku niewiele mogła zobaczyć, tyle tylko, że mężczyzna miał na sobie dres i adidasy.

Potem jej wzrok padł na dziecięcy fotelik w samochodzie i to zdecydowało.

*Nie daj się zmylić. Prawdziwi psychopaci zawsze wyglądają, jakby sami byli ofiarami. Wykorzystają twoje współczucie, wbijał jej do głowy Sandro. A on znał życie o wiele lepiej niż jej matka. Może ten facet rzeczywiście jest zły? Na pewno zasłużył na to, że ktoś go tak urządził.*

*A nawet jeśli jest inaczej, to nie twoja sprawa. Niech się tym zajmie kto inny.*

Fiona wskoczyła z powrotem na siodełko, ale w tym momencie mężczyzna zaczął płakać.

– Błagam cię, nie odjeżdżaj. Przecież nic ci nie zrobię.

– Każdy tak mówi.

– No, ale popatrz na mnie! Nie widzisz, że potrzebuję pomocy?

Błagam, zadzwoń po karetkę.

– Telefon mi się wyładował – odparła Fiona. Wyjęła teraz słuchawki z uszu, co z przejęcia zapomniała zrobić wcześniej.

Mężczyzna skinął głową z wielkim trudem.

– Ja mam komórkę.

Fiona postukała się w czoło i powiedziała:

– Niech sobie pan nie wyobraża, że do pana podejść.

– Wcale nie musisz. Leży z przodu w samochodzie.

Mężczyzna zwinął się z bólu, jakby złapał go skurcz żołądka. Cały dygotał.

*Kurde, no i co tu robić?*

Fiona zacisnęła palce na kierownicy. Miała grube skórzane rękawiczki, ale mimo wszystko palce miała zimne.

Zrobić to czy nie zrobić?

Jej oddech zamieniał się w kłęby pary.

Ciężko ranny mężczyzna próbował usiąść, zaraz jednak osunął się bez siły z powrotem.

– Błagam – powiedział raz jeszcze. Fiona zebrała się w sobie.

Co mi tam. I tak będzie źle.

Podpórka przy rowerze nie mogła go utrzymać na nierównym podłożu, więc Fiona położyła go na drodze. Uważała, żeby nie znaleźć się za blisko mężczyzny, kiedy szła do samochodu.

– Gdzie? – spytała, otwierając drzwi od strony kierowcy.

Widziała uchwyt na komórkę, ale telefonu w nim nie było.

– W schowku – wyrzucił mężczyzna.

Zastanowiła się przez moment, czy powinna obejść samochód dookoła, ale ostatecznie zdecydowała się sięgnąć do schowka, przechylając się nad siedzeniem kierowcy.

Wyciągnęła rękę, jak mogła najdalej i otworzyła schowek.

*Telefonu nie było.*

To oczywiste.

Zamiast telefonu ze schowka wypadła otwarta paczka lateksowych rękawiczek i rolka taśmy samoprzylepnej. Puls Fiony wybijał gorączkowe staccato.

– Znalazłaś? – usłyszała głos mężczyzny, który był jakby zdecydowanie bliżej. Odwróciła się i zobaczyła, że mężczyzna klęczy w części bagażowej, tuż za tylnymi siedzeniami. Oddalony od niej o jeden skok.

Od tej chwili wszystko potoczyło się błyskawicznie.

Fiona zignorowała lateksowe rękawiczki, jej własne muszą wystarczyć. Potem sięgnęła pod siedzenie. Pistolet był dokładnie tam, gdzie powiedział Sandro. Naładowany i odbezpieczony.

Podniosła lufę, zmrużyła prawe oko i strzeliła mężczyźnie w twarz.

Dzięki tłumikowi odgłos strzału przypominał odgłos wyciągania korka z butelki wina. Mężczyzna upadł na plecy. Tak jak się umówiła, Fiona cisnęła broń wysokim łukiem w las. Potem podniosła rower.

Idiotyczna sprawa, że padł jej telefon, bo mogłaby od razu wysłać Sandro SMS, że wszystko się udało. Jeszcze trochę, a nic by z tego nie wyszło, bo nagle zrobiło jej się żal tego faceta. Ale słowo, to słowo. Poza tym potrzebowała pieniędzy, skoro ma wreszcie uciec z tego domu. „Ten gnój na to zasłużył”, zapewnił ją Sandro, kiedy miała już jechać. I że to będzie już ostatnia sprawa, którą dla niego robi, co zresztą było logiczne. *W końcu za tydzień będę już miała czternaście lat. Wtedy mogę już odpowiadać przed sądem i za coś takiego poszłabym od razu do pierdła. A jakby złapali mnie dzisiaj, to najwyżej jakiś pracownik socjalny wstawi mi gadkę umoralniającą.*

Super, że jest taki system prawny. Sandro to się naprawdę zna na takich rzeczach, prawo i w ogóle. Po prostu znał życie lepiej niż jej matka.

Fiona uśmiechnęła się na myśl o tym, że wszystko dokładnie mu opowie, kiedy się z nim jutro zobaczy. Nie użyła taśmy do pakowania, żeby najpierw związać tamtego frajera. Ale teraz musi się pośpieszyć, bo kolacja już dawno stoi na stole.

## Dziesięć dni później Helgoland

Nie podoba mi się ta krew!

Linda przypatrywała się ofierze, zmęczona. Biedziła się z tym mężczyzną już od wielu godzin. Z noża wbitego w jego owłosiony brzuch była zadowolona, podobnie jak z wypływających wnętrzności i szklistych oczu, w których odbijała się twarz morderczyni.

*Ale krew wygląda jakoś dziwnie. Znowu wszystko spaprałam.*

Z wściekłością wyrwała kartkę z bloku rysunkowego, zmięła w dłoni i rzuciła na podłogę obok biurka, gdzie leżały już inne efekty nieudanych prób. Wyjęła słuchawki z uszu, zmieniając w ten sposób posępną rockową muzykę na szum morza. Potem nałała sobie gorącej kawy z termosu. Zanim w zamyśleniu wypła pierwszy łyk, rozgrzała zdrętwiałe palce na kubku.

*Przeklęte sceny przemocy.*

Zawsze największą trudność sprawiało jej narysowanie śmierci, a właśnie o to dokładnie chodziło. Jej komiksy czytały przede wszystkim nastolatki i z jakiegoś powodu właśnie słaba płeć miała upodobanie do realistycznego eksponowania przemocy.

*Im mocniejsze, tym lepsze dla kobiet,* jak niestrudzenie podkreślał szef wydawnictwa.

Osobiście wołała rysować przyrodę. Nie słodkie motywy jak z Rosamunde Pilcher, nie kwietne łąki, nie kołyszące się łąny zbóż. Fascynowała ją pierwotna siła planety. Wulkany, wybrzeża klifowe i ogromne fale, gejzery, tsunami i cyklony. Jeśli o to chodzi, miała przed sobą zapierający dech w piersiach pierwowzór. Z małego atelier na poddaszu rozkoszowała się wspaniałym widokiem szalejącego Morza Północnego u brzegów Helgolandu. Wąski, dwupiętrowy drewniany dom był jedną z niewielu wolno stojących budowli na zachodnim wybrzeżu wyspy. Stał na skraju jednego z niezliczonych kraterów, które

pozostawiły w środku wyspy bomby Anglików podczas II wojny światowej. Linda patrzyła przez szproszy okienne na morze, ostrząc niebieską kredkę, którą zawsze rysowała pierwsze kontury obrazu.

*Dlaczego nikt mi nie chce płacić za uwiecznienie tego widoku?* – zastanawiała się nie po raz pierwszy, odkąd tu osiadła.

Spienione morze i nisko zawieszane chmury wywoływały niesamowite wrażenie. Wydawało się, jakby w ostatnich dniach wyspa wysunęła się dalej w morze. Zbiornik do przechwytywania fal przy południowym porcie był wypełniony po brzegi, a z trójramiennych betonowych rozgwiad, wrzuconych do morza w celu ochrony wybrzeża, wystawały już tylko końce tych, które leżały najbliżej brzegu. Mimo ostrzeżenia o złą pogodzie Linda najchętniej włożyłaby kalosze i kurtkę przeciwwiatrową i poszła na spacer na plażę, gdzie mogłaby wystawić twarz na zimny wiatr. Ale było na to za wcześnie. Jeszcze.

*Musisz poczekać na największy sztorm, zanim wyjdiesz na dwór,* upomniała sama siebie w duchu.

Nie było dnia, aby służby ratunkowe nie nadawały przez radio ostrzegawczych komunikatów, żeby opuścić Helgoland, zanim do wyspy dotrze huragan o niewinnej nazwie „Anna”. Drastyczne ostrzeżenia zaczęły już odnosić skutek, chociaż początkowo mało kto wierzył, że w tym roku wyspa może zostać odcięta od komunikacji ze stałym lądem. Ale potem zaczynający się sztormowy wichur zerwał dach z południowego skrzydła szpitala. I chociaż do pozostałych części budynku nie lała się woda, to jednak nie można już było zapewnić opieki medycznej, ponieważ częściowo pozrywane zostały przewody doprowadzające prąd, co omal nie spowodowało pożaru. Kiedy w końcu nie dało się zagwarantować nawet dostaw żywności, ludzie starzy jako pierwsi zaczęli decydować się na opuszczenie wyspy.

W następnej kolejności ewakuowano nielicznych turystów; dołączyła do nich większość miejscowych rodzin z dziećmi i kiedy dzisiaj po południu odpłynął ostatni prom, liczba mieszkańców Helgolandu zmniejszyła się prawie o połowę do około siedmuset osób. Mimo złej pogody i jeszcze gorszych prognoz osoby te miały nadzieję, że szkody nie będą tak duże, jak zapowiadali meteorolodzy. Stała grupa spotykała się codziennie w Bandrupp, gospodzie należącej do burmistrza

o tym samym nazwisku, aby omówić sytuację.

O ile ci, którzy nie opuścili wyspy, pozostali tutaj, aby nie zostawić bez walki swoich domów i dobytku i czuli się w obowiązku również w złych czasach stać na posterunku, o tyle Linda została na wyspie z zupełnie innego powodu. Prawdopodobnie była jedyną osobą, która z tęsknotą czekała na orkan z jego wszystkimi następstwami, nawet jeśli miałyby to oznaczać, że jeszcze przez jakiś czas będzie musiała żywić się tylko konserwami i wodą z kranu.

Ponieważ dopiero kiedy Helgoland zostanie całkowicie odcięty od reszty świata, zgroza, przed którą uciekła, nie będzie już mogła dostać się do niej na wyspę. I dopiero wtedy nie będzie się już bała opuścić swojej kryjówki.

– Wystarczy na dzisiaj – powiedziała na głos i wstała od stołu kreślarskiego. Od wczesnego rana pracowała nad sceną ostatecznej rozgrywki, w której wojownicza bohaterka mści się na swoim przeciwniku, i teraz, siedem godzin później, jej plecy całkiem zeszywniały.

Właściwie nie było powodu, żeby przez ostatnie dni pracowała z takim natężeniem.

Nie miała nowego zlecenia, w wydawnictwie nie wiedzieli, że po raz pierwszy pracuje nad własną historią, ponieważ do tej pory zawsze ilustrowała teksty innych autorów. Cholera, w wydawnictwie nie wiedzieli nawet, że w ogóle wciąż żyje, po tym jak z dnia na dzień znikła bez słowa, nie kończąc ostatniego projektu. Ponieważ nie dotrzymała ważnego terminu oddania pracy, prawdopodobnie już nigdy nie dostanie zlecenia, wobec czego może sobie teraz rysować, co tylko chce. Ale kiedy siadała do pracy, aby puścić wodze fantazji, przed oczyma duszy za nic nie chciały się pojawić tak ulubione przez nią motywy przyrodnicze, lecz za każdym razem był to obraz umierającego mężczyzny. I jeśli nawet zwykle miała trudności z przedstawianiem przemocy, to w głębi duszy czuła, że właśnie tę scenę musi bezwarunkowo przenieść na papier, jeśli znów chce kiedykolwiek przespać spokojnie noc.

*Dopiero kiedy mi się to uda, wrócę do rysowania morza. Najpierw muszę narysować tę scenę, żeby uwolnić duszę od grozy.*

Linda westchnęła i zeszła piętro niżej do łazienki. Pod koniec dnia pracy zawsze czuła się tak, jakby przebiegła maraton. Była zmęczona, wycieńczona i brudna. Chociaż przez cały ten czas prawie się nie ruszała, pilnie potrzebowała wziąć prysznic. Dom nigdy nie przeszedł remontu, co szczególnie było widać po spartańskim wyposażeniu łazienki: kafelki na ścianach były ciemnozielone, co Linda ostatni raz widziała w dworcowej toalecie, a zasłona prysznicowa pochodziła z czasów, kiedy w modzie były jeszcze telefony z obrotową tarczą. Ale przynajmniej po kilku sekundach zaczynała płynąć ciepła woda, co było nieporównanie lepszym osiągnięciem od tego, do czego Linda przywykła w swoim berlińskim mieszkaniu. W innych okolicznościach nawet całkiem dobrze by się czuła w tym małym domu z krzywymi ścianami, spaczonymi oknami i niskimi sufitami. Linda nie przywiązywała wagi do luksusu, a widok na morze w pełni rekompensował tapetę w kwiaty, obicie foteli w kolorze ochry i wypchaną rybę nad kominkiem.

*Tylko nie te mroczne koszmary, przez które nie mogę spać.*

Poprawiła ciemną bluzę, którą po przyjeździe zasłoniła lustro szafki, a potem się rozebrała. Zdawała sobie sprawę, że ostatnie miesiące zostawiły na niej głębokie ślady, i nie chciała codziennie oglądać ich w lustrze.

Pod prysznicem najpierw namydliła płynem do kąpieli długie do ramion brązowe włosy, a następnie resztę piany rozprowadziła na całe szczupłe ciało. Dawniej zawsze miała trochę za dużo w talii, ale dzisiaj tylko widok jej rozłożystych bioder przypominał, że miała kiedyś „sporo ciała”, jak żartobliwie powiedział pewnego razu Danny. Zadrżała na to wspomnienie i jeszcze mocniej odkręciła gorącą wodę. Jak zawsze podczas mycia starała się pominąć twarz.

*Żeby nie musieć dotykać własnych ran.*

Ale dzisiaj nie zareagowała wystarczająco szybko i niewielka ilość piany spłynęła z włosów na porowate, pokryte bliznami czoło, które na szczęście było widać tylko wtedy, kiedy jej gęsta grzywka niekorzystnie się ułożyła.

*Cholera.*

Niechętnie trzymała twarz pod gorącym strumieniem prysznicowa, co



było prawie jeszcze gorsze, niż gdyby własnymi palcami obrysowywała ślady poparzenia.

Linda miała dużo blizn. Większość z nich była bardziej rozległa od tych na czole i gorzej zaleczona, ponieważ znajdowały się w miejscach, do których nie mają szans dotrzeć żadne maści ani żaden chirurg: głęboko w środku, ukryte w jej tkance psychicznej.

Po mniej więcej dziesięciu minutach, kiedy rozgrzewała sobie kark strumieniem wody z prysznicą, poczuła, że napięcie zaczyna łagodnieć. Być może ibuprofen zapobiegnie silnemu bólowi głowy, jeśli połknie tabletkę przed zaśnięciem. Przedwczoraj zapomniała i obudziła się w środku nocy z młotem pneumatycznym w czaszce. Zakręciła kran, poczekała, aż z białej od wytrąconego wapnia główki prysznicą przestanie kapać woda, i odsunęła zasłonę. W tym momencie znieruchomiła.

W pierwszej chwili było to tylko nieokreślone uczucie, które kazało jej zastygnąć w bezruchu. Nie wiedziała jeszcze, co zmieniło się w łazience. Drzwi były zamknięte, bluza wisiała na lustrze, ręcznik na grzejniku. A przecież coś było inaczej.

Jeszcze rok temu nic by nie zauważyła, ale po tym wszystkim, co spotkało ją od tamtej pory, wykształciło się u niej coś w rodzaju szóstego zmysłu, wychwytyjącego niewidoczne zagrożenia. Wyczuliły ją nie tylko kasety wideo leżące na nocnym stoliku w jej berlińskim mieszkaniu. Taśmy, na których było widać ją samą. Sfilmowaną przez kogoś, kto musiał stać obok jej łóżka. Kiedy spała!

Linda wstrzymała oddech, nasłuchując podejrzanych odgłosów, ale wszystko, co słyszała, to silne podmuchy wichru, które wstrząsały domem.

*Falszywy alarm*, pomyślała i zaczęła miarowo oddychać, aby spowolnić puls. Potem trzęsąc się z zimna, wyszła spod prysznicą i sięgnęła po ręcznik.

I dokładnie w tej sekundzie poczuła coś, co podziało na nią jak porażenie prądem.

Krzyknęła, zaczęła drzeć na całym ciele i gwałtownie się odwróciła, jakby spodziewała się, że w każdej chwili ktoś może skoczyć na nią z tyłu. Ale jedyne, co trzymało ją za kark, to był jej własny strach,

a tego nie dało się tak łatwo pozbyć jak ręcznika, który odrzuciła od siebie.

*Ręcznika...*, którego dotyk wywołał uczucie wszechogarniającego wstrętu.

Ponieważ był mokry.

Ktoś musiał się nim wytrzeć, kiedy stała pod prysznicem.

Nie, dzisiaj go nie używałam, do jasnej cholery. Dobrze pamiętam, że rano powiesiłam go na grzejniku.

Linda czuła, jak krew uderza jej do głowy, i złościło ją to jeszcze bardziej niż próby uspokojenia jej przez brata na drugim końcu linii. Nawet jeśli Clemens nie mógł jej widzieć, to przecież znał ją na tyle dobrze, że po samym tonie głosu poznał, że zrobiła się czerwona – jak zawsze, kiedy była zdenerwowana.

– Uspokój się, mała – powiedział głosem zupełnie jak z któregoś z filmów o nowojorskim świecie przestępczym, które tak uwielbiał. – Załatwiłem to. Nie ma już niczego, czego musiałabyś się bać.

– Tak?! – Oddychała nierówno. – W takim razie jak wyjaśnisz ten mokry ręcznik? Człowieku, przecież to czytelny podpis Danny’ego.

*Danny. Cholera jasna, właściwie dlaczego wciąż używam pieśczołliwej wersji imienia tego drania?*

Robiło jej się niedobrze na myśl, że poszła z tym łajdakiem do łóżka, i to nawet wiele razy. I nie mogła twierdzić, że nikt jej nie ostrzegał. *Jest na tyle przystojny, że to nie może się dobrze skończyć*, wykrakała jej matka. Ojciec też trafił w dziesiątkę, kiedy stwierdził: *Coś czuję, że on jeszcze nie pokazał nam swojego prawdziwego oblicza*. Właściwie zawsze trafnie oceniał innych ludzi. Choć jej rodzice byli czasem kompletnie oderwani od świata, bo ich własne ustabilizowane na wysokim poziomie życie w dużej części rozgrywało się pomiędzy pracami klasowymi i radami pedagogicznymi, to jednak trzydzieści lat nauczania w gimnazjum wyrobiło ich znajomość ludzkiej natury. Jednak nie trzeba było mieć nadprzyrodzonych zdolności, aby przewidzieć, że jej związek musi się źle skończyć. W końcu Daniel Haag był najbardziej poczytnym autorem spośród tych, których historie ilustrowała, i przez to kimś w rodzaju jej szefa. A romanse z szefem przeważnie źle się kończą. Ale nikt nie przypuszczałaaby, że aż tak źle. Nawet jej rodzice.

Wszystko zaczęło się niewinnie. Prawdopodobnie zawsze tak jest w podobnych przypadkach. Lindzie oczywiście nie umknął wybuchowy temperament Daniela, tyle że początkowo uśmiechała się tylko z

rozbawieniem, kiedy dawał upust swojej zazdrości, wściekając się na nic nieznaczący komplement kelnera albo kiedy zarzucał jej, że nie dość szybko odpowiedziała na SMS.

Linda miała świadomość, że jej bezpośredni sposób bycia peszy wielu mężczyzn. Lubiła sprośne żarty, śmiała się dużo i głośno, i nie krępowała się przejmować inicjatywy w łóżku. Z drugiej strony obiektowi jej podbojów zdarzało się, że po przetańczonej nocy w klubie był wleczony następnego dnia do Muzeum Narodowego, gdzie był świadkiem, jak zupełnie obcy ludzie słuchają z zapartym tchem, kiedy Linda bez przygotowania opowiada o wystawionych dziełach sztuki. Dla wielu nowo poznawanych mężczyzn było tego za wiele i uważali ją za kompletnie zwariowaną kobietę, która chodzi do łóżka z każdym, co nie było prawdą. Wiele jej związków kończyło się tak szybko tylko dlatego, że nie wytrzymywała długo ze „standardowymi egzemplarzami”, czyli z facetami, którzy nie podzielają jej poczucia humoru. Dlatego właśnie opracowała prosty test, dzięki któremu już pierwszej nocy mogła sprawdzić, czy dany związek w ogóle rokuje na przyszłość: otóż gdy tylko facet chciał przekręcić się na bok i pogrążyć we śnie, budziła go, szarpiąc za ramię i pytała niby wściekłym tonem:

– Ty, a pieniądze to gdzie położyłeś?

Do tej pory tylko dwóch mężczyzn wtedy się roześmiało, i z pierwszym była przez pięć lat. Związek z drugim, Dannym, trwał niecały rok, ale ten czas wydawał się jej wiecznością, ponieważ spędzone z nim miesiące były najgorszymi w jej życiu.

– Mała, nie pamiętasz, jak ci obiecałem, że się nim zajmiemy? – usłyszała pytanie brata, kiedy niepewnym krokiem weszła naga do sypialni, zostawiając za sobą krople wody i mokre ślady stóp na parkiecie. Było jej zimno, ale brzydziła się owinać mokrym ręcznikiem.

*Tak, obiecałeś, pomyślała, mocno przyciskając słuchawkę do ucha. Obiecałeś mi, że Danny z tym skończy, ale może tym razem przerosło to twoje siły?*

Linda wiedziała, że zadanie tego pytania do niczego nie doprowadzi. Jeśli jej starszy brat miał jakąś słabość, to taką, że uważał się za niezwycięzonego. Sam jego wygląd skłaniał większość przeciwników do ucieczki. Nieliczni, którzy byli na tyle głupi, aby

stawić opór górze mięśni o wzroście stu dziewięćdziesięciu centymetrów, która w wolnym czasie trenowała walki uliczne, płacili za swoją manię wielkości pobytem w szpitalu. Po licznych potyczkach Clemens miał przemoc fizyczną wypisaną na twarzy, i to w najprawdziwszym sensie tego słowa. Pracownikowi swojego studia tatuaży w Neukölln kazał wytatuować na środku czoła ranę wlotową po kuli...

– Co zrobiliście z Dannym? – zapytała Linda, kiedy stanęła przed walizką ze swoimi rzeczami. Była tu już czternaście dni i wciąż nie włożyła ubrań do szafy. Sięgnęła po jeansy i wciągnęła je, nie wkładając majtek. – Mam prawo to wiedzieć, Clemens.

Linda była jedyną osobą, która mogła bezkarnie nazywać go po imieniu. Wszyscy inni, nawet ich rodzice, musieli zwracać się do niego po nazwisku, ponieważ, zdaniem Clemensa, *Kaminski* brzmi dużo bardziej męsko niż „pedalskie imię”, które wybrała dla niego matka. Było prawdziwym cudem, że w ogóle jeszcze ze sobą rozmawiali, po tym jak Clemens, obierając taką, a nie inną drogę życiową, zdradził niemal wszystkie ideały, do jakich przez całe życie dążyli jego rodzice.

– Powiem ci tylko tyle, że Danny już nigdy ci nic nie robi.

– Ach, tak? Czyżbyście połamali mu palce, którymi napisał mój nekrolog? – Linda zamknęła oczy i przywołała z pamięci połowę strony niedzielnej gazety; czarną ramkę, a w niej subtelny krzyż obok jej imienia. Jako datę zgonu Danny podał dzień, w którym z nim zerwała. – Czy może wykłuliście mu oczy, którymi gapił się na mnie przez kamerę? – *Którą mnie filmował, kiedy spotykałam się z przyjaciółkami? Kiedy szłam na zakupy? Kiedy spałam?* – Albo odrąbaliście mu dłonie, którymi mieszał kwas z moim kremem do twarzy? – *Po tym jak zagroziłam, że złożę na niego doniesienie, jeśli nie przestanie mnie napastować?*

Bezwiednie dotknęła blizn na czole.

– Nie – powiedział bezbarwnym tonem Clemens. – Tak łatwo się ten idiota nie wykpił.

– On nie jest idiotą.

Wręcz przeciwnie. Danny Haag nie był człowiekiem głupim ani pozbawionym samokontroli wybuchowym cholerykiem. Wszystko, co robił, robił dopiero po gruntownym i inteligentnym zaplanowaniu i

zawsze w taki sposób, żeby żadne z jego działań nie dostarczało śladów prowadzących do niego. Na dodatek najwidoczniej nie było dla niego problemem tygodniami czekać, zanim wykona kolejny ruch, dlatego policja nie widziała powodów, aby wszczynać postępowanie przeciwko Danny'emu. Zdaniem władz, nietypowe dla stalkera długie przerwy, w czasie których Linda nie była niepokojona, nie wskazywały na jednego konkretnego sprawcę. Bardziej prawdopodobne było to, że miała po prostu pecha i gnębili ją różni mężczyźni (*Może fanatyczni czytelnicy jej komiksów?*) i właśnie to błędne założenie mogło prowokować Danny'ego. Na dodatek był on znanym pisarzem, dobrze sytuowanym i przystojnym, a więc mężczyzną, który *mógł mieć każdą*, jak stwierdziła funkcjonariuszka, kiedy Linda składała zawiadomienie, zupełnie jak gdyby Linda nie była w ogóle warta prześladowania przez Danny'ego, na które się skarżyła. Ale Clemens od razu powiedział, że prawo to kpina, a jego strażnicy to śmiech na sali. „*Takie sprawy trzeba brać samemu w swoje ręce*”. I dlatego brat przywiózł ją na Helgoland, żeby podczas jej nieobecności w Berlinie mógł zająć się Danny'm.

– Obiecałeś mi, że będę tu bezpieczna – powiedziała z wyrzutem Linda.

– I jesteś, mała. Dom należy do Ollego, znasz mojego kumpla. Prędzej papież zacnie rozdawać prezerwatywy, niż on cokolwiek chlapnie.

– A jeśli ktoś widział mnie na promie?

– Gdyby nawet, to ten ktoś nie miałby już okazji, aby powiedzieć to Danny'emu – powiedział Clemens tonem, który mówił: czy mam wyrazić się jeszcze jaśniej?

Dolna warga Lindy zaczęła drżeć. W sypialni ciągnęło od wypaczonego okna i z minuty na minutę coraz bardziej marzła. Nie mogła włożyć swetra, mając wolną tylko jedną rękę. Z drugiej strony w żadnym wypadku nie chciała nawet na sekundę przerwać rozmowy z bratem. Podeszła więc do łóżka i odchyliła kołdrę, którą chciała się przykryć.

– Powiedz mi, że nie muszę się bać – zażądała i położyła się na łóżku.

– Przysięgam ci – powiedział Clemens, ale Linda nie mogła już

tego słyszeć, ponieważ ledwo położyła głowę na poduszce, z jej gardła wyrwał się przeraźliwy krzyk.

Do diabła, co się tam u ciebie dzieje! – wrzasnął Clemens do słuchawki.

Linda wyskoczyła z łóżka, jakby ugryzł ją materac.

– No mów, co się stało?

Minęła chwila, zanim uspokoiła się na tyle, żeby odpowiedzieć bratu. Tym razem obrzydzenie było jeszcze większe. Ponieważ teraz dowód był bardziej przekonujący niż mokry ręcznik w łazience.

– Łóżko – wydyszała.

– Kurwa, co z nim nie tak?

– Chciałam się położyć.

– I co?

– Jest ciepłe. Niech to szlag, Clemens.

*Ktoś w nim leżał.*

Jęknęła i aż musiała ugryźć się w język, aby w niekontrolowany sposób nie wybuchnąć krzykiem.

– Czuję jego zapach.

*Jego wody po goleniu.*

– Okay, okay, posłuchaj mnie teraz. Tylko tak sobie wmawiasz.

– Nie, nie wmawiam sobie. On tu był – powiedziała. I wtedy dostrzegła swoją pomyłkę.

Nie był.

*Łóżko jest ciepłe. A zapach wciąż intensywny.*

*On wciąż jest w domu!*

Ta myśl tłukła jej się po głowie, kiedy wycofywała się z pokoju, gwałtownie się odwróciła i zbiegła po schodach na parter. W przedpokoju włożyła kalosze.

– Co chcesz zrobić? – zapytał Clemens, który starał się zinterpretować odgłosy dochodzące ze słuchawki.

– Spadam stąd.

– Dokąd?

– Nie wiem. Muszę stąd wyjść.

– W taki sztorm?



– Wszystko mi jedno.

Linda zerwała z wieszaka zieloną kurtkę przeciwdeszczową, włożyła ją pośpiesznie i pchnęła drzwi. Był to pierwszy raz od czasu przyjazdu na Helgoland, kiedy odważyła się wyjść za próg domu. Z tym że kiedy się tu zjawiała, było widno i słonecznie.

*I nie tak zimno.*

Jej oczy łzawiły od wiatru, kiedy jedną ręką próbowała zapiąć zamek błyskawiczny kurtki. Bezskutecznie.

Na chwilę straciła orientację, w zdenerwowaniu wybrała drogę przez tylne drzwi obok kuchni i patrzyła ponad skalnym ogrodem na wzburzone morze.

– Proszę cię, bądź rozsądna, poczekaj chwilę – usłyszała głos Clemensa, ale nie zwracała na niego uwagi. Najszybsza droga do miasteczka prowadziła ścieżką, która wiała się od skraju krateru do morza w stronę południowego portu.

– Zadzwoń, jak tylko znajdę się pomiędzy ludźmi, ja... – powiedziała.

– Nie, nie rozłączaj się. Posłuchaj mnie, do cholery!

Linda dotarła do ścieżki i spojrzała na zasnute chmurami niebo nad rozszalałym morzem. Nie czuła się ani odrobinę lepiej niż w domu. Wprost przeciwnie: porywisty wiatr jeszcze wzmocnił w niej poczucie zagrożenia.

Na Helgolandzie również tej zimy prawie nie padał śnieg, ale wydeptana w trawie ścieżka była oblodzona. Bez tchu i wystraszona, ciągle czując zapach wody po goleniu Danny'ego, wpatrywała się z góry w morze, które jak wściekłe zwierzę z pianą na szeroko rozwartym pysku atakowało betonowe krzyżaki brzegu.

*On tu jest. Czuję to. On tu jest.*

Odwróciła się i spojrzała na dom.

*Nic.* W oknie nie było nikogo. Nie było widać żadnego cienia za firankami. Tylko światło, które zostawiła w atelier na poddaszu.

– Musisz mnie stąd zabrać, Clemens – powiedziała i sama zauważyła, jak histerycznie to zabrzmiało. Odwróciła się z powrotem w stronę morza.

– Jesteś stuknięta, siostró. Nikt już nie dostanie się na wyspę,

nawet twój były przyjaciel.

*Nie nazywaj go przyjacielem*, pomyślała Linda, ale zanim to powiedziała, jej uwagę odwrócił przedmiot, który fale wyrzuciły przed falochron.

Do tej pory działała odruchowo i uciekała przed niebezpieczeństwem, którego nie widziała, za to tym silniej czuła. Ale teraz miała cel. Najszybciej, jak mogła, zbiegła drogą w dół aż na brzeg.

– Okay, Linda, posłuchaj mnie. Albo stoisz w jakimś kanale powietrznym, albo znajdujesz się w środku tornada. Jedno i drugie jest dobre. Może wiatr wywieje ci te głupoty z głowy. Od razu ci powiedziałem, że wcześniej czy później sfiksujesz, jeśli od czasu do czasu gdzieś nie wyjdiesz.

Ponieważ odgłosy wiatru coraz bardziej przybierały na sile, ledwie rozumiała słowa brata. Stała około piętnastu metrów od wody, wystarczająco blisko, żeby czuć na twarzy wilgotny oddech fal.

– Zadzwoń później! – powiedziała, przekrzykując szalejący wiatr.

– Koniecznie. Złap trochę świeżego powietrza. Oddychaj głęboko.

Linda przytaknęła, ale nie słuchała już brata, kiedy powoli, ale nieustannie zbliżała się do falochronu. Zafascynowana wpatrywała się w ciemny przedmiot, zaplątany w betonowe ramiona łamaczy fal.

– Zaufaj mi: ten dupek już nic ci więcej nie zrobi. Rozumiesz? – usłyszała głos Clemensa.

– On nie żyje – wymamrotała bezbarwnym tonem.

– Nie przez telefon – odpowiedział, nie wiedząc, że ona nie powiedziała już tych słów do niego.

Linda cofnęła się o krok, zrobiło jej się niedobrze i chciała uciekać, ale sparaliżował ją przerażający widok.

*Nigdy nie będę taka dobra*, pomyślała. Telefon już wcześniej wypadł jej z dłoni.

Później wstydziła się tej myśli, ale pierwsze, co przyszło jej do głowy, kiedy patrzyła na wykrzywioną twarz, to myśl, że nigdy nie zdoła tak perfekcyjnie narysować śmierci, jak pokazywał to widok, jaki miała przed sobą. Potem zaczęła płakać. Częściowo wskutek szoku, ale, mówiąc szczerze, najbardziej z powodu rozczarowania, ponieważ na

pierwszy rzut oka było widać, że leżące w wodzie zwłoki nie należą do Danny'ego Haaga.

## Dzień później Berlin

*Zaraz dostanę w ryj, jak nic.*

Paul Herzfeld zwolnił kroku i zastanawiał się, czy nie powinien przejść na drugą stronę ulicy. Już niewiele metrów dzieliło go od obstawionej rusztowaniami kamienicy czynszowej i części chodnika, który był odgradzony ze względów bezpieczeństwa. Przed wejściem do zadaszonego przejścia, którym przechodnie powinni omijać miejsce budowy, stała grupka ludzi i czekała na niego.

Czterech mężczyzn, jeden silniejszy od drugiego. Ten z młotem w ręku posłał w jego stronę uśmiech.

*Cholera, dlaczego oni w ogóle dzisiaj pracują?*

Herzfeld nigdy by się nie spodziewał, że w taką pogodę można posłać kogoś na rusztowanie. Z pewnością na Antarktydzie były miejsca przyjemniejsze od Berlina w lutym. Mało słońca, za to tak dużo śniegu, że w sklepach z materiałami budowlanymi zabrakło szufli do odśnieżania. To meteorolodzy nie zapowiadali dzisiaj burzy? Dlaczego więc ci idioci znów pojawili się na budowie? I to tak wcześniej?

Słońce jeszcze nie wzeszło, jak często bywało, kiedy Herzfeld wychodził rano do pracy. W ciągu tych czterech lat, kiedy pracował jako kierownik Wydziału Medycyny Sądowej w Federalnym Urzędzie Kryminalnym, Herzfeld jeszcze ani razu nie zjawił się za późno w prosektorium. I to pomimo, że poranna narada była zaplanowana już na wpół do ósmej, według niego kompletnie porąbaną godzinę; zwłaszcza dla singla, który od czasu rozvodu znów chętnie i często rzucał się w wir berlińskiego nocnego życia.

*Zupełnie jakby zwłoki nie mogły poczekać*, myślał często, kiedy, tak jak dzisiaj, dopijał poranną kawę na stojąco, zanim popędził do metra. Z drugiej strony, nawet dla niego było jasne, że tylko ranny ptaszek może podołać olbrzymiemu nawałowi obowiązków w

Federalnym Urzędzie Kryminalnym. Tylko dzisiaj w lodówkach czekało już na niego sześć ciał. Wystarczyło rzucić okiem do gazety, żeby wiedzieć, że świat staje się coraz bardziej brutalny. Nie trzeba było w tym celu kierować jednostką specjalną „Przypadki nadzwyczajne”, wydziałem, który wkraczał do akcji, kiedy chodziło o przeprowadzenie badań z dziedziny medycyny sądowej w przypadkach wyjątkowo brutalnych zabójstw.

*I właśnie dzisiaj mam dużą szansę samemu wylądować na własnym stole sekcyjnym*, pomyślał Herzfeld, zbliżając się do mężczyzn. Poczul skurcze w łydkach i o mało się nie potknął. Nerwowo zacisnął pięść w kieszeni płaszcza. Ból w kostkach palców tylko wzmocnił wspomnienie wczorajszego zaćmienia umysłu, którego sam nie potrafił sobie wytłumaczyć. Zazwyczaj zawsze panował nad sobą, była to konieczność, którą wymuszał jego zawód. Nawet kiedy konfrontował się z najbardziej okrutnymi zbrodniami, musiał zachować zimną krew. Cecha, z której zawsze był dumny. Do wczoraj.

Zdarzyło się to w drodze do domu, po długim przedpołudniu spędzonym przy stole sekcyjnym i jeszcze dłuższym popołudniu za biurkiem, gdzie musiał odwalić papierkową robotę, która siłą rzeczy szła w parze z otwieraniem ciał. Herzfeld wciąż myślał o trzymiesięcznym niemowlęciu – na rannej zmianie z chirurgiczną precyzją usunęli mu oczy, aby wykazując istnienie krwiaków w siatkówce, udowodnić, że malec nie miał żadnych szans przeżycia, kiedy pomiędzy nogi wbiegł mu pies; szczenna kundelka, ciągnąca za sobą smycz. Suczka odczepiła się od stojaka na rowery przy supermarkecie naprzeciwko i sprawiała wrażenie zdezorientowanej.

– Hej, mała! – zawołał Herzfeld i przykucnął, aby ją przywabić. Za wszelką cenę nie chciał dopuścić, aby zwierzę ponownie przebiegło przez ruchliwą ulicę. W pierwszej chwili wyglądało na to, że mu się udało. Suka stanęła, dokładnie po drugiej stronie przejścia dla pieszych. Jej czarna sierść lśniła w lekkiej mżawce, suczka ziajała i strachliwie mrużyła ślepia, ale jej ogon nie przywierał już jak przymarznięty do tylnych łap, odkąd zaczął spokojnie do niej przemawiać.

– No chodź. Podejź tu, moja śliczna.

Początkowo wyglądało to zupełnie tak, jakby nabierała do niego

zaufania. Ale wtedy podszedł on. Robotnik. Pojawił się jakby znikąd, mniej więcej tak samo wysoki i szczupły jak Herzfeld, ale sama lekkość, z jaką niósł masywną skrzynkę z narzędziami, sygnalizowała, że pod względem siły grał w innej lidze.

– Spieprzaj – powiedział mężczyzna, który pracował na budowie jako dekarz i, jak miał się później dowiedzieć Herzfeld, nosił przydomek Rocco. Początkowo myślał jeszcze, że opryskliwy rozkaz dotyczył jego, ale potem zdarzyła się rzecz niepojęta: prostak swoim ciężkim, wzmocnionym żelaznym okuciem robociarskim butem z wściekłością kopnął sukę w zaawansowanej ciąży w rozdęty brzuch. Zwierzę zaskowyczało. Przerażliwie głośno i przenikliwie, a bolesny skowyt przestawił w głowie Herzfelda przełącznik z napisem „ślepa furia”. W jednej sekundzie Pan Profesor wyszedł ze swojego szczupłego, ale niewytrenowanego czterdziestotrzyletniego ciała. Stał teraz obok siebie i działał jak zdalnie sterowany, nie trwoniąc czasu na myślenie o możliwych konsekwencjach.

– Hej, ty tchórzliwy dupku! – Herzfeld usłyszał swój głos dokładnie w tym momencie, kiedy tamten zamachnął się, żeby wymierzyć drugiego kopniaka zapędzonej w ślepe uliczkę suce.

– Że jak? – Rocco odwrócił się i patrzył na Herzfelda, jakby to było wiadro rzygowin. – Coś ty powiedział, cioto?

W tym momencie dzielił ich już tylko jeden mały krok. Ciężka skrzynka z narzędziami w rękach dekarza wydawała się lekka jak puste pudełko po butach.

– Którego ze słów nie zrozumiałeś? „Tchórzliwy” czy „dupku”?

– Poczekaj, jak cię kopnę w dupę, to się zesrasz... – chciał powiedzieć Rocco, ale wszystko, co powiedział po słowie „w dupę”, było już niezrozumiałe dla otaczających gapiów. Herzfeld wykorzystał moment zaskoczenia, skoczył do przodu jak sprężyna i wbił czoło w kwadratową twarz dręczyciela zwierząt.

Zatrzeszczało, krew trysnęła Rocco z nosa, ale nawet nie jęknął. Wydawał się być przede wszystkim zdziwiony.

Suka, która na szczęście, jak wszystko na to wskazywało, nie odniosła poważnych obrażeń, wycofała się z niebezpiecznej strefy i uciekła do swojego właściciela, który się odnalazł i razem z innymi

widzami obserwował nierówną walkę: Herzfeld przeciwko goliatowi. Mózg przeciwko mięśniom. Furia przeciwko sile.

Ostatecznie szczęście odniosło zwycięstwo nad prawem siły.

Herzfeld sparował jedno, dwa uderzenia, ale dostał potężny cios w klatkę piersiową i już się zachwiał, kiedy Rocco poślizgnął się na oblodzonej płycie chodnikowej i uderzył tyłem głowy o chodnik. Nie sprawiło to wprawdzie wcale, że stał się niezdolny do walki, ale był teraz łatwym celem dla zimowych buciorów Herzfelda, który raz za razem kopał dręczyciela zwierząt w twarz, w brzuch, w pierś. Po każdym ciosie mężczyzna próbował wstać, ale gdy tylko zdołał wesprzeć się na rękach, Herzfeld znów walił go pięścią w twarz i mężczyzna ponownie padał na ziemię. Uderzał go w dolną, a potem w górną szczękę i przerwał dopiero wówczas, kiedy robotnik przestał się ruszać.

Później Herzfeld dowiedział się od policjanta, który odbierał od niego zeznanie, że, zdaniem lekarzy, Rocco przez miesiąc będzie mógł przyjmować tylko pożywienie w płynie i o mało co nie doznał ciężkiego urazu czaszkowo-mózgowego. Opuchnięta dłoń Herzfelda wyleczy się szybciej, jednak upłynie trochę czasu, zanim znów będzie mógł bez bólu przeprowadzać sekcje nadwerężonymi palcami. Oczywiście podczas ataku furii nie myślał o tym, że jego zwierzchnicy nie będą zadowoleni, mając w swoich szeregach kierownika wydziału, przeciwko któremu wszczęto postępowanie karne.

Z tego powodu dziś po południu Herzfeld miał wyznaczoną wizytę w dziale kadr. Jednak w tej chwili czekały go dużo większe problemy niż zawieszenie w czynnościach służbowych.

Teraz, kiedy już stał tuż przed nimi, rozpoznał kolegów mężczyzny, którego dzień wcześniej dotkliwie pobił. Wszyscy czterej zwartym frontem zagroźili mu przejście.

– No co? – zapytał. Wydychane przez niego powietrze zmieniało się w parę. Kołnierzyk zrobił się naraz za ciasny i szorował o szyję. Czuł, że jego żyły dostały zastrzyk adrenaliny, jednak o wiele za mały, aby zmobilizować wczorajszą siłę. Dzisiaj nie potrafiły się obronić nawet przed jednym z tych typów, nie mówiąc już o czterech naraz.

– Rocco dostał mocny wycisk – przywitał go najmniejszy w grupie, który trzymał w ręku pokaźnych rozmiarów młotek. Ospowaty, żyłasty

mężczyzna z ogoloną głową.

– I co?

– I naprawdę z nim krucho.

– Zdarza się – powiedział Herzfeld i chciał przecisnąć się pomiędzy nimi, ale typ grubiańsko szturchnął go w pierś i powiedział:

– Zaraz, zaraz, nie tak szybko, profesorku.

Spojrzał na uśmiechających się kolegów, jakby oczekując ich aprobaty.

*Profesorek? Do diabła, oni wiedzą, kim jestem.*

– Chcemy tylko coś panu dać – powiedział przywódca.

Przytaknięcia i uśmiechy pozostałych stały się jeszcze bardziej wyraźne.

Herzfeld uniósł ramiona, napiął mięśnie brzucha i przyszykował się na pierwszy cios. Ale ku jego zdziwieniu tamten wcisnął mu tylko do ręki młotek. Dopiero teraz Herzfeld zauważył niebieską wstążkę na trzonku świadczącą o tym, że to prezent.

– Następnym razem, jak będzie pan chciał go walnąć w łeb, niech pan weźmie to ze sobą, dobrze?

Mężczyźni zaczęli rechotać, jeden po drugim zdjęli rękawice robocze i zaczęli klaskać, podczas gdy Herzfeld z wciąż dziko bijącym sercem, ale i zdziwionym uśmiechem na twarzy, przeszedł obok nich.

– Brawo!

– Dobra robota.

– Dobrze, że Rocco trafił w końcu na lepszego od siebie! – krzyczeli za nim.

Herzfeld był tak zdenerwowany, że zapomniał im podziękować. Przyszło mu to do głowy dopiero pół godziny później, kiedy wszedł do prosektorium, żeby zmierzyć się z najstraszliwszym przypadkiem w swojej karierze.



Żuchwa była wycięta ze stawów prawdopodobnie tą samą piłą z dużymi zębami, którą sprawca usunął również górną szczękę. Czy zrobił to przed, czy po śmierci, Herzfeld będzie mógł powiedzieć dopiero po zbadaniu tchawicy i płuc niezidentyfikowanej kobiety.

– Ofiara to kobieta rasy środkowoeuropejskiej, w wieku, szacowanym na podstawie stanu organizmu, pomiędzy pięćdziesiąt a sześćdziesiąt lat – dyktował do urządzenia nagrywającego. – Temperatura mierzona w odbytnicy zbliżona do temperatury otoczenia w miejscu znalezienia zwłok oraz oznaki stężenia pośmiertnego i plamy opadowe wskazują, że śmierć nastąpiła maksymalnie czterdzieści osiem, ale co najmniej trzydzieści sześć godzin temu.

W zasadzie Herzfeld miał głęboki, donośny głos, którym potrafił obudzić nawet najbardziej zmęczonych studentów w sali wykładowej, ale podczas pracy w sali sekcyjnej przyzwyczał się mówić cicho. Z samego szacunku dla zmarłych, ale również dlatego, aby ułatwić pracę sekretarkom, które później pisały protokoły z sekcji. Im głośniejsze mówiło się tu, na dole, tym silniejsze było echo, które odbijało się od wyłożonych kafelkami ścian i utrudniało zrozumienie nagrania.

– Obie gałęzie żuchwy łącznie z kątami żuchwy po usunięciu tkanek nabłonkowej i podskórnej zostały niewątpliwie wypreparowane z obu wymienionych wcześniej struktur po usunięciu nabłonkowej tkanki tłuszczowej i tkanki tłuszczowej podskórnej – Herzfeld zrobił krótką przerwę, pochylił się nad leżącymi na stalowym stole zwłokami, jakby jeszcze raz coś sprawdzał, zanim dalej zaczął dyktować raport dla prokuratury – ...i odsłoniły widok strun głosowych. Skóra nad podbródkiem i dno jamy ustnej luźno zwisa, jest pomarszczona. Nie ma śladów przekrwienia tkanki tłuszczowej podskórnej ani odsłoniętych mięśni dna jamy ustnej. W obszarze kątów żuchwy również brak śladów krwawienia wewnętrznego w odsłoniętej tkance miękkiej.

Brutalnie zmasakrowane zwłoki kobiety zostały znalezione przez bezdomnego w kartonie do przewodów na nieczynnych o tej porze roku terenach rekreacyjnych w parku Spreewald, kiedy biedak chciał tam

przygotować sobie nocne posłanie.

– *Ktoś spuścił z niej powietrze* – powiedział policjantom włóczęga. A określenie to było zadziwiająco trafne. Twarz zamordowanej przypominała Herzfeldowi gumową maskę. Z powodu braku szczęk była jak pomarszczony balon, z którego uszło powietrze.

– Czy mamy tutaj karton, w którym ją znaleziono? – zapytał Herzfeld obecnych w prosektorium.

– Wciąż jest w sekcji zabezpieczania śladów.

Herzfeld otworzył jamę ustną kobiety, aby zbadać ją na okoliczność wprowadzonych ciał obcych. Sam ten ruch ręką sprawił, że wzdrygnął się z bólu, który na szczęście nie przeszkadzał mu tak bardzo, jak się obawiał. Dopóki mógł poruszać palcami, było to do wytrzymania.

– Brrr... Wielki Boże.

Zmarszczył nos pod maseczką ochronną. Zmarła została wyjęta z lodówki zaledwie kilka minut wcześniej, mimo to w powietrzu nad stołem czuło się już słodkawy zapach zaczynającego się rozkładu.

Temperatura w sali sekcyjnej wynosiła dwadzieścia cztery stopnie Celsjusza i znów była o wiele za wysoka. Administracja budynku po prostu nie nauczyła się, że to różnica, czy pracuje się w biurach na wyższych piętrach, czy głęboko w piwnicach Treptowers, charakterystycznego kompleksu wieżowców w Treptow bezpośrednio nad brzegiem Szprewy. Gdy tylko temperatura na dworze spadała, grzejniki w całym budynku Federalnego Urzędu Kryminalnego zaczynały pracować na najwyższych obrotach, co w nieunikniony sposób wpływało na funkcjonowanie klimatyzacji w sali sekcyjnej, która się wtedy automatycznie wyłączała.

– Obie dłonie są odcięte ostrym narzędziem w obszarze przejściowym pomiędzy dolnym zbiegiem kości łokciowej i kości promieniowej a kośćmi nadgarstka – dyktował dalej Herzfeld.

– Niezwykle inteligentne – skomentował to odkrycie doktor Scherz, a dobrze zbudowany asystent stojący obok powiedział to, co Herzfeld cały czas myślał: *Ktokolwiek zamordował tę kobietę, nie był głupcem i dobrze wiedział, co robi.*

Wielu sprawców czerpie swoją wiedzę z kryminałów i hollywoodzkich filmów i myślą, że jeśli chce się ukryć tożsamość ofiary,

wystarczy wyrwać zwłokom wszystkie zęby. Tylko nieliczni wiedzą, że ten sposób co prawda utrudnia identyfikację na podstawie użębienia, ale jej nie uniemożliwia. Natomiast usunięcie żuchwy i górnej szczęki oraz obu dłoni jednoznacznie wskazywało na profesjonalistę.

– Zanim zapomnę – powiedział nagle Scherz i ironicznie wykrzywił wydatne wargi. – Mam ci przekazać od tej nowej w recepcji, że jest twoją wielką fanką.

Herzfeld przewrócił oczami.

Miał wielkiego pecha, ponieważ był łudząco podobny do pewnego znanego aktora: trochę kanciasta, ale symetryczna twarz, duże ciemne oczy pod wysokim, pooranym od częstego myślenia czołem, lekko kręcone włosy, które były dawniej kruczoczarne, ale powoli pojawiały się w nich siwe kosmyki – podobieństwo było tak frapujące, że jemu samemu odebrało na moment mowę, kiedy przez przypadek zobaczył zdjęcie telewizyjnego gwiazdora w magazynie ilustrowanym. Szczupła postura, lekko opadające do przodu ramiona, szeroki uśmiech, zgadzały się nawet wymiary ciała podawane w Wikipedii, sto dziewięćdziesiąt trzy centymetry wzrostu i dziewięćdziesiąt sześć kilogramów wagi.

Od tamtej pory Herzfeld już rozumiał, dlaczego co i rusz zupełnie nieznani mu ludzie proszą go o autograf. Kiedyś nawet nabazgrał podpis w pamiętniku jakiejś domagającej się tego fanki, po prostu dlatego, żeby dała mu spokój. Na domiar wszystkiego od niedawna jego „sobowtóra” można było oglądać w serialu o lekarzach, a grał – co za zbieg okoliczności! – dziwnego patologa doktora Starcka, który podczas sekcji słuchał głośnej rockowej muzyki i sypał sprośnymi dowcipami, kiedy akurat nie zamawiał do sali sekcyjnej pizzy. Nieprzyzwoicie naciągana historia, ale ciesząca się niewiarygodną popularnością, wobec czego Herzfeld przypuszczał, że będzie musiał niedługo jeszcze częściej rozdawać fałszywe autografy. Przypuszczalnie w pierwszej kolejności tej nowej w recepcji.

– Co mówi tomografia komputerowa? – zapytał doktor Sabine Yao, która stała naprzeciw niego po drugiej stronie stołu. Niemka z chińskimi korzeniami była obok doktora Scherza trzecią osobą w zespole, która pełniła w tym tygodniu dyżur, i koleżanką, z którą Herzfeld najchętniej przeprowadzał sekcje. Wszystko w niej było

subtelne: lekko łukowate brwi, pomalowane przezroczystym lakierem paznokcie, czysty głos, w uszach dyskretne kolczyki z perłami. Cenił Yao za spokój, rozsądek i fachowość oraz za to, że zawsze myślała jeden krok naprzód. Również teraz z własnej inicjatywy wczytała zdjęcia z tomografii komputerowej i przysunęła w jego stronę ruchome ramię z płaskim monitorem, żeby mógł na niego rzucić okiem, nie przerywając otwierania klatki piersiowej.

– Widzi pan ciała obce? – zapytała Yao. Mając niecałe sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu, musiała stać na małym podeście przy stole sekcyjnym. Herzfeld przytaknął.

Przedmiot w jamie czaszkowej musiał być wykonany z żelaza, stali, aluminium albo innego materiału nieprzepuszczającego fal rentgenowskich, w przeciwnym wypadku tomograf nie zarejestrowałby go tak wyraźnie. Miał kształt cylindra i był wielkości zaledwie orzeszka ziemnego. Prawdopodobnie część pocisku, co mogłoby wskazywać na przyczynę śmierci.

*Postrzał w głowę. Nie byłby to pierwszy w tym tygodniu.*

Scherz, który już wyjął serce, teraz zręcznymi cięciami usuwał z klatki piersiowej płuca i położył je na stoliku na narządy wewnętrzne, stojącym w nogach stołu sekcyjnego.

– Brak śladów aspiracji krwi. Ani w tchawicy, ani w płucach – ustalił Herzfeld po rozcięciu oskrzeli. Skinął na kolegów. – Pośmiertne rozczłonkowanie ciała.

Kobieta już nie żyła, kiedy została okaleczona. Gdyby jej szczęki zostały odpiłowane za życia, w jej gardle i krtani niechybnie byłoby dużo krwi, którą musiałaby potem wdychać. Przynajmniej oszczędzono jej tej męczarni.

Scherz skwitował tę informację obojętnym chrząknięciem. Codzienny kontakt ze śmiercią znieczulił lekarza. Również Herzfeldowi przeważnie udawało się przestawiać myślenie podczas pracy w rodzaj transu, podobnie jak to czyni kierowca samochodu, który jedzie znaną trasą niemal automatycznie. Koncentrował się na ciele, a nie na duszy osoby, którą kroił. I unikał wszelkiego kontaktu z krewnymi, zarówno przed, jak i po sekcji, aby nikt nie wywierał na niego emocjonalnego wpływu. Kiedy chodziło o zbieranie przydatnych dla sądu dowodów,

musiał mieć chłodny umysł. W ubiegłym tygodniu rodzice ofiary morderstwa prosili o możliwość rozmowy z patologiem, który wykonywał sekcję zwłok ich zgwałconej jedenastoletniej córki. Herzfeld jak zawsze odmówił. Obawiał się, że mając z tyłu głowy widok płaczącej matki, mógłby ulec pokusie, aby świadomie dążyć do skazania domniemanego mordercy i popełnić przy tym jakiś błąd, który, być może, umożliwiłby jego uniewinnienie. Mimo to poczuł ulgę, że nieznaną kobietą na jego stole sekcyjnym nie została rozczłonkowana za życia.

– Przejdźmy teraz do zawartości żołądka... – powiedział, kiedy nagle za jego plecami hałaśliwie rozsunęły się drzwi do sali sekcyjnej.

– Proszę wybaczyć moje spóźnienie.

Herzfeld i jego koledzy odwrócili głowy w stronę głosu dochodzącego od wejścia i mierzyli spojrzeniami młodego mężczyznę, który pośpiesznym krokiem wpadł do pomieszczenia. Miał na sobie taki sam niebieski służbowy kitel jak wszyscy pozostali, tylko że był on dla niego trochę za mały.

– A pan jest...? – zwrócił się Herzfeld do wysokiego młodego człowieka, który z każdym krokiem, jaki robił w jego kierunku, wydawał się młodszy. Na pierwszy rzut oka ocenił go na dwadzieścia cztery, dwadzieścia sześć lat. Teraz, kiedy mężczyzna stał bezpośrednio przed nim, Herzfeld skorygował jego wiek na kilka lat mniej. Chudy blondyn z zaczesanymi do tyłu włosami, okrągłymi okularami na czubku nosa i arogancko wysuniętym do przodu podbródkiem przypominał mu kujonów, jakich spotykał wśród studentów pierwszego semestru, którzy na jego wykładach zawsze siadali w pierwszym rzędzie i mieli nadzieję, że dzięki ciągłemu kontaktowi wzrokowemu zdobędą lepsze oceny na egzaminach.

– Ingolf von Appen – przedstawił się młodzian i całkiem serio wyciągnął do Herzfelda rękę na powitanie.

*Dobry pomysł.*

Herzfeld beztrąsko wyjął palce z otwartego podbrzusza i nie zdejmując lateksowej rękawiczki zabrudzonej krwią i wydzielinami, chwycił dłoń gościa, aby nią potrząsnąć.

Jego opuchnięte palce krzyczały z bólu, ale żart był tego wart.

Chłopak na moment stracił kontrolę nad wyrazem twarzy, ale potem zrobił dobrą minę do złej gry i uprzejmym zdaniem uświadomił Herzfeldowi, że właśnie popełnił duży błąd, kompromitując go przed zebraniem zespołem.

Cieszę się, że mogę pana poznać, panie profesorze. I dziękuję, że spełnił pan prośbę mojego ojca o hospitację w pańskim zespole.

*Von Appen. Do diabła.* Herzfeld był zły sam na siebie.

Na dźwięk nazwiska zaświtało mu w głowie. Nie dalej jak w ubiegłym tygodniu szef Federalnego Urzędu Kryminalnego osobiście wspomniał, żeby koniecznie jak najuprzejmiej potraktował syna ministra spraw wewnętrznych – a teraz właśnie go ośmieszył, od razu w pierwszej sekundzie jego praktyki! Zastanawiał się, czy jeszcze pogorszy sprawę, jeśli poda chłopakowi chusteczkę, ale Ingolf von Appen już wytarł dłoń o kitel i w radosnym oczekiwaniu poprawił okulary w metalowej oprawce, które nieustannie zsuwały mu się na czubek nosa.

– Moi panowie, moje panie, proszę sobie nie przeszkadzać – powiedział przez nos aroganckim tonem, jaki latorośle bogatych rodziców przyswajają sobie widocznie już w prywatnych przedszkolach. Według artykułów prasowych działająca na rynku urządzeń alarmowych firma uczyniła ojca Ingolfa milionerem, zanim jeszcze jako minister spraw wewnętrznych mógł wykorzystać swój urząd, aby dodatkowo zwiększyć obawy wśród obywateli (a tym samym zwiększyć potencjalny krąg odbiorców urządzeń swojej firmy). Jeśli istniał rodzaj ludzi, którymi Herzfeld pogardzał bardziej niż nowobogackimi politykami, były to ich dzieci, które nie mając żadnych własnych dokonań, korzystają z pieniędzy i pozycji rodziców. Kiedy Herzfeld miał siedemnaście lat, sam przedostał się z NRD do Berlina Zachodniego, co przede wszystkim było ucieczką przed własnym ojcem, który jako lojalny oficer Stasi był uosobieniem wszystkiego, czego Paul nienawidził w tym systemie. Tym bardziej złościło go, kiedy stwierdził, że w państwie demokratycznym również chodzi głównie o to, jaką legitymacją partyjną albo jakimi koneksjami można się wykazać. Zwykłym śmiertelnikom, którzy nie mieli ojców ministrów spraw wewnętrznych, zabraniano wglądu w pracę jednostki specjalnej FUK.

*No cóż, przynajmniej nie zrobiło mu się od razu niedobrze.*

– W żołądku sto czterdzieści mililitrów szarawo-białawej, prawie

mlecznej, papkowato-płynnej zawartości o kwaśnym zapachu – mówił Herzfeld do dyktafonu, który teraz trzymała przed nim Yao, żeby miał obie ręce wolne.

– Dziwne – skomentował z drugiego planu syn ministra spraw wewnętrznych.

– Dziwne?

– Tak, nie gra tu żadna muzyka.

Herzfeld przewrócił oczami.

*Dzisiaj to już drugi fan doktora Starcka. No, może być wesoło.*

– Nie. Żadnej muzyki.

We wczorajszym odcinku scenarzyści wpadli na absurdalny pomysł, kazali serialowemu patologowi słuchać Depeche Mode. Herzfeld, jak to często mu się zdarzało, zirytowany wyłączył telewizor, kiedy podczas skakania po kanałach niechcący zatrzymał się na serialu.

– Trzeba wykonać analizę zawartości żołądka – ponownie skoncentrował się na istotnych sprawach. – Tak samo okruczowate cząstki tu, w początkowym odcinku dwunastnicy. Ale teraz przyjrzyjmy się dokładniej głowie.

– Co przydarzyło się tej kobiecie? – zapytał Ingolf, zrobił krok do przodu i z zainteresowaniem pochylił się nad ciałem.

Herzfeld od razu wiedział, co się zaraz stanie i chciał jeszcze ostrzec praktykanta, ale było już za późno. Ryzykownie balansujące na grzbiecie nosa Ingolfa von Appena okulary zsunęły się i wpadły prosto do otwartej klatki piersiowej martwej kobiety.

– Och, przepraszam bardzo.

Scherz, Yao i Herzfeld popatrzyli na siebie najpierw skonsternowani, a potem rozbawieni, kiedy biedny dureń próbował wyciągnąć okulary ze zwłok. W końcu Herzfeld pomógł mu pincetą, ale kiedy Ingolf pośpiesznie je zakładał, musiał się odwrócić, żeby nie wybuchnąć głośnym śmiechem. Ingolf prowizorycznie wyczyścił szkła skrajem kitla, przez co zabrudzone krwią okulary wyglądały teraz jak śmieszny gadżet, który nosi się w Halloween.

– Naprawdę przepraszam – powiedział Ingolf von Appen ze skruchą.

– Nic się nie stało. Na przyszłość niech pan się po prostu trzyma



bardziej z tyłu.

– Chciałem się tylko do czegoś przydać.

– Przydać?

Herzfeld, który właśnie sięgnął po dłuto, zmierzył Ingolfa wzrokiem i uśmiechnął się pod maską rozbawiony.

– Świetnie, w takim razie proszę przynieść mi aparat do kardiowersji.

– Aparat do czego?

– Teraz nie mam czasu, żeby to wyjaśniać. Po prostu pojedzie pan na pierwsze piętro i zapyta o ordynatora doktora Strohma, on już będzie wiedział, co mam na myśli.

– Aparat do kardiowersji?

– Tak, ale szybko. Niech pan mu powie, że potrzebujemy tego do zwłok i liczy się każda sekunda.

Gdy tylko Ingolf wybiegł z sali sekcyjnej, wszyscy parsknęli śmiechem.

– Wiesz, że to będzie miało konsekwencje – zachichotała Yao, kiedy już minął jej pierwszy atak śmiechu.

– Aparat do kardiowersji! – Nawet zachowujący się zazwyczaj z rezerwą asystent uśmiechnął się, kiedy wyobraził sobie, jak za parę minut praktykant zapyta o defibrylator, czyli urządzenie służące do reanimacji. I to dla kobiety, która nie żyła już od co najmniej dwóch dni.

– Liczy się każda sekunda – zacytował Herzfelda. – Chciałbym zobaczyć minę doktora Strohma.

W normalnych okolicznościach ich praca raczej nie dawała powodów do śmiechu. Ale w normalnych okolicznościach ich zespół nie miał do czynienia z tak głupim praktykantem.

– No dobrze, teraz szybko wykorzystajmy chwilę spokoju, zanim wróci nasz niedojda – powiedział Herzfeld, kiedy już minął im atak wesołości.

Ustawił głowę zmarłej tak, że w otwartej jamie ustnej mógł zobaczyć niewielką szczelinę bezpośrednio nad krawędzią odłamania brakującej górnej szczęki. Włożył w nią dłuto, aby powiększyć otwór.

Potem z odsłoniętej podstawy czaszki wyjął pincetą widoczne na zdjęciach rentgenowskich małe ciało obce.

– To nie pocisk. Wygląda jak metalowa kapsułka – wymamrotała Yao, która patrzyła nad jego ramieniem.

*Nie. Nie jest to również odłamek.*

Herzfeld najpierw obejrzał przez lupę owalny, pomalowany na zielono cylinder i zauważył rowek, który jak równik dzielił w środku kapsułkę wielkości ziarna soczewicy.

*Wygląda, jakby to można było otworzyć*, pomyślał. I rzeczywiście za pomocą szczypiec i pincety Herzfeldowi udało się rozkręcić cylinder na dwie części. W kapsułce znajdował się mały kawałek papieru, nie większy niż połowa paznokcia małego palca.

– Pomóc panu? – zapytała Yao za jego plecami, kiedy Herzfeld ostrożnie wyglądał znalezisko i wkładał pod mikroskop.

– Sam sobie poradzę, proszę tymczasem zająć się narządami jamy brzusznej – powiedział i ustawił ostrość w okularze. Na pierwszy rzut oka znaki na celulozie wyglądały jak przypadkowe zabrudzenia. Ale potem odwrócił papier o sto osiemdziesiąt stopni i odczytał kilka napisanych na nim znaków. Wyglądały jak numer telefonu komórkowego i Herzfeld chciał już poinformować kolegów o dziwnym odkryciu, kiedy pod cyframi dostrzegł sześć małych liter. Wniknęły one przez szkło mikroskopu prosto do jego jądra migdałowatego, w obszarze mózgu, który odpowiada za reakcje lękowe. Podskoczył mu puls, pot wystąpił na czoło i zrobiło mu się sucho w ustach. Jednocześnie owładnęła nim tylko jedna myśl: *proszę, niech to będzie przypadek.*

Ponieważ litery na karteczce, którą przed chwilą ekstrahował z głowy okaleczonych zwłok, składały się w imię: *Hannah.*

Było to imię jego siedemnastoletniej córki.

Herzfeld nie byłby w stanie powiedzieć, kiedy ostatni raz tak bardzo drżały mu palce. Już trzy razy pomylił się przy pisaniu i raz omal nie wypadła mu z ręki komórka.

*Co to może znaczyć? Kto umieścił tę karteczkę w głowie kobiecych zwłok?*

Zamknął się w kabinie męskiej toalety na końcu korytarza i nie miał za wiele czasu. Jego koledzy spodziewali się, że za kilka minut wróci. Już i tak zdziwili się, dlaczego wbrew swoim zwyczajom wyszedł z sali podczas przeprowadzania obdukcji.

*Nareszcie.*

Połączenie zostało nawiązane. Dzięki licznym wzmacniaczom zasięg telefonii komórkowej był nienaganny w całym budynku, nawet w podziemiach i w windach.

– Halo?

*Cholera. Niech to szlag.*

Rozległy się cztery dzwonki, następnie po wysokim sygnale włączyła się poczta głosowa. Tyle że Herzfeld nie usłyszał konwencjonalnej zapowiedzi, lecz powitanie, które było jeszcze bardziej zbijające z tropu niż okoliczność, która w ogóle spowodowała, że wybrał ten nieznany sobie numer.

Był pewny, że to połączenie doprowadzi go do córki. Zwłoki były tak potwornie zmasakrowane, że sprawca najwyraźniej zrobił wszystko, żeby trafiły na stół Herzfelda. Tego rodzaju niezwykle zbrodnie automatycznie przekazywano kierownikowi jednostki specjalnej „Przypadki nadzwyczajne”.

Mimo tej wiedzy potwierdzenie straszliwego przypuszczenia było dla niego szokiem.

– Halo, tata?

Głos jego siedemnastoletniej córki był krystalicznie czysty, jakby stała tuż obok niego. A mimo to Hannah brzmiała tak, jakby znajdowała się w innym, mrocznym świecie. Nieskończenie oddalonym.

– Proszę, pomóż mi!

*Na litość boską. Co tu się dzieje? Dlaczego nagrałaś na pocztę głosową zapowiedź, która jest przeznaczona tylko dla mnie?*

Hannah miała ochrypy głos i sapała, jakby dopiero co wbiegła na górę po schodach, ale głos brzmiał inaczej, niż kiedy nie mogła złapać tchu.

*Jeszcze bardziej bezbronnie. Bardziej rozpaczliwie.*

Hannah miała astmę. W normalnych okolicznościach regularnie występujące ataki choroby nie były problemem. Jej spray do inhalacji działał w ciągu kilku sekund i umożliwiał jej niemal normalne życie, łącznie z uprawianiem sportu i wszystkim, co taka młoda osoba lubi robić. Niebezpiecznie robiło się tylko wtedy, kiedy nie miała przy sobie salbutamolu; tak było trzy lata temu, kiedy zapomniała kurtki u przyjaciółki i o mały włos nie udusiłaby się w metrze, gdyby nie inny pasażer, który również chorował na astmę i poratował ją swoim sprayem. O ile Herzfeld wiedział, był to ostatni poważny incydent, ale mógł się mylić, ponieważ od czasu wyprowadzki jego była żona robiła wszystko, żeby ograniczyć do minimum kontakt ojca z córką.

Ostatnio nawet znów nie zaprosiła go na Boże Narodzenie, żeby móc spędzić święta ze swoim nowym przyjacielem.

Hannah bardzo przeżywała rozstanie rodziców i podczas sporadycznych spotkań nie robiła tajemnicy z tego, że właśnie jego obwinia za rozpad małżeństwa. A to Petra go zdradzała. Podczas nielicznych spotkań w nieodległej przeszłości rozmowy ojca z córką ledwo wykraczały poza zwykły small talk. Nie miał pojęcia, czy jest akurat zakochana, czy zrobiła prawo jazdy albo jak idzie jej w szkole.

Tym bardziej przerażające było to, że teraz pierwszy raz od wielu tygodni znów usłyszał jej głos, ponieważ w głowie bestialsko uszkodzonych zwłok znalazł jej wołanie o pomoc. A to, co mówiła, tylko zwiększyło grozę:

– Boję się, że umrę, tato.

*Boi się? Że umrze?*

Te słowa nie pasowały do obrazu córki, który zakonserwował w swoim sercu: niesforna, nieokiełznana, żywa. Tak bardzo zdecydowana nie poddawać się losowi, że biegła maratony, żeby zwalczyć astmę. Odziedziczyła po nim ciemne żywe oczy i zaraźliwy dla innych szczery

śmiech; a po matce gęste jasne włosy. Do energicznego uporu z pewnością przyczynili się oboje rodzice...

– Wiem, że on mnie zabije – płakała na nagraniu. Kolejne zdanie było trudne do zrozumienia. Hannah wprost odchodziła od zmysłów z przerażenia, co zdusiło w zarodku rozpaczliwą nadzieję Herzfelda, że może nie jest tak źle i że chodzi tu tylko o jakiś głupi żart. – On mnie zamorduje, jeśli nie zrobisz dokładnie tego, co on powie. On kontroluje twój każdy krok.

Herzfeld miał wrażenie, że traci równowagę i szukał ręką klamki, aby się przytrzymać.

– Proszę, wiem, że znasz tysiąc ludzi w Federalnym Urzędzie Kryminalnym, ale nie wolno ci z nikim rozmawiać, zrozumiałeś? Inaczej umrę... – Powiedziała zdławionym głosem i nagle zamilkła.

*Kto? Jak? Dlaczego?*

– Kochanie, gdzie jesteś? – zapytał, jakby poczta głosowa mogła mu odpowiedzieć. Słyszał brzmienie własnego głosu, co było surrealistycznym, niemal schizofrenicznym uczuciem. Nie zliczyłby dziecięcych zwłok, które w ciągu zawodowej kariery wylądowały na jego stole sekcyjnym. A teraz nagle zagrożone jest życie jego własnej córki?

*O co tu chodzi? Może o pieniądze?*

– Czekaj na Erika – usłyszał jeszcze, nie rozumiejąc, co Hannah ma na myśli. – On ma dla ciebie dalsze wskazówki.

*Erik? Kim do diabła jest...?*

– Nikomu ani słowa, tato. Inaczej umrę.

Zacząła szlochać, potem Herzfeld usłyszał jeszcze tylko długi sygnał i połączenie się urwało.

Był w szoku tylko kilka minut. Gdyby w tym czasie ktoś zajrzał nad oszalowaniem do kabiny, zobaczyłby siedzącego w kucki na klapie od sedesu zrozpaczonego mężczyznę, który obejmuje rękami kolana, żeby w niekontrolowany sposób nie uderzały o siebie. Herzfeld był tutaj sam, dlatego nie było nikogo, kto mógł usłyszeć jego stłumione jęki albo pośpieszny oddech.

Fale szoku wywołane wiadomością powoli opadały. Wciąż czuł się jak po skoku ze skały do lodowatej wody. Uderzenie było bardzo silne i jakaś siła wciągnęła go w rozszalały wir, który wszystko tłumił. Ale równie błyskawicznie jak nagranie poczty głosowej wrzuciło go w morze strachu, tak szybko walczył teraz nieskoordynowanymi ruchami, aby znów wypłynąć na powierzchnię.

*Uspokój się. Jeśli chcesz jej pomóc, musisz się uspokoić.*

Herzfeld starał się kontrolować oddech; zwracał uwagę na każdy ruch mięśni brzucha i koncentrował się na tym, aby czuć strumień powietrza na włoskach w nosie. To działało. Emocjonalny chaos przejaśniał się z każdym oddechem, a teraz, kiedy minęło niebezpieczeństwo, że kolana ugną się pod jego ciężarem, mógł wstać i wyjść z toalety.

Idąc do wind, zmuszał się do jasnego myślenia. Musiał wymyślić plan, który w pierwszym punkcie przewidywał poproszenie sekretarki, żeby z powodu choroby odwołała wszystkie dzisiejsze spotkania.

*Przeziębienie, migrena... nie, żołądek, jelita! Po tym jak spędziłem tyle czasu w toalecie, to było wiarygodne.*

Na szczęście schował mikroskopijną karteczkę w kieszeni kitla, zanim koledzy ją zauważyli. Na razie numer jego córki nie znajdzie się w protokole obdukcji.

Co się tyczy kapsułki, okłamał kolegów, twierdząc, że okazała się pusta. Przypuszczalnie śledczy będą łamać sobie głowę nad motywem, który kazał sprawcy umieścić kapsułkę w czaszce ofiary, ale Herzfeld miał inne zmartwienia, niż zawracać sobie głowę tym, że wprowadzi ich w błąd.

– *Nikommu ani słowa, tato.*

Dobrze, będzie się tego trzymał. Ale to wcale nie znaczyło, że pozostanie bezczynny i musi czekać na podjęcie kontaktu przez porywaczy.

– Znajdę cię, Hannah – powiedział do siebie, kiedy stał przed drzwiami windy. Na próżno próbował wyprzeć napływające znowu straszne obrazy. Wiedział, do czego są zdolni ludzie, którzy mają władzę na drugim człowiekiem. Skutki tego widział na własne oczy. Nadzy, zbieleli i martwi.

Dzień w dzień na jego stole sekcyjnym.

Po szóstym razie zapomniała własnego imienia. Nie wiedziała już, kim ani gdzie jest. Na chwilę udało się jej nawet wyprzeć z głowy, co właśnie się tu z nią działo. I to pomimo, że mężczyzna, który gwałcił ją w regularnych odstępach czasu, wciąż na niej leżał.

Porywacz mocno uderzył ją kantem dłoni w twarz i razem z bólem wróciła jej przynajmniej część świadomości: wspomnienie opustoszałego parkingu. Odgłos za plecami. Jak się odwróciła, nagle poczuła chustkę na ustach i obudziła się tu w tej niewykończonej piwnicy.

Za pierwszym razem, kiedy jeszcze była świadoma, błagała mężczyznę, żeby użył prezerwatywy. Nie odważyła się powiedzieć, że wciąż jest dziewicą, ponieważ mogło to jeszcze bardziej go podniecić. Nie brała pigułek, poza tym bała się chorób. Ale teraz AIDS był jej najmniejszym zmartwieniem.

– Ależ oczywiście, zrobimy to bezpiecznie – powiedział mężczyzna i rozpiął spodnie. Już sam ton jego głosu zdradzał, że to kłamstwo. Ochrypli i lubieżny.

Nie miała już nadziei, że kiedyś wyjdzie stąd żywa. Było dla niej jasne, że nie chodzi tu tylko o porwanie dla okupu, że będzie musiała umrzeć, kiedy pachnący szarym mydłem gwałciciel zdjął maskę sporządzoną z pończochy; dokładnie w chwili, w której wszedł w nią pierwszy raz.

*Teraz mogę cię zidentyfikować*, pomyślała i zaczęła płakać. Gęste, lekko pofalowane włosy w kolorze piasku, pozbawiona zmarszczek skóra, mała wątrobowa plama na prawym policzku i trochę za długa szyja jak na małą owalną głowę z wysokim czołem.

*Nikt nie puszcza wolno ofiary, która zna twarz przestępcy.*

Wcześniej, kiedy mężczyzna nie miał jeszcze twarzy, dał sobie pół godziny i oblizał każde miejsce jej nagiego ciała. To pamiętała, w



przeciwieństwie do innych wydarzeń ze swojej przeszłości.

To było tak, jakby najważniejsze wspomnienia o jej własnym „ja” zostały zastąpione zapamiętanym bólem. Bo wszystko to, co dotyczyło męczarni, jakich doświadczała, zachowała w pamięci ze wszystkimi szczegółami. To, jak szaleniec z twarzą, jakich tysiące, wbijał czubek nożyczek w jej sutki. Jak zapinał o dziurkę ciaśniej skórzany pasek na jej szyi i nazywał kurwą, wściekając się, że członek nie twardnieje mu szybciej. Wtedy zostawiał ją na chwilę samą i były to niemal najgorsze momenty jej męki. Nie wiedzieć, kiedy znów zacznie i z jakim narzędziem tortur do niej wróci.

Wszystko zaczęło się trzy dni temu.

*Jeśli zgadza się moja rachuba wypróżnień.*

W domu (gdziekolwiek to było) chodziła do toalety najwyżej raz dziennie, a tutaj musiała wypróżnić się już trzy razy. Jej kał spadał przez metalowe sprężyny pozbawionej materaca pryczy. Za karę porywacz uderzył ją w twarz pełną puszką piwa. Kiedy teraz dotykała językiem miejsca, gdzie wcześniej miała siekacze, przeszywał ją okropny ból i promieniował wprost do mózgu, uwalniając tam poszczególne, niekompletne i całkowicie nieprzydatne wspomnienia z jej przeszłości: na przykład, że oszczędzała na prawo jazdy, że została przyłapana na ściąganiu na kursie uzupełniającym z chemii i bez zgody matki wytatuowała sobie motyla na kostce.

*Przepraszam, mam. Mam nadzieję, że nie będziesz na mnie zła.*

Już pierwszej nocy spędzonej tu w piwnicy czuła, jak jej dusza chce oddzielić się od ciała. Zapadła w gorączkowy sen i śniło się jej, że znów miała dziewięć lat i gra z ojcem w „Gdybyś musiał”. Gra powstała podczas długich jazd autobusem przez Berlin: ich „podróży”, jak to nazywali. Nieliczne weekendy, kiedy ojciec nie musiał pracować, spędzali zawsze w autobusie innej linii i z góry, z pierwszego rzędu siedzeń piętusa poznawali miasto. Wszystko zaczęło się od jej pytania:

– Tato, a gdybyś musiał, to wolałbyś wypić litr kwaśnego mleka czy szklankę wody, w której gotowała się kiełbasa.

– Uch, obrzydlistwo. Ani tego, ani tego.

– To się nie liczy.

– Muszę się zdecydować?

Przewróciła oczami, jakby jej ojciec był tępy.

– Dlatego ta gra nazywa się „Gdybyś musiał”. – A kiedy wybrał wodę po kiełbasie, zachichotała. – Błeee, ale jesteś obrzydliwy.

Ojciec, śmiejąc się, skontrował:

– Okay, a gdybyś musiała, to wolałabyś pocałować Markusa czy Tima?

Wiedział, że nie cierpi obu i jak się spodziewał, włożyła palec do ust i potrzebowała dobrych dziesięciu minut, żeby zdecydować się na jednego z dwóch kolegów z klasy.

*Tylko na którego? Markusa czy Tima?*

Przebudziła się raptownie i tak jak resztką snów tuż po przebudzeniu znika w nicości, tak jej nieliczne zachowane strzępy wspomnień rozwiały się wraz z krzykiem, który wyrwał jej się z ust, kiedy zauważyła, że psychopata znów wrócił do niej do piekła i ponownie szykował się, aby się do niej dostać.

Herzfeld stał z telefonem komórkowym w ręku przed panoramicznym oknem swojego biura na ósmym piętrze Treptowers. Ale nie patrzył na imponującą panoramę Berlina i pokrytą krą Szprewę u swoich stóp.

Raz za razem odsłuchiwał pocztę głosową córki i za każdym razem na nowo tracił nadzieję, że otrzyma kolejne wskazówki dotyczące miejsca pobytu Hannah. Jeśli w swoim komunikacie umieściła ukryte wiadomości, to nie potrafił ich rozszyfrować. Po czwartej próbie wybrał numer stacjonarny ich dawnego wspólnego mieszkania, ale w jednorodzinny domu nad Schlachtensee nikt nie podszedł do aparatu.

Najchętniej spróbowałby zadzwonić bezpośrednio na komórkę Hannah: ale po tym, jak się wyprowadził, zrobiła mu na złość i zmieniła numer, do dzisiaj mu go nie podając.

Przełknął ślinę i wybrał jeszcze raz.

– Dzień dobry, tu numer doktor Schirmherr.

Zazwyczaj czuł bolesne ukłucie, kiedy słyszał panięskie nazwisko swojej żony, które znów przybrała jeszcze w czasie trwania sprawy rozwodowej, zanim rozwód się uprawomocnił. Ale teraz nie było czasu na rozczulanie się nad sobą.

– Cześć, Normen, to ja, Paul. Muszę porozmawiać z Petrą.

– O co chodzi? – zapytał mężczyzna po drugiej stronie. Mimo złej jakości połączenia ironiczny ton w jego głosie był aż nadto dobrze słyszalny. Do diabła, przecież to nie może być prawda. To on po raz pierwszy dobrowolnie dzwoni do swojej byłej żony, a do aparatu podchodzi osobiście przyczyna rozwodu. Dwa lata temu Petra przedstawiła mu Normena jako swoją prawą rękę w kierowanym przez siebie biurze architektonicznym. Dwa miesiące później ta prawa ręka tkwiła w jej majtkach.

– Gdzie ona jest?

– Niestety Petra jest już w samolocie. Czy mam jej coś przekazać?

– W jakim samolocie? – zapytał zdeorientowany.

– W airbusie 380 – usłyszał arogancką odpowiedź. Dopiero teraz Herzfeld uzmysłowił sobie, że w tle słycać typowe odgłosy międzynarodowego portu lotniczego: gwar rozmów, standardowy gong poprzedzający komunikaty w kilku językach. Petra specjalizowała się w obsłudze dużych placów budowy pod centra handlowe na całym świecie, dlatego nie było nic nadzwyczajnego w tym, że podróżuje ze swoim prywatnym sekretarzem. Natomiast trudno było sobie wyobrazić, że powierzyła mu swój telefon komórkowy. Prawdopodobnie zobaczyła na wyświetlaczu jego imię i podała telefon dalej.

– Niech pan posłucha, to bardzo ważne. Naprawdę muszę z nią pilnie porozmawiać – poprosił Herzfeld. Omal nie wyrwało mu się: „To sprawa życia i śmierci”, ale to mogło spowodować niebezpieczeństwo na jego córkę.

– *Nie wolno ci nikomu pisać ani słowa!*

Normen chrząknął z afektacją.

– Z chęcią połączyłbym pana z Petrą, ale linie Quantas nie robią wyjątków nawet dla pasażerów pierwszej klasy.

*Quantas?*

– Czy ona jest w Australii?

Już po innym niż zwykle sygnale dzwonka domyślał się, że musiało chodzić o połączenie roamingowe.

– W Nowej Zelandii, chociaż nie do końca wiem, co to może pana obchodzić.

Herzfeld z radością obrzuciłby tego kretyna wszystkimi wyzwiskami, które cisnęły mu się na usta, ale wtedy obrzydliwy lizus jeszcze szybciej by się rozłączył, niż i tak już z pewnością zamierzał.

– Niech pan posłucha, miło się z panem gawędziło, ale teraz muszę zgłosić się do odprawy, a personel naziemny prosi, żebyśmy natychmiast wyłączyli...

– Czy jest z panem moja córka? – Herzfeld przerwał mu pytaniem, które chciał osobiście zadać swojej żonie. Co prawda niewielką miał nadzieję, że zapowiedź na poczcie głosowej jest sfałszowana, ale w epoce cyfrowej łatwo zmontować autentycznie brzmiącą wiadomość

głosową ze starych nagrań. Musiał systematycznie wyeliminować każdą wątpliwość związaną z porwaniem Hannah, tak drobiazgowo, jak to tylko możliwe. Dopiero potem będzie mógł całkowicie skoncentrować się na jej uwolnieniu.

– Hannah? – w głosie Normena było słycać szczere zdziwienie. – Nie, nie ma jej z nami. W razie gdyby panu uleciało z pamięci, pańska córka, profesorze, musi uczyć się w domu do matury.

*Ale kiedy właśnie w domu jej nie ma!*

– Czy zna pan numer komórki Hannah?

– Tak. Ale po wszystkim, co słycałem, nie leżałoby w jej interesie, gdybym go panu podał. A teraz proszę mi wybaczyć. – I z tymi słowami ten gnojek naprawdę się rozłączył.

Herzfeld z wściekłością zacisnął dłoń na telefonie. Najchętniej rzuciłby nim o ścianę albo, jeszcze lepiej, w szklaną gablotę z historycznymi eksponatami, którą dostał od wydziału na czterdzieste urodziny. Być może nawet uległby tej pokusie, gdyby w tej samej sekundzie telefon nie zawibrował.

Wpatrywał się w wyświetlacz i przeczekał kilka sygnałów, zanim dotknął ikonki „Odbierz” i przyjął rozmowę. Chociaż dzwonił abonent z zastrzeżonym numerem telefonu, Herzfeld nie miał specjalnych wątpliwości, kto chce się z nim połączyć.

Przypuszczał, że będzie to mężczyzna o zniekształconym elektronicznie głosie, który zadzwoni przez administrowany gdzieś za granicą szyfrowany router.

Hannah powiedziała, że przedstawi się imieniem Erik.

Atelier na poddaszu było jedynym zamykanym pokojem w całym domu. Poza tym można je było ogarnąć jednym spojrzeniem, nie było tam łóżek, pod którymi można się było ukryć, ani szaf, z których mógł wyskoczyć intruz i napaść na nią od tyłu. Linda zasunęła rygiel przy drewnianych drzwiach i dodatkowo wstawiła pod klamkę krzesło z solidnym metalowym oparciem. Mimo to nie czuła się już bezpieczna na tym poddaszu. Nie, odkąd wczoraj zauważyła, że ktoś leżał w jej łóżku. A jeszcze mniej, odkąd uciekła z domu i natknęła się na zwłoki na zachodnim brzegu.

To, że w ogóle wróciła do domu, zawdzięczała tylko prośbom i naleganiom brata. A także temu, że alternatywa pójścia na policję, była jeszcze bardziej nieprzyjemna.

– I co chcesz powiedzieć glinom? – zapytał ją przez telefon Clemens, kiedy wczoraj Linda ponownie do niego zadzwoniła, stojąc jeszcze przed pasem ochronnym z betonowych tetrapodów. – Jak myślisz, co się stanie, kiedy powiesz im, że przypadkiem natknęłaś się na ciało topielca? Do diabła, siostra, zwracanie na siebie uwagi to ostatnia rzecz, jakiej nam teraz potrzeba.

– Masz na myśli, że ty nie powinieneś zwracać na siebie uwagi  
Cokolwiek Clemens zrobił Danny’emu, na pewno policja nie powinna się o tym dowiedzieć.

– Nie, uwierz mi, mała, nie jestem głupi. Mnie nic nie może się stać. Ale twoje nazwisko już jest w policyjnych komputerach. I to nie w rubryce „Ofiary”. Figurujesz jako „rozhisteryzowana baba”, która bezpodstawnie obwinia Bogu ducha winnych facetów. Gdy tylko zgłosisz się na policję, ustalą, że twój były kilka dni temu znikł bez śladu z powierzchni ziemi. A teraz inny martwy facet leży pod twoimi drzwiami? Proszę cię. Jeśli nie chcesz w najbliższych dniach trafić do aresztu śledczego, nie powinnaś wykonywać żadnych ruchów.

– Przecież nie mogę tak po prostu zostawić tam tego faceta! – krzyknęła Linda przez szalejący szum morza.

– A dlaczego nie? Przecież nie ucieknie. I tak nikt już mu nie pomoże. Więc wracaj do domu, zamknij się i czekaj, aż inny głupek natknie się na zwłoki. Wtedy to on będzie miał stres, a nie ty. Kiedy tylko sztorm się skończy, przyjadę, żeby cię zabrać.

– A co, jeśli to Danny go zabił? – zapytała bojaźliwie.

Bądź co bądź miał już na koncie zamordowanie Shia. Pewnego dnia Linda wróciła do domu i zdziwiła się, że w jej pralce włączyło się wirowanie, chociaż od ośmiu godzin nie było jej w domu. Z bębna wydobyła martwego już kota. Na iluminatorze była karteczka samoprzylepna. *Skoro mnie już nie kochasz, to nie będziesz już kochać nikogo.*

– A co, jeśli ten sadysta nie poprzestanie na zwierzętach?

– To by znaczyło, że ma więcej żywotów niż twój kot – odpowiedział jej niedwuznacznie Clemens.

Dyskutowali jeszcze przez chwilę i na koniec jej brat postawił na swoim. Nie zgłosiła swojego odkrycia, chociaż nie stanowiłoby problemu pójść do gospody Bandrupp, do której trafiali wszyscy decydenci na wyspie, aby omówić sytuację. Zamiast tego Linda wróciła na górę do domu, żeby zabarykadować się w atelier. Spędziła noc tylko na patchworkowej kołdrze rozłożonej na podłodze i miała poczucie, że nie spała ani godziny. Teraz bolały ją wszystkie kości i czuła się przemęczona i nakręcona. Tak jakby przetańczyła kilka nocy i trzymała się na nogach tylko dzięki środkom pobudzającym.

Linda ziewnęła i podeszła do okna. Przeciągnęła się i szukała wzrokiem przerwy w ścianie rzęsiatego deszczu przed jej oczami.

*Właściwie kiedy ostatni raz widziałam słońce?*

Przez noc horyzont przysunął się jeszcze bliżej skalistej wyspy. Wszechobecne zazwyczaj morskie ptaki znikły. Zamiast nich w powietrzu unosiła się samotna plastikowa torba, rzucona w różnych kierunkach przez porywy wiatru, które w końcu pognały ją z pola widzenia Lindy nad skałami na Morze Północne.

Lindą wstrząsnął dreszcz. Nie z powodu zimna, które w pobliżu nieszczęlnego okna było jeszcze większe, lecz ponieważ wiedziała, że

wcześniej czy później będzie musiała otworzyć drzwi i zejść na dół. Długo już nie wytrzyma parcia na pęcherz i chciało jej się pić.

I do tego jeszcze ta saszetka!

Jej wzrok powędrował do miejsca za oknem, gdzie przy lepszej pogodzie można było zobaczyć ścieżkę. Znow obudziło się niej nieczyste sumienie.

W dole, oddalone zaledwie o rzut kamieniem od stóp pagórka z kraterem, leżały zwłoki mężczyzny, który jeszcze niedawno miał rodzinę, kolegów i przyjaciół, którzy teraz na pewno się o niego martwią i którym go brakowało. Gdzieś ktoś czekał na jego powrót, być może żona, rozpaczająca z powodu potwornej niepewności, co przytrafiło się jej mężowi. Dla Lindy mężczyzna był nieznanym, dla Clemensa problemem; ale dla kogoś był ukochanym człowiekiem, którego brakowało. Ta myśl owładnęła nią już wczoraj i dlatego nie dotrzymała jednego jedyne punktu ze wskazówek brata. Clemens wręcz rozkazał jej, aby pod żadnym pozorem nie dotykała ciała. Ale skoro już postąpiła wbrew własnym odczuciom i zostawiła mężczyznę po prostu jak jakiś przedmiot wyrzucony przez morze, chciała przynajmniej wiedzieć, kogo zostawiła na brzegu. Być może Clemens miał rację. Być może będzie lepiej, żeby zwłoki znalazł ktoś inny. Ale być może sprawy poszłyby trochę szybciej, gdyby znała jego tożsamość? Tylko dlatego wczoraj zabrała ze sobą małą saszetkę, która leżała zaledwie parę metrów od ciała na umocnieniach zabezpieczających brzeg. Ale do tej pory nie odważyła się do niej zajrzeć.

Odwróciła się.

Poplamione morską wodą skórzane etui z brązowym paskiem na rękę wciąż stało nietknięte na jej stole kreślarskim.

*No dobrze, na co jeszcze czekasz?*

Linda zbliżyła się, wciąż niezdecydowana, czy odważyć się i otworzyć saszetkę.

Wczoraj wsunęła przez pasek patyk i w ten sposób nie dotykając saszetki, przyniosła ją do domu.

*A teraz?*

Westchnęła i wyjęła parę rękawiczek z kieszeni kurtki przeciwdeszczowej, która wisiała na oparciu krzesła.



Skoro chciała uniknąć zostawienia odcisków palców, nie pozostało nic innego niż włożyć grube futrzane jednopalczaste rękawice. Nie wzięła za sobą cieńszych, dlatego wyglądało na to, że nie uda się jej otworzyć zamka błyskawicznego. Potrzebowała kilku prób, ale wreszcie osiągnęła cel. Saszetka była otwarta.

Już wcześniej wydawała jej się lekka. I rzeczywiście, poza telefonem komórkowym nic więcej w niej nie było. Żadnego portfela, kluczy, dokumentów.

Linda ostrożnie wyjęła telefon i położyła go na biurku. Wyświetlacz świecił fluorescencyjną zielenią i pokazywał cztery nieodebrane połączenia. Ponadto w lewym górnym rogu migiała przekreślona ikonka dzwonka.

*Wyciszony. Nic dziwnego, że nic nie słyszałam.*

Linda odwróciła saszetkę do góry nogami, energicznie nią potrząsnęła, ale nie wypadł z niej inny przedmiot.

Komórka była różowym urządzeniem z dużym wyświetlaczem, która prędkiej pasowała do młodej dziewczyny niż do starszego mężczyzny. Zdjęła rękawice, wzięła do ręki ołówek i tępym końcem nacisnęła przycisk menu.

*Ciekawe.*

Wszystkie cztery połączenia przychodzące zostały wykonane z tego samego numeru komórkowego. Pierwsze nadeszło pół godziny temu. Kolejne trzy przed kilkoma minutami, wszystkie w krótkich odstępach czasu. W menu SMS-a Linda znalazła informację, że za żadnym razem dzwoniący nie pozostawił wiadomości na poczcie głosowej.

Zanotowała numer na swoim bloku rysunkowym i wróciła do głównego menu. Tu dokonała kolejnego, bardzo dziwnego odkrycia: cztery nieodebrane połączenia były jedynymi, które w ogóle zostały zapisane w pamięci telefonu. Wyglądało na to, że sam właściciel również nigdzie nie dzwonił. Albo na krótko przed śmiercią skasował rejestr rozmów wychodzących, co byłoby możliwe, ale raczej mało zwyczajne.

Linda odłożyła ołówek i zamyśliła się. Była jak naelektryzowana. Ale to napięcie było inne niż to z ostatnich godzin, to tutaj ożywiło ją.

Pierwszy raz od długiego czasu czuła, że robi coś konstruktywnego. Wyjaśnienie tożsamości mężczyzny o wiele bardziej odpowiadało jej domagającej się aktywności naturze niż chowanie się przed nieznanym niebezpieczeństwem jak przestraszony zajaczek.

*A więc dalej.*

Linda wyjęła telefon, który załatwił jej Clemens i tylko on znał jego numer. Jeszcze raz sprawdziła, czy ma włączoną blokadę prezentacji numeru, a potem wybrała numer abonenta, który niedawno próbował nie mniej niż cztery razy dodzwonić się do trupa na plaży.

Przy pierwszym sygnale wstrzymała oddech, co jeszcze bardziej wzmogło poczucie, jakby serce miało wyskoczyć jej z piersi. Już przy trzecim sygnale całkiem zbrakło jej tchu i łapczywie wciągnęła powietrze do płuc. Przy czwartym sygnale opuściła ją odwaga. Chciała się rozłączyć, ale było już za późno.

Ktoś odebrał.

Mężczyzna.

Miał zaszczuty, ochrypły głos. Lindzie wydawało się niemalże, że boi się co najmniej tak samo, jak ona. Powiedział:

– Tak, halo? Mówi Paul Herzfeld.

Halo? Jest tam ktoś?

Ktokolwiek do niego dzwonił, nie odezwał się jeszcze słowem. Ale Herzfeld słyszał oddech tej osoby.

– O co chodzi? – zapytał i odsunął aparat od ucha, żeby sprawdzić, czy połączenie nie zostało przerwane. Wyświetlacz w jego telefonie pokazywał wszystkie dostępne kreski zasięgu, poza tym w słuchawce było słychać szum. – Erik? Czy to pan?

Brak odpowiedzi. Tylko ciężki oddech na linii. Numer komórki Herzfelda znali jedynie najbliżsi przyjaciele i członkowie rodziny. Żaden z nich nie dzwonił z zastrzeżonego numeru. Możliwe, że ktoś zadzwonił omyłkowo i teraz nie ma odwagi się rozłączyć.

*Możliwe. Ale mało prawdopodobne.*

– Proszę posłuchać, nie wiem, kim pan jest. Nie wiem, czego pan ode mnie chce. Ale gwarantuję: jeśli mojej córce spadnie choćby jeden włos z głowy, wtedy słowo „ból” nabierze dla pana zupełnie nowego znaczenia. Zrozumiał pan, co powiedziałem?

Herzfeld wiedział, że balansuje na ostrzu brzytwy. W każdym podręczniku psychologii negocjacji tytuł pierwszego rozdziału brzmiał: „Nie drażnić porywacza”. Ale w tym przypadku obowiązywały inne reguły gry. Tutaj nie było miejsca na sztafpowe podejście.

Chwilowo dysponował tylko szczątkowymi informacjami o porywaczu, ale mówiły one wyraźnym językiem. Na przykład zwłoki kobiety. W oczywisty sposób zostały spreparowane i okrutnie uszkodzone przez znajdującego się na rzeczy zabójcę tak, aby sprawca mógł być w stu procentach pewny, że kobieta wcześniej czy później wyląduje na stole sekcyjnym w jego wydziale. I najwyraźniej wiedział też, że Herzfeld ma w tym tygodniu dyżur.

Sprawca dysponował precyzyjną znajomością anatomii. Inaczej umieszczenie numeru telefonu w czaszce zwłok nie miałoby sensu.

Gdyby w grę nie wchodziło coś osobistego, porywacz mógłby po prostu sięgnąć po telefon i przedstawić swoje żądania.

Odkąd stało się to dla niego jasne, Herzfeld na próżno zadawał sobie pytanie, co takiego zrobił temu człowiekowi, że ten zamordował kobietę i uprowadził Hannah.

– Zakładam, że pan dobrze wie, kim jestem – powiedział do niemego abonenta na drugim końcu linii. – W takim razie wie pan również, że dzięki pracy w Federalnym Urzędzie Kryminalnym dysponuję możliwościami odnalezienia osób takich jak pan. I zabicia ich. Ale jeśli będzie pan rozsądny, zgodzę się na każdy układ, który mi pan zaproponuje. Proszę podać mi swoje żądania, a ja je spełnię. Chcę tylko, żeby moja córka wróciła do mnie żywa.

Jeszcze kiedy to mówił, zrozumiał, że nie będzie żadnego układu. Zaschło w gardle i zrobiło się mu niedobrze.

*Nie, tu nie chodzi o pieniądze, inaczej porywacze skontaktowałyby się z Petrą. Nie tylko pochodziła z bogatej rodziny, lecz również zarabiała trzy razy więcej od niego. Jeśli ktoś z nich dwojga w kilka godzin mógł zgromadzić większą sumę, to tylko ona.*

Fakt, który komuś, kto tak skrupulatnie zrealizował swój czyn, nie mógł umknąć podczas wstępnego zbierania informacji.

Herzfeld spróbował mówić bardziej stanowczo, mimo że czuł się kompletnie rozbity:

– Proszę powiedzieć, czego pan chce, a dostanie pan to. Chcę tylko odzyskać córkę.

Przerwał, a potem zapytał:

– Erik?

Cisza. Nie słyszał już nawet oddechu. Nawet statycznego szumu.

*Nie, proszę nie...*

Rzut oka na telefon potwierdził jego przypuszczenie.

*Spieprzyłem to. Miałem kontakt, sprawa wisiała na włosku, ale go zerwałem.*

Osoba na drugim końcu rozłączyła się.

Herzfeld z wściekłością uderzył otwartą dłoń w blat biurka, potem zaczął zastanawiać się nad następnymi krokami. Pierwsze, co się narzucało, to zlokalizować źródło połączenia, ale nie było to wcale takie

proste jak na filmach. Każda sieć telefonii komórkowej żądała sądowego nakazu, zanim przekazała do dyspozycji dane niezbędne do zlokalizowania telefonu.

Czy powinien wtajemniczyć kogoś trzeciego, chociaż Hannah błagała go, żeby tego nie robił?

– *Inaczej umrę...*

Z drugiej strony, czy miał wybór, skoro ten Erik, czy jak tam naprawdę się nazywał, nie chce z nim rozmawiać? A może jednak dzwonił ktoś inny?

*Ale dlaczego w takim razie nie powiedział ani jednego słowa?*

Herzfeld otworzył plik audio z rozmową, którą nagrał na swoim telefonie, i skoncentrował się na odgłosach oddychania.

Ponieważ nastawił głośność na maksimum, aż podskoczył, kiedy rozległ się niespodziewany dzwonek telefonu.

– Halo?

Tym razem nie udało mu się włączyć nagrywania, zanim odebrał.

– Erik?

Najpierw tylko zaszumiało i Herzfeld pomyślał już, że człowiek po drugiej stronie znów pozostanie niemy, ale wtedy usłyszał trzy słowa, które zadały mu kolejny cios.

Trzy słowa, które ku wielkiemu zdziwieniu Herzfelda wyszły z ust młodej kobiety, która ledwie słyszalnym głosem powiedziała:

– Erik nie żyje.

Niejasno przypominała sobie, że szaleniec dał jej kartkę z teksem, który musiała przeczytać do telefonu. Jeden z nielicznych momentów, kiedy jej nie obmacywał, prawdopodobnie dlatego, żeby jej głos nie drżał, kiedy nagrywała na taśmę oznaki życia albo cokolwiek miały znaczyć te zdania. Dwa złamane żebra i rozdarcie krocza, później jej cierpienia stały się już tak potworne, że dusza prawie całkowicie odłączyła się od ciała.

W tej chwili jej wcześniejsze „ja” stało jak wycofany z użytku wagon na bocznicę jej świadomości. Tylko opłakana resztką tego, co stanowiło jej osobowość, wciąż siedziała w pociągu, który pędził coraz głębiej w tunel bólu.

W jej ustach tkwiła gumowa gąbka wielkości piłki do golfa i permanentnie uciskała pulsującą ranę w dziąśle. Ale ten ból był mile widzianą odmianą. Jej gwałciciel znalazł nowy otwór w jej podbrzuszu i wydawało się, że chce go rozerwać. Krzyczała od dziesięciu minut, z przerwami tylko na groźące uduszeniem ataki kaszlu, ale z powodu gumowej piłki z jej ust wydobywało się tylko stłumione jęczenie.

– Podoba ci się, co? Ty mała kurwo! – ziajał nad nią.

Zesztywniała, co tylko spotęgowało potworny ból. Dobiegło ją zduszone sapanie, znak, że pchnięcia będą zaraz bardziej gwałtowne.

Ale zupełnie nieoczekiwanie bestia zostawiła ją w spokoju. Nagle – nawet nie zauważyła, jak zszedł z łóżka – stanął obok niej i pomachał do małej kamery, która wisiała w rogu pomieszczenia na prawo nad drzwiami i nieprzerwanie migiała. Robił to za każdym razem, kiedy w niej skończył. Za pierwszym razem jeszcze czuła lepka ciecz wyciekającą spomiędzy nóg, ale teraz ziejąca tam rana nie pozwalała już na takie odczucia.

– Teraz sobie pójdę, ty mała kurwo – usłyszała, jak mówi. Poczowała na twarzy jego wilgotny oddech. Miała ochotę zdrapać sobie z ciała całą

skórę.

– *Nie nazywaj mnie kurwą. Mam na imię...*

Rozpłakała się, ponieważ nie mogła sobie przypomnieć.

– Za jakiś czas wrócę. – Wziął jej brodę pomiędzy kciuk i palec wskazujący, brutalnie ścisnął palcami jej żuchwę. – Chcesz wiedzieć, co cię czeka, jak wrócę?

Zaczęła płakać jeszcze bardziej, potrząsnęła głową i poprosiła, żeby wreszcie zostawił ją w spokoju.

– No dobrze, co prawda miała to być niespodzianka, ale mimo to ci pokażę.

*Co? Nie, nie pokazuj. Proszę już nic mi nie pokazuj...*

Zdrętwiała ze strachu patrzyła na zardzewiały nóż, który trzymał przy jej twarzy. Uchwyt w jego dłoniach był owinięty poplamioną jedwabną chustką.

– Tym zrobię z ciebie kobietę.

Ściągnął pytająco brwi, jakby powiedziała coś, co go zdziwiło.

– Co, myślaś, że już to zrobiłem?

Nie wiadomo skąd w jego ustach pojawił się papieros. Kiedy go już zapalił, znów uniósł nóż.

– Nie, nie, nie. Przecież dobrze widziałem, że bardzo ci się podobało. A to źle. To zakazane. Każda porządna kobieta powinna zachowywać się cnotliwie, rozumiesz?

*Nie. Zupełnie nic już nie rozumiem. Proszę, wypuść mnie.*

– Istnieją najróżniejsze techniki, żeby z kobiety zrobić kobietę – kontynuował bezlitośnie. – Osobiście za najbardziej fascynującą uznaję metodę, stosowaną w Somalii. Obrzezania dokonuje się tam na ponad siedemdziesięciu procentach wszystkich kobiet.

*Obrzezania?*

Zaczęła w panice szarpać więzy, niemal dławiąc się stłumionym przez knebel krzykiem, co wywołało uśmiech na ustach mężczyzny z papierosem.

– Tylko spokojnie. Jeszcze się nie zdecydowałem, jaki rytuał wybrać dla ciebie.

Przekładał nóż z ręki do ręki.

– Czy usunąć ci tylko łechtaczkę? A może od razu oprócz

zewnątrznych wytnę ci wewnętrzne wargi sromowe? A może powinienem, tak jak to jest w zwyczaju w Somalii, zaszyć ci waginę? Co o tym sądzisz?

Próbowała cała się naprężyć, szarpała skórzane więzy, którymi oprawca przywiązał do pryczy jej dłonie i stopy. Pochylił się nad jej twarzą i dmuchnął dymem papierosowym w oczy.

– Obojętnie, co zrobię... – powiedział. – Jedno jest pewne: nie przeżyjesz tego.

I mówiąc te słowa, zrobił coś, co odczuła jako dobry uczynek, zanim po chwili uświadomiła sobie okrucieństwo jego działania.

– Zostawię cię na trochę samą – usłyszała jeszcze jego głos. – Lepiej wykorzystaj czas, który ci jeszcze został.

Ciężkie drzwi przeciwpożarowe zatrzasnęły się za nim. A ona, nie wierząc własnym oczom, przyglądała się własnym nadgarstkom, które szaleniec właśnie uwolnił z więzów.



Może pana podwieźć, panie profesorze?

Herzfeld spojrział zdziwiony. Był tak bardzo pogrążony w myślach, że nie usłyszał zatrzymującego się obok niego porsche. Stał na parkingu Federalnego Urzędu Kryminalnego. Z powodu gęstego śniegu z deszczem nie poznał od razu kierowcy luksusowego SUV-a.

– Proszę bardzo, niech pan wsiada!

Herzfeld zrobił krok do przodu i mrużąc oczy, popatrzył przez otwarte do połowy okna od strony pasażera.

*Ingolf von Appen. No tak, jeszcze tylko jego mi teraz brakowało.*

– Dlaczego nie jest pan w instytucie? – zapytał podejrzliwie.

– Kiedy pan wyszedł, mnie też zrobiło się niedobrze od nadmiaru wrażeń. Dlatego pańscy koledzy poradzili mi, żebym rzucił te praktyki. – Ingolf uśmiechnął się skruszony. – Myślę, że wszystko schrzaniłem. Ale być może uda mi się to naprawić, jeśli pana podwiozę.

– Dziękuję, ale nie musi pan tego robić.

– Chyba nie chce pan w taką paskudną pogodę wracać do domu komunikacją miejską?

Herzfeld bronił się i chciał pokazać na postój taksówek zaraz przy wjeździe do Treptowers, ale postój, jak teraz zobaczył, był pusty.

– Taksówka? W taką pogodę może pan długo czekać. Wszystkie odjechały.

Herzfeld wahał się. Nie przychodziło mu do głowy żadne kłamstwo. Z jakiego powodu mógłby odrzucić propozycję praktykanta? Trudno byłoby mu powiedzieć prawdę.

*Porwano moją córkę i jeśli kobieta, która znalazła komórkę Hannah, do mnie zadzwoni, chcę móc porozmawiać z nią swobodnie i bez świadków.*

Jeśli ta kobieta w ogóle jeszcze zadzwoni.

Już podczas ich ostatniej rozmowy, dwadzieścia minut temu,

chciała kilka razy się rozłączyć. Najpierw Herzfeld myślał, że młoda kobieta jest od porywaczy. Ale wtedy zupełnie niespodziewanie zażądała od Herzfelda dowodu, że naprawdę pracuje w policji, co nie miało sensu, jeśli współpracowała ze sprawcą.

Herzfeld zastanawiał się przez chwilę, a potem poprosił, żeby połączyła się za pośrednictwem uzyskanego w informacji numeru z Federalnym Urzędem Kryminalnym przy Elsenbrücke.

Kilka minut później miał telefon z centrali, która zaanonsowała mu połączenie z „jakąś panią Lindą”, która „pilnie” chce rozmawiać z profesorem Herzfeldem. Po tym nabrali do siebie odrobinę więcej zaufania, jednak podczas rozmowy dalej krążyli wokół siebie jak dwaj bokserzy próbujący się nawzajem wybić. Żadne nie chciało się odsłonić. Żadne nie chciało zrobić pierwszego kroku i zdradzić informacji, zanim druga osoba nie odpowie na jej pytanie. Przy czym Herzfeld niezamierzenie powiedział już i tak o wiele za dużo.

Linda bez trudu mogła sobie dośpiewać, że jego córka została porwana; w końcu już w pierwszej rozmowie groził śmiercią jakiemuś Erikowi, gdyby nie odzyskał Hannah żywej.

Ostatecznie Linda przemogła się i zaskoczyła Herzfelda monologiem, który po części brzmiał jak usprawiedliwienie, a po części jak przyznanie się do winy:

– Prawdopodobnie pakuję się w jeszcze większe gówno niż to, w którym i tak już tkwię po uszy, i mój brat mnie zabije. Ale jeśli naprawdę jest pan tym, za kogo się pan podaje, profesorze, to na pewno może pan zlokalizować tę rozmowę albo coś w tym stylu i w takim razie mogę od razu powiedzieć panu, gdzie jestem. Poza tym pana głos brzmi jak głos człowieka, który potrzebuje pomocy, i czy pan wierzy, czy nie, mamy ze sobą coś wspólnego. Wiem, jak parszywie czuje się człowiek, kiedy tkwi w potrzasku i potrzebuje kogoś, kto go z niego wyciągnie. Więc teraz po prostu zaufam swojemu instynktowi, o którym nie mogę powiedzieć, że mnie jeszcze nigdy nie zawiódł, wprost przeciwnie. Ostatni raz, kiedy go posłuchałam, znów wylądowałam w łóżku z psychopatą, ale mam to gdzieś, bo i tak nie mogę się tu ukryć, a pan nie może do mnie przyjechać, więc co mam do stracenia?

A potem powiedziała mu o Helgolandzie i że ukrywa się tam przed

stalkerem, dlatego w żadnym wypadku nie chciała, żeby miejsce jej pobytu zostało ujawnione i z tego powodu nie poszła na policję. Dowiedział się o saszetce i telefonie Hannah. I o człowieku, przy którym znalazła obie te rzeczy i który z całą pewnością nie przekaze już Herzfeldowi dalszych informacji:

– *Na sto procent!*

– To dokąd jedziemy? – nie ustępował syn ministra spraw wewnętrznych i zapraszająco otworzył drzwi od strony pasażera.

Nie zdając sobie z tego sprawy, von Appen zadał tym samym decydujące pytanie: *Co dalej?*

Herzfeld był już pewien, co musi zrobić w następnej kolejności. Potrzebował swojej walizki kryminalistycznej. W Federalnym Urzędzie Kryminalnym musiałby pokwitować jej wypożyczenie, ale w domu miał prywatną walizkę ze wszystkim, czego potrzebował do pierwszego zbadania miejsca przestępstwa i zabezpieczenia środków dowodowych. Poza tym chciał wziąć z mieszkania gotówkę i rzeczy na zmianę, skoro i tak musiał czekać na telefon od Lindy.

– Zamówiłem sobie taksówkę – skłamał Ingolfowi, i wtedy zadzwoniła jego komórka.

– Linda? – Odwrócił się od porsche i całą uwagę skupił na z trudem dającym się zrozumieć głosie na drugim końcu linii.

– A więc od razu panu mówię, że nigdy więcej nie piszę się na coś takiego! – Krzyczała, jakby stała w tunelu aerodynamicznym. – Zrobiłam, co pan chciał, tak? Zeszłam na plażę i przeszukałam jego kieszenie. Dokładniej mówiąc, wciąż tu stoję i najchętniej wyrzygałabym się na falochron. Człowieku, to było obrzydliwe. A przecież nawet go nie dotknęłam. Zresztą, nie musiałam. Ponieważ jego imię jest na samym środku T-shirta.

– Erik?

– Tak, namazane w poprzek piersi wodoodpornym eddingiem. Ale jak już powiedziałam, cokolwiek ten typ zrobił pana córce, profesorce, nic pan już z niego nie wydobędzie.

*Tu się mylisz*, pomyślał Herzfeld i przypomniał sobie słowa córki na poczcie głosowej. Hannah nie powiedziała: „Zgłosi się do ciebie Erik”. Nie powiedziała: „On przekaze ci kolejne informacje”. Ona

powiedziała: „Czekaj na Erika. On ma dla ciebie dalsze wskazówki”. Z naciskiem na dalsze. Pierwszą wskazówkę znalazł dziś ramo w głowie zmasakrowanych kobiecych zwłok. Teraz był drugi trup. Nie trzeba było być geniuszem, żeby zauważyć wspólny schemat: porywacz bawił się w makabryczne „poszukiwanie skarbów”. Szpikował swoje ofiary wskazówkami, które prowadziły do córki Herzfelda.

*Albo do jej zwłok.*

Za jego plecami dwa razy krótko odezwał się klakson i Herzfeld odwrócił się do Ingolfa, który wciąż czekał na niego z włączonym silnikiem.

– Z samochodu też może pan dzwonić! – zawołał, śmiejąc się.

Herzfeld pokręcił głową i dalej mówił do telefonu: – Dziękuję za wszystko, co pani dla mnie zrobiła,. Ale teraz muszę prosić panią jeszcze o ostatnią przysługę: proszę zadzwonić do kliniki na wyspie i poinformować człowieka o nazwisku Ender Mueller o znalezieniu ciała. Ważne, żeby rozmawiała pani wyłącznie z nim, rozumie pani?

*Inaczej pójdzie to oficjalną drogą. A wtedy jurysdykcję nad zwłokami przejmie Szlezwik-Holsztyn, za który nie odpowiadam. Nie pozwolą mi otworzyć trupa, żeby szukać wskazówek...*

– Kim do diabła jest Ender Mueller?

– Dozorcą w klinice i moim dobrym znajomym.

– Co za przypadek – zadrwiła Linda.

*Nie do końca. Raczej jeszcze jeden dowód na to, że sprawca uwziął się osobiście na mnie, ponieważ jestem lekarzem sądowym, pomyślał Herzfeld. Najpierw kartka w głowie zmarłej, potem drugie zwłoki akurat na wyspie, gdzie Herzfeld już często dokonywał sekcji w tamtejszym szpitalu, przed przeprowadzką do Berlina, kiedy jeszcze pracował w klinice uniwersyteckiej w Kilonii. Ktokolwiek za tym stał, miał o nim dokładną wiedzę.*

– Zaraz zadzwonię do Endera i panią zaanonsuję. Proszę nie rozmawiać z nikim innym, dopóki do pani nie przyjadę.

– Dopóki pan do mnie nie przyjedzie? – powiedziała z ironią Linda. – Czy pan nie słyszał tego, co wcześniej mówiłam? Orkan „Anna” właśnie rozpoczął zimowe igrzyska olimpijskie w rzucaniu domami na odległość. Zresztą dach szpitala jest już zerwany, więc na

pewno nikogo tam nie zastanę.

Ingolf znów zatrąbił.

– Jak długo to ma potrwać? – zapytał Herzfeld i zasygnalizował praktykantowi, że zmienił zdanie.

– Ci z zarządzania kryzysowego mówią, że co najmniej trzy dni – usłyszał, jak Linda przekrzykuje wiatr, kiedy wsiadał do porsche. Nagły wzrost temperatury sprawił, że aż się wzdrygnął. Ingolf posłał mu lekko wyniosły uśmiezek mówiący: „Nie można było tak od razu” i przycisnął pedał gazu, ledwo Herzfeld zdążył zamknąć drzwi, tak że w tej samej chwili siła przyśpieszenia wcisnęła go w podgrzewany skórzany fotel.

– Fale są wysokie na kilka metrów, nawet Mojżesz by tu nie przyszedł. Jesteśmy całkowicie odcięci.

– Znajdę jakiś sposób – zapewnił Herzfeld i zakończył rozmowę z Lindą, kiedy wystrzelili z wyjazdu na ulicę.

Ingolf rzucił mu pytające spojrzenie.

– To dokąd mam jechać?

– Na Helgoland – odpowiedział Herzfeld i wyniosły uśmiezek momentalnie znikł z twarzy Ingolfa.

**Helgoland**

**Hej**, czy wie pani, dlaczego mężczyźni nie dostają cellulitu?

– Proszę? – zapytała Linda, zdezorientowana nagłą zmianą tematu. Do tej pory Ender Mueller jęczał jej nad głową, że wszystkie odpowiedzialne osoby, lekarze, pielęgniarki i pielęgniarze się ulotnili i zostawili go samego z tą „ruiną kliniki”, a teraz naprawdę chce opowiedzieć jej dowcip?

– Cellulit, znaczy pomarańczowa skórka, no wie pani. Dlaczego mężczyźni tego nie mają?

– Ponieważ to do dupy wygląda – ukradła mu pointę Linda. Sceptycznie ściągnęła brwi za plecami Endera. Dozorca szedł dwa kroki przed nią i pchał nosze na kółkach przez prowizorycznie oświetlony korytarz. W budynku nie było prądu i aby nie obciążać awaryjnego agregatu, lampy tu na dole włączono na tryb oszczędny.

– Ach, już go pani znała? – Ender odwrócił się do niej na moment. Popatrzył na nią takim wzrokiem jak dziecko, któremu przy kasie w supermarkecie zabrakło dziesięciu centów, żeby sobie kupić gumę do żucia, ale Linda nie była w nastroju, żeby go pocieszać.

– Wiecie pan zwłoki do sali sekcyjnej i jednocześnie opowiada kiepskie dowcipy? Do diabła, czy aby wszystko z panem w porządku?

Ender skulił się jak zbity pies, przez co sprawiał wrażenie jeszcze niższego, niż i tak już był. Był Niemcem pochodzenia tureckiego, brat Lindy nazywał takich „szesnaście na dziewięć”: muskularny karzeł w formacie szerokoobrazowym. Tego, co brakowało mu, jeśli chodzi o wzrost, próbował widocznie nadrobić ćwiczeniem z hantlami. Jego ramiona przypominały Lindzie duże szynki, które w sklepie mięsnym wiszą pod sufitem. Pod roboczym kombinezonem, który albo zbiegł się w praniu, albo specjalnie był tak obcisły, żeby jeszcze bardziej uwypuklać jego monstrualne uda (Linda twardo stawiała na to ostatnie) nosił T-shirt z długimi rękawami.

W każdym razie widać było, że ta góra mięśni nie wyrosła wyłącznie na fundamencie z anaboliaków, w końcu Ender bez niczyjej pomocy przeniósł w środku sztormu zwłoki z plaży do swojego meleksa. Linda tylko przyglądała mu się w milczeniu i nie posiadając się ze zdumienia. W milczeniu, ponieważ nie potrafiła znaleźć słów, aby opisać rozwój wypadków, jaki w ostatnich godzinach miał miejsce w jej życiu. Nie posiadając się ze zdumienia, ponieważ ten Ender Mueller naprawdę istniał i to wszystko wcale nie było kiepskim żartem.

Po kilku próbach Linda złapała telefonicznie dozorcę, którego oceniała na jakieś trzydzieści pięć lat, w gospodzie Bandrupp. W szpitalu (kartka z numerem kliniki była przyczepiona do tablicy z numerami alarmowymi w kuchni domu), tak jak się spodziewała, nikt nie podszedł do telefonu, a jego prywatny numer nie widniał w cienkiej książce telefonicznej wyspy. Przez jakiś czas zastanawiała się, jak powinna rozpocząć rozmowę z dozorcą. „Przepraszam pana, ale profesor Herzfeld prosił, żeby zabrał pan zwłoki...”? Jak się okazało, zupełnie niepotrzebne, ponieważ Herzfeld zdążył już zadzwonić do swojego znajomego i bardzo dokładnie go poinstruował. Kilka minut później Ender podjechał elektrycznym wózkiem, aby przewieźć zwłoki topielca do kliniki.

– Jeszcze jeden zmęczony życiem – powiedział, wskazując na trupa w koszulce z napisem „Erik”, gdy tylko dotarli do falochronu. – Wie pani, jak się poznaliśmy z profesorem? Raz w roku ktoś tu skacze z klifu. Jeśli są jakieś wątpliwości, przyjeżdża Herzfeld i robi sekcję w szpitalu. Porządny z niego gość.

Linda nie odzywała się ani słowem, nawet nie wytarła deszczu z twarzy i tylko miała nadzieję, że koszmar szybko minie. Ale tak się nie stało.

– Myślę, że profesor ma rację. Lepiej, żeby na razie nikt się o tym nie dowiedział, prawda?

Nie wiedziała, czy dozorca naprawdę oczekuje odpowiedzi, wzruszyła więc tylko ramionami.

– Znaczy, rozumie pani: nie ma tu już policji, lekarze też się wynieśli i oto nagle te zwłoki. Nie, nie, to wywołałoby tylko panikę, bo przecież teraz nikt już nie wydobędzie się z wyspy.

Mówiąc te słowa, Ender rozwinął przyniesiony ze sobą worek na zwłoki i położył go na trupie. Na szczęście nie poprosił ją o pomoc, chociaż widząc pełen obrzydzenia wyraz twarzy Endera, Linda uznała, że nie jest on nawykły do obcowania ze zmarłymi, co ją trochę uspokoiło.

– Nie chciałbym, żeby mnie pani uważała za jakiegoś pokręconego – rzucił jeszcze do niej tuż przed odjazdem z zapakowanymi zwłokami w kierunku kliniki. – Ale kiedy Herzfeld mówi, że tak trzeba, to trzeba. Ślepo mu ufam.

Linda najpierw wzbraniała się dołączyć do Endera, ale potem jednak się rozmyśliła. W swoim domu nie czuła się już bezpiecznie, nikogo nie знаła na wyspie i miała już dość ukrywania się. Każde towarzystwo było lepsze od bycia samą, nawet jeśli miałyby to być towarzystwo kurdupłowatego kulturysty z dziwacznym poczuciem humoru, za którym właśnie szła do windy, aby zjechać z nim do szpitalnego prosektorium.

*No, chyba że wysiądzie awaryjny agregat prądotwórczy i utkniemy w windzie.*

Dzisiaj Linda już niczemu by się nie dziwiła.

– Mam nadzieję, że ta parszywa pogoda za trzy dni minie. – Ender podrapał się po przeredzonych włosach swojej fryzury na księcia Williama. Linda zastanawiała się, dlaczego faceci o wydatnych czaszkach nie strzygą się od razu na łyso, kiedy zaczynają mieć na głowie więcej skóry niż włosów.

– Dlaczego akurat trzy dni? – zapytała i dogoniła go.

– W przeciwnym razie nie uda mi się dotrzeć na MT.

– MT?

– *Mam talent.* Taki telewizyjny show. Mam już dość tego miejsca.

Dotarli do dwuskrzydłowych drzwi z sięgającego do podłogi przydymionego szkła.

– Praca dozorczy to nie jest dla mnie zajęcie na całe życie, jestem stworzony do wyższych celów!

– Aha – Linda przytaknęła i zastanawiała się, czy jednak nie byłoby lepiej siedzieć samotnie w domu na poddaszu i relaksować się rysowaniem komiksów.



– Zaprezentowałem swój stand-up i przeszedłem do następnego etapu, a teraz „Anna” bruździ mi w karierze, sama pani rozumie.

*Mam talent!* Linda przypomniała sobie niejasno, jak kiedyś skacząc po kanałach, natknęła się na jakiś casting, w którym niedosłyszająca emerytka prezentowała taniec, który bardziej przypominał atak epilepsji niż zapowiedziany breakdance. Została odrzucona przez nie mniej idiotyczne jury, podczas gdy do następnej rundy wśród frenetycznego aplauzu publiczności przeszedł czterdziestoczteroletni referent, ponieważ ubrany w pieluchę i ze smoczkiem w ustach podpalał puszczone przed siebie bąki. Linda zastanawiała się, jacy idioci w tym show dobrowolnie dają się zaciągać za kółko w nosie na cyrkową arenę. Odpowiedź stała przed nią.

– Mój program nosi tytuł *Body Comedy*. Stoję nago przed jury, pokazuję mięśnie i opowiadam dowcipy.

W oczach Endera pojawiły się błyski, jakby odbijały się w nich choinkowe lampki.

– No, znaczy, nie całkiem nagi. Mój największy mięsień jest zawsze zasłonięty.

– Czy to teraz to żart?

– Nie. Ale chce pani posłuchać jeszcze jednego, naprawdę dobrego? Wczoraj zwolniło się nade mną mieszkanie w suterenie.

Zachichotał. Linda przewróciła oczami. Wyszli z korytarza przez dwuskrzydłowe drzwi i stanęli przed windą. Gdy tylko Ender nacisnął przycisk, odezwał się dzwonek. Dozorca wyjął bezprzewodową słuchawkę od telefonu stacjonarnego z przezroczystej plastikowej torby przy pasie narzędziowym, który majtał się na jego biodrach jak taśma z nabojami.

– Klinika Sana, Ender Mueller, halo? Co? Ach, to ty. Nie, mam wyłączoną komórkę. Zresztą i tak nie działa w piwnicy.

Zaśmiał się trochę przesadnie.

– Tak, wszystko u nas super. Nie martw się.

Ender konspiratorsko mrugnął do Lindy, która poważnie zastanawiała się, czy powinna wsiąść z tym człowiekiem do nadjeżdżającej windy. Robiło się jej zimno na myśl o wyborze, jaki jej został: wrócić do domu, w którym ktoś obcy (*Danny?*) leżał w jej łóżku,

czy wytrwać tutaj? Czy też zjechać do sali sekcyjnej, gdzie z pewnością było jeszcze zimniej, po tym jak awaria prądu w klinice sparaliżowała również pompy nadmuchujące ciepłe powietrze.

– Helgoland od teraz znaczy To Hell Go Land, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. – Dla pewności Ender przetłumaczył rozmówcy swój marny dowcip: Do piekła idź ziemio. Tu właśnie teraz wali się świat, nie ma nawet psa z kulawą nogą. Mógłbym przewieźć tu zwłoki na indyjskim słoniu, a i tak nikt by tego nie zauważył, Paul.

*Paul Herzfeld*, pomyślała Linda. *Któżby inny.*

Weszli do windy. Ender, który pchał nosze, pierwszy. Na szczęście biały worek nie był przezroczysty. Linda wystarczył już sam fakt, że pod folią odznaczają się kontury mężczyzny.

– Powiedziałem obecnej tu lady, że pewnie znów jakiś zmęczony życiem postanowił zejść z tego świata, zażywając lodowatej kąpieli i... aaa, co proszę? – Spojrzał na Lindę. – Tak, jest przy mnie i, jeśli mogę pozwolić sobie na pewną uwagę, ma oczy jak męskie stopy. Duże, wilgotne i czarne. – Jego śmiech zamarł, zanim jeszcze na dobre się rozpoczął. – Co? Nie, to nie jest z Fipsa Asmussena. Ten jest..., tak, już dobrze, okay. Słucham cię.

Nastąpiła dłuższa przerwa, którą Ender przerywał sporadycznym „hm”, aż w końcu krzyknął na całe gardło:

– W żadnym wypadku!

Tymczasem drzwi windy otworzyły się na pierwszym piętrze podziemi. Ender wytoczył nosze z windy i automatycznie w korytarzu włączyły się jaskrawo migoczące neonówki. Tu na dole było cieplej niż na górze, mimo to Linda wciąż widziała swój oddech.

– Ja rozumiem, że to strasznie ważne, Paul. Ale powiedziałeś, że muszę tylko szybko dostarczyć zwłoki do sali sekcyjnej i będziemy kwita.

Zatrzymali się przed pistacjowymi rozsuwanymi drzwiami. Ender wcisnął telefon pomiędzy brodę i ramię i obiema rękami rozsunał drzwi. Pomieszczenie, do którego weszli, miało niski sufit i wielkość mniej więcej boiska do siatkówki. Na pierwszy rzut oka w półmroku można było pomylić je z hotelową kuchnią: białe kafelki, szare płytki podłogowe, szafy ze stali szlachetnej i zlewy przy ścianach. Gdyby nie

duży stół sekcyjny, który zajmował miejsce na środku sali jak ołtarz ofiarny...

– W żadnym wypadku. Nie, człowieku. I tak mam już mokre gacie, tylko dlatego, że w ogóle jestem w sali sekcyjnej.

Dozorca przycisnął dwa duże wyłączniki światła przy drzwiach i kilka neonowych lamp zaczęło groźnie migotać. Jednocześnie podjęła pracę wentylacja nad ich głowami.

– Naprawdę za dużo ode mnie żadasz. Nawet nie chce mi się myśleć o tym, że przez ciebie musiałem dotykać zwłok. – Podczas rozmowy przez telefon Ender dziko gestykulował, wskazując na baterię szuflad w lodówce na ścianie po swojej prawej stronie. – Nienawidzę już samego bycia tu na dole.

Przerwał raptownie i odwrócił się do Lindy, która wciąż stała w progu.

– Hej, czym się pani zajmuje? – zapytał.

– Co takiego?

– Pani zawód! Jak pani zarabia chleb?

– Maluję.

– Ściany czy obrazy? – zapytał Ender, kiedy już przekazał tę informację dalej.

– Komiksy – krzyknęła tak głośno, że nawet Herzfeld musiał to usłyszeć.

Ender znów podrapał się w głowę, jakby pytanie profesora wprowadziło go w zakłopotanie.

– Oczywiście ci obojętne, ale nagle zainteresowały cię jej dłonie, tak? – Zmierzył wzrokiem Lindę, następnie powiedział: – Ładne palce. Jak u pianistki. Okay, tak. Dobrze. – Ender podał jej telefon.

– O co chodzi?

– Chce z panią rozmawiać.

Linda przycisnęła wilgotną i jeszcze ciepłą słuchawkę do ucha. Dozorca spociał się podczas rozmowy. Już po kilku sekundach Linda wiedziała dlaczego, bo Herzfeld z miejsca przeszedł do rzeczy:

– Zasięgnąłem informacji. Rzeczywiście wygląda na to, że przez dłuższy czas nie będę mógł zjawić się u pani na wyspie. – Linda usłyszała w tle odgłos włączonego kierunkowskazu. – I do tego czasu

muszę prosić panią o jeszcze jedną przysługę.

– Co takiego? – zapytała Linda. Przeczucie sprawiło, że żołądek podszedł jej do gardła.

– Musi pani przeprowadzić dla mnie sekcję zwłok.

Proszę ułożyć zmarłego stopami w kierunku stołu na narządy. To ten mały stolik z przesuwaną tacą nad niecką odpływową. Bezpośrednio obok słuchawki prysznicowej, widzi ją pani? Teraz może pani napuścić wody do niecki. Do pełna, proszę. A teraz niech pani usunie worek na zwłoki.

Herzfeld otworzył drzwi pasażera, zanim jeszcze Ingolf ostatecznie zatrzymał się przed Dworcem Głównym. W czasie jazdy bardzo uważał, aby nie wymieniać imion i nazwisk ani nie zdradzać innych informacji, które praktykant mógłby następnie wykorzystać. Najprawdopodobniej z dobrym skutkiem. Sądząc po wyrazie twarzy, z jakim Ingolf go pożegnał, można było sądzić, że niedoszłego praktykanta przede wszystkim rozbawił zwariowany profesor, do którego zwyczajów widocznie zaliczało się udzielanie kolegom przez telefon korepetycji z przeprowadzania obdukcji.

Herzfeld tylko przytknął na moment palce do czoła. Nie miał czasu na bardziej uprzejmą formę pożegnania się z Ingolfem. Zbyt długo trwało zabranie z domu walizki z zestawem narzędzi do sekcji i przyborami niezbędnymi na miejscu przestępstwa. Na dodatek ruch uliczny był drogą przez mękę, jak zawsze w Berlinie, kiedy padał deszcz albo śnieg. Albo, jak w tej chwili, jedno i drugie naraz. S-Bahnem na pewno byłoby szybciej, chociaż nie tak komfortowo jak z Ingolfem, który najpierw zawiózł go do jego mieszkania a potem na dworzec.

– Proszę włożyć rękawiczki, możliwie grube z wypustkami, i poszukać sobie gumowego fartucha. Ender wie, gdzie wszystko leży, powinien też dać pani dwa noże do narządów wewnętrznych, ale nie skalpel, bo on za szybko się łamie, kiedy człowiek nie ma wprawy. Mogłaby się pani sama skaleczyć. Potrzebuje pani jeszcze długiej pincety i nożyczek, którymi rozetnie pani ubranie zmarłego. Zwłoki muszą być całkiem nagie.

Tłumy ludzi przechodziły obok Herzfelda, kierując się do hali głównej.

– Zaraz, chwila moment, profesorze! Czy pan na pewno jest przy zdrowych zmysłach?

Herzfeldowi wydawało się, że widzi ruchy ręką, którymi Linda podkreśla wypowiedzaną przez siebie do słuchawki niecenzuralną tyradę. Przepuścił kobietę z dwójką dzieci, która przepychała się w przeciwnym kierunku. Szklane obrotowe drzwi, które prowadziły do hali dworcowej, były beznadziejnie zakorkowane, dlatego Herzfeld z walizką w ręku przystanął po zawietrznej stronie żelbetonowego filaru, gdzie co prawda panował przeciąg, ale przynajmniej mógł tam bez przeszkód rozmawiać.

– Nie, proszę pani, mówiąc szczerze, prawdopodobnie postradałem już zmysły. – Zawahał się i jeszcze raz zastanowił, czy naprawdę powinien zaryzykować i wtajemniczyć w sprawę całkowicie obcą osobę. Co prawda i tak już się wygadał, kiedy myślał, że rozmawia z porywaczem. A ostrzeżenie przede wszystkim odnosiło się do tego, żeby nie włączać oficjalnych organów, Herzfeld postanowił więc podjąć ryzyko. – Dziś rano w głowie bestialsko zmasakrowanych zwłok znalazłem wiadomość. Wołanie o pomoc od mojej córki Hannah. Kiedy do niej zadzwoniłem, włączyła się poczta głosowa. – Herzfeld krótko streścił komunikat, a potem dodał: – Poleciała mi, żebym z nikim o tym nie rozmawiał. Właśnie wystawiam życie Hannah na niebezpieczeństwo, wtajemniczając w to panią.

*Osobę, której nawet nie znam!*

– Ale nie mam innego wyboru.

Herzfeld zauważył ukryte przed oczami tłumu wyjście awaryjne i wślizgnął się przez nie do hali głównej. Szukał na elektronicznej tablicy informacyjnej odpowiedniego pociągu i najpierw podejrzewał techniczną usterkę. Ale wtedy zobaczył przed informacją kolejkę wściekle gestykulujących ludzi. Ogarnęło go złe przeczucie.

– Czy ja dobrze pana rozumiem? – usłyszał pytanie Lindy. – Pańska córka została porwana, a ja mam rozkroić tego tu faceta, ponieważ pan przypuszcza, że w jego ciele znajduje się kolejna wskazówka?

– Tak.

Herzfeld uwolnił się z gromady podróżnych, którzy albo z wściekłością, albo z rezygnacją komentowali komunikat. Oprócz S-Bahnu wszystkie pociągi były odwołane.

– Proszę pani, niech pani posłucha! – Herzfeld zniżył głos, kiedy jacyś dwaj biznesmeni przeszli tak blisko niego, że omal nie przejechali mu po stopie swoimi walizczkami na kółkach. – Wiem, że żądam od pani bardzo, ale to bardzo dużo, ale czas nagli. Hannah jest astmatyczką. Kiedy skończy się jej spray, zostanie jej tylko kilka godzin życia.

*A boję się, że nie jest to największe niebezpieczeństwo, które jej grozi.*

– Poza tym nie chodzi tu tylko o moją córkę.

– A o co jeszcze?

– To są już drugie zwłoki. Mamy więc do czynienia z seryjnym mordercą. A co, jeśli on wciąż przebywa na wyspie i nie zakończył swojej serii?

Przerwa. Herzfeld wręcz czuł, jak w głowie młodej kobiety, z którą właśnie rozmawiał, kotłują się myśli. Nie widząc jej, był niemal przekonany, że od pierwszego spojrzenia Linda wzbudziłaby jego sympatię. Lubił ludzi, którzy bardziej polegali na swoich uczuciach niż na rozumie. A po wszystkim, co już dla niego zrobiła, Linda musiała być uczynną osobą o dobrym sercu, do którego teraz apelował.

– Proszę, niech mi pani pomoże.

– Ender jest zdania, że mężczyzna popełnił samobójstwo – odparła matowym głosem Linda.

– No to się myli. Hannah powiedziała, że dalsze wskazówki otrzymam od jakiegoś Erika. I teraz on nagle leży martwy na plaży, z telefonem w saszetce, którego numer znalazłem dziś rano w głowie okaleczonych kobiecych zwłok. Czy muszę mówić dalej?

Kolejna, tym razem dłuższa przerwa, którą Linda zakończyła głębokim westchnieniem.

– Od lat jestem wegetarianką. Nawet nie potrafię sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz kroїłam stek i mam teraz...

– Bez obaw. Będę panią instruował krok po kroku, okay? Halo, Linda?

Spojrzał na swoją komórkę.

*Niech to szlag.*

Wyświetlacz był ciemny. Bateria znów padła bez ostrzeżenia. Dlaczego dał sobie wcisnąć tego „smarфона”. Co było takiego smart w fonie, którego bateria wytrzymała zaledwie kilka godzin, ponieważ większość prądu zużywały aplikacje, których nigdy nie używał?

*Facebook, Skype, Push-E-Mail. Głupota.*

Herzfeld przełożył walizkę do drugiej ręki i pośpiesznie wyszedł przez wyjście awaryjne na zewnątrz, na panujące tam zimno. Obrotowe drzwi ostatecznie odmówiły współpracy i nie poruszały się już ani o milimetr. Przed dworcem również panował całkowity chaos. Podjeżdżające pojazdy włączyły w paradę odjeżdżającym spod dworca ludziom. Sytuację pogorszył jeszcze zaparkowany w niedozwolonym miejscu samochód, który blokował postój taksówek, za co został ukarany groźnym koncertem klaksonów: czarna terenówka Ingolfa.

Herzfeld osłonił dłonią oczy przed deszczem ze śniegiem i rozglądał się dookoła. Usłyszał go, zanim jeszcze zobaczył.

– No i jak, profesorze?

Ingolf von Appen szedł przez wąską ulicę dojazdową oddzielającą plac od budynku dworca i uniósł prawą rękę, w której trzymał kielbaskę z rusztu. Współczująco opuścił kąciki ust, co dodatkowo wzmocniło jego arogancki wygląd.

– Jeszcze pan tu jest?

Herzfeld z rezygnacją machnął ręką.

– Nie ma pociągu. Sieci trakcyjne zamarzły. Wszystkie pociągi na północ zostały odwołane.

Kątem oka Herzfeld zauważył, jak z taksówki wyskoczył mężczyzna. Na jego twarzy malowała się wściekłość.

– Hej, ty idioto. Czy ten rzęch należy do ciebie?

– Rzęch? – Ingolf odwrócił się oburzony. – To Porsche Cayenne Turbo S.

– Zaraz wsadzę ci w dupę to twoje turbo s. Ty głupi palancie, blokujesz moje miejsce postojowe.

Mężczyzna był o dwie głowy niższy, ale ważył co najmniej dwa razy tyle co praktykant. Kiedy mówił, machał zaciśniętą pięścią.

Ingolf jak gdyby nigdy nic odgryzł kawałek kielbasy i ponownie



odwrócił się do Herzfelda.

– To nie moja sprawa, ale to, co wcześniej usłyszałem, kiedy rozmawiał pan przez telefon, a więc... – Przełknął kęs. – Wcale nie jest pan chory, prawda?

– Nie.

– Hej, cioto, głuchy jesteś? – Z bliska taksówkarz wydawał się jeszcze bardziej wkurzony. Z ust zwisały mu nitki śliny, splatając się z bródką pod dolną wargą. – Spadaj stąd. Ale to już.

Ingolf, nie odwracając się, uniósł władczo dłoń jak król, który chce z balkonu uciszyć swoich poddanych. Herzfeld spodziewał się, że taksówkarz w każdej chwili może mu przywalić.

– A ta sprawa na Helgolandzie, cokolwiek ma pan tam zrobić, czy to dla pana bardzo ważne?

– Najważniejsze.

Ingolf kiwnął głową powoli, potem znów spojrział na taksówkarza, który już wyciągnął rękę w jego stronę.

– Zaraz odjeżdżamy.

– Co znaczy zaraz, błźnie jeden? Zaraz to rozbiję ci na nosie te twoje studenckie okulary, jeśli natychmiast się stąd nie zabierzesz.

Ingolf uśmiechnął się nieporuszony, sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął zwitek banknotów.

– Czy to trochę uśmierzy pana niecierpliwość?

Kierowca zbaraniał, popatrzył najpierw na Herzfelda, potem na Ingolfa. W końcu szczerząc zęby, sięgnął po banknoty, które praktykant trzymał mu przed nosem.

– Dorzuć jeszcze pięćdziesiątka, a przyniosę ci drugą kielbaskę.

– Nie trzeba, ale dziękuję za propozycję. – Ingolf skinął w kierunku Herzfelda i wskazał na wejście do dworca. – Proponowałbym zaopatrzyć się w prowiant i ciepłe koce. W taką pogodę szybko może się zrobić nieprzyjemnie, jeśli utkniemy w korku na autostradzie.

*Tylko dotąd i ani milimetra dalej.*

Linda trzymała w palcach uchwyt zamka błyskawicznego i nie mogła się przemóc, aby otworzyć worek z ciałem.

Ender wtaszczył zmarłego na stół sekcyjny i zgodnie z instrukcjami Herzfelda zatroszczył się o wszystkie sprzęty i narzędzia. Większość z nich znajdowała się w szufladach z instrumentami w sali sekcyjnej, musiał tylko wyjść na chwilę, żeby przynieść kitel i ciężki gumowy fartuch, pod którym Linda czuła się jak kontrolerka higieny w rzeźni. Dla siebie Ender nie postarał się o żadne ubranie ochronne ani o fartuch czy rękawiczki, co było jasnym komunikatem. W tej chwili zachowywał największy możliwy dystans i opierał się o stół stojący obok rozsuwanych drzwi, które prowadziły na korytarz.

– Czy możemy już rozpocząć zewnętrzne oględziny zwłok?

Głos Herzfelda wypełnił pomieszczenie, po tym jak najwidoczniej udało mu się znaleźć źródło prądu dla wyczerpanego akumulatora komórki. Ender ustawił bezprzewodową słuchawkę na tryb głośnomówiący i powiesił ją razem z całym pasem na haku przy lampie roboczej nad stołem sekcyjnym, tak że słuchawka dyndała teraz przed nosem Lindy jak mikrofon sędziego ringowego.

*No dobrze, potraktuję to jak nowe doświadczenie, próbowała okłamywać samą siebie. Ćwiczenie, żeby lepiej rysować sceny przemocy w moim komiksie. Nic więcej.*

Z przerażającą jasnością uświadomiła sobie, że za chwilę, pierwszy raz w życiu zobaczy zwłoki człowieka z najbliższej odległości. Wiatr i fale na dworze tworzyły bezpieczny dystans, na dodatek wczoraj znalezisko było całkowitym zaskoczeniem. Obecna sytuacja była czymś zupełnie innym. Jej uwagi nie odwracały siły natury, wszystko działo się w piwnicy o grubych ścianach, w jaskrawym neonowym świetle wyłożonego kafelkami pomieszczenia. Kiedy teraz otworzy worek i

zobaczy twarz nieboszczyka, sytuacja stanie się bardziej bezpośrednia, *znacznie bardziej intymna*.

*I znacznie gorsza.*

Linda zastanawiała się, jak to możliwe, że w świecie, w którym codziennie umierają ludzie, człowiek tak rzadko styka się bezpośrednio ze śmiercią, i w tej samej chwili stało się dla niej jasne, że snuje te rozważania tylko dlatego, żeby odłożyć w czasie to, co nieuniknione. Przy czym istniały tylko dwie możliwości: albo odmówi, albo uwierzy zrozpaczonemu ojcu na drugim końcu linii, że życie jego córki zależy tylko i wyłącznie od tego, czy zechce mu pomóc.

*A, być może, Hannah nie jest jedyną osobą, której grozi tu niebezpieczeństwo?* – pomyślała, próbując wyprzeć wspomnienie mokrego ręcznika w swojej łazience i zapachu Danny'ego. Erik, zwłoki kobiety w Berlinie, Danny: to musiało się jakoś ze sobą wiązać, ale nie potrafiła sobie wytłumaczyć jak.

– Ale tylko przyjrę się nieboszczykowi z zewnątrz! – Z tymi słowami Linda pociągnęła za suwak, który jak w walizce biegł wokół zasłoniętego ciała. Kiedy worek został rozdzielony na dwie połowy, jednym ruchem odchyliła górną część i zamknęła oczy; błąd, bo pozostałe zmysły stały się nagle jeszcze bardziej wrażliwe na bodźce zewnętrzne.

– Wielki Boże – zakaszłał Ender.

Otworzyła oczy i stwierdziła, że widok ciała jest nawet bardziej znośny niż zapach. Na pierwszy rzut oka nieboszczyk wyglądał jak dobrze wyrzeźbiona, ale nierealistyczna figura woskowa. Martwy i zbyt nierzeczywisty, aby się go obawiać.

*Nie ma butów!*

Linda unikała patrzenia na twarz zmarłego, dlatego jej wzrok padł najpierw na jego stopy, których paznokcie były źle obcięte i wrastały w duże palce. Nieboszczyk miał na sobie grube sztruksowe spodnie, których szerokie nogawki były podciągnięte do kolan. *Jak zapalki*, pomyślała Linda na widok chudych, gęsto owłosionych podudzi. Zastanawiała się, jak to możliwe, żeby takie kurze nóżki niosły przez życie tak potężny tułów. Chociaż proces gnicia zwłok z pewnością trochę się do tego przyczynił, to jednak nie sądziła, by była to jedyna

przyczyna ogromnego, wzdętego brzucha nieboszczyka, którego wierzchołek wystawał niemal ponad jego twarz.

Poza podkoszulkiem z nabazgranym napisem Erik nie miał na sobie swetra ani kurtki, ani innej stosownej do zimy części ubrania. W końcu Linda zmusiła się, aby wziąć pod lupę głowę, i ulżyło jej, że nieboszczyk ma zamknięte oczy, usta natomiast były lekko rozchylone, co sprawiało, że obrzmiała twarz miała jakby zdziwiony wyraz. Dwa górne, żółte od nikotyny siekacze były odsłonięte.

– Proszę mi opisać wszystko, co pani widzi – zażądał Herzfeld. Linda ucieszyła się, że nie poprosił jej o opisanie zapachu zwłok, ponieważ byłoby to trochę trudne. Ze wszystkich obrzydliwych zapachów najgorszy był ten, z którym właśnie miała styczność. Przy czym smród był nawet dużo mniej duszący i intensywny niż na przykład woń dochodząca z zapchanej toalety publicznej w środku lata. Mimo to był wszechobecny i... *i słodkawy?*

Zapach składał się z dwóch komponentów, które nie stanowiły jedności. Jak tani odświeżacz powietrza w często używanej toalecie na stacji benzynowej.

Linda starała się oddychać przez usta, ale nawet to nie pomagało i jej żołądek się buntował.

Przerywanym głosem zaczęła przekazywać swoje pierwsze wrażenia.

– Czy nieboszczyk wydaje się pani znajomy? – zapytał Herzfeld na koniec jej wywodów.

– Nie. Nigdy go nie widziałam.

Jeśli stereotyp odpowiadał prawdzie i wielu właścicieli psów wyglądało podobnie jak ich pupile, to leżący na stole sekcyjnym mężczyzna musiał być właścicielem bernardyna: kwadratowa czaszka, gęsta przypominająca sierść czupryna i masywny nos, którego dziurki były zapchane zabrudzonym wydzieliną piaskiem. Linda nawet nie byłaby w stanie powiedzieć, czy mężczyzna był kochającym ojcem rodziny, czy ponurym singlem. Czy nastawiał radio na muzykę klasyczną, czy rockową, i na jaką partię głosował. Miał prostackie stwardniałe dłonie i paznokcie kciuków wielkości znaczków pocztowych, co wskazywało, że pracował fizycznie. Jasnobrązowe

skronie były wygolone, włosy na karku bardzo krótko przystrzyżone, więc dopiero niedawno sprawił sobie nową fryzurę, ale co to mówiło o człowieku? Na pewno nie uprawiał często sportu, jadł dobrze i dużo, bo inaczej podwójny podbródek nie byłby tak wydatny, podobnie jak cały jego tułów.

Ponownie odezwał się Herzfeld:

– Potrzebny mi kompletny obraz, musi pani wyjąć go całego z worka.

– Facet waży sto dwadzieścia kilo, co najmniej. To niemożliwe.

– Jest tam jeszcze Ender?

– Tak, jeszcze tak... – odpowiedział stojący przy drzwiach dozorca.

– Ale już niedługo.

– Nie gadaj i bierz się do roboty. A może chcesz stać tam jak jakiś maminsynek?

– Wiesz, że nie mogę patrzeć na krew – powiedział Ender, ale zaczął się już przymierzać, żeby zbliżyć się do stołu. Najwidoczniej uwaga Herzfelda podziałała na jego męskie geny.

– Musisz tylko przewrócić ciało na bok, żeby Linda usunęła dolną część worka.

– Stary, za to, to ty mi teraz będziesz coś winny. – Ender sięgnął po taką samą parę gumowych rękawic, jakie miała Linda. Optycznie niewiele się one różniły od konwencjonalnych rękawic do zmywania naczyń. – Boże, co za obrzydlistwo – wyrwało mu się, kiedy pochylił się nad stołem sekcyjnym. Potem odwrócił się, jakby go mdliło.

– Co się dzieje? – zapytał Herzfeld.

– Pański przyjaciel zaraz będzie chyba rzygał – odpowiedziała Linda, kiedy dozorca po raz kolejny odwrócił się od stołu.

– Do diabła, wcale nie będę – wysapał Ender i pokazał na zwłoki. – Ale on śmierdzi bardziej niż najgorszy śmietnikowy menel.

Z pewnością zwłoki wydzielały ten zapach już na dworze, tyle że na brzegu rozpędzał go wiatr.

Minęła jeszcze chwila, zanim Ender znów się zebrał, a potem przyszedł moment, którego Linda obawiała się, odkąd znalazła się w tej piwnicy. Przedtem, na plaży, nie musiała dotykać ciała, ale teraz nie zostanie jej to już oszczędzone.



Ręka była w dotyku zimna i jednocześnie wilgotna, a na dodatek cięższa, niż wyglądała. Przez grube rękawice Linda niemal nic nie czuła, ale wcale nie powstrzymało to jej mózgu od produkowania najróżniejszych obrazów. Przez krótką nierealną chwilę poczuła się przeniesiona we własne dzieciństwo, kiedy pomagała matce przyrządzać bożonarodzeniową pieczeń. Wtedy naciskała kciukiem skórę na pół rozmrożonego indyczego udźca i nawet się wówczas nie domyślała, że prawie nie różni się to od uczucia, jakiego człowiek doznaje, kiedy dotyka zwłok.

– Musicie przeciągnąć go z noszy na stół sekcyjny tak, żeby jego prawa ręka była po lewej stronie stołu – polecił Herzfeld i rzeczywiście w ten sposób udało się bez problemu. Ender, który z drugiej strony stołu trzymał tułów pod ramiona, żeby z boku przesunąć ciało do góry, mocno zamknął oczy. Co nie było złym pomysłem, ponieważ dzięki temu uszło jego uwagi, że przegniła i przemoczona od deszczu zewnętrzna warstwa skóry pod jego chwytem oddzieliła się z cmoknięciem od ciała nieboszczyka i przykleiła do jego rękawicy jak zmięty papier śniadaniowy. Lindzie zrobiło się niedobrze, ale powstrzymała wymioty, całkowicie skupiając się na utrzymaniu równowagi masywnego tułowia Erika, który leżał teraz na boku. Razem z dozorcą, który znów otworzył oczy, udało się jej kilkoma szybkimi szarpnięciami wyciągnąć spod ciała dolną połowę grubego worka na zwłoki, nie przewracając przy tym nieboszczyka na plecy ani na brzuch. Obojętnie dorzuciła plastikową osłonę do jej drugiej połowy, która leżała obok stołu na wyłożonej płytkami podłodze.

– Co teraz? – Ender ponownie ułożył nieboszczyka na plecach i ze wstrętem przyglądał się swojej rękawicy.

– Teraz trzeba mu zdjąć koszulę i spodnie – zażądał Herzfeld.

– Co? Nie, za nic na świecie – zaprotestowała Linda.

Ender potrząsnął głową w obronnym geście i już cofnął się o krok.

– Przecież już o tym rozmawialiśmy. Zwłoki muszą być nagie.

– Przecież już o tym rozmawialiśmy, panie profesorze. Chyba pan

oszałał. – Pokręciła głową. – Powiedziałam, że obejrzę go tylko z zewnątrz.

Herzfeld westchnął.

– No, dobrze, ale jak chce go pani obejrzyć z zewnątrz, skoro wciąż jest ubrany? Jeśli ma jakieś obrażenia, trudno będzie je zauważyć. To wszystko ma sens tylko wówczas, jeśli nieboszczyk będzie rozebrany.

Kiedy profesor mówił, Lindzie wydało się, że słyszy w tle kobiecy głos, podobny do głosu z nawigacji samochodowej, ale nie była tego pewna. Czowała, jak jej usta wypełniają się śliną. Najchętniej by ją przełknęła, ale bała się, że ślina też będzie miała trupi zapach, który przeniknął jej już do mózgu.

*Całe szczęście, że moja komórka nie działa tu w piwnicy, pomyślała, przykładając nożyczki do dolnego brzegu T-shirta. Nie wiedziałabym, co powiedzieć Clemensowi, gdyby teraz do mnie zadzwonił: Jest naprawdę źle, braciszku. Pamiętasz jeszcze tego nieboszczyka, którego kazałeś mi zostawić na plaży? Tak jak to w życiu bywa, właśnie stoję z misterem Sambułu w sali sekcyjnej i przeprowadzam coś jakby zdalnie sterowaną sekcję. Zadzwonię do ciebie później, gdy już otworzymy klatkę piersiową...*

Linda przecięła T-shirt na środku, pomiędzy R i I w napisie „Erik”. Spod tkaniny, niby nadzienie z flaka, wyłonił się napęczniały zielonkawoszarawy balon brzucha. W przeciwieństwie do nóg tułów był słabo owłosiony. Szerokie jak dłoń rozstępy ciągnęły się pod pępkiem z jednej na drugą stronę jak płatanina blizn.

*Dobre sobie, mężczyźni nie mają cellulitu,* pomyślała i rozejrzała się za Enderem. Twarz dozorca nabierała właśnie koloru zwłok.

– Nie, nie ma piercingu ani tatuaży – odpowiedziała Linda na pytanie Herzfelda o widoczne znaki szczególne. – Tylko małą bliznę pod lewym sutkiem. Wygląda jak te wgłębienia na ramieniu, które pozostawia strzykawka bezigłowa, wie pan, o czym mówię?

Znów usłyszała głos kobiety i tym razem nie miała wątpliwości, skąd ten głos pochodzi, ponieważ kobieta poleciła Herzfeldowi skręcić w następny zjazd.

– A jak wyglądają okolice genitaliów?

– No chyba nie mówi pan poważnie!



– Czy pani myśli, że robię sobie żarty? Nie domagałbym się tego, gdyby nie było to konieczne.

– Prędzej bym sobie wbił gwóźdź w kolano, niż mu tam zajrzał – powiedział Ender za jej plecami. Jego uwaga zapewne miała być według niego wsparciem, w rzeczywistości jednak odniosła przeciwny skutek. Linda wiedziała, że to dziecinne, ale jeśli udawało się jej przewyciężyć, to w dużej części dzięki postanowieniu, że nie będzie taka, jak ten bojący się wszystkiego dozorca.

Odpięła klamrę paska. Następnie rozpięła guziki w spodniach. Ukazał się brzeg białych bokserek. Rozchyliła rozpięty rozporek.

*Zupełnie jak w czasie wypadku. Wszystko tutaj jest jak ciężki wypadek, obok którego się przejeżdża. Człowiek nie chce się przyglądać, ale i tak to robi.*

– On się chyba zmoczył, zanim umarł – powiedziała zdławionym głosem. Wpatrywała się w ciemnożółtą plamę w kroku. *Zmoczył się. Boże jedyny, czemu nie nazwiesz rzeczy po imieniu? Zeszczął się jak ta lala.*

Herzfeld chrząknął.

– To normalne. Najlepiej niech pani rozetnie nożyczkami nogawki, wtedy będzie pani łatwiej zdjąć ubranie.

Dobra rada. Dzięki temu nie musi dotykać Erika. Nożyczki bez trudu przecięły materiał. W dwóch, trzech miejscach lekko zraniły skórę na udach, co Linda przemilczała, jakby była uczennicą, która boi się przyznać nauczycielowi do błędu. W końcu pozbyła się w taki sam sposób bokserek. Na razie udało się jej jeszcze skupić na reszcie materiału, który złapała obiema rękami i wyciągnęła spod ciała, aż leżało całkiem nagie na stole.

– Widzi pani coś dziwnego?

*A czego się spodziewasz, głupku? Piercingu w cewce moczowej? Kolczyka w mosznie? Tatuażu na żołądździ? W takim razie, niestety, muszę cię rozczarować.*

– Nie – powiedziała, przetykając z wściekłością. Z jakiegoś niejasnego powodu czuła się upokorzona widokiem obrzezanego członka, zagrzebanego w gnieździe gęstych włosów łonowych.

– Czy nogi ma rozstawione?

– Tak, trochę. Dlaczego to takie ważne?  
– Ponieważ musi pani teraz obejrzeć odbyt, aby...  
– Dość tego, nie, nie i jeszcze raz NIE! – Linda roześmiała się histerycznie i kręcąc głową, odeszła od stołu. – Za żadne skarby.  
– Proszę się uspokoić, okay? Spokojnie. Rozumiem, że to nie jest dla pani łatwe. W tej chwili wystarczy mi tylko pierwszy rzut oka, jasne? Niech mi pani powie, czy widzi pani coś niezwykłego, kiedy popatrzy pani między jego nogi.

– Nie.

– Nie, co?

– Nie, nie ma w dupie strzały ani siekiery! – Linda wrzasnęła na całe gardło ze zdenerwowania. Przez chwilę było cicho, wydawało się, że po drugiej stronie linii znikły nawet odgłosy ruchu ulicznego.

Potem znów odezwał się Herzfeld.

– Dobrze, to powinno na początek wystarczyć.

– Na początek? – Linda, szukając pomocy, obejrzała się na Endera, który wzruszył ramionami.

– Teraz niech pani weźmie pincetę i wywinie na zewnątrz powieki – zażądał Herzfeld.

– Co proszę?

– Po prostu niech pani włoży pincetę pod oczy i nawinie na nią powiekę jak spaghetti.

– Wiem. Mam tylko pytanie: po co te bzdury, doktorze Frankenstein?

Linda wytarła grzbietem dłoni odrobinę potu z czoła. Kiedy dotknęła czoła gumową rękawicą, blizny spowodowane działaniem kwasu zaczęły piec.

– Punktowe krwawe nabiegnięcia na spojówce mogą wskazywać na gwałtowną śmierć przez uduszenie. I nie da się tego sprawdzić inaczej. Niech się pani przyjrzy.

*No dobrze, to ma sens.*

Zadowolona, że nie musi dłużej przeprowadzać inspekcji podbrzusza, sięgnęła po pincetę. Ender stękał, jakby czuł jej czynności na własnym ciele, chociaż Linda starała się postępować najostrożniej, jak się dało, aby nie uszkodzić oka nieboszczyka.

*Nie czuje bólu, nieboszczyk nie czuje bólu*, powtarzała sobie, a mimo to wzdrygnęła się jak rażona prądem, kiedy pinceta jej się wyślizgnęła i Linda dźgnęła nią prosto w białko w oku.

– Tak, są małe ciemnoczerwone punkty w spojówce. Jak kropki na gołęmbim jajku.

Herzfeld skwitował tę informację chrząknięciem, potem zapytał o widoczne obrażenia na szyi.

– Nie, nic tu nie widać.

– A skóra na głowie? Zauważyła coś pani? – zapytał.

– Ma tylko trochę piachu we włosach, ale nic tu nie ma, co by wyglądało na krew albo coś w tym rodzaju, jeśli o to panu chodzi.

– Dobrze, wobec tego zostawmy na razie golenie ciała i przejdźmy od razu do jamy ustnej. Czy jest tam jakiś kawałek drewna albo metalu, który mogłaby pani wsunąć pod plecy nieboszczyka?

Linda odwróciła się do Endera, który tylko wzruszył ramionami.

*Niezła pomoc.*

– Raczej nie.

– Nieważne, zrobimy to inaczej. Niech pani odchyli głowę jak najdalej do tyłu i otworzy jamę ustną.

– Jeszcze czego. Za żadne skarby go nie rozetnę.

Herzfeld nerwowo mlasnął językiem.

– Być może wcale nie będzie pani musiała. Na początek wystarczy, jeśli palcami rozewrze mu pani szczęki.

*Chyba postradałam rozum*, powiedziała do siebie Linda, nie pierwszy raz od rozpoczęcia sekcji. Jej dłoń uniosła się nad usta nieboszczyka, wyciągnięte palce znajdowały się zaledwie centymetr od jego fioletowych warg.

– To wszystko nie jest normalne.

– Wprost przeciwnie, postępujemy tu jak przy całkiem normalnych oględzinach zwłok. Krok po kroku, tak jak byśmy robili to u mnie w instytucie. Tylko tak mogę być pewny, że niczego nie przeoczymy.

– Czy pomoże panu to, że nieboszczyk ma protezę zębową?

Linda coraz bardziej dziwiła się samej sobie. Pomagało jej jeszcze, kiedy wyobrażała sobie, że jest na kursie pierwszej pomocy i ćwiczy reanimację na manekinie. Nawet kiedy rozwierała palcami szczęki

nieboszczyka, utrzymywała w ryzach obrzydzenie. Proteza oderwała się od podniebienia z przeciągłym, prawie nieprzyzwoitym mlaśnięciem i ciągnęła za sobą grubą nitkę śluzu, kiedy Linda ją wyjęła i położyła na stole na narządy. Myślała już, że najgorsze ma za sobą, kiedy popełniła błąd i jeszcze raz dokładniej zajrzała w usta.

– Czegoś brakuje – jęknęła i zaczęła drżeć.

Poczuła, jak od tyłu zbliża się do niej Ender i z przerażeniem wciąga powietrze do płuc.

– Nie, ja mam dosyć – usłyszała jego głos, a potem oddalające się kroki.

– Chwileczkę... – powiedział Herzfeld, w jego głosie słychać było podniecenie. – Czy zwłokom brakuje na przykład stawów skroniowo-żuchwowych?

Linda pokręciła głową i jeszcze raz wprowadziła pincetę do jamy ustnej. Jej palce drżały tak samo jak głos:

– Nie. Ktoś wyciął biedakowi język.

*Język?*

Herzfeld spojrział przez boczną szybę na uciekające do tyłu słupki barierki ochronnej. Było ciemno, dopiero niedawno wyjechali z Berlina od strony Heiligensee. Śnieg padał z niesłabnącą siłą, dlatego posuwali się po A 24 z prędkością zaledwie osiemdziesięciu kilometrów na godzinę.

*Czy brak języka może być, na przykład, zapowiedzianą już wskazówką?*

– A może go połknął? – zapytała Linda przez telefon.

– Nie, to niemożliwe anatomicznie.

Odkąd Hannibal Lecter w *Milczeniu owiec* w spektakularny sposób doprowadził do tego, że jego sąsiad z celi, Miggs, popełnił samobójstwo przez połknięcie własnego języka, wielu laików wierzyło, że faktycznie jest to możliwe. Ale w rzeczywistości język może co najwyżej zwiotczeć, wpaść do gardła i tym samym zatkać drogi oddechowe, ale gdyby nawet tak się stało, Linda musiałaby widzieć duży mięsień.

– Czy w jamie ustnej znajduje się krew? – zapytał Herzfeld i pogrążony w myślach bawił się przewodem ładowarki, którym jego telefon był połączony z gniazdem zapalniczki w porsche Ingolfa. Na szczęście pomyślał o tym, żeby zabrać ją ze sobą z domu.

– Tak, ale tylko trochę. W każdym razie wystarczająco dużo, żeby Ender dał nogę – Linda spróbowała wisielczego żartu.

Herzfeld w zamyśleniu przygryzał dolną wargę.

*To wszystko nie ma sensu.*

O ile brak stawów skroniowo-żuchwowych utrudniał identyfikację kobiety, tyle ucięty język mężczyzny wskazywał na inną intencję mordercy. Niewielka ilość krwi mówiła Herzfeldowi, że cięcia dokonano krótko po śmierci. Gdyby nastąpiło bezpośrednio przed nią, w ustach byłoby dużo więcej krwi.

*Jak to do siebie pasuje?*

Herzfeldowi nagle nałożył się obraz wyrwanego języka i jego śmiejącej się córki, i gwałtownie potrząsnął głową, aby przepędzić z

myśli Hannah. Zaczął się pocić, w grupie podświetlanych przełączników na desce rozdzielczej próbował znaleźć przycisk, którym wyłączało się ogrzewanie siedzenia. Jednocześnie zapytał Lindę, czy ma możliwość wysłać mu zdjęcie ciała. Ingolf uniósł brwi i zmierzył go wzrokiem, który zdawał się mówić: „No, no, no, robi się coraz ciekawiej”.

Nie było to zresztą po raz pierwszy od początku ich podróży, która według wskazań nawigacji miała potrwać jeszcze cztery godziny i trzydzieści siedem minut, zanim dotrą do przystani promowej w Cuxhaven. Trudno było nie zauważyć, że praktykant wręcz pali się do tego, aby go wreszcie wtajemniczono. Prawdopodobnie już żałował swojej uczynności, ale widocznie miał nadzieję, że tym podwiezieniem może naprawić swoją poranną wpadkę. Kilka razy wypytywał, czy po weekendzie Herzfeld da mu drugą szansę w sali sekcyjnej.

– Wtedy już na pewno będę miał okulary na tasie, profesorze. Przysięgam.

– Nie mam telefonu z aparatem fotograficznym, a poza tym w piwnicy i tak nie ma zasięgu – odpowiedziała Linda.

A więc dobrze, w takim razie trzeba było pozostać przy tej telefonicznej diagnozie na odległość.

*Na razie.*

Herzfeld pokazał na tylne światła małego samochodu, którego, jego zdaniem, Ingolf trzymał się o wiele za blisko, i zapytał:

– Czy kiedy wprowadza pani pincetę do góry w kierunku podniebienia, natrafia pani na jakieś ciało obce?

– Nie, wszystko jest miękkie.

– Rozumiem.

Inaczej niż w przypadku zwłok kobiety, sprawca nie otworzył czaszki przez jamę ustną, żeby coś w niej umieścić. Również brak zewnętrznych urazów głowy przemawiał za tym, że nie wywiercił otworu w czaszce z innego miejsca, zakładając oczywiście, że przy powierzchownych oględzinach Linda nie przeoczyła niczego istotnego.

– A jak to wygląda głęboko w gardle?

– Nic nie widzę, ale przecież nie mam w oczach rentgena.

– Czy ma pani latarkę?

– Mam komórkę. Wyświetlacz daje trochę światła.

– Dobrze, niech pani spróbuje i stanie bezpośrednio za głową. Potem proszę lekko przykucnąć i poświecić z góry w otwarte usta.

– O rany, no nie wierzę, że ja to wszystko robię... – mamrotała Linda pod nosem, ale chyba zastosowała się do jego instrukcji, ponieważ nagle krzyknęła: – Coś tam jest!

– Co?

– Nie mam pojęcia. Coś żółtego. Wygląda jak z plastiku. Tkwi głęboko w szyi.

Herzfeld poczuł, że jego serce zaczęło bić szybciej.

– Okay, niech pani to wyjmie. – Przerwa. Słyszał intensywne sapanie, podczas gdy Ingolf zmienił pas, aby wyprzedzić piaskarkę. Przez chwilę rozmowę całkowicie zagłuszały trzaski i uderzenia bombardujących samochód ziaren soli. Dopiero kiedy wyprzedzili ciężarówkę, Herzfeld znów mógł zrozumieć, co mówi Linda:

– ...nie da się.

– Czego się nie da? – Zesztywniał w fotelu.

– Za mocno siedzi. Pinceta ciągle się zsuwa. A całkiem serio, powoli tracę ochotę na grzebanie w ustach nieboszczyka. – Z głosu Lindy zaczęły przebijać wściekłość i obrzydzenie.

Herzfeld zmuszał się, aby zachować spokój, chociaż wiedział, że z dużym prawdopodobieństwem jest już tylko dosłownie o kilka centymetrów od kolejnej wskazówki, którą ukrył dla niego porywacz.

– Dobrze rozumiem pani opory. Proszę odłożyć pincetę, tak nic pani nie działa.

W głosie Lindy słychać było ulgę:

– To znaczy, że poczekamy do pana przybycia?

– Nie. To znaczy, że teraz będzie pani jednak musiała przeciąć szyję.

**Helgoland**

Wszystko przemawia za tym, że ten przedmiot jest kapsułką, tak jak w przypadku pierwszych zwłok. Czy pani nie chce się dowiedzieć, jaka wiadomość została w niej ukryta?

– Nie.

Linda, idąc, zdjęła rękawice i wrzuciła je do zlewu obok wyjścia. Ender zostawił uchylone drzwi i Linda przecisnęła się teraz z telefonem w rękę na korytarz.

– Teraz się rozłączam.

– Nie, niech pani poczeka. Proszę mnie posłuchać.

Linda zatrzymała się i zdezorientowana rozglądała się dookoła. Na krótką chwilę zapomniała, czy windy znajdują się na prawo, czy na lewo od sali sekcyjnej.

– Może mi pan obiecywać złote góry, a i tak nie wbiję noża w tego mężczyznę.

– Proszę odpowiedzieć mi na jedno pytanie!

– Pyta pan, czy uważam, że postradał pan rozum? Tak, bez najmniejszych wątpliwości.

Linda łapczywie wdychała powietrze, ale dziwnym trafem ciągle czuła w nosie zapach zwłok.

Herzfeld zapytał:

– A jeśli ta wskazówka nie ma mnie zaprowadzić do zwłok, tylko do kogoś, kto wciąż żyje? Być może po prostu za późno znalazłem pierwszą wskazówkę dotyczącą Erika? Prawdopodobnie jesteśmy częścią równie perfidnej, jak przebiegłej gry i w zwłokach przed panią znajduje się imię ofiary, którą wciąż można uratować. I każda sekunda, kiedy tu oboje dyskutujemy, utrudnia ten ratunek. Czy naprawdę chce pani zaryzykować, że zjawimy się za późno?

– To wszystko to tylko hipotezy. – Linda dotarła do windy.

– Żółta kapsułka w gardle tego mężczyzny nie jest hipotezą. Jest



prawdziwa. Może pani teraz czekać z założonymi rękami, aż do pani przyjadę. Albo wykorzystamy ten czas, który ucieka nam między palcami i być może uratujemy czyjeś życie.

Linda zaśmiała się sztucznie i nacisnęła przycisk windy.

– Przecież to absurd. Niech pan przestanie mnie okłamywać, profesorze.

– O czym pani mówi?

– Nie chodzi panu o jakąś inną ofiarę. Chodzi panu tylko i wyłącznie o pańską córkę.

Przez dłuższą chwilę Herzfeld nic nie mówił, potem Lindzie wydawało się, że słyszy w jego głosie drzenie, jednak mogło to być związane z odgłosami ruchu drogowego, które nałożyły się na jego pytanie.

– Czy ma pani dzieci?

– Ja mam dwadzieścia cztery lata – powiedziała głosem, zdającym się mówić: „Ależ broń Boże”.

– A chciałaby pani kiedyś mieć?

– Jeśli spotkam właściwego mężczyznę – prychnęła do słuchawki.

*I jeśli ten niewłaściwy na zawsze zniknie.*

– Tak. Kocham dzieci. Sama wciąż jestem dzieckiem. Czy rysowałabym komiksy, gdyby było inaczej?

– Okay, a więc już miewała pani takie myśli. Jeszcze pani nie wie, co kobieta czuje, kiedy jest matką, ale ma już pani jakieś przeczucia, mam rację?

Według wyświetlacza winda ruszyła z pierwszego piętra.

– Wiem, do czego pan zmierza, profesorze. Oczywiście, będąc na pana miejscu, postępowałabym dokładnie tak samo, gdyby ktoś odebrał mi córkę. A mimo to cholerny z pana duppek, że chce mnie pan na siłę zmusić, abym rozcięła człowieka.

– Lindo?

– Słucham?

Zastanawiała się, z jakim wyświechtanym argumentem teraz wyskoczy, żeby przekonać ją do powrotu do sali sekcyjnej. Spodziewała się wszystkiego. Ale nie tego, że ją rozśmieszy:

– Skoro już musi pani wyzywać mnie od dupków, to przynajmniej

mówmy sobie na ty.

Jej śmiech rozbrzmiał echem na całym korytarzu. Nie był tak oswobodzający, jakby tego pragnęła, ale przynajmniej dzięki niemu pozbyła się części nagromadzonego w niej napięcia.

A potem otworzyły się drzwi windy i jej śmiech płynnie przeszedł w przeciągły krzyk.

**Jak długo go już nie było?**

Straciła poczucie czasu. Nie wiedziała, czy nigdy go nie miała, czy znikł z jej pamięci jak imię, rodzina i okoliczności porwania.

– *Lepiej wykorzystaj czas, który ci jeszcze pozostał* – zalecił jej ten potwór, zanim uwolnił ją z więzów i zostawił samą w piwnicy. Nie wiedziała, co miał na myśli, mówiąc te słowa. – *Kiedyś tu wrócę* – powiedział. Niejasne ultimatum, żeby w każdej sekundzie żyła w strachu przed jego powrotem. Skórzane więzy zamienił jej na straszliwe obrazy przelatujące jej przez głowę: okaleczone kobiety, krwawiące genitalia i zardzewiałe narzędzia służące do obrzezania.

*Jak długo to trwało? Jak długo leżałam na tej metalowej pryczy i próbowałam oddychać mimo bólu, jaki sprawiało mi oddychanie? Tak jak nauczył mnie tata, dawniej, kiedy razem uprawialiśmy jogging i dostawałam kolki.*

Godziny? Dni? Jej dręczyciel przeciągał wszystko i cieszył się na myśl, co jej zrobi w następnej kolejności.

– *Obojętne, co zrobię... Nie przeżyjesz tego.*

Na początku, kiedy sobie poszedł, prawie się nie poruszała. W każdym razie świadomie, ponieważ nieprzerwanie drżały jej nogi, tak samo jak ściana jamy brzusznej. Nie miała odwagi dotknąć się między nogami. Już na samą myśl o tym znów przeszył ją ostry ból. Poza tym szalenie na pewno by się podniecił, gdyby wstała i podeszła do umywalki przy ścianie, aby przynajmniej wytrzeć krew z ud.

*Właściwie czy ona wciąż leci? Czy tylko to sobie wyobrażam, ponieważ ciągle czuję w ustach smak krwi?*

Była pewna, że nie przejdzie nawet trzech kroków z pryczy do umywalki. Na koniec migająca cały czas kamera wideo tam w górze uwieczniłaby tylko jej upadek w tym bunkrze.

*Bunkier*, tak nazwała swój loch ze względu na ciemnoszare, nagie,

betonowe ściany; jaskrawo rozświetlone przez jedną żarówkę w oprawce, która luźno zwisała z sufitu na kablu przechodzącym przez rzeźnicki hak.

Raz nawet, kiedy już sobie poszedł, odważyła się unieść głowę, ale natychmiast zrobiło jej się czarno przed oczami. Teraz znów spróbowała.

Mdłości, które pojawiły się już przy pierwszej próbie, powtórzyły się, ale teraz lepiej je zniosła, co mogło wskazywać na to, że upłynęło trochę czasu.

*Za dużo czasu?*

Zacisnęła zęby, ale mimo to nie zdołała powstrzymać krzyku, kiedy wreszcie stanęła na nogach.

Jej nogi już nie istniały, przynajmniej tak to odczuwała. Były drętwe. Żeby od razu nie upaść, uklękła i pełzała na czworakach jak niemowlę. Podłoga pachniała kurzem i ekskrementami, prawdopodobnie jej własnymi. Jęczała przy każdym kroku, który sprawiał, że cały czas przybywało jej świeżych ran na kolanach.

*Dobry Boże, spraw, proszę, żeby nie wrócił właśnie teraz*, modliła się w duchu. Myśl, że mógłby zobaczyć ją pełzającą po podłodze i się tym podniecić, skłaniała ją do pośpiechu.

*Ale dokąd iść?*

Chciała rozejrzeć się w bunkrze, ale straciła równowagę i krzyknęła, kiedy upadła na bok na złamane żebra. Dziwnym zbiegiem okoliczności pamiętała prawie wszystkie szczegóły gwałtów, ale nie to, jak doszło do urazów klatki piersiowej, dlatego przypuszczała, że musiała ich doznać podczas uprowadzenia.

*Do diabła...*

Kiedy kłujący ból trochę ustąpił i wytarła łzy z oczu, zorientowała się, że pełźnie w złym kierunku.

Do tej pory odruchowo kierowała się do wyjścia, chociaż słyszała, że jej dręczyciel kilka razy zarygłował ogniochronne drzwi.

Teraz, kiedy znów obejrzała się w stronę pryczy (*mojego łóżka śmierci*), po raz pierwszy zobaczyła karton. Stał bezpośrednio pod wezłowiec.

*Co może w nim być?*

Zapłonęła w niej nadzieja, i nawet to uczucie bolało, chociaż nie

tak bardzo jak droga powrotna po betonie. *Ponieważ nadzieja to nic innego, jak tylko kawałek szkła w stopie*, gdzieś kiedyś przeczytała, *który cały czas sprawia ból, dopóki się go nie wyjmie*.

Oczywiście było dla niej jasne, że w kartonie nie leży klucz do wolności.

*A może? Bądź co bądź mnie rozwiązał.*

Liczyła na ubranie, być może butelkę wody i coś do jedzenia.

*Mój ostatni posiłek skazańca?*

Wraz z nadzieją ponownie odezwały się głód i pragnienie. Odczucia, dla których nie miała zastosowania, kiedy jej świat składał się wyłącznie z bólu.

*Kto myśli o jedzeniu, kiedy umiera?*

Mijały męcząco długie minuty, aż wreszcie udało się jej dotrzeć do tekturowego pudła, które musiało stać tu już od dłuższego czasu.

Krawędzie miały ciemny kolor od wilgoci, która przenikała od podłogi.

Nerwowymi ruchami odchyliła kłapy i zajrzała do środka.

*Co, do diabła...?*

Nie było tam ani klucza, ani wody, ani ubrania.

Gdyby nie była tak wyczerpana, odskoczyłaby ze strachu przed węzem, który wił się na spodzie kartonu. Dopiero kiedy po raz drugi się przyjrzała, zauważyła, że jej zaprogramowana na śmierć i obrażenia wyobraźnia splatała jej figła. W przewodzkowym kartonie nie było żadnego żywego stworzenia, a już na pewno węża, lecz...

*Lina?*

*Nie*, poprawiła się, kiedy już włożyła rękę do pustego poza tym kartonu i to wyjęła. To nie była lina.

*To powróż.*

Ciągnęła teraz obiema rękami, tak długo, aż w jej dłoni znalazł się jego koniec. Wtedy zaczęła krzyczeć, ponieważ wyglądał dokładnie tak, jak się obawiała.

– *Lepiej wykorzystaj czas, który ci jeszcze został* – przypomniała sobie ostatnie słowa mężczyzny, na którego pastwę była zdana od wielu dni, i zrozpaczona spojrzała do góry, na rzeźnicki hak, na którym wisiała oprawka z żarówką.

Jakby przygotowany na powróż w jej dłoniach, na którego końcu

była zrobiona pętla.

Herzfeld nie miał zielonego pojęcia, gdzie wylądowali. Gdzieś w Brandenburgii Ingolf zjechał z autostrady, żeby znaleźć stację benzynową, po tym jak przez wiele kilometrów nie było żadnego znaku zapowiadającego coś takiego. Teraz stali przy nierzucającym się w oczy zajeździe, który wyglądał tak samo jak zajazdy w całym kraju, ze stacją benzynową, będącą skrzyżowaniem minimarketu z barem szybkiej obsługi i kawiarenką, gdzie Herzfeld właśnie pił podwójne espresso, podczas gdy praktykant poszedł do toalety. Wcześniej Ingolf wiercił mu dziurę w brzuchu pytaniami, co to za niezwykła sprawa, nad którą właśnie pracuje i która wymaga tej dziwnej rozmowy i jazdy w kierunku Helgolandu, na dodatek w dniu, kiedy profesor wziął zwolnienie z powodu choroby. Herzfeld powołał się na tajemnicę lekarską, ale wiedział, że wcześniej czy później będzie musiał go wtajemniczyć, jeśli ta ich zwariowana wyprawa rzeczywiście potrwa dłużej. Ale wszystko w swoim czasie. Najpierw musiał znów nawiązać kontakt z Lindą.

– Co się tam pani stało? – zapytał nerwowo, starając się nie mówić za głośno do telefonu. Herzfeld specjalnie wybrał miejsce trochę na uboczu, ale ledwo dodzwonił się do Lindy, przy sąsiednim stoliku usiadła para, od której dzieliła go tylko plastikowa palma. – Dlaczego pani się rozłączyła?

– Myślałam, że przeszliśmy na ty.

Herzfeld uśmiechnął się.

– Okay, jak najbardziej. Czyżbym słyszał krzyk, zanim się rozłączyłaś?

– Przepraszam. Zdawało mi się, że widzę Danny’ego.

– Danny’ego?

– Mojego byłego chłopaka, który... ach... szkoda gadać.

– Chwileczkę, czy twój chłopak jest z tobą?

– Nie. Posłuchaj, jestem trochę nerwowo wykończona. W ubiegłym roku okazało się, że mój były jest stalkerem, uciekłam więc na wyspę, aby nabrać dystansu do tych wszystkich okropności, co, szczerze mówiąc, niespecjalnie mi się udaje, skoro w wolnym czasie mam kroić

zwłoki. Nic więc dziwnego, że widzę duchy. Kiedy winda się otworzyła, w lustrze zobaczyłam przemykający za mną cień. Ale z pewnością było to tylko urojenie. Jak już wspomniałam, chwilowo moje nerwy nie są w najlepszym stanie.

– To dobrze. Martwiłem się. Gdzie jesteś teraz?

– Z powrotem w sali sekcyjnej.

Herzfeld odetchnął z ulgą.

– Bałam się i chciałam wziąć stąd nóż – dodała od razu Linda, aby uniknąć nieporozumienia. – Żeby się bronić. A nie skroić Erika.

Ponad czterysta kilometrów w linii prostej od Herzfelda Linda przyglądała się swojemu odbiciu w ostrzu noża sekcyjnego. Gdyby nie wiedziała, kogo ma przed sobą, uznałaby, że ciemno podkrążone oczy muszą należeć do jakiejś czterdziestolatki.

– Nie możesz trzymać go jak ołówek albo sztućca. Chwyć go całą dłonią, jak sztylet.

– Nie mógłbyś trochę odpuścić?

– Znasz moje powody.

Westchnęła. Z upływem czasu niemal oswoiła się z widokiem martwego ciała. Gdyby podeszła teraz do swojego biurka, mogłaby ze szczegółami narysować mężczyznę cierpiącego na nadwagę, z bocianimi nogami. W nabraniu jeszcze większego dystansu w jakiś sposób pomagało jej wyobrazenie sobie nieboszczyka jako abstrakcyjnego obiektu ćwiczeń w wyższej szkole artystycznej.

– No dobrze, zakładając, że uda mi się nie porzygać, to co mam zrobić?

W rzeczywistości już dużo wcześniej postanowiła, że będzie kontynuować, a przyczynił się do tego strach przy windzie. Wcześniej jeszcze sądziła, że nie przezwycięży obrzydzenia, ale ledwo opuściła salę sekcijną, napadł na nią od tyłu nie Danny, lecz inny, równie niszczycielski znajomy: jej strach.

To jasne, że kiedy rozbierała Erika i zaglądała mu do ust, robiło się jej niedobrze. Opanowały ją wstręt i odraza. Ale strach? Nie. Nie było na niego miejsca. Na kilka godzin Danny został całkowicie wyparty z jej świadomości. A te „zdalnie sterowane” oględziny zwłok sprawiły coś, co nie udawało się jej w ostatnich dniach i tygodniach nawet we śnie.



Przebywanie w jednym pomieszczeniu ze zwłokami, wchłanianie ich coraz bardziej intensywnego zapachu... – *dotykanie ich!* – było bardzo nieprzyjemne, jednak każde związane z tym uczucie okazywało się o niebo lepsze od tej irracjonalnej paralizującej paniki, która ją ogarniała już od miesięcy i przed którą nawet uciekła na Helgoland.

*Lepiej się porzygać niż się bać.*

Uśmiechnęła się mimowolnie, kiedy pomyślała, że kiedy już się to skończy, nadrukuje sobie na koszulce tę sentencję. Być może nawet włoży ją w usta któregoś z bohaterów swojego komiksu.

– Przyłóż nóż pod czubkiem brody, mocno wciśnij w ciało i jednym ruchem pociągnij w dół do mostka – zarządził Herzfeld.

W tym czasie ponownie włożyła rękawice i gumowy fartuch. Ze słuchawki prysznicowej do zbiornika w nogach stołu leciała świeża woda. Za nic nie chciała myśleć o tym, z czym się zaraz wymiesza, kiedy zastosuje się do instrukcji.

– Czy to jest w ogóle dozwolone? – zapytała Linda ze wzrokiem utkwionym w szyi trupa. Mężczyzna musiał na krótko przed śmiercią się ogolić, zauważyła małe skaleczenia, które ostrze zostawiło na porowatej skórze. – Miałam na myśli to, że tego wszystkiego tutaj nie wolno robić zwykłemu laikowi, mam rację?

– Mnie wolno. A ty jesteś przedłużeniem mojej ręki. Nie martw się, całą odpowiedzialność biorę na siebie.

– Za moje koszmarne sny też?

Herzfeld zbył to milczeniem.

Wzięła głęboki oddech i przystąpiła do dzieła.

Ostry czubek ostrza, nie napotykając oporu i bezgłośnie, przebił się przez naskórek. Spodziewała się krwi, przynajmniej cienkiej strużki, która wycieknie z rany, ale nie popłynęła nawet jedna kropla.

*Mogłeś tu spokojnie zostać, ty tchórze,* pomyślała o Enderze. Potem powiedziała do siebie:

– To nie jest człowiek. To nie jest skóra. To tylko manekin. – Rzeczywiście miała wrażenie, jakby nóż do wykładziny podłogowej prześlizgiwał się przez gęstą plastelinę. Skóra bez trudu się rozdzieliła i brzegi rany utworzyły dwie żółte krawędzie, które się rozchyliły i ukazał się widok brązowawo-czerwonych mięśni.

– Jesteś gotowa? – zapytał Herzfeld.  
– Psychiczenie czy fizycznie?  
– Kiedy dojdiesz do klatki piersiowej, ponownie przyłóż nóż pod brodą i rozetnij w prawo i w lewo przy zuchwie.

– Dlaczego zacząłeś nagle szeptać? – zapytała Linda i Herzfeld wyjaśnił jej, że nie może swobodnie rozmawiać, ponieważ ktoś przysłuchuje się przy sąsiednim stoliku.

*Przy sąsiednim stoliku? Gdzie ty, do diabła, się włóczysz, kiedy ja odwalam tu za ciebie brudną robotę?*

Zdenerwowanie Lindy raptownie zmieniło się we wściekłość:

– Do jasnej cholery, a nie mogę po prostu przebić szyi i wyciągnąć stamtąd tego żółtego gówna? Nawet z zewnątrz widzę, gdzie kapsułka tworzy wybrzuszenie.

– W żadnym wypadku. Proszę, rób dokładnie tak, jak ci powiem. Inaczej możesz uszkodzić przedmiot i zniszczyć wszystkie informacje.

– Chwileczkę. – Linda odłożyła nóż, którym już rozcięła skórę pod prawą stroną zuchwy. – Czy to może wybuchnąć? Mam na myśli, co będzie, jeśli to bomba?

– To mało prawdopodobne. Gdyby sprawca chciał zabić mnie w ten sposób, umieściłby materiał wybuchowy już w pierwszych zwłokach.

Głos Herzfelda brzmiał zdecydowanie, ale nie było w nim stuprocentowego przekonania. Widocznie nie pomyślał jeszcze o takiej możliwości.

– Wierzę ci na słowo – powiedziała Linda i znów przystąpiła do pracy. Kiedy skończyła, zapytała, czy jest to problem, że wycięła niezdarne zygzaki. Po prawej i lewej stronie tchawicy nacięcia utworzyły dwa trójkąty prostokątne.

– Robisz to bardzo dobrze – pochwalił Herzfeld, chociaż nie mógł widzieć rezultatu jej pracy.

Linda wiedziała, że to tylko frazes, mimo to jego ciepły głos trochę ją uspokoił.

– Co teraz?

– Teraz będziesz potrzebowała obu rąk. Jednej do noża, drugiej do pincety.

Linda wzięła instrument z pomocniczego stolika. Wydawało się jej,

że słyszy w słuchawce brzęk sztućców. Czy ten facet coś *jadł*?

– Zrób to dokładnie tak samo jak z powieką – Herzfeld znów zaczął szeptać, po tym jak wcześniej mówił trochę głośniej. – Mocno przytrzymaj fałd skórny i podminuj ostrzem tkankę tłuszczową.

– Podminuj?

– Sorry. Chciałem powiedzieć: pociągnij skórę do góry, na ile się da, i poziomymi nacięciami oddziel tkankę tłuszczową. Musisz trzymać ostrze poziomo i za każdym razem nacinaj w kierunku bocznych partii klatki piersiowej. Podobnie jak podczas filetowania.

– Paul?

– Słucham?

– Wyświadcz mi przysługę i daruj sobie porównania, w których występują produkty spożywcze i kucharskie metafory. I tak jest mi już wystarczająco niedobrze.

Herzfeld przeprosił ponownie.

*To nie człowiek. To tylko manekin. Jesteś na zajęciach z plastyki i masz później narysować wnętrze tego manekina.*

Skóra odchodziła pod nożem jak kawałek wykładziny podłogowej od warstwy kleju. Kiedy w ten sposób uwolniła od skóry cały obszar żuchwy, mogła pod czubkiem brody zajrzeć bezpośrednio do ust.

– Ma jeszcze kawałek mięsa w ustach – wydyszała.

– To nasada języka, jak to nazywamy. Sprawca nie odciął całego języka. Kikut możesz w bardzo prosty sposób...

– ...obciąć – odpowiedziała Linda.

– Nie, nie obciąć. Musisz go wyciąć. Wbij czubek noża dokładnie pośrodku żuchwy w dolną część nasady języka, na głębokość około pięciu centymetrów, tuż za dolnymi siekaczami. Następnie poprowadź ostrze przy tylnych krawędziach obu gałęzi żuchwy, bezpośrednio po kości, w lewo i w prawo. Szczypcami albo pincetą chwyć za to, co zostało z języka, i pociągnij do siebie. Następnie przetnij nożem błonę śluzową w gardle, jednym ruchem przez jęczyczek podniebienny. Wtedy bardzo łatwo wyciągniesz resztę języka.

Z wykrzywioną z obrzydzenia twarzą i kilka razy omal nie wymiotując, Linda krok po kroku wykonywała instrukcje Herzfelda i oddzieliła krwawą bryłę amputowanego mięśnia języka od gardzieli

nieboszczyka i położyła na stole na narządy. Woda w zbiorniku odpływowym zabarwiła się na bladoróżowy kolor, podczas gdy kolor twarzy Lindy zmieniał się z poszarzałego na blady jak u trupa.

Od tego momentu wszystko poszło bardzo szybko. Herzfeld poinstruował ją, aby końcem noża rozcięła krtani od zewnątrz dokładnie na środku wzdłuż, a potem wyciągała chrząstkę jak krewetkę koktajlową, aż żółta kapsułka wpadnie jej do ręki.

Linda była za bardzo przejęta, żeby zezłościć się na ponowne kulinarne porównanie. I również wtedy, kiedy jabłko Adama nieboszczyka rozdzieliło się w jej dłoniach z głośnym trzaskiem na dwie części i kiedy kulisty żółty przedmiot zaświecił z głębi krtani, ciekawość i napięcie wzięły górę nad uczuciem obrzydzenia.

– Nigdy nie zgadniesz, co miał wetknięte w szyję – chciała właśnie powiedzieć, ale nie zdążyła. Uniemożliwił to dźwięk, który w pierwszej chwili wzięła za eksplozję.

Odwróciła się gwałtownie i wpatrywała się szeroko otwartymi oczami w drzwi. Kiedy zorientowała się, kto spowodował ten hałas, najchętniej rzuciłaby nożem sekcyjnym w dozorcę.

– Do jasnej cholery, czyś ty zwariował? – wrzasnęła, przekrzykując łomot. Pracowała tak skoncentrowana, że nie zauważyła powrotu Endera. Przydźwigał do pomieszczenia przenośne stereo w kształcie skrzynki piwa i włączył, nie wiedząc, że potencjometry są odkręcone na cały regulator.

– Hej, co tam, do diabła, się u was dzieje? – zapytał Herzfeld, kiedy Ender trochę przyciszył i dało się rozpoznać, że z głośników nie rozbrzmiewa trash metal, lecz konwencjonalna muzyka dyskotekowa.

– Sorry, moja wina. Nie wiedziałem, że było tak głośno nastawione. – Dozorca przybrał skruszony wyraz twarzy i jeszcze bardziej przyciszył odtwarzacz. – Przyniosłem to z mojego biura. Pomyślałem, że muzyka trochę rozluźni atmosferę. Bo u doktora Starcka zawsze słuchają muzyki.

– Jakiego doktora? – zapytała Linda zdumiona.

– Starcka. To taki głupi telewizyjny serial o lekarzach – odpowiedział przez telefon Herzfeld. – O ile dobrze słyszę, to jest Lady Gaga, a nie żadna muzyka.

Linda roześmiała się.

– W tym punkcie się zgadzamy, profesorze.

Schyliła się, aby podnieść przedmiot, który ze strachu wypuściła z ręki.

– Moment. Czy to żart? Czy to ta rzecz, którą właśnie wyjęła pani z tego mężczyzny? – Ender zbliżył się podniecony do stołu sekcyjnego, ale znów się odwrócił, kiedy zobaczył krwawą wodę w zbiorniku.

– Tak – potwierdziła Linda. – Jajko niespodzianka.

– Co takiego? – zapytał Herzfeld.

– Dokładniej mówiąc, żółta plastikowa skorupka jajka niespodzianki, w którym zawsze jest ukryta plastikowa zabawka.

– Albo inna niespodzianka – dodał Ender, nie będąc świadomy dwuznaczności swojej uwagi.

– Czy mam je otworzyć?

Tym razem Linda nie czekała już na instrukcje Herzfelda. Dopadła ją ciekawość.

– To może być zdjęcie – powiedziała, kiedy wyjęła zwinięty w rulonik papier i rozprostowała w świetle lampy nad głową.

– Co na nim jest? Widzi coś pani? – zapytał zdenerwowanym głosem Herzfeld. Usłyszała odgłos przesuwanego krzesła, jakby gwałtownie wstał.

– Kobieta. Siwe włosy, okrągła twarz. Wygląda jak typowa babcia z reklamy. – Linda wzruszyła ramionami. – Nigdy jej nie widziałam.

– Czy mogę? – zapytał Ender i znów wzdrygnęła się ze strachu, ponieważ nie zauważyła, jak podszedł do niej z tyłu, żeby móc rzucić okiem na zdjęcie.

Dozorca zbliżył się jeszcze o krok i przyglądał się fotografii z przechyloną ukośnie głową.

– Daję głowę, że jest to stara Friederike Töven – powiedział w końcu.

– Znasz ją? – zapytali prawie jednocześnie Linda i Herzfeld.

– Nie, nie osobiście. – Ender podrapał się w głowę zatroskany. – Ale wiem, gdzie mieszka.

Jak pan się czuje, panie profesorze?

– Dobrze, eee, to znaczy – Herzfeld omal zapomniał, że oficjalnie zwolnił się z powodu choroby – ...czuję się lepiej, myślę, że w poniedziałek będę już w dobrej formie.

– Miło to słyszeć – powiedziała z ulgą sekretarka na drugim końcu linii.

Troska Babette nie była udawana. Czterdziestosiedmiolatka, którą na pierwszy rzut oka można było pomylić z mężczyzną, była jak kwoka w Federalnym Urzędzie Kryminalnym. Większość pracowników nazywała ją „mama” i nie była to aluzja do jej sześciorga dzieci.

– Ma pan dobrą opiekę? Może przynieść panu rosołu z kurczaka?

– Nie dziękuję, to bardzo miłe z pani strony. – Herzfeld chciałby, żeby to naprawdę była tylko zwykła grypa żołądkowo-jelitowa. Zaakceptowałby każdą możliwą chorobę, aby tylko uratować córkę.

– W dziale personalnym bardzo się przejęli, że się pan zwolnił i nie będzie na wyznaczonym spotkaniu.

*Ach tak, racja.* Herzfeld popatrzył na spuchnięte niebieskozielone palce prawej dłoni. Dla niego nie było teraz nic bardziej błahego niż ewentualne konsekwencje bójki z dręczycielem zwierząt. A co tam, niech go wyrzucą. Tymczasem ukrył jeszcze do tego wszystkiego dowody i namówił nieznaną kobietę, aby zakłóciła wieczny spoczynek potencjalnej ofiary mordercy. Powodów było więc aż nadto.

– Musi pani sprawdzić coś w moim komputerze – poprosił sekretarkę, kiedy razem z Ingolfem znów wsiadali do porsche. Obok nich jakiś zrozpaczony kierowca próbował rozmrozić gorącą wodą zamrożone rurki spryskiwaczy. Do przedniej szyby samochodu Ingolfa przykleiły się liczne płatki śniegu. Na czas ich krótkiego odpoczynku zostawił włączone ogrzewanie postojowe.

– Jest wciąż zalogowany, panie profesorze – powiedziała strofująco po krótkim czasie Babette. – Co mam zrobić?

– Frederike Töven. Niech pani łaskawie sprawdzi, czy w moich plikach jest coś o tej kobiecie.

Gdy tylko Ender powiedział na głos to nazwisko, Herzfeld poczuł się, jakby oblał ważny egzamin. *Töven*. Już kiedyś słyszał lub widział to nazwisko, był tego pewny. Szkoda tylko, że nie pamiętał, w jakim konkretnym kontekście.

– W moim prywatnym kalendarzu mam zapisane umówione spotkanie, ale nie pamiętam, czego może dotyczyć – skłamał Herzfeld.

– Z przegłosem czy bez? – zapytała Babette o pisownię.

– Zapisalem nazwisko przez ö i v. Najlepiej niech pani poszuka we wszystkich wariantach. To może być pacjentka, koleżanka, policjantka albo nazwisko z jakiejś sprawy.

– Ojej, panie profesorze. Przecież normalnie nie jest pan taki zapominalski. Musi być z panem naprawdę niedobrze. Czy nie uważa pan, że byłoby lepiej, gdybym zajrzała do pana i zrobiła herbatę i ciepły okład?

Herzfeld poczuł, jak siła pędu wciska go w siedzenie, i miał nadzieję, że Babette nie dziwi warkot silnika porsche, które właśnie pędziło lokalną szosą w kierunku wjazdu na autostradę.

– Niech pani po prostu zacznie szukać.

– Jeśli szukanie ma objąć całe pańskie archiwum akt, może to potrwać parę minut.

– Proszę do mnie zadzwonić, kiedy będzie pani gotowa, dobrze?

Herzfeld rozłączył się i chciał upomnieć Ingolfa, aby przy tak gęstym deszczu ze śniegiem nie oszczędzał wycieraczek, bo jeszcze spowoduje wypadek, kiedy ponownie zadzwonił telefon.

Najpierw pomyślał, że dźwięk dochodzi z radia, potem uświadomił sobie, że wprowadzająca fanfara do pierwszego koncertu fortepianowego Czajkowskiego była dzwonkiem telefonu komórkowego Ingolfa.

Praktykant przewrócił oczami i nacisnął kciukiem przycisk na kierownicy.

– Cześć, tato.

– Cześć, mój synu.

*Mój synu? O Boże, prywatnie minister był tak samo napuszony jak w telewizji.*

Ingolf rzucił Herzfeldowi usprawiedliwiające spojrzenie, a potem powiedział:

– A to pech, właśnie prowadzę i nie...

– Ty zawsze masz pecha – przerwał mu szorstko ojciec. Potem znów zmienił głos na bardziej uprzejmy: – Właśnie przeprowadziłem dłuższą rozmowę z Joe Harperem z Nowego Jorku.

– I co?

– Powiedział mi, że kwota wciąż jeszcze nie została przelana.

– Przecież nie doszliśmy jeszcze do porozumienia, tato.

Ingolf wygrzebał opakowanie gumy do żucia z wewnętrznej kieszeni marynarki. Herzfeld zauważył, że praktykant pod szytym na miarę garniturem nosi koszulę ze spinkami do mankietów, i zastanawiał się, czy miał ją na sobie rano pod kitem w sali sekcyjnej.

Prawdopodobnie chodził w tym garniturze nawet na uniwersytet.

Jednocześnie Herzfeld dziwił się naturze ludzkiego umysłu, który w najbardziej nieodpowiednich sytuacjach rejestruje całkowicie drugorzędne szczegóły.

– Chłopcze, myślałem, że wszystko już zostało wyjaśnione. – W głosie ojca znów powrócił rozkazujący ton. Ku zdziwieniu Herzfelda wydawało się, że Ingolf cieszy się perspektywą dalszego sporu. Aż wyprostował się w swoim fotelu.

– A więc wzmocnisz obecność policji na stacjach metra? – zapytał ojca.

Von Appen senior głośno westchnął.

– Berlin nie ma pieniędzy, jak mam to sfinansować?

– No tak, daj mi chwilę pomyśleć. – Ingolf zrobił przerwę, w czasie której bębnił palcami o kierownicę. – Już mam, właśnie przyszło mi coś do głowy. Magiczne słowo brzmi: oszczędności!

– Chłopcze, przecież ty nie masz o tym zielonego pojęcia.

– Nie? No to ci powiem, o czym nie mam zielonego pojęcia.

Właśnie wczoraj przejeżdżałem obok plakatu berlińskich wodociągów.

– I co?

– Żeby reklamować monopolistę? Co to za bzdura? Przecież nie mam wyboru, czyja woda płynie w moim kranie. Według moich wyliczeń ta bezsensowna kampania wizerunkowa kosztuje podatników ponad milion euro.

– Być może. Ale ja potrzebuję ponad trzydzieści pięć milionów na



więcej policji na ulicach. I to rocznie!

Ojciec przemawiał teraz jak podczas debaty w talk-show.

– Plakaty są tylko przykładem, tato. Jesteś ministrem, bądź kreatywny, inaczej...

– Czy ty mi grozisz?

– Nie, ja cię ostrzegam. Jako prawnikowi powinna być ci znana różnica pomiędzy groźbą a ostrzeżeniem.

Przerwa. Kiedy Herzfeld próbował zrozumieć to, czemu się właśnie przysłuchuje, przyglądał się profilowi Ingolfa. Najmniejszej zmiany. Wciąż wyglądał chłopięco, jak arogancki smarkacz, tylko że nagle przestało to pasować do jego słów.

– Jesteś wolnym człowiekiem, tato. Masz wybór. Albo chcesz, żebym wsparł twoją kampanię wyborczą hojnym datkiem, albo...

– No dobrze, w takim razie spytam tylko, kiedy mogę liczyć na twoje pieniądze? – przerwał mu niecierpliwie minister. Najwidoczniej zorientował się, że kłótnia z synem nie ma najmniejszego sensu.

– Zaraz po konferencji prasowej, na której zapowiesz rekrutację dodatkowych policjantów. Ale pośpiesz się. Nie dalej jak wczoraj przy stacji metra Lichtenberg znowu doszło do pobicia pasażera, który aż zapadł w śpiączkę.

Ingolf rozłączył się po swobodnej pogawędce na pożegnanie. Na jego szpiczastych wargach igrał lekki uśmiezek, który sprawiał, że wyglądał jeszcze młodziej.

Herzfeld otworzył usta, jednak przez jakiś czas nic nie mówił. Potem zaczął:

– Wprawdzie to nie moja sprawa, ale...

Ingolf odwrócił się do niego.

– Przykro mi, że musiał pan tego wysłuchiwać.

– Nieprawda.

Praktykant na moment zdjął rękę z kierownicy i uniósł je do góry, jakby w geście poddania.

– Przejrzał mnie pan – roześmiał się. – Ale mój ojciec jest sam sobie winny. Chciałem mu tylko dać do zrozumienia, że nie jestem sam.

– Wcale pan nie chciał – ponownie nie zgodził Herzfeld.

*Chciałeś, żebym to usłyszał.*

Ingolf uśmiechnął się jeszcze szerzej. Brakowało tylko, żeby zaczął pogwizdywać.

Czy to żart, czy rzeczywiście ten nowobogacki gówniarz współdecydował o kształcie polityki Berlina?

– Ile pan ma lat? – zapytał Herzfeld.

– Dwadzieścia jeden.

– To skąd...

– ...mam pieniądze?

Zmienili pas i zwolnili. Przed nimi utworzył się korek. Kierowca jadącego przed nimi samochodu dawał pierwsze znaki, włączając światła awaryjne.

– Słyszał pan o czymś takim jak Facebook?

Herzfeld przewrócił oczami.

– Czy ja wyglądam na idiotę? Nie mam już dwudziestu lat, ale też żyję na tym świecie.

Ingolf przesunął gumę do żucia z jednej strony ust do drugiej i powiedział:

– Stworzyłem *stayclose.de*.

– Nic mi to nie mówi.

– Niewielu ludziom to coś mówi. Zresztą portal i tak już od jakiegoś czasu nie istnieje. Kiedy miałem trzynaście lat, przeprowadziliśmy się z Hamburga do Berlina Zehlendorf. Straciłem wszystkich moich przyjaciół.

– To musiał być cholernie trudny czas – skomentował lakonicznie Herzfeld.

– Tak i kiedy stałem na szkolnym podwórku samiuteńki jak palec i tęskniłem za kolegami z piaskownicy, pomyślałem sobie: Ingolf, człowieku, na pewno wielu innych czuje to samo. Założyłem więc stronę internetową, na której uczniowie mogą utrzymywać kontakt.

– *Stayclose.de* – wtrącił Herzfeld.

– To nie było nic więcej niż publiczny pamiętnik. Ty przesyłasz zdjęcie, przyjaciele cię znajdują i mogą napisać ci coś na tablicy. Oczywiście nie byłem jedynym geniuszem, który dostrzegł ducha czasu. Później wystrzeliły jak spod ziemi *schülerVZ*, *studiVZ*, *wkw*, *Facebook* i wszystkie inne serwisy społecznościowe.

– Co za pech!

– Nie. Co za szczęście! Na mojej stronie zarejestrowało się już czterdzieści tysięcy uczniów, kiedy dostałem e-mail od konkurencji.

– Niech zgadnę. Sprzedał pan stronę za milion?

Na twarzy Ingolfa znów pojawił się przebiegły uśmiezek.

– Niech pan to pomnoży przez czternaście.

– Czternaście milionów euro? – Herzfeld zacisnął wargi, żeby nie opadła mu szczęka.

Ingolf znów się roześmiał.

– Przekazane w moje czternaste urodziny. Wiem, że to dziecinada, ale podobała mi się symbolika.

– I z tych pieniędzy finansuje pan teraz kampanię wyborczą ojca?

Ingolf pokręcił głową.

– Tata dostaje tylko odsetki. Harper dobrze ulokował większość tej sumy, w przeciwieństwie do mojego ojca. On poszedł w jakieś podejrzane nieruchomości i bezwartościowe fundusze inwestycyjne, przez co nie pomnożył swojego majątku, tylko go stracił.

Paul Herzfeld jeszcze przez dłuższy czas zastanawiał się nad tym, czy właśnie ktoś próbuje zrobić go w konia, kiedy telefon od Babette przywołał go z powrotem do rzeczywistości. Wpatrywał się z widoczną niechęcią w swój telefon, zastanawiając się, czy odebrać rozmowę.

Przez krótką chwilę jego uwagę rzeczywiście pochłaniały zupełnie inne sprawy, ale teraz znów wróciły myśli o córce i obraz wyrwanego języka, którego za nic nie mógł pozbyć się z głowy.

– Słucham? – zapytał. Jego puls przyśpieszył w przeciwieństwie do porsche, które coraz bardziej zwalniało.

– Bingo – powiedziała radośnie sekretarka, podczas gdy Herzfeld zastanawiał się, czy naprawę chce wiedzieć, co ustaliła. Powiedziała mu to i od razu po pierwszym zdaniu przypomniał sobie, przy jakiej okazji usłyszał, czy raczej przeczytał nazwisko Frederike Töven. Miał nadzieję, że ten strach z jego przeszłości już nigdy go nie będzie prześladował. Ale się mylił.

Herzfeld zamknął oczy i przypomniał sobie koszmar sprzed czterech lat, którego wtórne wstrząsy dopadły go w tej sekundzie i już wiedział, że dla jego córki nie ma już nadziei.

## Cztery lata wcześniej, Berlin

Tego dnia, kiedy sprawy już dawno wymknęły się spod kontroli i świat doktora Svena Martinka nie miał już sensu, słońce śmiało się przez świetliki Instytutu Medycyny Sądowej przy Turmstraße. Było krótko przed ósmą i tego dnia Herzfeld właściwie nie powinien znajdować się w pomieszczeniach filii szpitala Charité. Walizki na krótki wypad z Petrą były spakowane; weekend w Barcelonie pod hasłem „spróbujmy jeszcze raz”, wyjątkowo bez Hannah. Do odlotu były jeszcze dwie godziny, pod kitem Herzfeld miał bermudy i T-shirt. Gdyby akurat stary przyjaciel i mentor, profesor Biel, nie poprosił go o koleżeńską pomoc, siedziałby już w taksówce wiozącej go na lotnisko. A tak Petra pojechała jako pierwsza (co później miało okazać się złym omenem), a Herzfeld stał przy stole sekcyjnym, na którym leżały zwłoki mężczyzny bez głowy.

– Naprawdę jesteście bezradni, Paul – powiedział stary profesor i potarł zmęczone oczy. Woreczki łzowe Biela miały wielkość saszetek z herbatą. Człapał wokół stołu w do połowy zasznurowanych zdrowotnych butach.

Nie widzieli się ledwie dwa lata, ale na widok starego promotora i mentora Herzfeld poczuł, jakby w rzeczywistości upłynął znacznie dłuższy okres. Biel wyglądał na więcej niż sześćdziesiąt cztery lata, chociaż był bardziej żywotny niż leżące przed nim na stole ciało.

– Nieboszyk został znaleziony w samochodzie?

– Tak. Siedział na fotelu kierowcy i był przypięty pasem, obie dłonie na kierownicy. Samochód znaleziono pod drzewem w alei w Brandenburgii. Bez wgnieć i zadrapań.

– Czyli wypadek jest wykluczony?

– A mimo to... – Biel wskazał na stojący obok drugi stół sekcyjny, na którym leżała oddzielona męska głowa.

*Mimo to coś kosztowało kierowcę głowę*, Herzfeld dokończył w myślach zdanie doświadczonego lekarza sądowego.

– Głowę znaleźliśmy na tylnym siedzeniu – powiedział Biel. – Rozkład śladów krwi w samochodzie nie pozostawia wątpliwości, że głowę ucięto mu, kiedy siedział na fotelu kierowcy. Ślady rozbryzgów

krwi na oparciu siedzenia kierowcy i z tyłu na przestrzeni na nogi. Drobnie ślady krwi na poliestrze tylnej kanapy, pasujące do usytuowania głowy.

Herzfeld podszedł do stołu, który w przeciwieństwie do prostopadłościaków ze stali szlachetnej w Federalnym Urzędzie Kryminalnym miał marmurową płytę w kolorze piasku. W dalszym ciągu dokonywano tu sekcji na oryginalnych powierzchniach roboczych, na których pracowano już w czasach Rudolfa Virchowa, patrona tej kliniki.

*Jak od gilotyny*, pomyślał Herzfeld, kiedy przyjrzał się ranie. Głowa została oddzielona jednym ostrym czystym cięciem trochę poniżej krtani.

– Co mówią technicy od zabezpieczania śladów?

– Brak obcego DNA, żadnych nietypowych nitek materiału, odcisków stóp i palców. Mężczyzna, pięćdziesięcioletni ojciec rodziny, w chwili ścięcia był sam w samochodzie.

Herzfeld ponownie przyjrzał się zwłokom, z których usunięto już narządy wewnętrzne.

– Czy on może siedział w kabrioletcie? I dach był otwarty?

Biel, który właśnie jeszcze raz rzucił okiem na policyjny raport, uniósł wzrok.

– Skąd to wiesz?

Zamiast odpowiedzieć, Herzfeld tylko skinął głową. Obraz powoli zaczynał układać się w całość.

– Czy zostawił list pożegnalny?

Woreczki łzowe Biela zaczęły drgać, jak zawsze, kiedy się zdenerwował.

– Myślisz, że popełnił samobójstwo?

Herzfeld ponownie przytaknął.

– Na waszym miejscu poszukałbym w pobliżu miejsca znalezienia zwłok drzewa albo innego stałego punktu. Sprawdźcie, czy znajdziecie tam albo w pobliżu kawałki długiej mocnej liny, na przykład ze stali.

Dziwny przypadek śmierci przypomniawszy mu ciało znalezione w USA. Zmęczony życiem mężczyzna przymocował do pnia dębu cienką stalową linkę, na drugim końcu zawiązał pętlę i założył ją sobie na szyję.

Potem wsiadł na motor, dodał gazu i sam uciął sobie głowę pętlą. Po śmierci kierowcy motor sam zgasł i bez jednego zadrapania położył się na polu. Głowa leżała kilka metrów za nim.

Właśnie chciał wtajemniczyć Biela w swoje rozważania, kiedy drzwi do sali sekcyjnej raptownie się otworzyły i do środka wpadł jak burza kolega, którego twarz Herzfeld widywał w ostatnich tygodniach wyłącznie w gazetach.

– Sven, co się stało? – zdążył jeszcze zawołać i zaraz musiał się bronić przed pierwszym ciosem.

Doktor Sven Martinek trafił go tylko słabo pięścią w ramię. Właściwie celował w brodę Herzfelda, ale ten w odpowiedniej chwili odwrócił się i uciekł na drugą stronę stołu sekcyjnego. Biel, który najpierw skonsternowany przyglądał się napaści, również się cofnął, kiedy mężczyzna sięgnął po nóż sekcyjny.

– Trzy i pół roku – krzyknął Martinek. Ślina płynęła mu z ust jak piana chorego na wściekliznę zwierzęcia. Miał na sobie pognieciony garnitur, na szyi powiewał mu jak szalik źle zawiązany krawat. – Dali mu trzy i pół roku.

– Przykro mi.

– Przykro ci? I co jeszcze mi powiesz? Że wiesz, jak się czuję? Herzfeld smutno pokręcił głową.

– Nie. To byłoby kłamstwo. Nawet nie potrafię sobie wyobrazić twojego bólu.

Raczej wściekłość, bezsilność. I potrzebę zemsty. Sam to odczuł, w owej chwili, kiedy rok temu dostał telefon z wiadomością, kto leży na jego stole sekcyjnym: Lily Martinek, czternaście lat, podejrzenie zabójstwa na tle seksualnym. Kiedy zobaczył ją nagą, jej zgwałcone ciało leżało przed nim jak oskarżenie, z martwymi oczami tępo skierowanymi w sufit, w pierwszej chwili nie chciał zatopić noża w jej ciele, tylko raczej potwora, który jej to zrobił: Jana Sadlera, wychowawcy wielokrotnie karanego z powodu ekshibicjonizmu i napastowania seksualnego. Przy pierwszym zatrzymaniu znaleźli wideo, które pokazywało go, jak porywa i gwałci tę czternastolatkę. Z wpisów do pamiętnika Sadlera, które sporządził po dokonaniu czynu, jednoznacznie wynikało, że po uprowadzeniu córki Svena chciał ją na

koniec zabić. Jednak do tego nie doszło. Lily udało się uwolnić z więzów. Sadysta, co można było wyczytać z jego dziennika, ze wszystkimi perwersyjnymi szczegółami zapowiadał Lily każdy krok jej martyrologii, każdą mękę, która jej groziła. Przedtem w obrzydliwy sposób lizał jej całe ciało.

Córka Martinka wiedziała, co ją czeka. A ponieważ nie miała możliwości ucieczki, widziała tylko jedną drogę, aby uniknąć groźących jej męczarni: z rozpaczyny powiesiła się na własnych więzach na belce dachowej.

– Zniszczyłeś mi życie. Tak cię błagałem, żeby nie pisać tego w raporcie! – Martinek krzyczał na niego. Nóż sekcyjny drżał w jego dłoni.

Rzeczywiście nalegał, żeby sfalszować protokół obdukcji. Oczywiście Martinek, jako ojciec ofiary, został odsunięty od sekcji i Herzfeld jeszcze dziś żałował, że on też nie odmówił badania Lily ze względów osobistych, ponieważ mógłby być stronnikiem.

Musiał zdawać sobie sprawę z tego, co nastąpi. Badanie jednoznacznie wykazało, że Lily sama odebrała sobie życie, i Martinek prosił go, aby zataił ten fakt. Ponieważ tylko gdyby Sadler własnoręcznie dokonał zabójstwa, mógłby zostać oskarżony o morderstwo.

– *Błagam cię, podłóż mu świnie. To był on. To on ją powiesił. Jeśli wyjdzie na jaw, że sama się zabiła, skończy się na oskarżeniu o nieumyślne spowodowanie śmierci.*

– Nie mogłem sfalszować raportu – powiedział Herzfeld i sam usłyszał, jak tanio to zabrzmiało, chociaż przecież było prawdą. Stał przed nim ojciec, który wszystko stracił, a on dyskutował z nim o moralności i przepisach.

– Zrozum wreszcie: w pierwszym odruchu ja też byłem zaślepiony wściekłością. Gdybym miał sposobność, pomógłbym ci zabić tę świnie.

– To dlaczego wbiłeś mi nóż w plecy? – krzyknął przepelniony bólem Martinek. – Przecież chciałem tylko, żebyś zmienił raport!

– Na pewno wyszłoby to na jaw, a wtedy dalibyśmy adwokatowi Sadlera doskonały argument do obrony. – Herzfeld zniżył głos. – Przecież mnie samemu też trudno było trzymać się zasad. Ale gdybym tego nie zrobił, a zmanipulowane dowody wyszłyby na jaw, wtedy Sadler mógłby zostać niewinny. Przecież wiesz, jak to wygląda.

– Trzy i pół roku. – Martinek spojrział na niego mocno zaczerwienionymi oczami, w których nie było łez. Jego dolna warga drżała. – Ta stara wiedźma dała mu trzy i pół roku za to, że zgwałcił i doprowadził do śmierci moją Lily. Moje oczko w głowie.

Herzfeld skinął głową. Tego się obawiał. Kiedy w Niemczech ktoś uchyla się od płacenia podatków, wędruje do paki aż do emerytury. Kiedy zgwałci dziecko, ma dużą szansę, że uniknie kary albo sprawa skończy się na wyroku w zawieszeniu.

Martinek szlochał.

– Nie dopuścili dziennika jako dowodu.

– Tak mi przykro.

– Sędzia zawyrokowała nawet poniżej wymiaru kary wnoszonej przez obronę, ponieważ chciała dać przestępcy szansę na resocjalizację.

– Martinek zachwiał się. Musiał się oprzeć na marmurowym blacie stołu sekcyjnego. – Resocjalizację? – zawołał. To taka szumowina może dalej żyć, podczas gdy Lily toczą robaki?

Na końcu krzyczał tak głośno, że jego słowa z trudem można było zrozumieć. Ale nagle się uspokoił. Tak niespodziewanie, że Herzfeldowi zdawało się, że słyszy jeszcze echo jego głosu. O ile dotychczas wzrok Martinka był szklisty, o tyle teraz nagle stał się całkowicie jasny. Z wściekłością spojrział na Herzfelda:

– To twoja wina. – Nóż w jego dłoni przestał drżeć. Martinek podszedł o krok bliżej.

– Sven...

– Mówisz, że nie wiesz, jak ja się czuję?

– Sven, posłuchaj mnie, proszę.

Martinek podszedł jeszcze bliżej do Herzfelda. Nagle wypuścił nóż z ręki.

– Nie, nie chcę cię teraz słuchać. Teraz ty mnie posłuchaj, ty draniu.

Herzfeld patrzył z przerażeniem, jak Martinek chwytając odciętą głowę za włosy i unosi nad stołem sekcyjnym.

– Powinieneś bardziej się wsłuchać w głos swojego pierwszego impulsu. Srać na zasady! Srać na system! A ty, trzymając się ich, po raz drugi zabiłeś Lily, Paul. I za to odpokutujesz. Być może, dzisiaj jeszcze



nie wiesz, co czuje człowiek, kiedy straci coś, co było dla niego w życiu najważniejsze. Ale od tej chwili będę się codziennie modlił, żebyś kiedyś tego doświadczył.

Mówiąc te słowa, rzucił głowę w kierunku Herzfelda, który był zbyt zaskoczony, aby się odchylić. Głowa z całą siłą uderzyła go w klatkę piersiową, zmiażdżyła dwa żebra i wydając odgłos kuli do kręgli, spadła na kamienną podłogę, gdzie po kilku obrotach zatrzymała się.

Nikt nie zatrzymał Martinka, kiedy ten wypadł z sali sekcyjnej. Nikt nie zgłosił zajścia. Sven Martinek nigdy już nie wrócił do Federalnego Urzędu Kryminalnego z przepustki, którą uzyskał z powodu procesu.

Później Herzfeld wielokrotnie jeszcze próbował skontaktować się z nim telefonicznie, trzy razy pojechał do jego mieszkania na Lichterfelde, ale zawsze zastawał drzwi zamknięte. Wreszcie dowiedział się od sąsiadki, że jego kolega przeprowadził się do swojego rodzinnego domu w Meklemburgii–Pomorzu Przednim. Herzfeld postarał się o adres za pośrednictwem biura adresowego, ale w małym miasteczku o nazwie Zarrentin również nic nie wskórał. Stary dom rodziców Martinka już z daleka wyglądał na martwy i niezamieszany. Herzfeld rozmawiał z sąsiadami, z listonoszem i z pracownikami jedyne go supermarketu przy wjeździe do miasteczka – nikt nie widział Martinka. Już po przedwczesnej śmierci żony, która zmarła na raka, lekarz sądowy żył w odosobnieniu i wycofany. Teraz natomiast, po zamordowanie jedynej córki, najwyraźniej całkowicie ukrył się przed światem.

W czasie poszukiwań dawnego kolegi Herzfeld spotkał się również z adwokatem, który reprezentował Martinka jako oskarżyciel posiłkowy w sprawie przeciwko mordercy jego córki. Adwokata wcale nie zdziwiło, że jego klient znikł z pola widzenia.

– Byłbym nawet w stanie zrozumieć, gdyby na zawsze opuścił ten świat, w którym możliwe są takie wyroki.

Adwokat przekazał mu kopie akt procesowych. Podczas lektury Herzfeld wciąż napotykał nazwisko osoby, którą Sven nazwał „tą starą czarownicą”, czyli przewodniczącej składu sędziowskiego. Jej nazwisko brzmiało Erlang. Było to jej ostatnie orzeczenie sądowe, zanim odeszła na emeryturę i zanim na powrót przyjęła nazwisko panińskie, kiedy

doniesienia mediów na temat jej samej i skandalicznego wyroku, stały się za bardzo uciążliwe.

Obecnie nazywała się Töven. Friederike Töven.

**Helgoland**

Otulony łupkiem dom o płaskim dachu stał na granicy górnej części wyspy, a jego część frontowa była zbudowana na palach, toteż połowa werandy wyglądała jak skocznia nad skalistym klifem. Latem wzgórze było pokryte zielonym mchem. Teraz goła ziemia ciągnęła się z boczem ku morzu niczym brudny obrus. Dzięki elektromobilowi Endera potrzebowali zaledwie kilku minut, aby dotrzeć do Haus Töven położonego na końcu ślepej uliczki. Na piechotę Linda nie dałaby rady pokonać nawet tego krótkiego odcinka, bo wicher napierał już niczym betonowa ściana na każdego, kto odważył się wyjść na dwór. W ogródku przed domem zdążył już poprzewracać wiele donic z kwiatami i nawet duży, ustawiony pod wiatą garażową boks dla koni chwiał się groźnie, kiedy tylko wiatr uderzał w plandeki.

– Zobaczmy, czy starsza pani jest jeszcze na wyspie! – zawołał Ender i zaczął walić łapskiem w drzwi domu. Podczas jazdy wyjaśnił Lindzie, że „starsza pani”, której wiek oceniał na jakieś sześćdziesiąt parę do siedemdziesięciu lat, przed paroma laty przybyła na wyspę i żyła tu samotnie, nie utrzymując właściwie żadnych kontaktów z tutejszymi mieszkańcami. Raz kiedyś zawiózł ją elektromobilem na badania do szpitala, podobno miała wodę w nogach i nie mogła już chodzić. Ender próbował wtedy nawiązać z nią rozmowę, ale unikała odpowiedzi na wszystkie jego pytania. Linda nie potrafiła sobie wyobrazić, żeby starsza kobieta zignorowała wszystkie zalecenia zespołu zarządzania kryzysowego, zwłaszcza że jej dom stał bezpośrednio nad przepaścią. Haus Töven z daleka przypominał ptasie gniazdo na skale klifu. Trzeba było mieć nie lada zaufanie do architekta, żeby nie opuścić takiego domu nawet przy zbliżającym się huraganie.

– Halo, pani Töven. Jest tam pani?

Linda zadawała sobie pytanie, co właściwie ma do powiedzenia starej kobiecie, jeśli ta zareaguje na wołania Endera i walenie w drzwi.

*Przepraszam panią, ale znaleźliśmy pani fotografię w gardle zwłok?*

– Nikogo nie ma – zawołała Linda po chwili. – Chodźmy stąd.

Wejście do domu było osłonięte jedynie cienkim daszkiem od deszczu, co niewiele chroniło przed wiatrem, który nawiewał śnieg ze wszystkich stron. Linda była przemarznięta do szpiku kości i nie miała już ochoty przekrzykiwać wichru.

– Nie tak szybko! – odkrzyknął Ender i wyciągnął ciężki pęk kluczy, na którym wisiały nie tylko wszystkie klucze do kliniki, ale również profesjonalny wytrych. Nie upłynęło nawet dziesięć sekund i drzwi stały otworem.

– Przecież nie możemy tak po prostu...

Zanim zdążyła powiedzieć „włamać się”, Ender zniknął za progiem.

Lindzie nie pozostawało nic innego, jak pójść za nim. W zimnie, jakie panowało na dworze, nie wytrzymałaby ani chwili dłużej, a przewiewny wózek elektryczny nie stanowił żadnej alternatywy.

Wewnątrz wąskiego domku panowała zdumiewająca jasność. Wielkie okna wychodziły na wszystkie strony i wpuszczały do wnętrza tyle mrocznego zimowego światła, ile zdołało sobie utorować drogę przez powłokę chmur. Samotne ciemnobrązowe lodenowe palto wisiało w korytarzu na wieszaku, pod nim stała imponująca kolekcja butów turystycznych. Na desce na klucze obok garderoby wisiały starannie posegregowane klucze różnej wielkości. Wszystko było opisane, żaden haczyk nie był pusty. Z powodu nagłego skoku temperatury Linda poczuła, że cieknie jej z nosa.

– Halo, pani Töven? – zawołała i ściągnęła z dłoni rękawiczki, aby sprawdzić kaloryfery.

*Letnie.*

Na podłodze nad głową usłyszała ciężkie kroki. Najwidoczniej Ender wszedł już po schodach, aby rozejrzeć się na piętrze.

Linda zamknęła drzwi wejściowe i wolno ruszyła korytarzem. Najpierw doszła do kuchni, która w przeciwieństwie do ogólnie nowoczesnego wyglądającego domu była urządzona raczej staromodnie. Liczne garnki i patelnie zwisały w twórczym nieładzie nad blokiem

kuchennym, który niedwuznacznie skojarzył się Lindzie ze stołem sekcyjnym, chyba między innymi dlatego, że wciąż czuła w nosie słodkawy zapach, mimo że wiatr na dworze porządnie go przedmuchał.

*Dom wygląda na zamieszkaną. Ale sprawia wrażenie pustego.*

Linda zauważyła rozłożoną gazetę na małym stoliku obok bloku do pisania. Weszła do kuchni i rzuciła okiem na datę. Niedzielne wydanie było z ubiegłego tygodnia, co o niczym nie świadczyło, ponieważ również poczta od początku nastania sztormu dochodziła tylko nieregularnie. „Łagodni sędziowie”, przeczytała tytuł dwustronicowego artykułu. W pierwszym akapicie widniało nazwisko *Friederike Erlang* w związku z niejakim Janem S.

Linda usłyszała za sobą jakiś szmer i odwróciła się, ponieważ myślała, że to Ender wrócił na dół. Ale nikogo nie było.

– Halo?

W jednej chwili poczuła się znów tak jak przed windą obok sali sekcyjnej. Bała się.

Linda sięgnęła po komórkę, jak gdyby to była broń, którą mogłaby się bronić w razie niebezpieczeństwa, i zawołała na Endera.

Nie było odpowiedzi.

Nagle poczuła w dłoni wibrację i omal nie upuściła telefonu. Kiedy próbowała się uspokoić, aby odebrać rozmowę, przeczytała na wyświetlaczu, że różni abonenci wielokrotnie próbowali się wcześniej do niej dodzwonić.

*Do diabła. Siedem nieodebranych połączeń.* Cztery z nich od brata.

Będąc na dworze, w huku wichury nie słyszała dzwonka.

– Tak, słucham?

– Gdzie jesteście? – Głos Herzfelda był jeszcze bardziej napięty niż w czasie poprzednich rozmów.

– Czy wiedziałeś, że twój przyjaciel zajmuje się również awaryjnym otwieraniem drzwi? – zapytała Linda świadomie ironicznym tonem, również po to, aby tą dowcipną uwagą uwolnić się od strachu. – Odnaleźliśmy dom tej Friederike Töven, ale nie ma tu nikogo.

– Nie wchodźcie do środka. Pod żadnym pozorem nie wchodźcie do domu sędzi!

*Aha. A więc ona jest sędzią.*

Linda wyszła z kuchni i rozglądała się w korytarzu prowadzącym w kierunku salonu, skąd właśnie dobiegły ją trzy uderzenia stojącego zegara, choć z całą pewnością nie była jeszcze ta godzina.

*Nie ma Endera. Nie ma pani Töver. Nikogo.*

– Nie wchodzić? Człowieku, nie pojmuję tego. Nie masz problemu z tym, że kroję zwłoki nożem. Ale drobne naruszenie miru domowego sprawia, że robisz w spodnie. – Linda specjalnie mówiła głośniejszym głosem, niż to było konieczne, aby Ender ją usłyszał i wreszcie dał jakiś znak życia. Gdzie ten typek się podziewa? – Tylko się tu przez chwilę rozejrzymy i wyjdziemy. Gdzie leży problem? – zapytała. I wtedy zobaczyła, gdzie, kiedy otworzyła drzwi do pokoju, zanim jeszcze Herzfeld zdążył jej odpowiedzieć.

„Problem” leżał związany na podłodze, w morzu krwi i jęczał z zamkniętymi ustami, błagając pomocy.

Ender! Eeender?!

Linda weszła niepewnym krokiem do pokoju, jak w zwolnionym tempie, i położyła komórkę na ciemnobrązowym sekretarzyku. Najchętniej wybiegłaby z krzykiem z tego domu, gdyby nie zorientowała się, że starsza pani jeszcze żyje.

*Pomocy! Ta kobieta potrzebuje pomocy*, pomyślała i ponownie zawołała dozorcę.

Siwe włosy, okrągła twarz. *Jak na zdjęciu w kapsułce z jajka niespodzianki*. To była z całą pewnością Friederike Töven.

Leżała skurczona na boku przed szklaną gablotą, kolana miała podkurczone, a ręce skrępowane drutem, który był owinięty także wokół kostek stóp.

Linda uklękła obok niej, nie bardzo wiedząc, co powinna zrobić najpierw. Kurs pierwszej pomocy w czasie nauki jazdy to już zamierzchła przeszłość; przypomniała sobie tylko mgliście, że widząc osobę leżącą bez życia, należy w pierwszym rzędzie skontrolować oddech.

A ta osoba była nawet bardziej niż bez życia!

Jeszcze przed chwilą Linda słyszała, jak kobieta głośno i wyraźnie pojękuje, ale teraz jej klatka piersiowa nie unosiła się nawet o milimetr.

Sędzina miała sporą nadwagę, bluzka w kolorze kremowym opinała ogromnych rozmiarów piersi. Miała na sobie szeroką spódnicę w kwiaty, której podstawowy kolor był chyba kiedyś biały, ale teraz, od bioder w dół przybrała rdzawą barwę. Wyglądało to wręcz tak, jakby specjalnie tarzała się całym ciałem w kałuży krwi. Linda nie zauważyła początkowo żadnej otwartej rany. Okrągła głowa, twarz, ogromny tułów – nigdzie nie było żadnego zranienia.

*Okay, co mówił wtedy instruktor na kursie? Najbardziej wrażliwy jest nasz własny policzek.*

Linda przybliżyła twarz bokiem do twarzy kobiety.

*Nic.*

Nie wyczuła nawet najmniejszego tchnienia oddechu.

*No, dobrze. Reanimacja.*

– Kurwa, co się tutaj dzieje? – usłyszała za sobą okrzyk Endera. Wreszcie zszedł na dół. Już po chwili zaczął ciężko dyszeć. Zapewne dostrzegł kałużę krwi, w której klęczała Linda.

*Skup się. Nie rozpraszaaj.*

Musiała oczyścić drogi oddechowe kobiety, ale jak? W normalnej sytuacji powinna w tym celu przekręcić ranną na plecy, ale tutaj było to wręcz niemożliwe – z powodu więzów. Dlatego też Linda musiała zadowolić się na razie ułożeniem głowy Töven w odpowiedniej pozycji, przekręcając ją na bok i odchylając do tyłu.

– Ona nie żyje – wyjąkał Ender.

– Jeszcze żyła, kiedy tu weszłam – zaprzeczyła Linda i dopiero wtedy zorientowała się, że dozorca wcale nie mówi do niej, tylko złapał za komórkę, aby poinformować Herzfelda, bo zaraz dodał: – Chyba będzie robić sztuczne oddychanie usta–usta.

Rzeczywiście, Linda przytrzymała nozdrza sędziny palcem wskazującym i kciukiem i wzięła głęboki oddech. Następnie mocno przytknęła wargi do jej umazanych na czerwono ust. Krew na parkiecie, o który Linda musiała się ciągle opierać, rozmazywała się podczas tej próby pierwszej pomocy po ciele i ubraniu kobiety. W dotyku krew była bardzo gęsta.

*Sto dwadzieścia jeden.*

Linda przez sekundę z całych sił wdmuchiwała powietrze z własnych płuc do tego drugiego ciała. Potem odchyliła głowę w bok, aby nabrać powietrza i zobaczyła Endera z komórką przy uchu. Mówił właśnie coś do Herzfelda, czego podczas wykonywania sztucznego oddychania nie zrozumiała.

Gdy tylko nabrała ponownie powietrza, odwróciła się z powrotem do kobiety i stwierdziła ku własnemu przerażeniu, że jej klatka piersiowa nie opadła.

*Cholera jasna!*

Linda bez wahania rozerwała jej bluzkę, a potem zerwała z piersi cielistego koloru biustonosz.

– Może byś mi tak wreszcie pomógł! – krzyknęła, ale Ender nie wykazywał absolutnie żadnej chęci udzielenia jej pomocy w



przekręceniu sędziny na plecy.

– Te plamy – powiedział tylko, i wtedy sama to zauważyła.

*Ale... ale jak to możliwe?*

Chciała spróbować masażu serca, ale nie była w stanie dotknąć skóry kobiety. Obszar wokół jej lewej piersi był na bocznych partiach ciała ciemnofioletowy.

– To są plamy opadowe – wyjaśnił niepotrzebnie Ender. Linda widziała ich aż za nadto, to znaczy: wcześniej, w sali sekcyjnej, na ciele Erika.

*Ale w takim razie musi nie żyć już od dawna!*

– Herzfeld pyta, czy te plamy znikają.

– Co?

– Czy kiedy naciskasz palcami, to skóra robi się bledsza?

Linda, wciąż jeszcze zszokowana tak nieoczekiwanym widokiem, przycisnęła palec wskazujący do ciemnofioletowego zabarwienia na skórze. Najpierw ostrożnie, potem nieco silniej.

Jednocześnie, nie odwracając się w stronę dozorczy, chwyciła komórkę, którą jej podał. Tym razem, inaczej niż wcześniej, nie miała na dłoniach rękawiczek, dlatego też dotyk nagiej skóry wyziębionego ciała był bardziej bezpośredni i w pewnym stopniu intymny. I o wiele bardziej nieprzyjemny niż było to w przypadku Erika, w oślepiającym blasku jarzeniówek sali sekcyjnej. Miała wrażenie, jakby przyciskała palec do zimnej, żelowej poduszki.

– Nic z tego – wydyszała i od razu wiedziała, że nie jest to dobra wiadomość. *Przysychająca krew na podłodze, zimne wargi podczas próby oddychania usta–usta, a teraz te plamy opadowe.* – Pozostają ciemne. Uciskanie niczego nie zmienia.

– W takim razie pani Töven nie żyje już od paru godzin – stwierdził Herzfeld.

*Od paru godzin?*

– Ale przecież jeszcze przed chwilą słyszałam jak pojękuje.

Linda bardziej pytała, niż stwierdzała fakt.

– Odgłosy respiracji często zdarzają się u zmarłych, kiedy w procesie postępującego rozkładu powietrze uchodzi z płuc – wyjaśnił Herzfeld. W tle słyszała dźwięki samochodowych klaksonów, które w

tym momencie były dla niej jak sygnały życia z innej galaktyki. W jej świecie, na tej opuszczonej przez Boga, chłostanej huraganami wyspie, nie było żadnych oznak ludzkiej cywilizacji. Tylko przemoc, ból i śmierć.

– I co teraz? – zapytała Linda wyczerpana. Podniosła się, spojrzała po sobie. Na ręce, na trzęsące się kolana – wszystko we krwi.

*Mój Boże. I wszędzie moje odciski palców! W domu, do którego się włamaliśmy.*

– Ender mówi, że zabójcy już tam nie ma, ale mimo to, nie byłby to za dobry pomysł, żebyś robiła to akurat w tym domu.

– Niby co miałabym robić? – zapytała skołowana Linda i w tym samym momencie zaczęła rozumieć.

– Nie, tylko nie to – powiedziała, ale Herzfeld udawał, że nie słyszy jej protestów.

– Zabierzcie zwłoki do sali sekcyjnej. Odezwę się, jak tylko odwiedzę jednego z byłych kolegów.

Zarrentin? – zapytał Ingolf. – Nigdy nie słyszałem o takiej miejscowości.

Aby ominąć korek na autostradzie, musieli popełnić sporo wykroczeń. Począwszy od tego, że Ingolf popędził na wstecznym biegu po pasie awaryjnym, aby dotrzeć do położonego dwieście metrów wcześniej zjazdu z miejsca, gdzie odbywały się roboty drogowe. Jechali teraz otoczoną z dwóch stron drzewami szosą i wyprzedzali każdy pojazd stosujący się do obowiązujących tu ograniczeń prędkości.

– Dziura z pięcioma tysiącami mieszkańców nad Schaalsee. Nadrobimy drogi o niecałe dziesięć minut.

– Według nawigacji, ale myślę, że uda nam się w pięć. Ale po co tam w ogóle jedziemy, jeśli wolno spytać? – zdziwił się Ingolf.

– Tam mieszka Martinek.

– A kto to taki?

Herzfeld westchnął.

– Myślę, że im mniej pan wie, tym lepiej dla pana.

Ingolf rzucił mu szybkie spojrzenie, a potem skoncentrował się na ostrym zakręcie, na którym każdy rozsądny kierowca nacisnąłby na hamulec, nawet bez zagrożenia gołoledzią, które istniało teraz.

– Profesorze Herzfeld, jestem być może młody, ale nie głupi. I tak wiem już więcej, niż pan by chciał. Pana córka jest w niebezpieczeństwie, prawdopodobnie została porwana.

Nie wiadomo dokładnie, jak to zrobił, ale udało mu się jeszcze bardziej przyśpieszyć na zakręcie.

– Nie rozumiem tylko, dlaczego przeprowadza pan przez telefon coś w rodzaju zdalnie sterowanej obdukcji, i do tego jeszcze, z tego, co usłyszałem, przez kobietę z niewielkim, lub żadnym doświadczeniem, a ponieważ wydaje się, że tych ciał jest więcej, to porywacz czy też porywacze są najwidoczniej bardzo groźni. Jestem wprawdzie dobrze wychowanym młodym człowiekiem, który chętnie pomaga bezinteresownie bliźnim, ale wydaje mi się, że w zamian zasłużyłem sobie na nieco szczerości, skoro razem z panem narażam się na

niebezpieczeństwo.

Herzfeld odwrócił się do niego.

– Chce pan informacji?

– Byłoby to nader uprzejme z pana strony!

– Czy ktoś już panu kiedyś powiedział, że ma pan tak sztywny sposób mówienia, jakby ktoś wsadził panu kij w tyłek? – Herzfeld zmusił się do uśmiechu, aby złagodzić ostrość tych słów.

Ingolf wyszczerzył zęby.

– A czy ktoś już panu kiedyś powiedział, że ma pan poczucie humoru niedojrzałego smarkacza? Wysłać hospitanta w jego pierwszym dniu po defibrylator...

Przez krótką chwilę Herzfeld z nostalgią pomyślał o obdukcji sprzed kilku godzin i o tym, że w tamtym czasie do jego największych problemów należało szumiące ogrzewanie w sypialni, przegapienie urodzin przyjaciela ze szkolnych lat, prenumerata na gazetę, z której znowu zapomniał zrezygnować, i pierwsze siwe włosy na skroniach. Nie mówiąc już, rzecz jasna, o rozwodzie, groźbie utraty prawa wykonywania zawodu i braku kontaktu z własną córką Hannah.

Ileż dałby za to, aby wszystko pozostało po staremu!

– Dlaczego pan mi pomaga? – zapytał Ingolfa po krótkiej chwili, podczas której jechali w milczeniu. Dochodziła dwunasta w południe, ale za szybami samochodu było tak ciemno, jakby słońce miało niedługo zejść. Wyłączenie teraz reflektorów ksenonowych w porsche byłoby, w tej zawiei śnieżnej, równoznaczne z próbą samobójstwa. Przejeżdżali właśnie przez rejon pełen jezior, i do tego wszystkiego pojawiała się jeszcze mgła. Ale przynajmniej ruch na tej szosie nie był tak duży, jak na A 24. – Dlaczego zaoferował się pan być moim szoferem?

Ingolf podrapał się po wystającym podbródku i nagle zaczął robić wrażenie nerwowego:

– Najpierw chciałem być uprzejmy, kiedy zobaczyłem pana stojącego w deszczu ze śniegiem. Potem zauważyłem, że jest pan w tarapatach, a ponieważ nie miałem żadnych zobowiązań na ten weekend, to uznałem, że nie zaszkodzi...

Herzfeld uniósł dłonie.

– Bla, bla, bla. Nie wierzę w ani jedno pana słowo. Nie musi włączyć

mi pan w tyłek. Jest pan synem ministra spraw wewnętrznych, a w dodatku wygląda na to, że ma pan tam więcej do powiedzenia niż ojciec. Jeden telefon, a dostanie pan dowolne miejsce praktykanta na świecie.

Ingolf przytaknął.

– Niewykluczone. Ale ja nie chcę dowolnego miejsca na praktykę. Chcę tego u pana boku.

– Dlaczego?

– Proszę wybaczyć, ale wydaje mi się, że w aktualnej sytuacji nie jest to najlepszy moment na wyłuszczenie moich powodów tej decyzji.

– Czego pan chce ode mnie?

Przez głowę przemknęła Herzfeldowi myśl, że gotowość do pomocy ze strony Ingolfa nie była wcale przypadkiem, tak jak i fakt, że poznali się akurat dzisiaj, a potem praktykant jeszcze wzmocnił jego podejrzenia, mówiąc:

– Chciałbym zaproponować panu interes, panie profesorze Herzfeld.

– Interes?

– Tak. Jest bardzo lukratywny, prognozowany zysk roczny wynosi mniej więcej czterysta milionów dolarów, a to jest tylko pesymistyczna prognoza planu biznesowego.

– Pan żartuje.

– Nie, chodzi o zupełnie nowy produkt na światowym rynku technologii bezpieczeństwa. Kontynuacja *PetSave-One*.

– *PetSave-One*? – powtórzył jak echo Herzfeld.

– Opatentowałem to rozwiązanie po tym, jak zniknęła Misty, nasza kotka. Szukaliśmy jej przez dwa tygodnie i w końcu znaleźliśmy ją w opuszczonej willi sąsiadów, gdzie wślizgnęła się podczas kontrolnego obchodu strażników. I wtedy pomyślałem sobie, ile zmartwień moglibyśmy sobie zaoszczędzić, gdyby Misty miała w obróżce odbiornik GPS.

– *PetSave-One*?

– Właśnie. Obecnie urządzenia te są już tak małe, że można je wszczepić pod skórę. Najlepsze w tym jest to, że może pan kota z modułem GPS śledzić na własnym iPhone. Nawet jeżeli zwierzę nie zaginęło, to niesłychanie interesujące jest wiedzieć, gdzie podziewa się

taki łażęga przez cały boży dzień. Może pan śledzić każdy jego krok na Google Maps.

– Chwila, moment. – Herzfeld ciągle nic nie rozumiał. – Moja córka została porwana, a pan chce całkiem poważnie wcisnąć mi udziały w systemie poszukiwania zaginionych kotów?

Ingolf zrobił skruszoną minę.

– Mówiłem, że nie jest to najlepszy moment. Poza tym nie chodzi o zwierzęta domowe. Ten patent sprzedałem już dawno temu.

Herzfeld nie chciał nawet wiedzieć, za ile milionów. W ogóle nie chciał już nic usłyszeć z ust tego nowobogackiego smarkacza. Najchętniej natychmiast wysiadłby i ścigał porywaczy córki na własną rękę. Zastanawiał się poważnie, czy przy najbliższej okazji nie wyrzucić Ingolfa z porsche i nie pojechać dalej samemu.

– Wpadłem na zupełnie nowy, rewolucyjny pomysł. Dalsze udoskonalenie *PetSave-One*, ale w obecnej chwili naprawdę wolałbym zmienić temat i chętnie dowiedziałbym się więcej o celu naszej podróży. Ten Martinek to pana przyjaciel?

Herzfeld patrzył przed siebie, skupiając się na tablicy z nazwą miejscowości.

– Znamy się tylko z pracy.

– W takim razie ten pana kolega musiał sporo dojeżdżać. – Ingolf wskazał na tablicę z nazwą miejscowości. Właśnie wjechali do Zarrentin, dwieście dwadzieścia dziewięć kilometrów od Berlina.

– Martinek miał mieszkanie w dzielnicy Berlin-Lichterfelde, do momentu...

*...do momentu, kiedy stało się to z Lily.*

Postanowił milczeć, ale Ingolf zapytał znowu:

– I on pomoże panu w znalezieniu córki?

– Nie.

Kiedy myślał o ostatnich słowach Martinka, to raczej nie mógł liczyć na jego pomoc: *„Być może dzisiaj jeszcze nie wiesz, co czuje człowiek, kiedy straci coś, co było dla niego w życiu najważniejsze. Ale od tej chwili będę się codziennie modlił, żebyś kiedyś tego doświadczył”*.

Wyglądało na to, że modlitwy Martinka zostały wysłuchane. I jest bardzo prawdopodobne, że to on się do tego przyczynił.

Herzefeld poczuł ulgę, że monotony kobiecy głos w nawigacji przerwał ciąg jego mrocznych myśli. Dojechali do celu.

– Nie ma nikogo – wymamrotał, kiedy zatrzymali się przy krzywym płotku myśliwskim okalającym całą działkę. Przed kilkudziesięciu laty ten wolno stojący dworek z pewnością przyciągał wzrok. Obecnie szara fasada budynku ze spróchniałymi okiennicami mogła być co najwyżej inspiracją do jakiegoś horroru.

– Przypomina domostwo nawiedzane przez duchy. Naciskanie dzwonka do tych drzwi to z pewnością ulubiona próba odwagi tutejszych dzieciaków – zauważył Ingolf. – I to by było tyle, jeżeli chodzi o rozkwit wschodnich części Niemiec.

Chciał wjechać na podjazd, ale widząc nieusunięte masy śniegu zrezygnował z tego pomysłu i zaparkował ukosem na chodniku.

– Żadnego światła, żadnego dymu z komina – powiedział i włączył długie światła, aby lepiej oświetlić fasadę. – Nawet dach jest spróchniały. Boże, jeżeli tutaj ktoś mieszka, to ja już wolę w dżungli.

– Życzę dużo mocnych wrażeń – powiedział Herzfeld i wskazał na okno na pierwszym piętrze, w którym właśnie poruszyła się zasłona.

Herzfeld był pewny, że są obserwowani. Już samo porsche stojące na chodniku musiało wzbudzić zainteresowanie mieszkańców równie zaniedbanych domów w sąsiedztwie. A co dopiero taka dziwaczna para zapadająca się po kolana w śniegu w drodze przez podwórze. Podczas gdy Herzfeld w sznurowanych wysokich butach, czarnych dżinsach i w pasującej do nich kolorystycznie puchowej kurtce nie rzucał się raczej w oczy, to Ingolf zupełnie tutaj nie pasował. Już po kilku metrach zgubił jeden ze swoich obszywanych na brzegach skórzanych mokasynów i zrujnował sobie kaszmirowy płaszcz, kiedy podczas próby wyciągnięcia buta ze śniegu wyłożył się jak długi.

– *Grand malheur* – zaklął, co prawdopodobnie u niego równało się wybuchowi wściekłości. Zanim jednak otrzepał mokry śnieg z płaszcza i garnituru, przyczesał sobie starannie włosy. – A ja obstaję przy swoim – zawołał za Herzfeldem, wkładając na przemoczoną skarpetę szyty na miarę but. – Ten dom jest opuszczony.

Profesor poszedł przodem i zatrzymał się u stóp schodów prowadzących do masywnych drzwi wejściowych. On też zauważył, kiedy podszedł bliżej, że okno na pierwszym piętrze jest uchylone. Zasłonę poruszał wiatr.

Herzfeld patrzył zamyślony na zieloną skrzynię z odpornego na działanie pogody plastiku stojącą pod daszkiem, gdzie były zapewne schowane poduszki do mebli ogrodowych, które gniły teraz na przedniej części działki pod dużą lipą. Obecnie skrzynia służyła jako półka na parę fabrycznie nowych, brązowych gumiaków przemysłowych. Herzfeld wziął je do ręki. *Rozmiar 46*, zdziwił się. Martinek był ponad dziesięć centymetrów niższy od niego. Czyżby naprawdę miał ten sam rozmiar butów, co on? Herzfeld, nadal pogrążony w myślach, otworzył skrzynię, w której nie było poduszek, lecz szary karton.

„W okamgnieniu ze Schwintowskim”, przeczytał Ingolf reklamowe hasło firmy przeprowadzkowej na wierzchu kartonu. Praktykant starł chusteczką krople deszczu z okularów i spojrzał wzorkiem krótkowidza zza pleców profesora.



Karton, tak jak i gumowce, musiał już od dłuższego czasu stać na zimnie. Tektura była stara i wilgotna, i rozdarła się przy pierwszej próbie otwarcia pudła.

– A niech mnie gęś kopnie. – Ingolf zagwizdał z uznaniem przez zęby, wskazując trzymanymi w rękę okularami na wnętrze skrzyni. – Powiedziałbym, że wycieczka się opłacała.

Wierzchnia warstwa w kartonie składała się z gotówki: grube pliki banknotów owinięte banderolami. Herzfeld wyjął jeden z nich i przepuścił między palcami jak kineograf.

– To musi być co najmniej ze sto tysięcy – oszacował Ingolf.

– Sto pięćdziesiąt siedem tysięcy pięćset sześćdziesiąt euro – potwierdził Herzfeld i pokręcił zrezygnowany głową.

*Cholera, Sven.*

– A pan to jakiś Rain Man, czy jak? Skąd pan wiedział tak dokładnie na pierwszy rzut oka, ile tu jest? – Ingolf patrzył to na pieniądze, to na Herzfelda.

– Sto pięćdziesiąt siedem tysięcy pięćset sześćdziesiąt euro. To jest suma, jaką swojego czasu zaproponował mi Martinek za sfałszowanie dowodów.

W największym możliwym skrócie wyjaśnił Ingolfowi, co zaszło swego czasu między nim a jego kolegą.

– A pan odmówił?

Herzfeld skinął głową i odłożył plik banknotów do kartonu.

– Tak. To była dokładnie suma, jaką miał na koncie ze spadku. Po śmierci jego córki, jak widać, pieniądze te nic już dla niego nie znaczyły.

Herzfeld odsunął pieniądze na bok i wyjął ze skrzyni siekiere owiniętą w wełniany koc.

– Niech pan uważa – ostrzegł go Ingolf, kiedy Herzfeld odwinął nowiuteńką siekiere z krótkim trzonkiem.

– Czy coś takiego należy do standardowego wyposażenia lekarzy medycyny sądowej?

Herzfeld pokręcił głową.

– Nie. Włamywaczy.

Wskazał na kłódkę, na którą zamknięte były drzwi wejściowe i pokazał Ingolfowi, co Martinek napisał flamastrem na drewnianym

trzonku krótkiej siekiery: *Będiesz jej potrzebował, Paul.*

– Wygląda na to, że mnie oczekiwano.

Herzfeld podszedł do drzwi, wziął do ręki kłódkę i obejrzał ją uważnie, zlokalizował słaby punkt i jednym szybkim, zręcznym uderzeniem przeciął zardzewiałe ogniwo łańcucha, przy czym musiał aż przygryźć wargi, żeby nie krzyknąć z bólu, jaki przeszył jego opuchnięte palce.

Drzwi były pozbawione klamki, ale otworzyły się bez problemu.

– Pan zostaje tutaj! – ton Herzfelda nie dopuszczał żadnego sprzeciwu, jednak nie zrobiło to większego wrażenia na Ingolfie. Przyłożył dłoń do ucha i zapytał:

– Słyszysz pan to?

*Cholera, on ma rację. Co to jest do diabła?*

Coś w środku domu syczało i szumiało, a kiedy weszli do środka, stało się jeszcze głośniejsze. Jednak nie tylko to było dziwne.

Już na progu Herzfeld poczuł nieoczekiwaną i całkowicie nienaturalną falę ciepła, która nie miała nic wspólnego z przegrzaniem w zimie mieszkaniem. Była znacznie wilgotniejsza, prawie jak w szklarni.

– To jest wręcz nie do wytrzymania – wydyszał za nim Ingolf. Kiedy Herzfeld odwrócił się, zobaczył, jak jego towarzysz rozpina górny guzik koszuli. Także Herzfeld zaczął się pocić. Próbował wymacać włącznik światła obok pustego wieszaka, jednak w górnym oświetleniu na suficie nie było ani jednej żarówki.

– Sven? – zawołał, mając świadomość, że nie otrzyma żadnej odpowiedzi. Nawet jeżeli jego były kolega gdzieś się tutaj ukrył, to i tak nie usłyszałby ich w tym hałasie.

*Chyba że stoi tuż za mną.*

Herzfeld, w napadzie irracjonalnego lęku, odwrócił się, ale to był tylko Ingolf, który właśnie wpadł na niego.

– Ostrożnie, jest pan uzbrojony – powiedział, patrząc na siekiere, którą Herzfeld nadal kurczowo trzymał w dłoni. Herzfeld skinął tylko głową i rozejrzał się.

Posiadłość miała wewnątrz obrys małego pałacu. Bezpośrednio do przestronnego wiatrołapu przylegało atrium, obejmujące dwie kondygnacje, z którego do górnych pokoi prowadziły podwójne

zakręcone schody. Po prawej i lewej stronie obydwu wejść na schody znajdowały się szerokie przejścia. W prospekcie maklera nieruchomości brzmiałoby to z pewnością wspaniale, jednak w rzeczywistości wyglądało raczej niezbyt efektownie, co wynikało z faktu, że nigdzie nie było żadnych mebli czy obrazów, tylko puste ściany z poszarzałymi, poplamionymi tapetami.

– Mówiłem, tutaj nikt już nie mieszka – upierał się znowu Ingolf.

– Kto w takim razie odpowiada za ten cały hałas? – Herzfeld wskazał na lewo. – Pan tutaj poczeka, jasne?

Ingolf skinął głową i ponownie założył okulary, których szkła natychmiast zaparowały.

Wyglądało na to, że szum dochodzi z przejścia na lewo od Herzfelda. Ten wąski, ciemny przedpokój przypominał korytarz hotelowy z małymi drzwiami umieszczonymi w niewielkich odstępach od siebie. Wszystkie drzwi, z wyjątkiem jednej pary, były zamknięte. Im dalej posuwał się Herzfeld, tym było głośniejsze.

*I goręcej!*

Herzfeld dotarł do otwartych drzwi, prowadzących do niewielkiego pomieszczenia, gdzie odkrył źródło hałasu: nagrzewnica stojąca na podłodze była wyposażona w rurę ze stali nierdzewnej o średnicy piłki ręcznej i musiała chodzić już od wielu godzin, *o ile nie dni*. Dysza była rozgrzana do czerwoności, a w powietrzu unosił się zapach spalonego plastiku. Nagrzewnica miała taką moc, że mogła spokojnie wypełnić ciepłym powietrzem średniej wielkości halę pneumatyczną. Ale na potrzeby tego małego korytarza prowadzącego do jadalni miała absolutnie zbyt dużą moc.

Herzfeld złapał za kabel tkwiący w ścianie i wyrwał go z kontaktu. Natychmiast zrobiło się zimniej, ale szum nie ustał, tyle że dochodził z pewnej odległości.

– Musi być jeszcze jedna dmuchawa. – Usłyszał za sobą czyjś głos i aż podskoczył ze strachu. Odwrócił się gwałtownie i rzucił z furią:

– Powiedziałem przecież, że ma pan czekać na mnie przy wejściu.

– Czekałem i odkryłem przy tym to.

Z miną winowajcy Ingolf podał mu wąski segregator.

Herzfeld odłożył siekierę na podłogę, aby mieć wolne obie ręce,

potem otworzył segregator. Pośpiesznie przejrzał znany mu bardzo dobrze formularz raportu z obdukcji, podczas gdy Ingolf przyświecał mu w półmroku korytarza komórką.

– rozerwana, świeżo podbiegła krwią błona dziewicza, kobieta/dziewczyna była do tego momentu dziewicą

– złamanie kręgów szyjnych

– pozostałości obcej śliny na skórze całego ciała, zwłaszcza w obszarze łonowym

– Skąd pan to ma? – zapytał Herzfeld, szukając jednocześnie w rubryce danych osobowych nazwiska i wieku ofiary. Obydwa wpisy pominięto.

Za to na ostatniej stronie raportu znajdowało się pojedyncze, luźne zdjęcie. Na fotografii zrobionej polaroidem była młoda kobieta leżąca na stole sekcyjnym. Pochylał się nad nią Martinek i właśnie otwierał jej klatkę piersiową cięciami w kształcie litery Y.

*Nie. To niemożliwe.*

Twarz kobiety na zdjęciu była ucięta, ale pod względem wzrostu i postury...

*...mogło pasować.*

Na myśl o własnej córce Herzfeldowi wypadł z rąk segregator.

– Te akta leżały na samym dnie pudła – powiedział Ingolf i podniósł je z podłogi. – Czy to wszystko coś panu mówi? Ten raport? Pieniądze? Te dmuchawy?

– Obawiam się, że tak – odpowiedział cicho Herzfeld. *Jak brzmiało twoje życiowe motto, które wpisałeś na Facebooku, Sven? Nie zostawiaj nic przypadkowi?*

– Martinek wie dokładnie, co robi – powiedział Herzfeld i wskazał na dmuchawę. – Ustawił dla nas akustyczne drogowskazy.

– Aby dokąd nas zaprowadzić?

– Zaraz się tego dowiemy.

Herzfeld wciągnął powietrze przez nos. Teraz, kiedy zapach stopionego plastiku nieco zelżał, do jego receptorów węchu dotarł nowy, nieprzyjemny element zapachowy.

– Czuje pan to? – zapytał Ingolfa i spojrzął na szklane, obramowane drewnem drzwi na końcu korytarza. Nie czekając na jego

odpowieź, ruszył w tamtym kierunku, otworzył przesuwane drzwi i zobaczył w środku kolejną nagrzewnicę. Także i to urządzenie było rozpalone do czerwoności z przeciążenia i Herzfeld także tutaj odłączył je od prądu. Minęła dobra chwila, zanim przyzwyczał się do nagłej ciszy i panującego tu półmroku, i zaczął dostrzegać coś więcej niż tylko zarysy wnętrza.

Jadalnia była salą wyłożoną drewnem, z wysokim sufitem stiukowym, który ciągnął się aż do tylnej części domu, kończąc się szklanym wykuszem, wychodzącym na ogród. Także i te ściany, podobnie jak w innych pomieszczeniach, były puste, jednakże po czarnych konturach na ścianie naprzeciwko stołu można było wnioskować, że wisiał tu kiedyś okazałej wielkości obraz. Przy czym słowo stół na określenie tego jedyne mebla w sali absolutnie nie odpowiadało rzeczywistości. Przy tym monstrum z czerwonego mahoniu mogło zasiąść całe towarzystwo weselne, i to całkiem wygodnie. Jednak tego typu uroczystości musiały odbywać się w tym dworku bardzo dawno temu, sądząc po stanie choćby oblepionego pajęczynami żyrandola, który zwisał z sufitu tylko na dwóch z sześciu śrub mocujących. Jednak ani stół, ani żyrandol nie były tym, co najbardziej rzucało się w oczy w tym pomieszczeniu.

– Dobry Boże, ale co to jest? – wydyszał Ingolf, wskazując na środek stołu. Praktykant zatkał sobie przy tym nos i usta.

Herzfeld zrobił krok do przodu i zaczął cały dygotać.

*Aż boję się to powiedzieć.*

Na olbrzymim stole na samym środku sali, dokładnie pod starym żyrandolem leżał...

*...kawalek czegoś? Ciało?*

Nie dało się tego rozpoznać, jako że niekształtna bryła przykryta była białym płótnem.

Nagle Herzfeld zatęsknił za hałasem nagrzewnic, w irracjonalnej nadziei, że ten łomot mógłby przytępić jego zmysł węchu. Cokolwiek czekało na niego tam, pod tym płótnem, emanowało jednoznaczną wonią rozkładających się zwłok. Ale to nie wszystko – cienki lniany materiał wydawał się poruszać.

– To przecież żyje – powiedział Ingolf przez ściśnięte gardło,

jednak Herzfeld wiedział lepiej. Jakby na potwierdzenie jego najgorszych obaw, spod płótna wypełził biały robak i zwinął się na blacie stołu.

*Za małe. To nie może być całe ciało,* pomyślał i ta myśl stała się dla niego jeszcze bardziej nie do zniesienia.

*Nie dam rady.*

W uszach zaczęło mu szumieć, jakby to gnijące pod przykryciem ciało nie było pożerane przez robactwo i czerwie, ale przez rój os.

*Dlatego ta wysoka temperatura. Dlatego taka wilgotność powietrza.*

Martinek chciał przyspieszyć proces rozkładu.

Herzfeldowi napłynęły łzy do oczu, kiedy wyciągnął rękę w kierunku poruszającego się płótna, ale nie był w stanie tego zrobić.

*Nie dam rady.*

W swoim życiu spoglądał już tysiącom zmarłych prosto w twarz, jednak to, co miał zobaczyć tutaj, przekraczało znacznie jego siły.

Herzfeld poczuł, jak pot spływa mu po karku, zamknął oczy i musiał zrobić wyrok, aby nie stracić równowagi.

Dotychczas zasłaniał Ingolfowi cały widok na stół, ale teraz również praktykant mógł zobaczyć to, co tak zszokowało profesora. To nie robaki ani nie smród uniemożliwiały mu zerwanie tego całunu, lecz dozownik z aerozolem dla astmatyków, który leżał na stole dokładnie przed nim.

A wtedy u Töven? Gdzieś ty był przez cały czas? – zapytała Linda, kiedy zjeżdżali windą na oddział patologii.

Już wypowiadając to zdania, zorientowała się, że jakoś bez zbędnych ceregieli ona i Ender przeszli w pewnym momencie na „ty”.

*Szaleństwo łączy. Całkiem niezłe motto na T-shirt.*

– Miałem pewne problemy z otwarciem klapy na poddasze, zamek się zaciął, i nawet mój wytrych nie chciał zadziałać. Akurat kiedy udało mi się go otworzyć, usłyszałem twój krzyk na dole.

Przestronna kabina zatrzymała się z drzeniem i drzwi się otworzyły.

– Myślisz, że córka Herzfelda jeszcze żyje? – Linda przytrzymała z jednego końca nierówno zrolowany dywan, aby nie spadł z łóżka szpitalnego przy wyjeżdżaniu z windy. Nie miała prawie czucia w dłoniach, po tym jak jeszcze w domu sędziny usiłowała wyszorować je z krwi, którą ubrudziła się, opierając się na mokrej od niej podłodze. Do transportu postanowili użyć perskiego dywanu, który leżał przed kanapą. Początkowo Linda musiała sama wykonywać tę brudną robotę, jako że Ender odmówił pomocy, dopóki było widać krew. Za to potem sam zaniósł zawinięte w dywan zwłoki do samochodu, aby, zgodnie ze wskazówkami Herzfelda, przewieźć je tutaj, do kliniki.

– A może twoim zdaniem Hannah została już dawno zamordowana?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Ender. Wtoczyli łóżko na kółkach do sali sekcyjnej, gdzie przywitał ich zapach, o którym Linda wiedziała, że nie przyzwyczai się do niego nawet za tysiąc lat.

– Wiem tylko, że jak tak dalej pójdzie, to już niedługo zabraknie nam stołów.

Ender przetoczył łóżko do drugiego stołu sekcyjnego, stojącego trzy metry od tego, na którym leżało rozcięte ciało Erika, wydzielając

coraz bardziej nieprzyjemne zapachy. Chociaż z powodu awarii ogrzewania temperatura tu na dole nie przekraczała dziewiętnastu stopni, to i tak było to znacznie lepsze od zimna poza szpitalnymi murami. Sztorm sprawiał, że na dworze czuli się tak, jakby przechodzili przez lodówkę, co miało jednak ten dobry efekt uboczny, że nie spotkali po drodze nikogo, kto mógłby podpatrzeć, jak wnoszą zwłoki przez tylne wejście do kliniki.

– Na trzy – powiedział Ender i dał Lindzie znak, aby złapała za dywan tam, gdzie znajdowały się nogi. Kiedy już udało im się przetrząść zwłoki na stół, Linda zauważyła, że dozorczy trzęsą się ręce. Dotknęła delikatnie jego ramienia.

– Boisz się?

Spojrzał na nią zmęczonymi oczami.

– A ty nie?

– Pewnie że tak. No bo kto by się cieszył z dwóch trupów w jeden dzień?

– Właściciel zakładu pogrzebowego – wysilił się na dowcip Ender, chociaż widać było wyraźnie, jak źle się czuje. Linda chciała ująć jego dłoń, jednak on szybko ją cofnął.

– Bierzmy się do roboty – powiedział i chrząknął zakłopotany. – Nie mamy za dużo czasu.

Linda spróbowała ponownie, i tym razem udało jej się go dotknąć. Jego dłoń była mokra od potu.

– Nie – powiedziała.

– Co, nie?

– Nie, nic już tu nie będziemy robili, zanim nie dowiem się, co dokładnie się z tobą dzieje.

Ender roześmiał się nerwowo i wytarł wolną rękę o kombinezon.

– A co ma się dziać?

Usiłował udawać spokojnego, ale zdradziła go mowa ciała. Każdy jego mięsień, od szyi w dół, był napięty, jakby miał pozować na mistrzostwach kulturystów.

– Posłuchaj uważnie – powiedziała Linda i puściła jego rękę, aby wziąć nóż sekcyjny. – Tylko dlatego biorę udział w tym całym szaleństwie, bo strasznie się boję, że tutaj na wyspie rzeczywiście



grasuje seryjny morderca, a ja nie chciałabym, aby następnym razem ktoś wyciął z mojej szyi jajko niespodziankę.

– No i chcesz uratować Hannah – wtrącił Ender.

– Właśnie, i to jest sedno całej sprawy. Kiedy przyszedłeś wtedy do mojego domu, wiedziałeś przecież, że córka Herzfelda została porwana?

Ender pokręcił przecząco głową.

– Nie. O tym dowiedziałem się dopiero później od ciebie.

– A mimo to pomogłeś profesorowi, zanim w ogóle zorientowałeś się, o co tu właściwie chodzi. Dlaczego?

Ender westchnął ciężko. Kiedy wciąż nie odpowiadał, Linda wzięła się groźnie pod boki.

– Ponieważ Paul także uratował mi kiedyś tyłek – powiedział wreszcie niemal szeptem i dodał po krótkiej chwili: – Kiedy zaczynałem tutaj przed dwoma laty, to byłem taki, jak to się mówi, pół na pół.

Połowa załogi mnie lubiła, a druga nie wiedziała, co ma myśleć o tym tureckim marynarzu Popeye’u w roli dozorczy.

Linda po raz pierwszy uśmiechnęła się z żartu Endera.

– Z drugiej strony muszę przyznać, że sam nie za dobrze zacząłem. Już pierwszy dzień pracy okazał się totalną katastrofą.

– To znaczy?

– Opowiedziałem ordynatorowi mój ulubiony dowcip.

– Ten o cellulitisie?

– Nie, ten o chłopczyku, który przychodzi do domu i mówi do ojca: „Tato, a Markus opowiada wszystkim w szkole, że jestem gejem”. Na co ojciec: „No, to daj mu w pysk”. – Ender wyszczerzył zęby jeszcze przed pointą. – A synek mówi na to: „Nie, nie mogę, on jest taki słodki”.

Linda także się uśmiechnęła.

– Niech zgadnę: ordynator był homoseksualistą?

Ender znowu wyszczerzył zęby.

– Skądże, wtedy mielibyśmy ze sobą coś wspólnego.

*Ach, tak?*

Zmarszczyła brwi ze zdziwienia, że tym razem jej radar gejowski wprowadził ją w błąd. Zazwyczaj orientację seksualną swojego rozmówcy rozpoznawała na pierwszy rzut oka. Kilku z jej najlepszych przyjaciół było z tego drugiego brzegu.

– Jeszcze się nie zdecydowałem – wyjaśnił Ender, zupełnie jakby czytał jej w myślach. – Tak czy inaczej dowcip niezbyt się spodobał, bo akurat tydzień wcześniej syn ordynatora ujawnił się ze swoją orientacją i tym samym wywołał ogromny skandal w rodzinie, który szybko przedostał się do opinii publicznej Helgolandu. No i od tego momentu znalazłem się zapewne na tej samej czarnej liście, co nieudana latorośl szefa.

– A Herzfeldowi udało się skreślić cię z tej listy? – zapytała Linda. Zaczęła rozpakowywać ciało sędziny, odwijając dywan z jednego końca. Ender chrząknął po raz kolejny, a potem zakasłał. Widać było, że niezbyt chętnie mówi o przeszłości.

– Nie tylko to. Półtora roku temu zabiła się tu taka jedna. Pacjentka, którą często wozilem na wózku inwalidzkim na spacer. Po wylewie nie mogła już prawie chodzić. W każdym razie opiekowałem się nią. Ci, którzy mnie nie lubili, wyzywali mnie od anatolijskich wyłudzaczy spadków. A potem w dodatku okazało się, że faktycznie byłem ostatnim człowiekiem, z jakim widziano ją na wyspie, zanim rzuciła się razem z wózkiem z klifu.

– Podejrzewali, że to ty? – zapytała Linda odruchowo.

Ender zrobił gest, jakby nie chciał już więcej o tym mówić, ale potem powiedział:

– Tylko ordynator. Dla niego byłem Enderem bin Ladenem. Wrogiem publicznym numer jeden.

Linda pociągnęła za luźny koniec dywanu i poprosiła Endera, aby uważał, żeby ciało nie spadło ze stołu przy odwijaniu. To, co robiła, wymagało siły i z całą pewnością nie było zgodne ze standardami, *ale, do cholery, Paul, nie możesz oczekiwać więcej od autorki komiksów.*

– A obdukcja Herzfelda cię uniewinniła? – zapytała. Ciało obróciło się wokół własnej osi, ale było nadal całkowicie zakryte dywanem.

– Jeszcze lepiej – odpowiedział. – Paul znalazł list pożegnalny tej kobiety na brzegu urwiska. – Ender spojrzał na nią wymownie. – Właściwie to nie należało do jego obowiązków, policjanci nie popisali się na miejscu zbrodni. Ale on nie odpuścił. W czasie, kiedy wszyscy już zaczęli mnie podejrzewać, on sam poszedł jeszcze raz na to miejsce i znalazł list, który mnie uniewinnił. – Uśmiechnął się. – Za to jestem

dozgonnie wdzięczny Paulowi i dlatego też pomagam mu w tym szaleństwie i mam nadzieję...

Ender nie skończył już tego zdania. Ciemności, jakie nagle zapanowały, połknęły jego ostatnie słowo, a wraz z nim całą salę sekcyjną.

Smród był straszliwy. Widok rojącego się robactwa, które wypełzało z oczodołów – potworny. I ten krzyk Herzfelda, kiedy wreszcie odważył się zerwać płótno z fragmentów leżącego na stole ciała, odbijający się echem od nagich ścian jadalni. Potem Herzfeld zaczął się śmiać.

*Boże Wszchemogący...*

– Dzięki Bogu – powiedział Ingolf, po którego twarzy nie było jednak widać prawdziwej radości, jak u profesora. Praktykant wskazał na głowę zwierzęcia, którą przed chwilą odsłonił Herzfeld.

– Myślę, że nietrudno zinterpretować tę symbolikę.

Herzfeld przytaknął.

– Według Martinka jestem pieprzoną świnią.

*I zapewne ma rację. Być może naprawdę zabiłem jego córkę po raz drugi, bo wtedy trzymałem się przepisów.*

– Jestem świnią – powtórzył szeptem.

– No, dobrze – powiedział Ingolf przez nos, który zakrywał teraz mocno całą dłońią. – Skoro to już wyjaśniliśmy, nie będzie pan miał z pewnością nic przeciwko, jeżeli udamy się do pomieszczenia, które pod względem węchowym nie wymaga aż takiego wysiłku aklimatyzacyjnego? Słucha mnie pan w ogóle?

Herzfeld w ogóle go nie słyszał, obchodząc powoli stół wokoło.

– Sven Martinek był specjalistą od mordów rytualnych – powiedział w zamyśleniu bardziej do siebie niż do Ingolfa.

– To znaczy?

– Był mistrzem symboliki: wykałaczką we włosach zabitej, paznokcie u nóg obcięte post mortem, wiadro płynu do czyszczenia dywanów obok ciała, on rozpoznawał takie wzorce i tym samym ważne wskazówki w najbardziej nawet absurdalnych z pozoru działaniach sprawców. Gdyby nie był tak znakomitym lekarzem sądowym, mógłby

zostać równie dobrze psychologiem kryminalnym.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego ma to nas powstrzymywać przed wyjściem na świeże powietrze. – Ingolf przestępował niecierpliwie z nogi na nogę, jakby musiał do toalety.

– Nie tak szybko – napomniął go Herzfeld i ukucnął, aby obejrzeć zwłoki zwierzęcia z innej perspektywy.

Ingolf jęknął.

– Chyba nie chce pan poddać tego sekcji.

Herzfeld machnął niecierpliwie ręką i podniósł się.

– Nie. Zmarnowalibyśmy prawdopodobnie tylko czas. Martinek był wyjątkowo sumiennym pracownikiem, zawsze postępował bardzo systematycznie, więc ważne wskazówki odnajdziemy tylko w ludzkich zwłokach.

– Myśli pan, że tu gdzieś jakieś leżą?

– Nie jestem pewien, dokąd doprowadzą nas te drogowskazy.

*Mam nadzieję, że nie do Hannah.*

– Drogowskazy?

– Oczywiście. – Herzfeld spojrzał Ingolfowi krótko prosto w oczy, zanim ponownie odwrócił się w kierunku stołu. – Siekiera, pieniądze, aerozol przeciwko astmie, wszystko to ma sens, podobnie jak i to gorąco, raport z sekcji i martwe zwierzę.

– Czyli?

– Coś przeoczyliśmy. Niech pan pomyśli, von Appen. Na co najpierw natknęliśmy się, wchodząc na posesję?

– Na śnieg.

Herzfeld ściągnął gniewnie brwi.

– Mam raczej na myśli gumowce.

Ingolf spojrzał na niego podejrzliwie.

– Myśli pan, że one coś znaczą?

– Wszystko dzieje się z jakiegoś powodu – Herzfeld zacytował kolejną mądrość życiową Martinka, którymi częstował ich w sali sekcyjnej, kiedy trafił na coś zagadkowego.

*To nie przypadek, że gumowce są mojego rozmiaru.*

– I co w takim razie mają oznaczać te okropne kalosze, jeśli wolno spytać?

– To jest właściwie pytanie. – Herzfeld odwrócił się w stronę wykuszu na końcu sali i dał znak Ingolfowi, aby poszedł za nim. Kiedy znalazł się tak blisko okna wychodzącego na ogród, że jego oddech zaparował szybę, podniósł rękę i pokazał na zewnątrz. – Oznaczają kałuże, deszcz, wilgoć, wodę w ogóle – powiedział i wskazał na małą szopę na łodzie nad brzegiem jeziora, ku której łagodnie opadała zaśnieżona działka. Przez otwory w tekturze, którą zasłonięte było jedyne okno tej drewnianej szopy, prześwitywał blady poblask.

To był prawdziwy gabinet szaleńca. Herzfeld nie był pewny, czy Martinek tak go udekorował, aby świadomie udzielić kolejnej wskazówki, czy też w ostatnich tygodniach jego kolega naprawdę całkowicie stracił rozum.

Jedynie stare wiosło obok drzwi wejściowych przypominało o pierwotnym przeznaczeniu tej szopy. Poza tym to kwadratowe pomieszczenie, w którym niegdyś składowano łódki wiosłowe, części zamienne, środki czyszczące i plandeki, przypominało dziwaczne miejsce kultu.

Pierwsze, co rzucało się w oczy po wejściu, to ołtarz. Stał przy ścianie w głębi szopy przed metalową roletą, prawdopodobnie wyjściem na jezioro, przez które kiedyś zsuwało się i wciągało łodzie.

Zdjęcie córki Martinka Lily, usiłującej zdmuchnąć naraz czternaście świeczek urodzinowych, znajdowało się w centrum tego niewielkiego, otoczonego lampkami bożonarodzeniowymi, ołtarza. To było jedyne źródło światła w tym pomieszczeniu, jeżeli pominąć diodę małego kaloryfera olejowego. W przeciwieństwie do potężnych nagrzewnic w domu, kaloryfer był nastawiony na najniższy stopień i płynące od niego ciepło czuło się tylko w najbliższej odległości.

Herzfeld zrobił krok do przodu i przypatrywał się tym wszystkim osobistym przedmiotom, jakie Martinek rozmieścił wokół fotografii ku pamięci swojej córki. Na drewnianej podstawie ołtarza leżała szkolna legitymacja, pojemnik na aparat nazębny, pocztówka, kredki, słodycze, szklane kulki, pluszowy osiołek oparty o świecę komunijną Lily. Była wypalona dopiero do jednej trzeciej długości. Herzfeld wyobraził sobie, jak Martinek klęka tutaj i zapala świecę, aby w opuszczeniu i samotności oplakiwać swoją córkę. To w tym miejscu musiał nasiąknąć jadem wściekłości z powodu wyroku.

*Tutaj także obmyślił zapewne plan odplacenia mi tą samą monetą. Pokazania mi, jak to jest, kiedy traci się własną córkę.*

– To jakieś chore – wymamrotał Ingolf za jego plecami. Praktykant nie miał jednak na myśli ołtarza, lecz zdjęcia. Były wszędzie. Na

belkach, regałach ściennych, Martinek przymocował je pneumatyczną gwoździarką nawet do sufitu szopy. Na większości z nich był Sadler, fotografowany z ukrycia i z dużej odległości: w dniu, w którym zwolniono go z więzienia. Jak znika w wejściu do metra. Podczas otwierania drzwi wejściowych swojego domu. Na kilku zdjęciach było widać tego pedofila spędzającego czas wolny: w wideotece, spoconego na bieżni – to zdjęcie musiało zostać zrobione z budynku położonego naprzeciwko klubu fitness. Na jednej z fotografii Sadler żegna się przy placu zabaw z jakimś nastolatkiem, czule go obejmując. Wiele zdjęć było powiększonych, zwłaszcza te, na których zabójca się uśmiecha.

*Taki zwykły uśmiech, pomyślał Herzfeld i wziął do ręki gruboziarniste powiększenie. Nic, przed czym musiałbyś ostrzegać własne dzieci.*

Spojrzał na datę na brzegu fotografii. Ujęcie zostało zrobione niecałe kilka tygodni temu, na co wskazywał śnieg na chodniku.

Martinek odwalił kawał roboty. Całkiem prawdopodobne, że mordercę swojej córki obserwował przez dwadzieścia cztery godziny bez przerwy, i być może nawet przez kilka dni.

*Nic dziwnego Sven, że ci odbiło.*

Zwłaszcza że Martinek musiał czekać trzy i pół roku, zanim mógł zrobić te zdjęcia.

– A dlaczegoż właściwie to pan stał się obiektem jego zemsty? – zapytał Ingolf z właściwym sobie nadętym sposobem wysławiania się. Trzymał w ręku artykuł z gazety, który znalazł na podłodze. Zapewne zwiął go podmuch powietrza, kiedy wchodzili do szopy. Na półkach piętrzyły się pudła pełne wycinków z gazet – wszystkie dotyczyły gwałcicieli i morderców dzieci.

Herzfeld spojrział w kierunku Ingolfa i zauważył refleks światła padający z regału zza pleców praktykanta. Powoli przeszedł obok niego, odsunął na bok jedno z pudełek po butach wypełnione fotografiami i zmrużył oczy. Napis na naklejce był trudny do odczytania w półmroku, dlatego zaniósł swoje znalezisko do ołtarza.

– Chodzi mi o to, czy Martinek nie powinien raczej zajmować się tym Sadlerem niż panem? – pytał dalej Ingolf.

Herzfeld przytaknął ruchem głowy, a potem powiedział:



– Jestem pewien, że to stadium zemsty mój kolega ma już dawno za sobą.

– Skąd u pana ta pewność?

– Ponieważ właśnie trzymam w ręku dowód na to.

Pokazał Ingolfowi słoik, który zdjął z półki.

– Jan Erik Sadler – odczytał Ingolf napis na szklanym pojemniku. Herzfeld wzdrygnął się, kiedy usłyszał drugie imię mordercy.

– Czy to jest to, o czym myślę? – zapytał Ingolf, wskazując wzrokiem wyrażającym obrzydzenie na zawartość słoika.

– Ludzki język – potwierdził Herzfeld i wyjął komórkę. – Zawiadomię Linde, że rozwiązaliśmy przynajmniej zagadkę dotyczącą tożsamości Erika.

Jasno. Ciemno. Przerwa. I znowu jasno.

– Co tu jest grane? – zapytała Linda w krótkiej chwili, kiedy mogła coś dojrzeć. Potem światło znowu zgasło.

– Być może zasilanie awaryjne – powiedział zaniepokojonym szeptem Ender, jakby to budzące grozę staccatto z mroku i światła mogło się jeszcze pogorszyć, gdyby przemówił normalnym głosem.

*Albo myśli, że nie jesteśmy już tutaj sami.*

– Być może agregat za chwilę całkiem wyionie ducha – powiedział Ender, ale nie zabrzmiało to zbyt przekonująco. Ostatni rozbłysk światła Ender wykorzystał na dotarcie do skrzynki z przełącznikami elektrycznymi, które wypróbował teraz jeden po drugim, bez rezultatu.

Jasno. Ciemno. Przerwa.

*No, cudnie, efekty świetlne w sali sekcyjnej.*

Linda zaczęła się zastanawiać, czy nie powinna odejść od stołu sekcyjnego, na którym leżała Töven, i raczej uzbroić się w jeden z dwóch noży sekcyjnych leżących w odległości trzech metrów od niej na stoliku z instrumentarium. Dostała gęsiej skórki.

Głośny trzask budził wręcz jeszcze większą grozę niż zapadająca ciągle nad nią absolutna ciemność. Za każdym razem, kiedy gasło światło, rozbrzmiewał odgłos, przypominający nastawianie kręgosłupa jakiemuś potworowi. Dźwięki te odbijały się dodatkowo od pokrytych kaflami ścian, metalowych stołów i mieszały się z nieprzyjemnym, elektrostatycznym szumem.

– A ty dokąd? – zapytała Linda. Światło znowu zapaliło się na trzy sekundy i zobaczyła, że Ender jest już jedną nogą na korytarzu.

– Idę do pomieszczenia z głównym przełącznikiem. Zaraz wrócę.

*Jasne. Zostaw mnie tu samą, w tej dyskotece diabła, pomyślała*

Linda i zrobiło jej się niedobrze. Nie była w stanie utrzymać równowagi.

Popełniła błąd, bo spojrzała na stół sekcyjny w momencie, kiedy padło na niego światło lampy roboczej, a teraz, kiedy znowu zapanowały ciemności, obraz trupa Töven pozostał na siatkówce oka Lindy. Kiedy umieścili zwłoki na stole, dywan odwinął się. A teraz jego brzegi całkowicie zsunęły się z ciała.

Zwłoki Friederike Töven leżały na brzuchu, ze spódnicą zadartą aż do bioder, co odsłoniło podarte i nasiąknięte krwią bawełniane majtki...  
*...i kij. Kurwa, Ender, wracaj szybko, proszę!*

Linda zacisnęła mocno oczy, aby uniknąć bardziej szczegółowych doznań, ale to niewiele dało. Widok złamanego kija od szczotki, tkwiącego między grubymi udami, gdzieś w okolicy genitaliów sędziny, wżarł się w jej świadomość – i to już na zawsze, jak się obawiała.

Światło ponownie się zapaliło, chociaż tym razem tylko na sekundę, a ona poczuła niedający się powstrzymać odruch wymiotny. Przyczyna tak obfitego krwawienia została wyjaśniona: zabójca wbił Friederike Töven na pal.

Wzdrygnęła się gwałtownie. Tym razem odgłos, z jakim wyłączały się lampy, był zupełnie innego rodzaju. Mocniejszy, z większym pogłosem, ale bez trzasku.

Prawdopodobnie Ender dotarł do głównego przełącznika i wyłączył cały agregat, jako że teraz nie słyszała nawet szumu klimatyzacji, a faza ciemności trwała nadal.

Zaczęło za to dzwonić.

Oczy Lindy powędrowały do tego słabego, zielonego światła, które tańczyło bezpośrednio nad zwłokami Erika. Bezprzewodowa słuchawka stacjonarnego telefonu kliniki tkwiła nadal w przytwierdzonym do lampy pasie z narzędziami i dzwoniła z każdą sekundą głośniejsze.

Linda zaczęła przesuwając się po omacku do sąsiedniego stołu sekcyjnego, a kiedy do niego dotarła, wydarzyło się kilka rzeczy naraz i to w szybkim tempie: najpierw umilkło dzwonienie, a wraz z wyświetlaczem słuchawki zgasło ostatnie, nawet tak słabe, źródło światła. Usłyszała ostry dźwięk, taki, jaki niegdyś wydawały sztuce, które po zmywaniu pomagała matce układać w szufladzie w kuchni. A potem, kiedy telefon znowu odezwał się nad brzuchem trupa, wydała z siebie wysoki, ostry krzyk. Powodem było dotknięcie, które odczuła jak

zimny pocałunek w kark.

Nie mogę się do niej dodzwonić.

Herzfeld spojrział na Ingolfa, który z rękami wspartymi na biodrach, kiwając z namysłem głową, stał przed ołtarzem, jaki Martinek ustawił w szopie na łodzie ku pamięci swojej córki.

*Ku pamięci i w szaleństwie.*

– Widział to już pan? – zapytał praktykant.

Herzfeld chciał właśnie jeszcze raz spróbować zadzwonić do kliniki, ale teraz zaciekawiony podszedł z komórką w rękę do Ingolfa.

– To zdjęcie Lily.

– Nie o tym mówię.

Ingolf uniósł nieco wąski obrus, na którym Martinek rozmieścił swoje skarby mające przypominać mu córkę (śmiertelne pamiątki, przemknęło przez głowę Herzfeldowi); świeca komunijna niebezpiecznie zachwiała się.

– Ostrożnie – upomniał go i chciał podtrzymać świecę i wtedy zobaczył klawiaturę, którą odsłonił Ingolf.

Okazało się, że ten niezbyt stabilny ołtarz zbudowany został wokół laptopa, ukrytego przed nieuważnym spojrzeniem za kawałkami płótna i serwetami. Fotografia Lily w formacie A4 nie była przyklejona do drewnianej ściany, jak przypuszczał dotąd Herzfeld, lecz do ekranu komputera.

Nagle usłyszał lekki szum, potem zdjęcie uśmiechniętej dziewczyny zaczęło się zabarwiać w przerażający sposób.

– Laptop jeszcze działa – stwierdził Ingolf. Herzfeld położył swoją komórkę obok komputera, chuchnął kilka razy na sztywne od zimna palce, następnie odkleił zdjęcie od ekranu, którego blask spowił ich twarze zimną, niebieską poświatą.

Pojawiło się pole do podania hasła. Herzfeld bez namysłu wstukał imię córki Martinka i sekundę później pojawił się typowy interfejs

użytkownika domowego komputera. Pulpit sprawiał wrażenie bardzo oszczędnego, wręcz pustego. Obok zwyczajowo pojawiających się ikon programów do edycji tekstów, wysyłania e-maili, przeglądarki internetowej i panelu sterowania nie było żadnych innych widocznych folderów czy odnośników, które na pierwszy rzut oka opłacałoby się otworzyć, zwłaszcza że Herzfeld nie miał pojęcia, czego miałby szukać na twardym dysku.

– Niech pan zobaczy w historii – poradził Ingolf, a Herzfeld poszedł za tą mądrą radą, włączył „ostatnio używane” w menu „Start” i przeleciał nazwy plików, jakie ostatnio otwierał Martinek.

Nie był zdziwiony, kiedy znalazł tylko jeden plik. Końcówka nazwy wskazywała na to, że to plik wideo.

••• *seethetruth.mp4* •••

– Zobacz prawdę? – przetłumaczył Ingolf, podczas gdy Herzfeld znowu poczuł się tak, jak kilka minut wcześniej, kiedy miał zamiar ściągnąć całun ze świńskiego ścierwa.

I niestety był absolutnie pewny, że tym razem to, co zobaczą, nie będzie jedynie głową świni. W ostatnich tygodniach Martinek wielokrotnie oglądał to wideo i przerabiał.

*Czas ucieka.*

Wbrew ostrzegawczemu głosowi we własnej głowie, mówiącemu, aby tego lepiej nie robił, Herzfeld kliknął na plik i obserwował zmiany dokonujące się na ekranie.

Upłynęło trochę czasu, zanim to szare okienko, nie większe od standardowego okna na YouTube, wypełniło się treścią.

Już na pierwszy rzut oka było widać, że jest to amatorskie nagranie: jednak prześwietlone, nieostre i rozchwiane obrazy nie odbierały mu pewnej intensywności, mimo że na samym początku trzeba było się wręcz domyślać, co pokazuje kamera. Dopiero kiedy nagranie stało się bardziej ostre, nastąpiło rozwiązanie tej obrazkowej zagadki.

– Stopy? – zapytał Ingolf i poprosił, aby Herzfeld rozciągnął obraz, ale najwidoczniej program odtwarzający nie miał funkcji pełnoekranowej. Możliwe za to było odłączenie ekranu od klawiatury, jak stwierdził Herzfeld, kiedy Ingolf przestawił dwie zapadki z boku laptopa i wręczył mu odłączony ekran. Pojawiło się na nim właśnie

ujęcie kobiecego ciała, twarzy jednak operator nie pokazał.

*Gładka, młodzieńcza skóra; sądząc według wzrostu i postury, dziewczyna w wieku od trzynastu do siedemnastu lat.*

Aby uchronić się przed grozą oglądanych obrazów, Herzfeld wszedł w swój zawodowy tryb obdukcijny.

*Leży w otwartym worku na zwłoki na stole, który przypomina ten w jadalni tego dworku. Biodra są wąskie, wygolona lub wydepilowana woskiem strefa bikini, żadnych zewnętrznych znaków szczególnych z wyjątkiem tatuażu na lewej kostce, cholera...*

Tatuaż wyrwał Herzfelda ze stanu neutralnego obserwatora i ponownie uczynił przerażonym ojcem.

*Czy to Hannah?*

Nie znał tego tatuażu, ale to nic nie znaczyło. Być może zrobiła go sobie nie tak dawno. Ale poza tym, w jaki sposób, na podstawie fatalnego obrazu wielkości podkładki pod piwo miałyby zidentyfikować swoją córkę?

Nagle obok ciała dziewczyny pojawiała się na nagraniu inna osoba. Martinek, który najwidoczniej nie miał żadnych oporów przed pokazaniem własnej twarzy na wideo, wyszedł przed kamerę i spojrzał smutno w obiektyw. W jednej ręce trzymał nóż sekcyjny, a w drugiej coś co początkowo wyglądało na metalowy pręt, a potem okazało się końcówką kija od szczotki. Herzfeldowi udało się dostrzec kilka nacięć na kiju, które Martinek musiał zrobić za pomocą noża.

– I co teraz? – zapytał Ingolf stojący obok niego, kiedy wydawało się, że nagranie dobiegło końca, jako że ekran w rękach Herzfelda całkowicie się zaciemnił. Przez jakiś czas widać było tylko szumy zakłóceń, jednak potem nagranie szło dalej, ale robione już z innej perspektywy. Martinek odwrócił statyw, na którym umieszczona była kamera, tak, że teraz znajdowała się z boku stołu. Widać było, jak otwiera klatkę piersiową dziewczyny.

– Nie! – krzyknęli prawie równocześnie Ingolf i Herzfeld, jak widzowie w kinie, którzy boją się następnej sceny w oglądanym horrorze, tyle tylko że powiększająca się rana nie była efektem specjalnym.

„*Kocham cię, tato*”, usłyszał Herzfeld w myślach głos córki i już

chciał się odwrócić, bo jeśli musiałby wybrać między dwoma rodzajami zła, to wolał umrzeć w nieświadomości niż patrzeć, jak Martinek rozcina ciało jego córki. Ale nie było to konieczne. Nagranie urwało się, zanim nóż sekcyjny dotarł do pępka dziewczyny.

– Co on robi? – zapytał Ingolf. W następnych sekwencjach nagarnia Martinek sam wziął kamerę do ręki. Biały worek na zwłoki był znowu całkowicie zamknięty, chociaż w wielu miejscach na zewnątrz pomazany krwią. Na desce do krojenia u wezłowania stołu leżały wycięte organy wewnętrzne dziewczyny. Dopiero teraz zauważyli, dzięki krótkiemu zwrotowi kamery w kierunku podłogi, że całe pomieszczenie jest wyłożone wodoodporną folią.

Dotychczas Martinek filmował bez dźwięku, jednak teraz słychać było szeleszczenie plastiku, kiedy przeciągał worek ze zwłokami po stole. Martinek odłożył na chwilę kamerę, aby mieć wolne obie ręce, a w tym, nagrany do góry nogami ujęciu, Herzfeldowi udało się dostrzec, jak jego były kolega przekłada zwłoki za taczkę. Potem nastąpiło kolejne cięcie i nagranie przeniosło się na zewnątrz.

– Transportuje ją tutaj, do tej szopy – niepotrzebnie skomentował tę scenę Ingolf. Martinek musiał przewiesić sobie kamerę na pasku na szyi, jako że znajdowała się mniej więcej na wysokości jego piersi i z tej właśnie perspektywy pokazywała tylną część działki dworku wraz z szopą, pomostem i jeziorem.

Na tym rozchwianym wideo nie było słychać niczego poza ciężkim oddechem i skrzypieniem śniegu. Koła taczki dotarły do pomostu, który prowadził na zamrożone jezioro.

– Co on chce zrobić? – wymamrotał Ingolf w momencie, kiedy Herzfeld wybiegał już z szopy z ekranem w ręku.

Na zewnątrz było pochmurnie, ale jeszcze nie ciemno, dlatego Herzfeld bez problemu mógł śledzić dalszy ciąg nagrania na ekranie, jednocześnie rzucając szybkie spojrzenia na otoczenie, aby móc porównać wideo ze stanem aktualnym.

Pomost zaczynał się trzy metry za szopą na łodzie. Na brzegu znajdowała się wąska rampa, przy której brzegach niczym palce wystawały z pokrywy śnieżnej trzciny.

Kiedy Herzfeld podszedł bliżej, zauważył niewielką tabliczkę z



napisem „Wstęp wzbroniony” wiszącą na jednym z pali, którą zignorował tak samo, jak zrobił to Martinek na wideo.

Na nagraniu jego kolega dotarł już do końca pomostu. W tym miejscu woda musiała sięgać prawie do pomostu, ponieważ Martinek zjechał tylko odrobinę niżej i wraz z taczką i workiem ze zwłokami już był na skutej lodem powierzchni jeziora.

Od tego momentu na nagraniu nie było już żadnych przeskoków czasowych. Martinek szedł pewnie po lodzie równymi krokami dalej na jezioro, a zawiana śniegiem pokrywa lodowa i worek ze zwłokami zawsze znajdowały się w oku kamery.

– Czy to boja? – zapytał Ingolf i przecisnął się obok Herzfelda, kiedy i oni dotarli do końca pomostu, a przed nimi rozpościerała się jedynie pokrywa lodowa jeziora. Nie było już widać śladów po taczce. Tutaj, na końcu pomostu, około dwudziestu metrów od brzegu, wiatr wiał jeszcze silniej, smagając ostrymi jak skalpel podmuchami palce Herzfelda trzymającego ekran.

– Być może. – Nie był w stanie rozpoznać w zapadającym mroku, co znajdowało się mniej więcej na środku jeziora. Światło w momencie dokonywania tego nagrania były o wiele lepsze niż teraz, jednak kąt, z jakiego filmowała kamera, nie obejmował tego ciemnego przedmiotu.

– Pójdę zobaczyć – powiedział Ingolf i zanim Herzfeld zdołał mu przeszkodzić, zszedł z pomostu na lód.

– Poczekaj – chciał za nim zawołać, ale praktykant ruszył już posuwistymi krokami przed siebie.

– Słońce zaraz zajdzie – zawołał Ingolf i nie odwracając się, pokazał ręką w górę na całkowicie zaciągnięte ciemnymi chmurami niebo. – Za kilka minut nie będziemy już nic widzieć.

– Zatrzymaj się! – powtórzył Herzfeld swoje ostrzeżenie i już chciał odłożyć monitor na pomost, aby ruszyć za Ingolfem, ale powstrzymał go głos Martinka.

– Witaj, mój drogi.

Jego głos na nagraniu brzmiał serdecznie, wręcz uroczyście, i pobrzmiwała w nim nuta smutku, więc Herzfeld wiedział, na długo zanim zobaczył na ekranie wydłużoną rękę drugiego mężczyzny, że słowa te nie mogły być skierowane do niego. Potem nastąpił długi uścisk

dłoni.

– Wygląda jak krzyż – usłyszał wołającego Ingolfa, jednak Herzfeld był całkowicie pochłonięty tym, co działo się na ekranie.

– A więc, tak ma być? – zapytał Martinek, kiedy już puścił dłoń tego drugiego.

Niemający twarzy i ciała obcy nie odezwał się ani słowem. Prawdopodobnie skinął głową, jako że w tej samej chwili Martinek ponownie chwycił za taczkę, obrócił się o jakieś dziewięćdziesiąt stopni i podniósł ją za rączki do góry.

„*On mnie zamorduje, jeżeli nie zrobisz dokładnie tego, co on powie*”, Herzfeld przypomniał sobie nagranie z poczty głosowej. „*On kontroluje twój każdy krok*”.

Czy dawała mu tym samym do zrozumienia, że Martinek ma współnika? Partnera, który w momencie, kiedy robione było to nagranie, stał obok Martinka i przypatrywał się, jak worek ze zwłokami powoli zsuwa się z głośnym pluskiem w świeżo wykuty otwór w lodzie?

– Nie! – krzyknął Herzfeld, podczas gdy worek zniknął w otchłani jeziora.

*Przecież zrobiłem, co chcieliście!*

Ingolf, który mylnie odniósł ten krzyk do siebie, zatrzymał się w odległości około dziesięciu metrów od pomostu, ale to już nie mogło go uratować. Było za późno.

– Poczekaj! – krzyknął ponownie Herzfeld i odłożył ekran na deski pomostu. W tym czasie Ingolf dotarł już do krzyża.

– Stoisz za blisko!

– Że co? – odkrzyknął Ingolf i wtedy stało się.

Rozległ się trzask tak głośny, jakby jakiś myśliwy wypalił ze strzelby na drugim brzegu jeziora. Pod Ingolfem von Appenem załamał się lód i praktykant zniknął pod wodą tak szybko, jak przed chwilą worek ze zwłokami na nagraniu wideo.

Mimo prawie arktycznych temperatur pokrywa lodowa nie była jeszcze mocno zamarznięta, co prawdopodobnie było wynikiem oddziaływania ciepłych prądów jeziora, o których z zachwytem opowiadał mu kiedyś Martinek. Inaczej Herzfeld nie potrafił sobie wytłumaczyć, dlaczego lód załamał się pod ciężarem Ingolfa. Mijały męcząco długie sekundy, a praktykant wciąż nie pojawiał się na powierzchni.

– Na pomoc! – krzyczał Herzfeld, powoli przesuwał się na czworakach w stronę kanciastej dziury. Samo jezioro, jak i jego brzeg, było puste, nie mógł się spodziewać żadnej pomocy, mimo to chciał spróbować wszystkiego, aby zwrócić na siebie uwagę. Zaczął szukać komórki.

*Niech to szlag, zostawiłem ją na ołtarzu.*

Herzfeld zastanawiał się rozpaczliwie, czy ma jeszcze tyle czasu, żeby pobiec z powrotem na brzeg do szopy na łódzie i poszukać tam przedmiotów, których można by użyć w akcji ratowniczej: komórki, liny, wiosła lub drabiny, na której mógłby się położyć, aby lepiej rozłożyć własny ciężar na łódzie. Zdecydował się jednak zostać.

Jako lekarz wiedział, że u człowieka zanurzonego w lodowatej wodzie wyzwala się odruch oddechowy, który już sam w sobie może doprowadzić do śmierci przez uduszenie z powodu skurczu strun głosowych. Ingolf doznał z pewnością szoku termicznego i z każdą sekundą będzie mu coraz trudniej poruszać mięśniami. Gdyby mimo wszystko udało mu się wydostać o własnych siłach na powierzchnię, a w pobliżu nie byłoby nikogo, to i tak dobiłby go stres psychiczny. Już sam Herzfeld z trudem powstrzymywał narastającą w nim panikę.

Za każdym razem, kiedy poruszając się na czworakach, wspierał się dłońmi o lód, miał wrażenie, jakby przyrastały mu one do tej mroźnej powierzchni. Zimno tłumilo przynajmniej ból w jego opuchniętych palcach. Przesunął się o kilka metrów pod ostrym kątem w stosunku do pomostu, do miejsca, w którym widział po raz ostatni Ingolfa.

– Ingolf! – zawołał kilkakrotnie i bardzo bał się spojrzeć w dół, bo

obawiał się, że lada moment zobaczy pod taflą lodu twarz praktykanta, ale przynajmniej ta obawa okazała się bezzasadna, jako że nagle usłyszał głośne pluskanie. Ingolf wypłynął z powrotem na powierzchnię, machał rękami i wciągał łapczywie powietrze.

– Hej, tutaj! Za tobą!

Praktykant nie słyszał go. I niestety, podczas chaotycznych prób ratowania się, wszystko robił źle. Marnował siły po tej stronie dziury, która była dalej od brzegu, wobec czego nie mógł nawiązać kontaktu wzrokowego z Herzfeldem. Poza tym usiłował oprzeć się na krawędzi lodu jak na brzegu basenu, zamiast wyczołgiwać się z wody na brzuchu lub na plecach. Ale czego miał się przytrzymać? Lód, na którym usiłował się podeprzeć, załamywał się, co sprawiało, że dziura stawała się coraz większa. A wyciągnięte ramię Herzfelda było poza jego zasięgiem i polem widzenia.

– Ingolf, poczekaj! – krzyknął z całych sił. Jednocześnie usłyszał trzeszczenie pod sobą i modlił się do Boga, żeby się jednak okazało, że lepiej rozłożył swój ciężar niż Ingolf. W końcu doczołgał się przecież niczym żołnierz piechoty do dziury w lodzie. – Spokojnie, nie ruszaj się! – krzyczał Herzfeld, aż wreszcie znalazł się tak blisko Ingolfa, że ten mógł go usłyszeć. Praktykant odwrócił się w jego stronę, nie puszczając jednak złudnego oparcia na krawędzi lodu. Nawet ten niewielki ruch głową wydawał się sprawiać mu ogromną trudność. Herzfeld spojrzał mu w twarz i wydawało mu się, że dojrzał w niej pierwsze objawy śmierci: jasnoniebieskie zabarwienie skóry twarzy i warg było wręcz identyczne z tym na ciałach na jego stole sekcyjnym. Starzy lekarze medycyny sądowej nazywali to „różami cmentarnymi”.

– Tylko spokojnie, wyciągnę cię – przyrzekł mu, nie mając bladego pojęcia, w jaki sposób miałby tego dokonać.

Ingolf oddychał ciężko i patrzył na niego szeroko otwartymi oczami. Jeszcze niedawno perfekcyjnie ułożone żelem włosy zakrywały mu teraz czoło jak morszczyn. Dzwonił zębami.

– ...raszam – wycisnął z siebie.

– Złap mnie za rękę – nakazał mu energicznym głosem Herzfeld. Ingolf nie utrzymałby się już dłużej na wodzie. – Dasz radę jakoś się do mnie przybliżyć?

Herzfeld miał co do tego duże wątpliwości, ale życie Ingolfa zależało teraz od tego, czy uda mu się odwrócić. Gdyby Herzfeld miał próbować przeczołgać się na drugą stronę dziury, do miejsca, gdzie Ingolf utrzymywał się jeszcze na powierzchni wody, sam mógłby wpaść, poza tym straciłby na taki manewr zbyt dużo czasu.

– ...nie... wiem – jęknął Ingolf, odwrócił się jeszcze trochę i także wyciągnął rękę, jednak sam zorientował się, że to nic nie da. Odległość była po prostu zbyt duża: musiał się odepchnąć i dopłynąć na drugą stronę.

Ingolf podjął taką próbę. Ale się nie udała.

Nie miał siły nawet na wykonanie jednego zamachu ramieniem, jego mięśnie były z powodu zimna i wyczerpania jak sparaliżowane i po niecałej sekundzie znalazł się znowu pod wodą.

– Nie! – krzyknął Herzfeld. Narazając się na ogromne niebezpieczeństwo, wychylił się mocno do przodu i jak dziecko chcące złapać rybę gołymi rękami, zanurzył je w wodzie. W zapadającym mroku powierzchnia jeziora robiła wrażenie plamy oleju.

Herzfeld miał nadzieję, że praktykant spróbuje przynajmniej po raz ostatni wyciągnąć rękę w górę, ale do tego brakowało mu już siły. Mimo to Herzfeldowi udało się w ostatniej chwili złapać Ingolfa za włosy, a to wystarczyło, aby wyciągnąć go na powierzchnię. Utrzymując jego głowę nad wodą, jednocześnie drugą ręką przesuwiał po plecach Ingolfa, szukając jego ręki.

– Oddychaj, słyszysz?! – wrzasnął na niego. Trzymając go jedną ręką za włosy, a drugą pod pachę, mógł go wprawdzie utrzymać na powierzchni, ale nie wyciągnąć z wody.

*Okay, myśl! Myśl!* Myśli Herzfelda galopowały jak szalone, a on sam wykrzykiwał do Ingolfa wszelkie możliwe rzeczy, aby podtrzymać go na duchu. Praktykant miał wprawdzie otwarte oczy, ale wzrok wyglądał na coraz bardziej nieprzytomny. Jego przesiąknięte wodą ubranie i brak napięcia mięśni w ciele sprawiały, że robił wrażenie żywego trupa. Mimo wszystko jednak usiłował się porozumieć.

– Nie... dam... rady – wymamrotał.

– Dasz, dasz, dasz! Tylko się nie poddawaj, a dasz radę!

*Tylko jak, do cholery?*

Herzfeld poczuł, jak zimno i jemu coraz głębiej wnika pod skórę, im dłużej leży na brzuchu na lodzie. Niektóre fragmenty tułowia były już zdrętwiałe, inne paliły jak ogień. Dodatkowo coraz więcej lodowatej wody przelewało się przez krawędź dziury i wsiąkało mu w ubranie.

– Tylko nie mdlej, słyszysz?

Ingolf nie stracił wprawdzie jeszcze przytomności, ale jego ruchy stawały się coraz bardziej ociężałe i robiły wrażenie nieświadomych skurczów w trakcie snu. Jego palce traciły siłę i lada chwila mogły się wysunąć z dłoni Herzfelda.

Herzfeld zacisnął zęby, poluzował swój uścisk, ryzykując, że praktykant znowu zniknie pod wodą, co szybko okazało się groźniejsze, niż zakładał. Zanim Herzfeld zdołał zrealizować swój ostatni, rozpaczliwy plan i przekreślić się na bok, Ingolf ponownie wyślizgnął mu się z dłoni, ale tym razem zanurkował głową pod lód.

W sali sekcyjnej znowu zapaliło się światło, co jednak nie poprawiło sytuacji. Linda czuła, że niebezpieczeństwo, na jakie została narażona, jest jak promieniowanie radioaktywne. Niewidzialne, a mimo to wszechobecne.

Miejsce, w które ktoś dotknął ją w ciemności, wciąż paliło ją jak oparzone. Linda nadal czuła nieodpartą chęć walenia na oślep wokół siebie tak, jak zrobiła to kilka minut wcześniej.

*Kiedy zgasło światło.*

Przy czym, podczas tych swoich prób obrony w ciemności, w nic nie trafiła, oprócz stołu z instrumentami, który przewrócił się z wielkim hukiem, kiedy wpadła na niego w panicznym odruchu ucieczki. Runęła na podłogę razem z nim.

Hałas był ogłuszający i nadal jeszcze pobrzmiwał jej w uszach. *Żaden inny odgłos na świecie nie może być bardziej przerażający*, pomyślała Linda, dopóki nie usłyszała skrzypienia – typowego odgłosu, jakie wydają skórzane podeszwy na twardym podłożu.

Linda odruchowo pomyślała o swoim ojcu, który niewiele wydawał na ubrania, ale robił wyjątek, jeżeli chodziło o buty... *„Bo po butach widać, kochanie, jak mocno mężczyzna jest oparty w życiu”*.

A także słyszeć w ciemności, jak blisko jest morderca.

Skrzypienie to stawało się początkowo coraz cichsze, potem wróciło ponownie, a Linda nie zastanawiała się długo, jak powinna się w tej sytuacji zachować. Strach jest jak źle wytresowany pies obronny, którego nie można utrzymać na smyczy, jeśli tylko wyczuje krew. Kiedy człowiek poczuje bliskość śmierci, wtedy strach wybucha w sposób niekontrolowany i tak intensywnie, jak siły przyrody, a w takiej ekstremalnej sytuacji istnieją tylko dwie możliwości: atak albo ucieczka. Linda wybrała to drugie. Nie wstając, gorączkowo zaczęła przesuwać się do tyłu. Byle dalej, jak najdalej od tych skrzypiących butów, które były

coraz bliżej... *dalej, jeszcze dalej...*, aż w końcu dalej już się nie dało, bo oparła się plecami o kaloryfer. Mniej więcej w tym momencie odgłosy zniknęły. W sali sekcyjnej zapanowała zupełna cisza. Umilkło nawet elektrostacyjne brzęczenie lamp.

*„Jeżeli chcesz poznać charakter mężczyzny, to patrz na jego buty, nie oczy”.*

Lindę dopadło kolejne wspomnienie, tym razem ze skarbicy cytatów jej matki, która zapewne przygotowywała teraz kanapki, które ojciec zjadał każdej soboty, oglądając wiadomości sportowe w telewizji.

*Dlaczego tak rzadko przysiadalam się do niego?* – przeleciało jej przez głowę w mieszance rozpaczy i smutku – bezsensowna myśl w tak surrealistycznej sytuacji, kiedy jest sama, siedząc w kucki w całkowitej ciemności, między dwoma ciałami na podłodze zamkniętej sali sekcyjnej. I wtedy poczuła tę wodę po goleniu. Był to ten sam zapach, co wczoraj na poduszce w jej łóżku. *O Boże, czy to było rzeczywiście dopiero wczoraj?* Tylko że dzisiaj zapach ten mieszał się z odorem ciał na stołach sekcyjnych.

*Danny?*

Udało jej się stłumić odruch wykrzyczenia imienia swojego prześladowcy, mimo że była pewna, że ten ktoś – obojętnie kto tu był razem z nią w sali sekcyjnej – dokładnie wie, gdzie znajdzie swoją ofiarę.

Z dłonią przyciśniętą do ust i wstrzymując oddech, nasłuchiwała odgłosów, które przestały docierać do jej uszu, tymczasem teraz zapachy stały się bardziej intensywne, mimo że to również mogło być urojenie – halucynacja wywołana pierwotnym lękiem przed tym, co niewidzialne. Zaczęły dygotać jej kolana, i to tak silnie, że lewa noga sama odskoczyła jej w bok, zanim zdążyła ją przytrzymać i dlatego nie była pewna, czy to ona, czy też ten niewidzialny dotknął stopą noża.

Od tej chwili porzuciła wszelką ostrożność i chciała tylko jednego: zdobyć broń za wszelką cenę.

Przeniosła ciężar ciała na kolana, zaczęła suwać dłońmi po podłodze, szukając noża i przecięła sobie kłęb kciuka, kiedy wreszcie złapała go za ostrze, ale w tym momencie nie zwracała na to uwagi.

*Musisz go trzymać jak sztylet,* doradzał jej wcześniej Herzfeld, i tak



też go trzymała teraz w tej właśnie chwili, dokładnie w tej sekundzie, kiedy światło zapaliło się ponownie, a ona chciała zamachnąć się do ciosu, bo była pewna, że twarz jej napastnika pojawi się jedynie o kilka centymetrów od jej twarzy. Lecz kiedy ten moment nadszedł i światło rozbłysło po raz kolejny, całe niebezpieczeństwo zniknęło.

*Nic.*

Żadnych skórzanych butów. Żadnej wody po goleniu. Żadnego Danny'ego.

*Nikogo.*

Była sama ze sobą, i tym zapachem, i zmarłymi, i własnym, ciągle obecnym, strachem, który nie malał – wręcz przeciwnie – stał się nawet jeszcze większy, kiedy po dłuższej chwili spojrzała po raz pierwszy na podłogę.

Na pierwszy rzut oka nie była w stanie wyjaśnić sobie, dlaczego jej żołądek tak gwałtownie się skurczył, aż w końcu dostrzegła, czego brakuje w widniejącym przed nią obrazie. Na płytkach podłogi leżały dwie pincety, miska na odpadki, gumowe rękawiczki i inne utensylia potrzebne do sekcji. Swoją noż sekcyjny trzymała w ręku, a więc nie mógł znajdować się w tym chaosie wśród innych instrumentów na podłodze.

Ale gdzie był drugi?

Linda pochyliła się na moment, możliwie krótki, z obawy, aby nie stracić z oczu drzwi, przez które niebezpieczeństwo musiało opuścić salę, ale nie mogła go nigdzie dostrzec. Drugi nóż sekcyjny zniknął tak samo jak dozorca, który zadziwiająco długo nie wracał z pomieszczenia z główny przełącznikiem.

*Ender, do cholery, gdzie ty się zawsze podziewasz, kiedy jesteś potrzebny?* – pomyślała Linda, kiedy nagle usłyszała szuranie jego butów na korytarzu.

– Ender? – zawołała, najpierw z ulgą, bo wydawało jej się, że rozpoznaje jego chód, nawet jeżeli był dziwnie powolny. A kiedy naprawdę pojawił się w drzwiach, ulga przemieniła się w radość.

– Dzięki Bogu! – Już chciała zacząć robić mu wyrzuty, że tak długo zostawił ją samą, *samą, z tym niewidzialnym zagrożeniem*, kiedy nagle odkryła drugi nóż sekcyjny.

Tkwiał w szyi Endera.

Herzfeld, krok za krokiem, coraz bardziej oddalał się od dziury w lodzie. Zdawał sobie sprawę, że nie wolno mu przystanąć, odsapnąć, zrobić przerwy, bo kiedy raz się zatrzyma, to potem już nie ruszy z miejsca, nie będzie mógł dalej walczyć z bólem w ramionach, nogach i z zimnem. I nigdy nie dotrze do ratującego życie celu, lecz runie na pomost i zamarźnie.

Razem z Ingolfem.

– Nie poddawać się – wykrztusił bardziej do siebie, niż do ciężaru na plecach. Niósł bezwładne ciało Ingolfa jak worek z ziemniakami, a jego płaszcz zostawił na miejscu wypadku jako absolutnie zbędny balast.

Syn ministra spraw wewnętrznych nie był na szczęście tak ciężki, jak sugerował to jego wzrost, ale już sam wiatr, dmący Herzfeldowi w twarz, czynił z tej drogi torturę. Kurtka, spodnie, buty – wszystko było przesiąknięte lodowatą wodą i mogło lada moment przymarznąć do skóry Herzfelda, jeżeli szybko nie wyjdą z tego arktycznego tunelu aerodynamicznego. Szopa na lodzie była jeszcze oddalona o jakieś dziesięć metrów, co w obecnej sytuacji oznaczało nieosiągalną dla nich odległość.

Herzfeld nigdy wcześniej nie odczuwał zimna w postaci tak strasznego bólu, teraz rozumiał relacje o alpinistach, którzy zamarзли w śniegu kilka metrów od obozu. Tę drewnianą szopę miał w zasięgu wzroku, wiedział, że ratunek jest na wyciągnięcie ręki, a mimo to opanowała go niedoparta wręcz chęć położenia się po prostu na ziemi i poddania losowi.

– ...aaac.

– Co?

Ingolf wyjęczał coś z wysiłkiem, co można było zrozumieć jako „spać”, ale Herzfeld mógł się mylić.

– Nie poddawaj się! – wyrzucił z siebie. Chociaż każde

wypowiadane słowo kosztowało go resztki sił, to nie mógł pozwolić, aby Ingolf stracił przytomność. W przeciwnym wypadku wszystkie jego wysiłki pójdą na marne. Nie wolno mu pozwolić, żeby tamten odpłynął.

*Nie teraz. Kiedy już zaszliśmy tak daleko.*

Praktykant znikł całkowicie pod lodem, i tym samym byłby już stracony, gdyby Herzfeld w ostatniej sekundzie nie złapał go za but, akurat w tym momencie, kiedy chciał przekręcić się na bok, aby drugą ręką zdjąć pasek od spodni.

*Mój pasek, dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałem?* Będąc w szoku nad dziurą w lodzie, Herzfeld zastanawiał się, w jaki sposób mógłby zdobyć jakiś bosak, drabinę albo gałąź, a jednocześnie prawie zapomniał o linie ratunkowej, którą miał przecież na sobie.

Ostatecznie udało mu się w jakiś sposób nie tylko wyciągnąć pasek ze szlufek, nie puszczając przy tym Ingolfa, ale także zrobić z niego pętlę i założyć ją na goleń tonącego. Od tej chwili wszystko musiało dziać się w niesłychanie szybkim tempie. Tak szybko, że Herzfeld nie był w stanie przypomnieć sobie później poszczególnych podjętych przez siebie kroków, które doprowadziły w rezultacie do tego, że Ingolf, walczący o każdy oddech, jak ranne zwierzę, leżał skurczony na lodzie obok niego.

Lód najwyraźniej przetrzymał jakoś tę akcję ratowniczą, chociaż Herzfeld musiał przeczołgać się na stronę dziury bardziej oddaloną od brzegu, aby pasek zadziałał jak naturalne przedłużenie nogi Ingolfa, za pomocą którego wyciągnął praktykanta na brzuchu przez krawędź dziury.

– Zaraz będziemy na miejscu – wydyszał Herzfeld i w normalnych warunkach rzeczywiście trwałoby to nie więcej niż trzy sekundy. Teraz jednak zrobiło mu się czarno przed oczami, jego zamarznęte, krzyczące o ciepło i odpoczynek mięśnie odmówiły mu posłuszeństwa i na ostatnich końcowych metrach przed szopą Herzfeld zachwiał się i prawie przewrócił. Jedynie fakt, że wychodząc, pozostawili drzwi uchylone, zapobiegł najgorszemu. W przeciwnym razie zwałiłby się razem z Ingolfem na ziemię przed samym wejściem, a tak, potykając się, wtoczyli się do środka szopy, jak para kochanków, która nie może się siebie doczekać, i runęli razem na podłogę.

*Udało się. Prawie.*

Nagły brak wiatru był wybawieniem. Żadnego szumu w uszach, żadnych szponów wbijających się w skórę i, dzięki grzejnikowi, temperatura w środku nieco powyżej zera. Tylko Ingolf leżał na nim całym swoim ciężarem jak mokry worek i wyciskał mu powietrze z płuc.

Herzfeld nie wierzył, że jest w stanie wykrzesać z siebie jeszcze jakiegokolwiek siły do dalszych działań, ale w końcu nie miał innego wyboru, jak tylko wydobyć się spod praktykanta, jeżeli obaj mieli przeżyć. Przede wszystkim Ingolf musiał jak najszybciej pozbyć się mokrych rzeczy, inaczej zapalenie płuc będzie najmniejszym z problemów, jakie mu grożą. Herzfeld zastygł przez moment, oparty o ziemię dłońmi i kolanami, i usiłował zebrać siły w tej pozycji.

Nadal szczękał zębami z tą samą intensywnością co na jeziorze, a bóle w mięśniach stały się, pod wpływem wyższej temperatury, jeszcze gorsze, bo krew zaczynała ponownie powoli krążyć. Herzfeld miał poczucie, jakby rój mrówek przeciskał się przez jego żyły.

Kiedy błyski przed oczami stały się słabsze, a oddech nieco się ustabilizował, Herzfeld złapał kabel grzejnika i przyciągnął go jak najbliżej siebie. Gdy tylko urządzenie znalazło się w zasięgu jego ręki, ustawił nadmuch na najwyższą moc i skierował go na Ingolfa, który wyglądał jak w ataku epilepsji, ponieważ dygotał na całym ciele.

– Musimy dostać się do domu – powiedział Herzfeld i usiłował rozpiąć koszulę Ingolfa. Barwa jego twarzy była upiorna, wargi skurczyły się do rozmiarów granatowej kreski. Temperatura jego ciała musiała być ekstremalnie niska, ale przynajmniej wyglądało na to, że nie ma wody w płucach, bo jego oddech był wprawdzie przyspieszony, ale nie było słyhać podejrzanego charczenia czy bulgotania.

Jeżeli uda mu się uwolnić Ingolfa z przemoczonego ubrania, zanim obaj nie stracą przytomności z wyczerpania, to mają szansę na przeżycie.

Herzfeld rozerwał jednym ruchem koszulę Ingolfa, ponieważ nie dałby rady rozpiąć guzików trzęsącymi się i zeszywniałymi palcami

– Tak od razu, na pierwszej randce? – powiedział ledwie słyszalnym głosem praktykant, próbując odsunąć jego rękę. Próba uśmiechu skończyła się grymasem.

Herzfeld pokręcił energicznie głową.

– Zły moment na wstyd.

*Naprawdę, widziałem już wystarczająco dużo nagich ludzi. Większość z nich była martwa, tak jak i ty niedługo będziesz, jeżeli szybko nie pozbędziesz się ciuchów.*

Ale Ingolf za nic w świecie nie chciał pozwolić się rozebrać i coraz energiczniej odpędzał się od Herzfelda, a odzyskał już na tyle sił, że mógł oprzeć się plecami o grzejnik.

– Sam sobie poradzę – powiedział, co z trudnością dało się zrozumieć, bo w tej samej chwili odezwała się komórka Herzfelda. Ingolf podniósł palec wskazujący i pokazał na ołtarz, na którym dzwonił aparat Herzfelda, kręcąc się wokół własnej osi z powodu wibracji.

Herzfeld skinął głową i zbliżył się na czworakach do regału, na którego półkach podciągnął się do góry.

– Halo?

Musiał przytrzymywać telefon obiema rękami i przyciskać go do ucha, aby go nie upuścić. Głos z drugiej strony był tak krzykliwy i ostry, że słyszał go nawet Ingolf. Spojrzał przestraszony, przerywając próbę wyplątania się z koszuli.

– Co ty mówisz? – zapytał przerażony Herzfeld, wykorzystując pierwszą przerwę w potoku słów Lindy. Poczul się nagle tak samo wyzbyty wszelkiej nadziei, jak przed chwilą na jeziorze. – Jak mogło dojść do czegoś takiego?

Ledwo zrozumiałe, histeryczne słowa Lindy sprawiły, że wypełniający go chłód stał się jeszcze bardziej dotkliwy. Aby upewnić się, że dobrze ją zrozumiał, zapytał raz jeszcze:

– Czy Ender nie żyje?

Nie mam pojęcia – warknęła Linda do słuchawki i raz jeszcze próbowała wyczuć puls dozorca, który leżał przy przesuwanych drzwiach plecami do ściany z wyciągniętymi do przodu nogami, podczas gdy ona klęczała obok niego. – Światło zgasło, Ender wyszedł, światło znowu się zapaliło, a on stał przede mną. Z nożem w szyi.

Widziała tylko jasnoniebieski gumowy trzonek. Wyglądało to, jakby Ender został zaatakowany z tyłu i w ostatniej sekundzie odwrócił się do napastnika. Nóż tkwił ukośnie w jego szyi i wszedł w ciało około dwóch centymetrów obok karku. Nie było widać, żeby przeszedł gdzieś na wylot.

– Ale szedł jeszcze o własnych siłach?

Głos Herzfelda był zmęczony, prawie obojętny, a Linda zadawała sobie pytanie, czy profesor nie jest przypadkiem pijany. Miała wrażenie, jakby musiał skupiać się na każdym pojedynczym słowie.

– Zrobił dwa kroki, a potem osunął się w moje ramiona. Co mam teraz robić?

*Paul, do cholery, pokazałeś mi tylko, jak się rozcina ludzi, ale nie jak reperuje.*

– Nie mamy innego wyboru, musisz natychmiast sprowadzić pomoc – usłyszała jego słowa.

– Ale kogo? Nie ma już żadnych lekarzy na wyspie, a przynajmniej nic o tym nie wiem, żeby jakiś był. Poza tym cholernie się boję, że zabójca wróci.

Pomyślała o Dannym, o mokrym ręczniku, nieżywym kocie w jej pralce i taśmach wideo, jakie nagrywał, kiedy spała, i zadawała sobie pytanie, jaki związek ma to szaleństwo z jej przeszłości z tym obłędem teraźniejszości. Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym mocniej drżała jej dłoń, w której trzymała telefon.

– Możesz zamknąć się tam na dole? – zapytał Herzfeld.

– Już to zrobiłam. Klucz Endera tkwi od środka. Jeżeli ten wariat nie wejdzie przez szyb wentylacyjny albo coś w tym rodzaju, jesteśmy bezpieczni, ale nie wiem, jak długo Ender wytrzyma.

– Oddychanie?

– Nie mam pojęcia, nie rusza się.

– Tętno?

Linda przycisnęła palec wskazujący i serdeczny do tętnicy szyjnej Endera, ale nie była pewna, czy coś rzeczywiście wyczuwa.

– Jeżeli już, to słabe.

– Krew?

– Niewiele.

– Co znaczy niewiele? – Głos Herzfelda brzmiał tak, jakby zabrakło mu tchu, jakby on także miał nóż w szyi.

– Kombinezon ma zakrwawiony, ale nic z niego nie tryska.

– To być może mieliśmy szczęście...

– SZCZĘŚCIE?

– ...i nie zostały uszkodzone istotne naczynia. Skoro mógł jeszcze iść, wygląda na to, że również i rdzeń kręgowy nie jest uszkodzony.

*O ile on jeszcze w ogóle żyje.*

– Sama nie wiem, Paul, on nie wygląda za dobrze.

Linda poczuła, jak od nasady włosów zaczęła spływać kropla potu, a to z kolei przypomniało jej Danny'ego i blizny po kwasie, jakie przez niego miała.

*Cholera, Clemens. Powiedziałeś, że się nim zająłeś. A teraz co?*

Linda jęknęła i otarła dłonią pot z czoła.

– Czy mam wyjąć nóż?

– W żadnym razie. Nie wolno mu się też ruszać! Musi mieć ciepło, owiń go kocami i... – Sądząc po odgłosach na linii, Herzfeld otworzył właśnie jakieś skrzypiące drzwi i wyszedł na zewnątrz. Końcówka zdania całkowicie utonąła w szumie wiatru.

– I co? – zapytała, wstając i zastanawiając się, skąd miałyby tu wziąć ciepłe koce, nie opuszczając sali sekcyjnej.

– Daj mi pięć minut! – Herzfeld sprawiał teraz wrażenie nie tyle pijanego, ile raczej kogoś walczącego z bólem. Wyglądało na to, że ta rozmowa jest dla niego ogromnym obciążeniem, pod którym zaraz się



załamie. Powiewy wiatru w tle były coraz głośniejsze.

– Wszystko w porządku u ciebie? – zapytała Linda, ale nie otrzymała żadnej odpowiedzi. – Kurwa, mówię do ciebie! – wrzasnęła, mimo, że wiedziała, że Herzfeld po prostu się rozłączył. Ponieważ jednak poczuła, że taki wrzask pomaga na wzmagającą się panikę, nie przestawała wykrzykiwać obelg do słuchawki, aż wreszcie głos jej się załamał. – Co mam teraz robić, ty durny sukinsynu?

W szpitalu było z pewnością dosyć poduszek i koców. *Tylko nie tutaj, w kostnicy.*

Jej wzrok powędrował do czerwono-zielonego piktogramu na ścianie nad zlewem. „W razie zagrożenia zachować spokój”, napominała ta tabliczka drukowanymi literami. Linda roześmiała się histerycznie.

*To mógł napisać tylko jakiś idiota, który nigdy jeszcze nie był w sytuacji zagrożenia.*

– Zachować spokój, totalna bzdura.

*Czy dotyczy to również ofiar stalkingu, które z rozciętymi zwłokami topielca, nabitej na pal sędziny i umierającym dozorcą muszą ukrywać się przed psychopatą w sali sekcyjnej nieczynnej chwilowo kliniki?*

Spojrzała w stronę stołów sekcyjnych. Nagle ogarnęło ją ogromne zmęczenie. Psychiczne obciążenie ostatnich godzin doprowadziło ją do granicy wytrzymałości. Linda stłumiła ziewnięcie, a przy tym spojrzała po raz kolejny na szpitalne łóżko, na którym przywieźli sędzinę do pomieszczenia sekcyjnego.

*Materac, właśnie!*

Podeszła do łóżka i zdjęła szybko pokrowiec z materaca. Śmierdział wprawdzie stęchlizną, ale nie był specjalnie brudny i musiał na razie Enderowi wystarczyć.

– Nie mam niestety nic cieplejszego – wyszeptała Enderowi do ucha, kiedy już przykryła go pokrowcem. Następnie ściągnęła z łóżka lateksowy materac i zaciągnęła go ze sporym wysiłkiem do drzwi. Herzfeld powiedział wprawdzie, że nie należy ruszać Endera, ale z drugiej strony nie może przecież tak leżeć na zimnej podłodze.

*O ile, w ogóle czuje jeszcze zimno,* pomyślała Linda, i od tej chwili wszystko stało się jeszcze gorsze.

Najpierw Ender otworzył oczy, zaczął łapać spazmatycznie

powietrze, ale kiedy Linda już zaczęła mieć nadzieję, nagle, z sekundy na sekundę, oznaki życia zaczęły zanikać. Tym razem wyglądało na to, że ostatecznie.

Z płuc dozorczy wypłynęło całe powietrze jak z przedziurawionej opony samochodowej. Ender wypowiedział jeszcze ostatnie słowo: „Pomocy!”, a potem jego oczy wywróciły się białkami do góry, zanim dosłownie zapadł się w sobie.

– Nie, nie rób tego. Nie wolno ci umrzeć! – chciała krzyknąć Linda, ale wydała z siebie tylko zduszony skrzek, i być może to było jej szczęście.

Gdyby wykrzyczała głośno swoją rozpacz, to z pewnością zdradziłaby swoją obecność, a już na pewno nie usłyszałyby tego ostrzegawczego odgłosu: ktoś stał pod drzwiami sali sekcyjnej i wkładał klucz do zamka.

O, nie, obraca się.

Linda nauczyła się od swoich rodziców, dumnych posiadaczy jednorodzinnego domku, żeby zawsze zostawiać klucz w zamku od środka.

„*To chroni przed włamywaczami. Nigdy nie wiadomo, kto mógł sobie dorobić zapasowy klucz*”, powtarzała niezmiennie jej matka, nieodmiennie sprawdzając drzwi wejściowe przed pójściem spać. I rzeczywiście, w domu jej rodziców nie można było wejść do środka, kiedy w zamku tkwił klucz. Ale to, co funkcjonowało w szeregowcu na przedmieściach, okazało się tutaj całkowicie nieskutecznym zabezpieczeniem. Według Lindy było tylko jedno wytłumaczenie: te przesuwane drzwi musiały mieć zamek z podwójnym cylindrem, w przypadku którego było bez znaczenia, czy ktoś zablokował mechanizm, wkładając klucz od środka, czy też nie.

Ktokolwiek był tam po drugiej stronie, najwidoczniej miał klucz do sali sekcyjnej i żadnych problemów z jego wykorzystaniem.

*Zamek się kręci, cholera jasna.*

Środkowa część cylindra poruszała się zgodnie z ruchem wskazówek zegara, a wraz z nim klucz Endera, którym Linda przed kilkoma minutami zamknęła przesuwane drzwi.

*Co mam teraz zrobić?*

Wpatrywała się jak sparaliżowana w obracający się powoli cylinder zamka. Najchętniej zaczęłaby krzyczeć i przytrzymała klamkę opierając się o drzwi. Jednocześnie jednak coś w niej sprzeciwiało się ujawnieniu się i bezcelowej utracie sił.

*A więc walczyć?*

Spojrzała na nóż sekcyjny leżący na podłodze, który upuściła, kiedy Ender osunął się w jej ramiona. Leżał tylko kilka centymetrów od uda dozorczy, który robił wrażenie całkowicie nieżywego.

*Jestem sama!* – uświadomiła sobie Linda w momencie największej paniki. *Sama w sali sekcyjnej.*

Nagle oczyma duszy zobaczyła obrazek z komiksu: widziała siebie

samą z dymkiem nad głową, w którym kłóci się aniołek z diabełkiem.

– *Nie mogę sama walczyć z mordercą!*

– *Skąd wiesz, że tam pod drzwiami stoi morderca?*

– *A kto inny?*

– *Nie mam pojęcia. Może ktoś, kto chce ci pomóc?*

– *Oczywiście. Tak jak pomógł Enderowi, Erikowi i sędzinie?*

Linda toczyła swoją wewnętrzną walkę, podczas gdy na jej oczach klucz w zamku dalej obracał się wokół własnej osi. Ktokolwiek chciał tu wejść, robił to bardzo powoli, jakby nie chciał wywołać żadnego hałasu i wtargnąć możliwie bezszelestnie.

Jeszcze jeden obrót o trzysta sześćdziesiąt stopni i te matowo błyszczące, stalowe drzwi dadzą się bez problemu odsunąć.

– *Komuś, kto chce pomóc.*

– *Mordercy!*

Wiedziała, że zostało jej już tylko kilka sekund, podczas których musiała zacząć działać, inaczej ktoś inny podejmie za nią decyzję.

*Czekać? Walczyć? Albo...?*

Linda zdecydowała się na to „albo” i podbiegła do szafy ściiennej znajdującej się naprzeciwko stołów sekcyjnych. Nagle zawróciła w połowie drogi, podniosła nóż i popędziła ponownie, ale już do chłodni, w których przechowywano zmarłych pacjentów.

Znajdowały się tam tylko dwie szuflady: prawdopodobnie w tym małym szpitalu na wyspie nie liczone się z wieloma przypadkami śmierci naraz.

*No właśnie, jak to można się pomylić...*

Linda otworzyła drzwi jednej z szuflad i wyciągnęła ją możliwie cicho po szynach. Za sobą usłyszała szcęk, co oznaczało, że wejście do sali zostało otwarte. W tej samej sekundzie ponownie zgasło światło.

*Szybko, szybciej...*

Nie namyślając się długo, chwyciła trzonek noża zębami, podciągnęła się na rękach na górnej krawędzi chłodni na zwłoki i wsunęła się, stopami do przodu, do wnętrza. Tam położyła się na plecach i odpychając się mocno dłońmi od gładkiej powierzchni ścian jak bobsleista, wsunęła się razem z całą szufladą *do mrocznej jamy.*

Chłodnia na zwłoki, jak wiele innych urządzeń w sali sekcyjnej, była nowa i nieużywana.

Linda na próbę nacisnęła drzwiczki, które przed chwilą właśnie zamknęła za sobą, i uspokoiła się, że można je otworzyć także od wewnątrz. Ulgę sprawił jej także fakt, że chłodnia nie była chyba podłączona do awaryjnego zasilania prądem z agregatu. Było wprawdzie przytłaczająco ciasno, ale przynajmniej nie zimno.

*Czy także i tutaj mam włożyć klucz od wewnątrz, mamusiu?* – pomyślała, kiedy ostatecznie zamknęła drzwiczki, i z dużym wysiłkiem zmusiła się do opanowania histerycznego śmiechu.

Dopiero teraz zorientowała się, że nadal trzyma między zębami trzonek noża sekcyjnego. Wyjęła go i położyła sobie na piersi, obejmując go mocno palcami.

*Nadchodzi!*

Linda usłyszała ciężkie szuranie, potem kroki. Odgłosy, jakie do niej docierały, były przytłumione, ale mimo to zadziwiająco dobrze słyszalne, co mogło wynikać z faktu, że jej zmysł słuchu w tej zimnej, odciętej od wszelkich innych odczuć, ciemności pracował na najwyższych obrotach. Jeżeli nie uległa złudzeniu, to napastnik znajdował się właśnie bezpośrednio przed chłodnią i ciężko oddychał, co spowodowało, że popadła w rodzaj paraliżu szokowego. Liczyła się z tym, że drzwiczki zostaną lada moment otwarte, a ona spojrzy swojemu mordercy w twarz.

Lindzie z trudem udało się powstrzymać odruch, żeby chociaż odrobinę uchylić drzwi i rzucić okiem na osobę, która powłócząc nogami, porusza się teraz w sali sekcyjnej. W tym momencie wydawało jej się, że oddala się ona od chłodni, ale to właśnie, paradoksalnie, powiększyło jej strach, bo pojawiła się w niej absurdalna wizja, że ten szalenciec bierze rozbieg, aby wyciągnąć ją z tej kryjówki.

*Cholera, w co ja się znowu wpakowałam? Dwa trupy, jeden rozcięty przeze mnie, drugi z kijem w odbycie i dozorca z nożem sekcyjnym w szyi. A jestem zaklinowana w szufladzie w chłodni na*

*zwłoki!*

Przypomniała sobie krew w zlewie, ślady walki, instrumenty na podłodze – już sam pas narzędziowy ze słuchawką bezprzewodową, wiszący nad otwartymi zwłokami, był przerażającym widokiem, który z pewnością będzie ją nawiedzał w koszmarach sennych, podobnie jak i jękliwy odłos, z jakim z ciała Friederike Töven uchodziło powietrze.

W tym momencie nie atakowały ją żadne tego typu budzące grozę odgłosy, ale nie była pewna, czy to, że na zewnątrz chłodni w sali sekcyjnej nagle zapanowała całkowita cisza, to dobry czy zły znak.

Żadnego sapania, szurania, żadnych kroków czy dzwonięcia kluczami.

– *Poszedł sobie* – zameldował się diabełek po długiej chwili, w czasie której Linda nie ruszyła się ani o milimetr.

– *A skąd to wiesz?*

– *Gdyby wiedział, że siedzisz tu w pułapce, dawno już by cię wyciągnął.*

– *Dobry argument.*

– *Mówię przecież. Wychodź stąd.*

Linda odetchnęła głęboko, położyła obie dłonie na wewnętrznej stronie drzwiczek za głową i już chciała ją otworzyć, ale w tym samym momencie coś ją powstrzymało.

*W środku jestem bezpieczna. Na zewnątrz umrę.*

Sama zdawała sobie sprawę, jak nierozsądna jest ta myśl, tak niepoważna, jak przekonanie małych dzieci, że nikt ich nie widzi, kiedy tylko przysłonią sobie rękami oczy.

Ale tutaj w środku, otoczona stalową ciemnością, czuła się mniej zagrożona. Była to krucha osłona, rodzaj kokonu, z którego nie chciała wyjść, bo obawiała się, że jak tylko otworzy drzwiczki, owładnie nią ponownie nie tylko trupi zapach, ale także strach.

Zimny, nagi, paraliżujący strach: przed zabójcą, który miał na sumieniu wszystkie te ciała – Erika, Töven. I być może Endera. Przed tym szaleńcem, który grasuje tutaj na wyspie, a do tego jeszcze prawdopodobnie na terenie kliniki: jeden człowiek, który porwał córkę Herzfelda, spreprował ciała i wbił Enderowi nóż w szyję.

*Ale z jakiego powodu?*

Linda przygryzła dolną wargę, usiłowała zebrać w sobie całą odwagę, aż w końcu uznała dzwonięcie telefonu za znak, że może opuścić swoją kryjówkę. Nieświadoma tego, że w odległości kilku metrów od niej, w spowitej w całkowitej ciemności sali sekcyjnej, przyczał się między stołami sekcyjnymi mężczyzna.

Pokonanie drugiego kawałka drogi było jeszcze gorsze niż pierwszego i Herzfeld był niemal pewien, że nie uda im się tam dotrzeć, nawet pomimo że wybrał krótszy odcinek.

Ingolf, który w szopie na łodzie czuł się z każdą chwilą coraz lepiej, proponował powrót do porsche.

– *Ogrzewanie postojowe... uruchomione... ogrzewane fotele... natychmiast spadamy.*

Jednak Herzfeld przeforsował własny pomysł i ruszył z powrotem do domu, co w konsekwencji miało się okazać decyzją ratującą im obu życie, ponieważ Ingolf przecenił swoje siły. Z obnażoną górną częścią ciała, zawinięty tylko prowizorycznie w filcowy koc, który był przybity do drzwi jako wiatrochron, nie był w stanie zrobić nawet dwóch kroków o własnych siłach. Nogi ugięły mu się w kolanach, jak tylko wyszli z dającego osłonę wnętrza szopy. Herzfeld ponownie wziął go na barana, ale musiał kilkakrotnie zestawiać go na ziemię, zanim dotarli do wejścia od strony ogrodu.

Wnętrze domu znacznie się ochłodziło w porównaniu z tym, co zastali w momencie przybycia, ale w jadalni nadal panowała temperatura jak w środku lata, co w pierwszej chwili wydało im się zbawienne, ale w następnej okazało się już męką. Krew rozrzedziła się w ich naczyniach i Herzfeld musiał zagryźć język, żeby nie zawyć z bólu. Paradoksalna sprawa. Jeszcze kilka sekund wcześniej miał wrażenie, że zamarznie, a teraz zatęsknił ponownie do świeżego powietrza, bo z powodu nagłego gorąca skóra napięła mu się nie do wytrzymania. Mimo to, gdy tylko udało mu się zebrać siły, włączył dmuchawę znajdującą się w pomieszczeniu, chociaż smród rozkładającej się świni stał się przez to jeszcze bardziej nieznośny. Ich ciała koniecznie potrzebowały ciepła, nawet jeżeli odczuwali to inaczej.

– Dziękuję – powiedział po chwili Ingolf, nie patrząc na Herzfelda.



Musiał mówić nieco głośniej, ponieważ zagłuszał go szum dmuchawy.

Obaj rozebrali się do naga i od dłuższego czasu klęczeli przy grzejniku, owinięci w ciepłe wełniane koce, które Herzfeld znalazł w skrzyni w korytarzu.

Herzfeld pokręcił głową na znak, że nie ma o czym mówić.

– Przecież uratował mi pan życie. – Ingolf uśmiechnął się blado, potem przełknął głośno ślinę. – Kurcze, nigdy nie myślałem, że wypowiem kiedyś ten wyświechtany frazes.

Herzfeld chciał coś odpowiedzieć, ale trudno mu było się skoncentrować. Podczas pokonywania tych niewielu metrów do dworku skupiał się wyłącznie na tym, żeby przeżyć. Teraz jego myśli powróciły do Hannah. I do Lindy.

Spojrzał na stół, na którym leżała jego komórka.

– Ale kiedy to prawda – upierał się przy swoim Ingolf. Głos praktykanta brzmiał jakoś inaczej. Był ochryply i załamujący się. – Jestem pana ogromnym dłużnikiem.

Herzfeld spojrzał na niego przelotnie, a potem jeszcze przez dziesięć sekund pozostawał w pobliżu ciepłego nadmuchu, zanim odważył się ruszyć na czworakach do komórki na stole

– Będzie mi pan coś winien, jeżeli nie przestanie pan gadać jak aktor w marnej operze mydlanej – powiedział, podnosząc się z kolan.

Ingolf uśmiechnął się ponownie.

– A propos aktora. Mówił już ktoś panu, że wygląda pan jak ten lekarz, zaraz, jak on się nazywa...

– Zamknij się! – przerwał mu niezbyt elegancko Herzfeld, ale z rozbawieniem w głosie.

– Nie, nie, chyba jakoś inaczej. – Wysilił się na dowcip Ingolf. – Ale ma pan rację, jego nazwisko zaczyna się na Z.

Parsknął nieco zbyt głośnym śmiechem, jak na tak marny dowcip, ale także Herzfeld najchętniej roześmiałby się w głos – nie dlatego, że opanowała go wesołość, lecz aby pozbyć się napięcia, jakie nadal odczuwał, od kiedy uniknęli śmierci. Jednak w przeciwieństwie do Ingolfa brakowało mu siły na zbędne okazywanie emocji. Musiał całkowicie skoncentrować się na dotarciu do stołu bez potykania się o koc.

*Hannah*, pomyślał, kiedy w miarę zbliżania się do stołu czuł coraz silniejszy odór rozkładającego się zwierzęcego mięsa.

Dopiero idąc, Herzfeld poczuł, jak bardzo jest wycieńczony. Ciepło było teraz przyjemne i nie bolało już tak bardzo, ale zaczynało działać jak środek usypiający. Na szczęście nie odczuwał apatii, typowej dla ofiar wyziębienia, których siły życiowe powoli zanikają, jeżeli w porę nie podniesie się ich temperatury. W momencie kiedy ciepłota ciała spadnie poniżej krytycznej wartości, nie pomogą już żadne grzejniki świata.

Herzfeld poczuł skurcz, jakby miał zakwasy w całym ciele, ale był to najlepszy dowód na to, że przeżyje dzisiejszy dzień. Ludzie zamarzający, jak pisano w podręcznikach, nie odczuwają od pewnego momentu żadnych bólów. Wręcz przeciwnie: w ich mózgu, bombardowanym przez różne hormony i substancje neuroprzekaznikowe, powstaje podobno uczucie ostatniej euforii przed śmiercią.

*Ale kto to wie dokładnie?* – pomyślał Herzfeld i wyciągnął rękę po telefon, który wskutek wibracji dzwonka o mało nie spadł z blatu stołu.

Pomyślał, że w końcu przecież nigdy się jeszcze nie zdarzyło, żeby jakiś trup wrócił, żeby poddać się badaniom i już chciał odebrać telefon, kiedy zorientował się, że to niemożliwe.

*To nie rozmowa.*

W jego komórce dzwoniło powiadomienie terminarza.

**SPOTKANIE W DZIALE KADR**

(sprawa bójki)

Wyłączył alarm i powiadomienie zniknęło z ekranu równie szybko, jak i z jego świadomości. Jeszcze kilka godzin temu martwił się, że może stracić pracę, lecz teraz wszystko to stało się nieważne. Teraz liczyła się tylko jego córka. Jeżeli to nie Hannah była tą dziewczyną, którą Martinek zatopił pod lodem jeziora – a więc, jeżeli jeszcze żyła – to niewykluczone, że kolejną wskazówkę dotyczącą miejsca jej pobytu tamten umieścił w ciele sędziny.

Herzfeld nacisnął ponowne wybieranie, aby zadzwonić do kliniki, do Lindy. Po mniej więcej dwudziestu dzwonekach pojawił się pulsujący zajęty sygnał i Herzfeld spróbował jeszcze raz. I jeszcze.

Za każdą taką próbą czuł narastającą rozpacz. Słyszał, jak Ingolf kaszle i pociąga nosem, ale dobiegało to z tak dużej odległości, jakby praktykant nie znajdował się już razem z nim w tym samym pokoju.

*Odbierz. Proszę. Linda, odbierz telefon!*

Wreszcie – już chciał się rozłączyć i rzucić komórką przez całą jadalnię, kiedy ktoś odebrał.

– Linda? – krzyknął tak głośno, że za jego plecami Ingolf aż podskoczył przerażony.

Usłyszał tylko jakieś szelesty.

– Halo, słyszysz mnie? – zapytał Herzfeld.

Ktoś dyszał w słuchawkę. Herzfeld nie był pewny, czy był to bardziej śmiech, czy kaszel. Ale już sam ten odgłos wystarczył mu, aby wiedzieć, że to nie Linda odebrała telefon.

Lecz mężczyzna.

A sądząc po pulsującym zajęтым sygnale, który usłyszał teraz Herzfeld, nieznajomy się rozłączył.

Serce Lindy zamarło.

Nie w przenośnym sensie, którego używa się, żeby powiedzieć, że ktoś się przeraził, lecz dosłownie. Zastawki przestały na moment pracować, przepływ krwi się zatrzymał, a Linda po raz pierwszy w swoim życiu poczuła oznaki ataku klaustrofobii.

Zazwyczaj nie miała żadnych problemów z wysokością czy ciasnotą. Uwielbiała te rodzaje sportów, które większość uważa za ekstremalne: skoki ze spadochronem, nurkowanie w jaskiniach, skoki na bungee. Wizja utknięcia w windzie nie budziła w niej koszmarów. Jednak od momentu, kiedy telefon w sali sekcyjnej zadzwonił po raz pierwszy, miała poczucie, jakby tkwiła w zsypie na śmieci, którego ściany powoli, ale niepowstrzymanie zbliżają się do siebie. Jednocześnie wzrastało napięcie od wewnątrz: im dłużej dzwonił telefon, tym wyraźniej czuła, jakby jakiś pierścień coraz mocniej zaciskał się wokół jej serca.

A przecież pierwszy dźwięk tego dzwonka był impulsem do opuszczenia kryjówki. Jednak, kiedy tylko Linda uchyliła nieco drzwiczki, potwierdziły się jej najgorsze przewidywania: została zaatakowana. Przez zapach. Przez odgłosy. Przez strach.

Prześladowca nadal tam był, i mogła mówić o szczęściu, że telefon odwrócił zapewne jego uwagę i dotąd jej nie usłyszał. Zesztywniała z przerażenia, wsłuchiwała się w odgłosy dochodzące z sali sekcyjnej i nie udało jej się okłamać samej siebie: *a może to wszystko mi się tylko śni? Może wcale nie znalazłam żadnych zwłok, nie mówiąc już o ich rozcinaniu? Nie leżę w szufladzie chłodni na zwłoki, lecz we własnym łóżku?*

Linda dałaby wiele, aby to właśnie była prawda, ale dlaczego w takim razie nóż w jej dłoni jest tak realny?

Przycisnęła kciuk do ostrza i zwolniła nacisk dopiero wówczas,

kiedy poczuła ostry ból.

*A więc to nie sen. Kurwa!*

Włożyła kciuk do ust i ssała go jak dziecko, a kiedy poczuła smak krwi, przyszła jej na myśl matka, która zawsze ją pocieszała, kiedy bała się w ciemności.

*„Ćśśś, nikogo nie ma pod twoim łóżkiem, kochanie”.*

*„Nie, nie pod łóżkiem, tylko...”.*

...tylko w sali sekcyjnej, co do tego nie mogło być żadnych wątpliwości: słyszała przecież kroki, a nie odgłosy pracującej klimatyzacji. Po sali przemykały refleksy światła latarki, a nie wytwory halucynacji. Tkwiła w szufladzie chłodni, a nie w wytworze swojej wyobraźni.

Ktoś, realna osoba, podeszła do telefonu. Ktoś odebrał połączenie i...

*Zakaszła!*

Usłyszała to wyraźnie, coś pomiędzy dyszeniem i śmiechem, jakby ten mężczyzna wyśmiewał się z osoby dzwoniącej. Teraz, po tym, jak bez słowa przerwał połączenie, Linda usłyszała ponownie szurające kroki. Podczas gdy wcześniej oddalały się od szuflad chłodni, teraz powoli się przybliżały.

*Wielki Boże, pomocy,* krzyknęła Linda, ale tylko w myślach, a potem popełniła błąd, wycierając mokrą od potu ręką noża o spodnie, aby w razie czego pewniej trzymać go w garści.

Na nieszczęście nóż wyslizgnął się jej z zeszywniałych palców i zniknął między prętami dna szuflady, wydając lekki brzęk.

Nie miała nawet czasu na robienie sobie wyrzutów i rozmyślanie o tym, czy nieznajomy coś usłyszał, czy nie, bo kilka sekund później drzwiczki od jej kryjówki zostały gwałtownie otwarte.

To ty?

Linda znów zadała sobie pytanie, czy od czasu, gdy wyszła z szuflady chłodni, nie ma przypadkiem halucynacji. Jej zaskoczenie było tak wielkie, że na chwilę zapomniała nawet o trupim zapachu.

– Ender?

Strumień światła z jego latarki nie padał już bezpośrednio na jej twarz, lecz był skierowany na sufit, co sprawiło, że cała sala sekcyjna wypełniła się upiorną, mroczną poświatą.

Teraz, kiedy stała o krok od Endera, musiała zasłonić sobie dłonią usta, aby głośno nie krzyknąć. Ender wyglądał potwornie.

Dozorca przypominał ciała leżące na stołach ze stali szlachetnej albo woskową figurę z gabinetu potworności. Jego rzadkie włosy sterczały na wszystkie strony, twarz i dłonie były całe pomazane krwią jak jego kombinezon, a trzonek noża sekcyjnego tkwiący w jego szyi unosił się i opadał z każdym oddechem

– J...jak...t...t... o możliwe, nie czujesz, że...? – usiłowała sformułować pytanie, niezdolna do wypowiedzenia go do końca.

*Jak to możliwe?*

Ender wzruszył ramionami i patrzył na nią raczej zdziwiony niż przestraszony. Otworzył usta i najwyraźniej chciał coś powiedzieć, ale z powodu rany wydawał z siebie tylko niezrozumiałe dźwięki.

Dwie rzeczy były oczywiste: Linda pomyliła się, dozorca nie umarł, lecz zapadł w stan głębokiej utraty przytomności. Oraz: był w szoku od momentu, kiedy odzyskał świadomość.

Przypomniał jej się reportaż z Iraku na temat ofiar zamachów samobójczych. Po jednym z takich ataków sprzedawca warzyw szukał swojego małego synka, a to, że wybuch urwał mu lewą rękę aż do barku, zauważył dopiero, kiedy chciał wyciągnąć swoje martwe dziecko spod gruzów bazaru.

Ender musiał być w podobnym szoku, inaczej nie można było wyjaśnić, dlaczego stoi przed nią tak całkowicie spokojny i zupełnie nie dziwi się stanowi, w jakim się znajduje.

Uniósł brwi do góry i wycharczał coś, co można było zrozumieć jako: „Co się stało?”

Linda potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

*To nie do wiary. On nie czuje noża.*

Prawdopodobnie jego organizm produkował w tym momencie kilogramy endorfin, które tłumili ból i część jego pamięci.

– Prze... ziębiłem... się – wymamrotał i złapał się za gardło.

*Tak, jasne. Coś złapałeś. Ale nie wirusa, tylko ostrze noża!*

– Nie, nie! – krzyknęła Linda, kiedy zobaczyła, że Ender chce przekręcić głowę w bok, zapewne po to, aby rozluźnić napięte mięśnie karku. Spojrzał na nią pytającym wzrokiem, jakby to ona stała przed nim z nożem sekcyjnym wbitym w ciało, a nie odwrotnie.

„Żadnych gwałtownych ruchów”, dała mu do zrozumienia.

Linda nie była pewna, czy nie pogorszy sytuacji, jeżeli powie Enderowi, co się wydarzyło. Jeden fałszywy skręt głowy, jeden fałszywy krok i może zostać sparaliżowany na całe życie, o ile nie gorzej. Z drugiej strony Ender miał już czoło mokre od potu i zaczynały mu dygotać dłonie. Wcześniej czy później szok ustąpi, a ból powróci – a wraz z nim świadomość całej sytuacji. Linda nawet nie próbowała sobie wyobrazić, jak Ender może zareagować, kiedy odkryje nóż w swojej szyi.

– Zostaliśmy napadnięci – zaczęła powoli przybliżać mu prawdę.

– Kogo? – wyksztusił z siebie Ender. Z każdym słowem jego głos brzmiał bardziej zrozumiale.

– Myślę, że przez tego, kto ma na sumieniu także tych wszystkich ludzi. – Wskazała na stoły sekcyjne.

– Schowałaś?

– Tak, schowałam się.

*Tak, mniej więcej.*

Ender skierował światło latarki na materac przy drzwiach wyjściowych, potem na podłogę, aby nie oślepić Lindy. Zauważył przy tym, że poluzowała się sznurówka jego prawego buta. Chciał się pochylić.

– Nie, nie.

– Czo? – zapytał Ender.

– Zabójca ciężko cię zranił.

Linda zdecydowała się na kłamstwo z konieczności.

– Obawiam się, że masz pękniętą czaszkę albo coś w tym rodzaju.

Musisz zachowywać się spokojnie, nie możesz wykonywać gwałtownych ruchów, schylać się i w żadnym razie nie dotykaj się, słyszysz? Ani do szyi, ani do głowy.

– Szyjj? – zapytał Ender, a potem było już za późno. Zanim Linda mogła go powstrzymać, Ender podniósł rękę i podczas próby dotknięcia karku natknął się na trzonek noża.

– Czo to jesz do diabła... – brzmiały jego ostatnie, zadziwiająco klarowne, słowa, zanim nie zaczął krzyczeć. Najpierw bezgłośnie, z otwartymi ustami, jak mężczyzna, którego kopnięto w jądra i któremu pierwsza fala bólu odebrała powietrze potrzebne do krzyku. A potem głośno i gardłowo.

Wbrew wszelkim ostrzeżeniom ze strony Lindy zatoczył się w kierunku zlewu przy drzwiach wejściowych, pod którymi leżał jeszcze nie tak dawno, i skierował światło latarki na wiszące tam lustro.

– Ostrożnie – ostrzegła go ostatni raz Linda, daremnie.

Ender zobaczył swoje odbicie w lustrze i zrozumiał, czego właśnie dotknął palcami. Jego usta ułożyły się w zdziwione O. Zamrugał, jakby coś wpadło mu do oka, potem latarka wypadła mu z dłoni i upadła na kafelki podłogi, powodując głośny i głuchy huk, a potem zwiotczałe nagle ciało Endera poszło w jej ślady.



Jest z pełnym wyposażeniem – wydyszał Ingolf przez ściśnięte gardło i nacisnął z siedzenia obok kierowcy guzik przy kierownicy. – Sto trzydzieści pięć tysięcy euro, cena katalogowa, a więc niech pan jedzie...

– Ostrożnie, tak, tak – powiedział Herzfeld, przesunął dźwignię biegów na wsteczny i ruszył z buksującymi kołami w kierunku szosy.

– Stop! – zawołał Ingolf i złapał się za rączkę nad drzwiami. – Nie tak szybko.

Herzfeld przełączył ze zgrzytem na pierwszy bieg.

– A teraz dokąd? – zadał uzasadnione pytanie Ingolf. *Teraz, kiedy już wiemy, kto stoi za tym całym obłędem.*

Herzfeld pędził odśnieżoną tylko prowizorycznie drogą w kierunku wyjazdu z miasteczka i patrzył pustym wzrokiem przez zaparowaną częściowo przednią szybę. Ponownie zaczęło śnieżyć.

Trząsał się cały z zimna, mimo ogrzewania ogólnego i podgrzewanych siedzeń, jednakże nie tak bardzo, jak syn ministra spraw wewnętrznych siedzący obok niego.

Ingolf miał pojawiające się w nieregularnych odstępach dreszcze, prawie nieustannie szcząkał zębami i dyszał podczas mówienia jak pies, który przez wiele godzin leżał na słońcu. Poza tym nie był już w stanie poruszać palcami, które spuchły do podwójnej wręcz objętości.

– Straciliśmy zbyt dużo czasu. – Herzfeld zignorował jego pytanie i przyspieszył na prostym odcinku.

Dworek opuścili już jakiś czas temu, kiedy wreszcie wyschła ich bielizna, którą położyli na rurze dmuchawy. Praktykant miał teraz na sobie granatowy dres, który Herzfeld znalazł w torbie sportowej w bagażniku, i był zawinięty w ciepłe koce, które przewidująco kupili na podróż wraz z prowiantem na dworcu. Herzfeld włożył ponownie swoje dżinsy, mimo że w kilku miejscach były jeszcze wilgotne, ale wołał raczej zaryzykować zapalenie płuc, niż włożyć coś na siebie z rzeczy Martinka – rzeczy porywacza.

*A może mordercy?*

– Potrzebuję znowu kabla do ładowarki – zażądał Herzfeld. Jego

głos był monotony, zmęczony przeżyтыми wydarzeniami, które o mało nie doprowadziły do śmierci ich obu. I umocniły przypuszczenie, które było tak straszne, że nawet sama myśl o tym była nie do zniesienia:

*Hannah nie żyje.*

Ingolf podał mu kabel, a Herzfeld kilkakrotnie usiłował w trakcie jazdy włożyć wtyczkę do gniazda zapalniczki, zanim wreszcie mu się udało. Dawniej, kiedy komórki służyły przede wszystkim do telefonowania, można było ich używać natychmiast po podłączeniu do zasilania. Teraz trzeba było odczekać najpierw kilka minut, żeby smartfon był gotowy do użycia. Czas ten Herzfeld wykorzystał do uporządkowania swoich mrocznych myśli, podczas gdy samochód jechał z powrotem w kierunku autostrady.

Z jednej strony nie mogło być już chyba żadnych wątpliwości co do tego, że to Martinek stoi za wszystkimi tymi przerażającymi wydarzeniami. Były kolega Herzfelda kazał najpierw odpokutować głównym winowajcom śmierci własnej córki, przede wszystkim Janowi Erikowi Sadlerowi. Zanim go zamordował, wyciął psychopacie język, którym ten oblizał całe ciało Lily, zanim ją zgwałcił. Potem musiała zapłacić życiem sędzina.

*A teraz przyszła kolej na mnie.*

Samochód wpadł w zawieję śnieżną i Herzfeld przyhamował instynktownie.

*Teraz mam się dowiedzieć, jak to jest stracić własną córkę, ponieważ wtedy nie pomogłem ci w fałszowaniu dowodów.*

Wiele przemawiało za tym, że Hannah już nie żyje. Przecież widział na własne oczy, jak Martinek otworzył ciało młodej kobiety i później zatopił w jeziorze.

*Ale z drugiej strony...*, szukał jakiegoś oparcia w gąszczu własnej rozpacz.

*...nie pasuje to do Svena. Jest opętany nienawiścią i żądzą zemsty, ale ja nic nie zrobiłem jego córce. A już żadnej winy nie ponosi przecież Hannah, winy, która usprawiedliwiałaby wydanie jej na takie męczarnie.*

Oczywiście, z powodu śmierci Lily Martinek mógł całkowicie stracić rozum. Jednak przeciwko temu przemawiało pełne finezji zaplanowanie działań.

*No i przede wszystkim, jeśli Hannah i tak już nie żyje, to dlaczego nie wolno mi włączyć do tego policji?*

Czy była to tylko dodatkowa sadystyczna gierka? Czy też może istniała jeszcze szansa uratowania Hannah, jeżeli będzie trzymał się ustalonych zasad? Ale kim w takim razie była nieżywa dziewczyna, którą Martinek zatopił w jeziorze? I kim był jego współnik? Raczej nie zawodowym zabójcą, bo ten zażądałby pieniędzy z kartonu firmy przeprowadzkowej. A więc, kto bierze udział w tej osobistej wendecie zrozpaczonego lekarza medycyny sądowej?

Zbyt wiele pytań. Żadnych odpowiedzi. Herzfeld musiał odkaszlnąć, poza tym czuł ból w nodze, bo znów doznał skurczu w łydce.

*Tego jeszcze brakowało.*

Zakrztusił się przy próbie powstrzymania odruchu kaszlu. W tym czasie Zarrentin był już dwie miejscowości za nimi, a akumulator jego komórki był już na tyle podładowany, że mógł wklepać swój pin. Jak tylko telefon znalazł sieć, natychmiast odezwały się liczne sygnały dźwiękowe, wskazujące na nieodebrane połączenia.

Nacisnął na powtórne wybieranie, a Linda odezwała się w słuchawce, zanim usłyszał sygnał dzwonienia.

– No, wreszcie – powiedziała wściekła. Jej głos dobiegał nie z telefonu, tylko przez głośnik porsche.

Herzfeld rzucił szybkie spojrzenie swojemu towarzyszowi podróży, ale ten wzruszył tylko zmęczony ramionami. Tym razem komórka Herzfelda połączyła się automatycznie przez Bluetooth z zestawem głośnomówiącym samochodu. Przez moment zastanawiał się, czy nie powinien może tego wyłączyć, ale uznał, że w tym momencie jest już wszystko jedno, czy Ingolf będzie to słyszał, czy nie. Poza tym stopień jego wyczerpania wydawał się wzrastać wraz z temperaturą wewnątrz auta – było tylko kwestią czasu, kiedy zaśnie.

– Gdzie jesteś? – chciała wiedzieć Linda. Jej głos brzmiał z pogłosem, jakby była oddalona od słuchawki. Zanim jednak Herzfeld zdołał odpowiedzieć, usłyszał głośny rumor w tle, jakby ktoś przewrócił na ulicy pojemnik na śmieci.

– Co się tam u diabła dzieje u ciebie?

– Jeżeli chcesz wiedzieć dokładnie, to... – głos Lindy był teraz bliżej słuchawki – ...udało mi się wreszcie przewrócić metalową szafkę ze sprzętem.

– Ale po co?

– Żeby zablokować wejście – powiedziała rozdrażniona, jakby wyjaśniała mu to już tysiąc razy. – Teraz muszę ją tylko odpowiednio dosunąć do drzwi.

Herzfeld poczuł, jak tylne koła tracą przyczepność na oblodzonej drodze, a jemu wydało się, że także i on traci równowagę.

*Dlaczego ona barykaduje się w sali?*

– Nie masz klucza? – zapytał.

– Oczywiście, że mam, panie profesorze Mądraliński, jak najbardziej. Ale najwyraźniej nie jestem jedynym jego posiadaczem. Poza tym te pieprzone drzwi można otworzyć od zewnątrz, nawet gdy są zamknięte od środka. A ponieważ nie mam zamiaru ponownie chować się w chłodni na zwłoki, kiedy ktoś tu znowu wejdzie, podejmuję pewne kroki zapobiegawcze, zanim nadejdzie pomoc.

– To może potrwać – wymamrotał Ingolf na siedzeniu pasażera. Herzfeld skinął głową i nastawił wycieraczki na maksymalną moc, ale nawet wtedy nie dawały sobie rady ze śniegiem oblepiającym szybę.

– Posłuchaj, Linda, sama powiedziałaś, że zabójca może być nadal w pobliżu. Uważam, że sala sekcyjna nie jest teraz bezpiecznym miejscem dla ciebie.

– Ach, nie? A tak dobrze czułam się tutaj przez cały czas.

– Powinnaś natychmiast stamtąd uciekać.

– I zostawić Endera samego?

*A, właśnie, Ender!*

– Jak on się czuje?

– Do dupy. Odzyskał na moment świadomość, ale zemdlął ponownie. Upadł na szczęście brzuchem na materac, który położyłam obok drzwi. Nie mam pojęcia, czy nie zranił się przy tym jeszcze gorzej. Tutaj jest całkowicie ciemno, od kiedy zabójca wyłączył prąd w całym budynku. Ale myślę, że jeszcze oddycha.

– Musi zostać jak najszybciej operowany – pomyślał głośno Herzfeld.

– Nic z tego, już dzwoniłam.

– Do kogo zadzwoniłaś? – zapytał zaniepokojony Herzfeld.

– Do niemieckiej służby meteorologicznej. Pytałam, kiedy odwołają zakaz lotów na Helgoland. Meteorolodzy liczą się z przejściową poprawą za pięć godzin, sztorm ma wtedy na krótko przycichnąć. W aktualnej sytuacji helikopter ratowniczy mógłby stracić łopaty wirnika podczas lotu.

*Pięć godzin? To za długo. O wiele za długo.*

Zarówno dla Endera, jak i dla Hannah, o ile jest jeszcze przy życiu.

– Pracujesz dla gliniarzy, Paul. Nie możesz zorganizować jakiegoś specjalnego helikoptera albo czegoś w tym rodzaju? – zapytała Linda.

Herzfeld pokręcił głową i włączył kierunkowskaz do wjazdu na autostradę.

– Uwierz mi, a nie mówię tego tylko dlatego, że moja córka prosiła mnie, abym nie zawiadamił policji: to nie takie proste. Nie ma żadnej gorącej linii do bazy helikopterów, gdzie można by tak po prostu zadzwonić, Federalny Urząd Kryminalny to potężna instytucja.

Biurokracja, przepisy. – Po chwili dodał jednak: – Ale spróbuję.

– To dobrze, bo nie mam zamiaru przyglądać się, jak Ender umiera. Już i tak robię prawie w gacie ze strachu, że ten szaleniec wróci i nadzieje mnie na pal, jak tę starszą panią, która tu leży.

Tym razem także i Ingolf instynktownie zrobił ruch stopą, jakby naciskał hamulec, ponieważ Herzfeld za szybko wszedł w zakręt.

– Co ty powiedziałaś? – zapytał Lindę i poczuł, jak krew nabiegła mu do twarzy.

Linda westchnęła.

– Nie chcę ani sekundy dłużej tu zostać, więc zadzwoń do swoich kumpli gliniarzy i powiedz im, że...

– Nie, mówię o tym nabijaniu na pal.

– A co?

Porsche wyzwoliło z siebie niesamowite siły, kiedy na pasie rozbiegowym Herzfeld docisnął pedał gazu do końca.

– Chcesz przez to powiedzieć, że do ciała Friederike Töven wprowadzono podłużny przedmiot? – zapytał teraz nieco głośniejszym głosem, aby przebić się przez odgłos pracy silnika.

– Nie. Chcę przez to powiedzieć, że ktoś kijem rozerwał jej tyłek!  
– wrzasnęła Linda w odpowiedzi, jeszcze bardziej wściekła. – Do cholery jasnej, jakie to ma teraz znaczenie?

– Wyciągnij go! – zażądał Herzfeld, a potem przeciął naraz dwa pasy ruchu i wjechał bezpośrednio na ten do wyprzedzania. Wskaźnik obrotów gwałtownie skoczył na czerwony zakres.

– Odbiło ci już kompletnie? – zapytała Linda po chwili milczenia.  
– Moje życie było już piekłem, zanim cię poznałam. A teraz jest jeszcze gorzej. Gdybym ci nie pomogła, nie musiałabym teraz czekać na siły szybkiego reagowania, które, mam nadzieję, zdążą mnie stąd wyciągnąć na czas.

– Posłuchaj, Linda. Przysięgam ci na wszystko, co dla mnie najważniejsze i najdroższe, że znajdę sposób, aby być przy tobie w ciągu najbliższych dwóch godzin.

Ingolf rzucił mu pełne powątpiewania spojrzenie.

– Do tego czasu masz do wyboru: albo beczynnie wpatrywać się w zwłoki, albo pomóc mi w odnalezieniu kryjówki, gdzie znajduje się moja córka.

Herzfeld opowiedział Lindzie, co zobaczył na samym początku nagrania wideo na laptopie Martinka: kij w ręku byłego kolegi z pracy i nóż, którym dokonał na nim nacięcie.

*Teraz to ujęcie nabrało makabrycznego sensu.*

– Dotychczas Martinek pozostawiał w każdych zwłokach wiadomość dla mnie. Obawiam się, że kolejną wyrył na tym kiju.

– A ja obawiam się, że mam cię gdzieś – powiedziała Linda i rozłączyła się.

*Cholera.*

Herzfeld uderzył pięścią w skórzaną okładzinę kierownicy.

– Hm – chrząknął Ingolf, którego stan nieco się już poprawił. W każdym razie nie dzwonił już zębami podczas mówienia. – Dwie godziny?

Wskazał na ekran nawigacji, gdzie taki czas przewidziany był na dotarcie do wybrzeża.

– Nawet jeżeli utrzymany to tempo... – Herzfeld włączył na stałe lewy kierunkowskaz, aby przepędzić samochody jadące przed nim na

pasie do wyprzedzania – ...to jest to zupełnie niemożliwe.

Spojrzał na Herzfelda, który w książce adresowej swojej komórki szukał jakiegoś numeru i miał przy tym problemy z utrzymaniem pędzącego pojazdu na pasie.

– Chyba że ma pan w swoich kontaktach zapisany numer do Supermana.

– Coś w tym rodzaju – powiedział Herzfeld, kiedy wreszcie znalazł to, czego szukał.

Nacisnął symbol z zieloną słuchawką, nie mając pewności, czy tym samym nie podpisuje ostatecznego wyroku śmierci na własną córkę.

**Znak życia?**

- Tylko nagranie Hannah na poczcie głosowej.
- Dzień porwania?
- Nie mam pojęcia.
- Dowody, że Martinek jest w to zamieszany?

Małomówny rozmówca Herzfelda, który już po pierwszym dzwonku odezwał się mrukliwym „Tak?”, nazywał się Florian Leuthner i był oficerem dowodzącym w Federalnym Urzędzie Kryminalnym.

– Preparacja zwłok musiała być dokonana przez fachowca – odpowiedział Herzfeld swojemu koledze. – Ukryte w ciałach wskazówki doprowadziły mnie na jego ślad, poza tym mam jednoznaczny materiał na wideo. – Herzfeld przejął skrótowy ton relacji komisarza FUK i zauważył, że tak konkretny opis faktów pomógł mu zyskać pewien dystans do tej całej grozy.

– Z tym, że komputer z nagraniem nielegalnej autopsji dokonywanej przez Martinka nie jest już w moim posiadaniu.

*A dokładniej: jego ekran nadal leży na pomoście nad jeziorem.*

– Żądania?

– Żadnych. Podejrzewam, że to zemsta.

– Nie brzmi dobrze – mruknął Leuthner, co jak na niego zabrzmiało wręcz współczująco.

Herzfeld i Leuthner nie znosili się, co przede wszystkim wynikało z faktu, że ten ostatni nie krył się ze swoją niechęcią do mieszkańców byłego NRD. Leuthner, jako szef wydziału przestępstw związanych z przemytem ludzi i przymusową prostytucją, nie ukrywał swojej niechęci w stosunku do wszystkiego i każdego pochodzącego z byłej NRD. Uważał, że praca na terenie wschodniobermberskiej kiedyś dzielnicy Treptow jest poniżej jego godności, nigdy dobrowolnie nie jeździł do wschodnich dzielnic Berlina, złożył osobiście skargę konstytucyjną przeciwko dodatkowemu opodatkowaniu na rzecz pomocy wschodnim landom, a zjednoczenie Niemiec uważał za większą tragedię niż Czarnobyl i Fukushima razem wzięte. Kiedy dowiedział się, że Herzfeld



jeszcze przed upadkiem muru „prysnął na Zachód”, zaczął go uważać za swojego sojusznika. Ale gdy zorientował się, że Herzfeld nie jest w ogóle zainteresowany wysłuchiwaniem prymitywnych kawiarnianych sloganów, albo rozwodzeniem się przy wieczornym piwku na temat niewdzięcznych byłych enerdownców i upadku marki niemieckiej, początkowa sympatia przemieniła się w swoje przeciwieństwo. Prywatnie obaj nie podaliby sobie nawet ręki. Jednak w sferze zawodowej Herzfeld i Leuthner byli absolutnymi profesjonalistami, potrafiącymi mi wyłączyć osobiste antypatie na tak długo, aż praca zostanie zrobiona, a zadanie wykonane. Z tego też powodu Herzfeld nie był zbyt zdziwiony, że jego kolega podszedł rzeczowo i profesjonalnie do całej sprawy, którą wyjaśnił mu możliwie zwięźle na początku rozmowy: od numeru telefonu w głowie zwłok kobiety poczynając, przez porwanie Hannah, „zdalnie sterowaną” obdukcję, aż do ataku na Endera, który potrzebował teraz pilnie intensywnej pomocy lekarskiej.

– Na Helgoland? – upewniał się Leuthner.

– Nie jestem pewien, dokąd została porwana Hannah.

– A więc niewykluczone, że za granicę?

Herzfeld wiedział, jaki jest podtekst tego pytania. Federalnemu Urzędowi Kryminalnemu nie podlegały porwania dzieci, chyba że miały kontekst międzynarodowy. Leuthner chciał mu podsunąć rozwiązanie.

– Nie. Mówiąc szczerze, uważam, że Hannah jest jeszcze w Niemczech, o ile żyje. Ale nie zadzwoniłem do pana, aby pójść oficjalną drogą.

– Lecz?

Herzfeld zjechał z pasa do wyprzedzania na prawą stronę i zmniejszył prędkość, aby praca silnika i odgłosy jazdy nie zmuszały go do tak głośnego mówienia. Siedzącemu obok Ingolfowi głowa opadła ze zmęczenia na piersi.

– Prowadzi pan często tajne dochodzenia. Pomyślałem sobie, że mógłby mi pan pomóc, organizując helikopter, bez oficjalnych formalności.

– Tajność i użycie helikoptera wykluczają się zazwyczaj – powiedział Leuthner i było to jego najdłuższe jak dotychczas zdanie w

tej rozmowie.

– Zazwyczaj – powtórzył Herzfeld z naciskiem.

Zważywszy panującą między nimi antypatię, z pozoru trudno byłoby wyobrazić sobie osobę mniej odpowiednią niż Leutner, żeby Herzfeld mógł prosić ją o przysługę. Z drugiej jednak strony Leutner był ekspertem, jeżeli chodzi o uwalnianie ludzi z rąk brutalnych przestępców w warunkach ścisłej tajności i zachowania zasad bezpieczeństwa. Na przykład w ubiegłym tygodniu jego zespół rozbił, przy udziale tajnego agenta, sieć handlarzy ludźmi. Ponieważ jednak jego człowiek musiał zabić jednego z klientów prostytutek, aby uwiarygodnić się w oczach przemysłowców ludzi, akcja odbyła się bez wiedzy i przyzwolenia przełożonych Leuthnera. Szefostwo zostało o wszystkim powiadomione dopiero wówczas, gdy misja zakończyła się sukcesem.

– Ale po co ta cała tajność? – zapytał Leutner Herzfelda, który właśnie rzucił szybkie spojrzenie na Ingolfa. Ale jego towarzysz podróży zasnął, albo przysłuchiwał się tej rozmowie z zamkniętymi oczami, oparłszy głowę o szybę.

– Hannah powiedziała na nagraniu, że zostanie zabita, jak tylko powiadomię policję. A jeżeli Martinek bierze w tym udział, to zna oficjalne procedury i musimy zakładać, że jako były człowiek Federalnego Urzędu Kryminalnego stworzył system wczesnego ostrzegania, który go powiadomi, jeśli tylko nie będę trzymał się jego wskazówek.

– To dlaczego teraz je pan ignoruje?

– Ponieważ nie mam innego wyboru. Wyspa jest odcięta od świata, a w międzyczasie zagrożone jest tam nie tylko życie mojej córki.

Leutner chrząknął z niezadowoleniem.

– Powinien pan zadzwonić do mnie z bezpiecznej linii.

– Trudno, muszę podjąć i to ryzyko. Nie mam czasu na zorganizowanie sobie telefonu satelitarne. Dozorca kliniki umrze, jeżeli natychmiast nie zostanie przewieziony na oddział intensywnej terapii. Niech pan zaczeka chwilę.

Herzfeld usłyszał pulsujące pikanie i zobaczył na ekranie komputera pokładowego na desce rozdzielczej, że ma drugi telefon na

linii. Wnioskując po wyświetlanym numerze, pochodził także z biura berlińskiego oddziału Federalnego Urzędu Kryminalnego. Herzfeld przeprosił na chwilę Leuthnera, przełączył go na czekanie i odebrał drugi telefon.

– Tak?

– Proszę wybaczyć, że przeszkadzam, panie profesorze – powiedziała Yao, lekarz asystent, z którą razem, jeszcze dzisiaj rano, dokonywał sekcji okaleczonych zwłok kobiety.

Z nerwowym ssaniem w żołądku zadawał sobie pytanie, czego ona może od niego chcieć.

– Jakiś problem?

– Chciał pan, żebyśmy zbadali treść żołądka.

*A tak, śluz z zawartością tabletek.* Zupełnie o tym zapomniał.

– Właśnie nadeszły wyniki z laboratorium. Chodzi o derywat cyjanku.

– A więc ta kobieta została otruta?

– Nie. To było samobójstwo.

– Samobójstwo? – powtórzył Herzfeld tak głośno, że Ingolf obok niego aż podskoczył, wybudzając się na moment z półsnu. Pomyślał o zmasakrowanych zwłokach i pokręcił przecząco głową.

– Tej niezidentyfikowanej kobiecie wyrwano szczękę i odcięto dłonie. Jak, na Boga, wpadliście na ten absurdalny pomysł, że mogła się zabić sama?

– Jest wiadomość pożegnalna.

Herzfeld przez moment przetrawiał tę informację, podczas gdy porsche przejeżdżało pod wiaduktem. Potem powiedział:

– Ten list pożegnalny musi być sfalszowany.

– To nie jest list, tylko nagranie wideo – stwierdziła Yao. – A kobieta została już zidentyfikowana.

Herzfeld był zbyt zaskoczony, aby skomentować obie te informacje, co dało Yao możliwość wprowadzenia go w osłupienie kolejnymi rewelacjami.

– Dzisiaj w południe prywatna firma ochroniarska otworzyła penthouse w Berlin-Charlottenburg, po tym, jak włączył się alarm – zaczęła opowiadać Yao. – Ten luksusowy apartament ma najnowszej

generacji system alarmowy, który reaguje także i wtedy, gdy w pomieszczeniach przez dłuższy czas nie ma żadnego ruchu. Kiedy ochroniarz wszedł do tego mieszkania, odkrył ślady krwi i kilka odciętych palców na białym dywanie. Zawiadomił policję, a ekipa zabezpieczania śladów znalazła DVD w odtwarzaczu.

– Jej testament?

– Nie tylko to. Kobieta sfilmowała cały przebieg zdarzenia. Jak siedzi w kuchni i łyka tabletki, jednocześnie żegnając się do kamery ze wszystkimi przyjaciółmi, krewnymi i najbliższymi.

– Wiemy, dlaczego to zrobiła? – zapytał Herzfeld i spojrzał we wsteczne lusterko.

Mimo że było ledwie po szesnastej, zapadły już całkowite ciemności. Przestał za to padać śnieg, a ruch nie był już tak intensywny jak na początku ich podróży.

– Kilkakrotnie podkreśla na tym nagraniu, że jej życie straciło już sens, a cała prawda i tak, wcześniej czy później, wyjdzie na jaw.

– A jak wyjaśnicie te okaleczenia?

– Ona sama to wyjaśnia. Powiedziała dosłownie, cytuję... – Herzfeld usłyszał, jak Yao szeleści papierami – „...moja cielesna powłoka ma do wypełnienia po śmierci jeszcze jeden cel. Moje ciało będzie po tym wyglądało równie strasznie, jak moja dusza czuje się obecnie. Ale oświadczam jednocześnie, że wcześniej zgodziłam się na wszelkie działania prowadzące do okaleczeń, jakie zostaną mi zadane po mojej śmierci, i mówię to, będąc w pełni władz umysłowych”.

Herzfeld potrząsnął głową i wjechał na lewy pas, aby wyprzedzić kombi ciągnące za sobą lekko odbijającą raz w prawo, raz w lewo przyczepę kampingową.

– Ale skąd wiecie, że za kamerą nie stoi ktoś z bronią i nie zmusza jej do tej wypowiedzi?

– Musiałby pan sam zobaczyć to nagranie, profesorze. Oczywiście, pewności na sto procent nie można mieć, ale dawno nie słyszałam czegoś równie autentycznego i szczerego, jak te ostatnie słowa pani Schwintowski.

Herzfeldowi zaparło dech w piersiach.

– Chwileczkę, co pani właśnie powiedziała?

– Że nagranie jest absolutnie szczere. Ani przez moment nie brzmi to sztucznie czy wymuszenie...

– Nie. Nie o to mi chodzi. Jak brzmiało jej nazwisko? – Herzfeld zamrugał kilka razy i przypomniał sobie napis na kartonie firmy przeprowadzkowej, który znaleźli w skrzyni przed drzwiami domu Martinka.

– Sybille Schwintowski, z domu Thron. Zamężna z właścicielem firmy przeprowadzkowej Philippem Schwintowskim. Mają córkę, Rebeccę, lat siedemnaście. Po tych dwojgu nie ma ani śladu.

*W okamgnieniu ze Schwintowskim!*

Także siedzący obok Ingolf usłyszał to nazwisko i rzucił mu pytające spojrzenie, zanim z ziewnięciem zamknął ponownie oczy.

– Co to wszystko ma znaczyć – wyszeptał Herzfeld tak cicho, że Yao nie zrozumiała go przez zestaw głośnomówiący.

– Co pan powiedział?

– Co? Ach, nic takiego.

*Zmasakrowane nie do poznania zwłoki, które okazują się przypadkiem samobójczym. Porwanie Hannah. Martinek. Pogrzeb w jeziorze i przedsiębiorca z firmy przeprowadzkowej, który zniknął wraz z córką – jak to wszystko łączy się ze sobą?*

– Co wiemy o tym człowieku? – zapytał, a Yao zaczęła ponownie szeleścić papierami.

– Philipp Schwintowski, ma trochę na sumieniu – powiedziała. – W latach osiemdziesiątych został oskarżony o morderstwo, miał wtedy dwadzieścia sześć lat. Majątek zbił na nielegalnych zakładach, a później na lichwiarskich kredytach. Prasa nazywała go zabójczym Buddą, ze względu na jego tuszę. Kamera monitoringu sfilmowała go, jak zrzucił winnego mu pieniądze dłużnika z wiaduktu na autostradę podmiejską, gdzie ten został przejechany przez ciężarówkę.

Twarz Herzfelda wykrzywił grymas.

– Jednak oskarżenie wycofano, po tym jak nagranie zostało skasowane w tajemniczych okolicznościach. Piętnaście lat później znalazł się jednak w więzieniu w Tegel z powodu ciężkiego uszkodzenia ciała. Pobił kastetem ochroniarza, który nie chciał go wpuścić do burdelu. Dostał za to dwa i pół roku. Wyszedł po dziewięciu miesiącach.

- Pewnie ze względu na dobre sprawowanie.
- Zgadza się. W pudle miał romans z pracownicą socjalną, która chciała go pozyskać dla projektu nawracania młodocianych, którzy weszli w konflikt z prawem.
- I ta pracownica socjalna...
- Nazywała się Sybille Thron. Jeszcze w więzieniu zaszła z nim w ciążę. Po jego zwolnieniu odbył się ślub i od tego czasu rzeczywiście wszystko wskazuje na to, że Schwintowski zrobił się spokojniejszy. W ostatnich latach nie było żadnych ekscesów z pobiciami, nawet awantury w knajpie, z których wcześniej był znany. Prowadzący śledztwo uważają jednak, że nadal ma dobre kontakty ze światem przestępczym, a jego firma przeprowadzkowa służy jedynie do prania pieniędzy.
- Czy ten człowiek byłby zdolny do pokrojenia własnej żony post mortem? – chciał wiedzieć Herzfeld.
- Biorąc pod uwagę jego skłonność do stosowania przemocy, to tak, ale śledczy wątpią w to. Skarbówka kazała go śledzić przez całe pół roku, i wszyscy dochodzeniowcy byli zgodni co do tego, że okazał się wyjątkowo opiekuńczym ojcem rodziny. Nie pracował przez rok, aby ten pierwszy okres życia dziecka spędzić razem z żoną. Tych dwoje regularnie odnawiało swoją przysięgę małżeńską, ostatnio przed sześcioma miesiącami w Las Vegas. Nie ma też między nimi intercyzy, chociaż w momencie zawierania małżeństwa Thorn nie posiadała prawie żadnych środków. Wręcz przeciwnie: Philipp przepisał na swoją żonę, jeszcze za jej życia, połowę majątku, na wypadek gdyby coś mu się przydarzyło, włącznie z penthause'em, kilkoma lokatami bankowymi i morskim jachtem.
- Jachtem?
- W powieści Herzfelda zaczęła drgać jakaś żyłka, nie mógł tego powstrzymać.
- Tak, „Rebecca I”, nazwany na cześć córki. Schwintowski uchodzi za zapalonego żeglarza off shore. Przed dwoma laty wygrał Family Cruiser Cup.
- Jaką trasą płynął?
- Czy to ważne?
- Proszę! – naciskał Herzfeld. Draganie w powieści jeszcze się

pogorszyło.

– Chwileczkę. – Usłyszał stukanie klawiatury, a potem Yao udzieliła mu odpowiedzi: – Cruiser Cup zaczyna się zazwyczaj w ramach Święta Morza Północnego.

– I przebiega?

– Trzy rundy wokół Helgolandu.

No, wreszcie – warknął Leuthner po tym, jak Herzfeld zakończył rozmowę z Yao i przełączył się ponownie do swojego kolegi. Mimo że głos oficera dowodzącego był o wiele donioślejszy niż głos Yao, już nie docierał do Ingolfa, który ostatecznie zasnął na siedzeniu obok kierowcy z głową na szybie.

– Przepraszam, że kazałem panu czekać – powiedział zachrypniętym głosem Herzfeld. Czuł się jak ogłuszony. Jeszcze kilka minut temu myślał, że rozwiązał chociaż część zagadki dotyczącej Martinka, a teraz cała sytuacja stała się jeszcze bardziej zagmatwana.

*Dlaczego Sybille Schwintowski odebrała sobie życie, a potem kazała się okaleczyć? Przez kogo? A jeżeli na pożegnalnym nagraniu rzeczywiście mówi prawdę, to dlaczego pozwoliła na dokonanie takiej strasznej masakry na swoim ciele? Jakie były jej powiązania z Martinkiem? Z Sadlerem? Ze mną?*

Wyglądało na to, że w tym szaleństwie, wśród tych wszystkich zmiennych, istnieje tylko jedna prawidłowość, która nazywa się Helgoland. Leuthner skwitował przeprosiny Herzfelda mrukliwym chrząknięciem, a potem powiedział:

– W międzyczasie trochę posprawdzałem. Rzeczywiście jest samolot, który mógłbym zorganizować poza drogą służbową. PrywatnaCESSNA w posiadaniu dobrego przyjaciela, którą wywieźliśmy w ubiegłym miesiącu czwórkę dzieci z burdelu przy polskiej granicy. Ale ona nie przyda się panu.

– Dlaczego? Za kilka godzin pogoda ma się uspokoić – powiedział Herzfeld i wskazał na przednią szybę, jakby Leuthner był w stanie potwierdzić jego obserwacje. Rzeczywiście, śnieg przestał padać, a wiatr też nie był już tak silny.

– Może w pana okolicy. Na wybrzeżu szaleje sztorm. Na Helgolandzie orkan.

Głos Leuthnera, mimo tych złych wieści, nie był całkowicie pozbawiony nadziei. Więc Herzfeld zapytał:

– Co więc pan proponuje?



Zamiast odpowiedzi oficer dowodzący stwierdził tylko:

– Niech pan da mi pół godziny.

– Na co?

– Powiem panu, jeśli znajdę jakieś wyjście.

*Jeśli.*

– A jeśli pan nie znajdzie?

Ingolf na siedzeniu obok niego jęknął z zamkniętymi oczami.

– To ta rozmowa nigdy nie miała miejsca – usłyszał słowa Leuthnera. Potem połączenie zostało nagle przerwane.

W ciągu zaledwie kilku godzin pomieszczenie piwniczne kliniki przemieniło się ze sterylnej, nieskazitelnie czystej sali sekcyjnej w rzeźnię. Gdyby Linda musiała narysować ten przesiąknięty krwią i bólem chaos, to taki obraz zatytułowałyby: *Warsztat szaleństwa*. Powątpiewała jednak, czy udałoby się jej oddać wszystkie szczegóły, jako że miała przecież swoje problemy z precyzyjnym odwzorowywaniem scen przemocy.

Odbijające się od ścian światło latarki, którą postawiła na zlewie reflektorem w kierunku sufitu, umożliwiło uzyskanie jedynie mrocznego i fragmentarycznego widoku, ale to, co Linda mogła w nim dostrzec, wyzwalało w niej mdłości: dwa rozkładające się ciała na stołach sekcyjnych, na wpół otwarta chłodnia na zwłoki, pod drzwiami przewrócona szafka z narzędziami sekcyjnymi, na materacu umierający mężczyzna z nożem w szyi... *a w środku tego wszystkiego ja*.

Linda nadal kurczowo trzymała w ręku bezprzewodową słuchawkę telefonu kliniki, mimo że jej ostatnia rozmowa z Herzfeldem miała miejsce przed ponad kwadransiem. Nie była pewna, czy poprzez przewrócenie szafki pod drzwiami udało jej się stworzyć naprawdę nieprzekraczalną dla zabójcy barierę przy wejściu. Właściwie to miała w tej kwestii spore wątpliwości. Mogła mieć tylko nadzieję, że ten, który chciał ją tutaj dorwać, stracił już zainteresowanie swoimi ofiarami w sali sekcyjnej. I że Herzfeld szybko znajdzie sposób, aby zakończyć tę grozę.

*Co za cholerne szczęście. Kiedy inne dziewczyny narzekają, że trafiły na niewłaściwego faceta, to zazwyczaj chodzi o nieudane randki i zdrady na boku. A u mnie?*

Po raz kolejny sprawdziła prześcieradło z materaca, którym przykryła prowizorycznie górną część ciała Endera, a myśl o tym, że według wszelkiego prawdopodobieństwa inne prześcieradło może wkrótce zakrywać jej twarz, wyzwoliła w niej nagły ból.

Ze wszystkich negatywnych emocji, jakie właśnie odczuwała, najbardziej dawała jej się we znaki bezradność. Gdyby chodziło tylko o jej życie, to natychmiast wybiegłaby z kliniki i uderzyłaby na alarm w zajeździe „Bandrupp”. Ale nie mogła przecież tak po prostu zostawić tutaj Endera, a po drugie: ryzyko związane z ucieczką byłoby zbyt duże. Nawet gdyby udało jej się cało opuścić klinikę, to i tak nic by jej to nie dało. Na ewakuowanej wyspie nie było żadnego doświadczonego chirurga, który mógłby uwolnić Endera od noża. Nie mówiąc już o anestezjologu.

*Z drugiej strony nie mogę tutaj czekać spokojnie i patrzeć, jak on umiera.*

Wzięła do ręki latarkę i poświeciła na stół sekcyjny ze zwłokami Töven i nagle przerażona przyłożyła dłoń do ust: ciało zmieniło się.

*Nie, ono zostało zmienione.*

Kiedy ostatnim razem odważyła się spojrzeć na sędzinę, widziała jej nagi tyłek. Teraz ktoś w czasie, kiedy ona ukryła się w lodówce, obciągnął trupowi spódnicę.

Linda odwróciła się do Endera, którego ciało leżące w półmroku na materacu było widoczne tylko w zarysach. Wątpiła, aby dozorca w swojej, wyzwolonej szokiem, nieświadomej wędrówce po oddziale manipulował przy ciele sędziny. Ale z drugiej strony odebrał przecież telefon.

*Telefon...*

Popatrzyła na aparat w swoich dłoniach i postanowiła włożyć go ponownie do pasa na narzędzia wiszącego nad ciałem Erika, aby mieć wolne ręce.

W tej chwili, w sali sekcyjnej i poza nią, panowała całkowita, w dosłownym tego słowa znaczeniu śmiertelna cisza. Od kiedy całkowicie zabrakło prądu... *albo został wyłączony...* nie było słyhać nawet szumu wentylacji, a Linda nie dopuszczała do siebie myśli, jaki to wpłynie na powietrze do oddychania, tu na dole. Odwróciła się ponownie do drugiego stołu sekcyjnego, wytarła wilgotne od potu dłonie o kitel i odetchnęła głęboko.

*Więc do dzieła. Kolejna runda.*

Powoli podniosła grubą, lnianą spódnicę i podciągnęła ją ponad

białe jak mleko uda sędziny. Z jakiegoś powodu czynność ta wydała jej się jeszcze bardziej ohydna i obsceniczna niż rozcinanie majtek Erikowi, być może dlatego, że w przypadku tej ofiary chodziło o kobietę, w dodatku o starszą panią, której raczej pomaga się wnieść zakupy do mieszkania i przejść przez ulicę, *ale nie odsłania podbrzusze!*

W Lindzie narastał opór z każdym centymetrem skóry, jaki odkrywała.

*Dlaczego to robię?* – zadała sobie pytanie i otrzymała odpowiedź od swojego wewnętrznego głosu.

*Ponieważ chcesz zakończyć tę jatkę.*

*Poprzez zakłócanie spokoju zmarłej?*

*Poprzez podanie profesorowi kolejnej wskazówki, prowadzącej do zabójcy. I uratowanie tym samym życia.*

*Albo sprowadzenie pewnej śmierci...*”

*Ale mogłabyś przynajmniej ostrzec ludzi.*

Jednak gdyby teraz zawiadomiła burmistrza, to co najwyżej ocaliłaby własną skórę i z całą pewnością wzbudziłaby panikę wśród mieszkańców Helgolandu, którzy poczuliby się zagrożeni przez seryjnego mordercę, na odciętej w wyniku szalejącego sztormu wyspie.

*Herzfeld powiedział, że to osobisty rodzaj zemsty, przeciwko niemu i wszystkim tym, którzy mieli coś wspólnego z jakąś starą sprawą.*

*Ach tak, to dlaczego jedną z ofiar jest Ender?*

*Ponieważ wmieszał się, tak jak i ja. Jeżeli więc ostrzeżę ludzi, zanim Herzfeld odkryje zabójcę i odnajdzie swoją córkę, to sprowadzę na nich raczej zagrożenie niż ratunek.*

Linda uniosła nieco ramiona i opuściła je z wyraźnym westchnieniem. Swoje wewnętrzne dialogi mogła toczyć w nieskończoność i zawsze docierała do tego samego punktu: pozostanie tutaj zagrażało jej własnemu życiu, a ucieczka – życiu córki Herzfelda. Aby uratować Endera i ochronić resztę ludności, potrzebowała pomocy z zewnątrz, którą Herzfeld przyrzekł jej za dwie godziny.

*W porządku, profesorku. Dwie godziny, chociaż nie wiem, jak tego dokonasz. Przez ten czas będę ci jeszcze pomagała, ale potem wypisuję się z tego interesu.*

Linda ustawiła rękę z zegarkiem pod kątem w stosunku do światła

padającego z latarki, aby zobaczyć, która godzina. W głębi duszy była zadowolona, że główne oświetlenie nie działa i tym samym oszczędzony został jej pełny grozy widok szczegółów na stole sekcyjnym, których teraz mogła się tylko domyślać.

Woskowa skóra. Plama opadowa. Pomazane krwią wewnętrzne strony ud. Pokryty jakąś zaschniętą mazią kij... W międzyczasie podsunęła spódnicę aż do bioder. Drewniany kij wystawał z odbytu na jakieś piętnaście centymetrów. W dotyku był chropowaty i suchy. Dopiero w tym momencie zorientowała się, że zapomniała założyć rękawiczki.

*Nieważne.*

Wbicie sobie drzazgi było w tamtej chwili jej najmniejszym zmartwieniem. Linda odczuwała zadziwiająco silny opór podczas pierwszej, nieco lękliwej, co trzeba przyznać, próby wyciągnięcia kija. Pełna odrazy zaczęła nim szarpać ruchami w górę i w dół, aby rozluźnić, obkurczony w wyniku stężenia pośmiertnego, mięsień zwieracza. Odgłosy mlaskania, które pojawiły się przy tym, brzmiały, jakby wyciskała resztki z plastikowej butelki na żel pod prysznic.

Linda przerwała na chwilę swoje wysiłki, odczekała, aż uspokoi się nieco jej rozedrgany oddech, a potem jednym szybkim ruchem wyciągnęła narzędzie zabójstwa.

*Jak ołówek jakiegoś olbrzyma*, przemknęło jej przez głowę, kiedy spojrzała na zaostrzony koniec. Co za bestialski sposób zabicia człowieka.

Linda wzdrygnęła się z obrzydzenia, a potem usunęła śluz z kija, wycierając go po prostu o fartuch. Następnie skierowała światło latarki bezpośrednio na kij i odczytała, wyciętą niewprawną ręką w drewnie, wiadomość.

53666435736490 – powtórzył Herzfeld długi szereg cyfr, jaki podyktowała mu właśnie Linda, żeby Ingolf mógł go zapisać. Zjechali już z A 24 i pędzili, omijając Hamburg, przez A 1 w kierunku wybrzeża Morza Północnego. Od kilku minut Ingolf mógł już w miarę swobodnie się komunikować. Mrużył jeszcze zmęczone oczy i co kilka minut usiłował nadaremnie zwalczyć odruch ziewania. Nadal jeszcze nie przezwyciężył skutków wychłodzenia i szoku.

– To może być zagraniczny numer telefonu – powiedział Herzfeld i mignął długimi światłami, aby przegonić z pasa do wyprzedzania jadący przed nim samochód.

– Już próbowałam – powiedziała Linda zrezygnowanym tonem. – Brak połączenia. Może nie mam odpowiedniego kierunkowego. Ciągłe włącza się zajęty sygnał. Przy drugim jest tak samo.

– Martinek wyrył na kiju jeszcze drugi numer?

– Tak, na samym końcu, tym, który tkwił w jej ciele – odparła ze wstrętem. – Te cyfry, o ile dobrze je odczytuję, brzmią: 908920705318451.

– Masz to? – zapytał szeptem Herzfeld Ingolfa, który przytaknął zmęczony. Bez okularów, które zgubił w jeziorze i z przyklejonymi na płask do głowy włosami, jeszcze bardziej sprawiał wrażenie uczniaka, który zasnął na pierwszej lekcję. Oprawiony w skórę notatnik w jego ręku wzmacniał jeszcze to wrażenie.

– To może być cokolwiek – zastanawiała się na głos Linda. – Numer karty kredytowej, konta bankowego, skrytki lub hasło.

– Kropki – odezwał się niespodziewanie siedzący obok niego Ingolf.

– Co? – zapytali Herzfeld i Linda jednocześnie.

Praktykant podkreślił oba szeregi cyfr w swoim notatniku.

– Kto tam jeszcze mówi? – zapytała Linda, a Herzfeld zorientował się, że nic jeszcze jej nie powiedział o swoim towarzyszu podróży.

– Ingolf von Appen. Pracuje ze mną w instytucie a teraz mnie wiezie – powiadomił ją zwięźle w tonie, który mówił, że nie chce

marnować więcej czasu na dalsze wyjaśnienia.

– A o co on pytał? – chciała widzieć Linda. Herzfeld spojrzął na Ingolfa. Praktykant podkreślił oba szeregi cyfr w swoim notatniku. Wyglądało na to, że ledwie udaje mu się skupić i z najwyższym trudem wydobywa z siebie zaledwie pojedyncze słowa.

– Kropki. Są tam kropki?

– Gdzie?

Ingolf przewrócił oczami, a potem powiedział ociężale:

– Między cyframi.

– Chwileczkę – odpowiedziała Linda i wyglądało na to, że oddala się od telefonu. Herzfeld usłyszał szum spływającej wody, a potem jej głos dobiegający z pewnej odległości:

– Myję ten kij jeszcze raz nad zlewem.

Herzfeld odwrócił się z pytającym spojrzeniem do Ingolfa, który z grymasem bólu usiłował pochylić się do przodu na fotelu.

– Do czego pan zmierza?

– *PetSave-One* – wysapał praktykant. Ale zanim Herzfeld zdołał zadać dodatkowe pytanie, dlaczego, na Boga, znowu zaczyna z tym tematem, nagle dotarł do nich okrzyk Lindy.

– Nieprawdopodobne! – Jej głos brzmiał teraz znowu bliżej. – Skąd o tym wiedziałeś? Tu są rzeczywiście kropki.

Ingolf z trudem zdobył się na blady uśmiech.

– Zawsze jedna na grupę cyfr, tak myślę. Pierwsza zaczyna się od 53 kropka 666, druga od 9 kropka 08, zgadza się? – Wyglądało na to, że powoli dochodzi do siebie.

– Tak. Ale co to oznacza?

Zamiast odpowiedzi Ingolf otworzył schowek w samochodzie, wyciągnął z niego gruby i podłużny segregator oprawiony w skórę i rzucił go Herzfeldowi na kolana.

– Co to jest?

– To jest instrukcja do cayenne.

– Widzę. Ale co to ma wspólnego z cyframi...

– Jestem zbyt zmęczony. Niech pan sprawdzi za mnie.

– Sprawdzi co? – zapytał Herzfeld niecierpliwie. Także Linda powtórzyła swoje pytanie, co mają oznaczać te kropki.

– System nawigacyjny. Pod hasłem: współrzędne geograficzne. Ingolf wskazał na instrukcję obsługi, a Herzfeld zaczął już rozumieć, o co może chodzić.

– Myśli pan, że...

– Tak. *PetSave-One*, system, który opracowałem, pamięta pan? Pracuje na podstawie danych GPS, a te zawsze rozpoznam, kiedy je zobaczę. Pierwsze cyfry to dane długości geograficznej, a drugie szerokości. Proszę jednak pamiętać o kropkach.

– I te dane można tak po prostu wpisać do systemu nawigacyjnego? – zapytał Herzfeld, pełen nadziei, że w ten sposób znacznie przybliży się do miejsca, gdzie przetrzymywana jest jego córka.

– Tak. – Kiwnął głową wyczerpany Ingolf. Jego powieki ponownie zaczęły drżeć, a kiedy odezwał się znowu, były już zamknięte. – Ale nie „tak po prostu”. Nie mam pojęcia, jak to się robi...

Ziewnął szerzej i dłużej niż poprzednio, chciał jeszcze coś powiedzieć, ale zmęczenie zaczęło go ponownie obezwładniać.

Herzfeld powiedział Lindzie, że niedługo zadzwoni, i wziął się do roboty. Po krótkim spojrzeniu w tylne lusterko przeciął dwa pasy w kierunku postojowego, gdzie zatrzymał się dokładnie przed tablicą z kilometrami.

Potrzebował ciągnących się w nieskończoność kilku minut, aby odnaleźć w grubej jak książka telefoniczna instrukcji obsługi tego luksusowego pojazdu rozdział dotyczący programowania sterowanego przez satelitę systemu nawigacyjnego.

W końcu udało mu się, ale wtedy nie wiedział już, czy ma się śmiać, czy płakać, kiedy komputer pokładowy potwierdził przypuszczenie Ingolfa.

Martinek naprawdę wyrwał na tym kiju, którym zamęczono sędzinę na śmierć, współrzędne celu geograficznego.

Celu, który według wyświetlacza systemu nawigacyjnego znajdował się w środku obszaru leśnego w powiecie Cuxhaven.

Poza siecią przejezdnych dróg.

Z dala od jakichkolwiek ludzkich osiedli.



Półtorej godziny później szerokie opony terenowego samochodu zakopały się w pokrytej śniegiem leśnej drodze.

System nawigacyjny ostrzegał już od kilometra, że opuścili obszar dróg przejezdnych, od kiedy na wysokości Hemmoor skręcili z drogi do lasu. Wybrzeże Morza Północnego był oddalone jeszcze o dobre dwadzieścia kilometrów, ale już tutaj było widać rozmiary zniszczeń, jakie wyrządził wiatr w ostatnich godzinach. Z drzew zwisały ponadłamywane gałęzie, a chwilę temu musieli objechać całe wyrwane z korzeniami drzewo. W samochód uderzył wtedy potężny podmuch, który przesunął na bok nawet takiego, ważącego tonę, kolosa, tak że Herzfeld musiał oboma rękami trzymać kierownicę, aby pojazd nie został po prostu zwiany z tej coraz bardziej zwężającej się ścieżki.

*Cholera, to jak musi być teraz na pełnym morzu?* Rzeczywiście, nie było co myśleć o przeprawie.

Korony drzew miały się dziko nad ich głowami. Gałęzie dawno już utraciły śnieg, pod którym jeszcze niedawno musiały się uginać. Tylko od czasu do czasu na przedniej szybie pojawiał się biały, drobny jak cukier puder śnieżny pył.

Niebo, na ile Herzfeld mógł to dostrzec przez okno dachowe nad swoją głową, było nadal zaciągnięte, ale przynajmniej już od dłuższego czasu nie padało. Za to szybko zrobiło się ciemno, mimo że słońce miało zająć dopiero za kilka godzin.

Zaczął myśleć o pani Schwintowski, która rzekomo sfilmowała swoje samobójstwo, zanim ktoś ją rozczłonkował i upchał w pudle do przeprowadzek.

Minęło dopiero kilka godzin, od kiedy dzisiaj rano zaczął sekcję jej zwłok. A miał wrażenie, jakby to była wieczność.

– Gdzie my jesteśmy? – zapytał Ingolf, ziewając obok niego. Praktykant przespał całą drogę i dopiero teraz dochodził powoli do siebie.

– Sam chciałbym to wiedzieć.

Na ekranie nawigacji pokazała się chorągiewka, jako znak, że za

kilka metrów dojadą do celu. Herzfeld nadal nie widział nic, oprócz stojących rzadko drzew, głównie sosen i brzoź. Jechali jeszcze przez minutę, potem kratkowana chorągiewka wyścigowa zaczęła się kiwać na ekranie, a Herzfeld zatrzymał samochód.

– Dojechałeś do celu – wymamrotał sam do siebie.

*W samym środku niczego.*

– Może Linda w ciemności źle odczytała koordynaty? – stwierdził Ingolf. Wyciągnął ze schowka zapasową parę okularów i rozglądał się na wszystkie strony.

Stali przy rozwidleniu dróg, z których jedna, będąca leśnym duktem, wiodła w kierunku polany. Poza kierunkowskazem dla turystów i zasypanym śniegiem stosem ściętych pni, nie było nic widać w najbliższej odległości.

– Okay, von Appen, pan zostaje w samochodzie, a ja idę się rozejrzeć – powiedział Herzfeld, nie wyłączając silnika, żeby długie światła reflektorów rozjaśniały teren.

– Chce pan naprawdę iść sam? – zapytał Ingolf.

– A co może mi się stać? Gdyby Martinek chciał nas zabić, to miał już wystarczająco dużo okazji.

– I prawie mu się udało – zwrócił mu uwagę Ingolf. – A co będzie, jak wpadnie pan do przygotowanego w tym tego celu dołu-pułapki?

Herzfeld potrząsnął głową.

– Uważam, że nad jeziorem to był wypadek. Mam przynajmniej taką nadzieję. A jeżeli nie, to byłby to jeszcze jeden argument za tym, aby pozostał pan w samochodzie i w razie czego mnie uwolnił. –

Herzfeld spojrzał surowo na praktykanta. – Zrozumiano?

– Tak jest, sir – powiedział Ingolf i zasalutował. – Jeszcze tylko jedno...

Herzfeld położył już dłoń na klamce.

– Co takiego?

– Czy tam się pali?

Wzrok Herzfelda podążył w kierunku wskazanym palcem przez Ingolfa... *Rzeczywiście!*

Teraz, kiedy równo ułożony stos pni został bezpośrednio oświetlony ksenonowymi reflektorami, nie było żadnych wątpliwości.

– Za tymi balami unosi się dym – potwierdził Herzfeld i z powodu silnego wiatru miał pewne trudności z otwarciem drzwi auta. Gwałtowne podmuchy naciskały z ogromną mocą od drugiej strony i rozerwały szarą smugę dymu, jaką jeszcze przed sekundą widzieli nad stosem bali.

Zimno, jakie wdarło się do wnętrza samochodu, było potwierdzeniem prognozy pogody w radiu, która zapowiadała temperatury do minus dwunastu stopni.

Herzfeld zeskoczył z siedzenia kierowcy i zapadł się po kolana w śniegu. Zamknął za sobą drzwi i ruszył przez zaspy w kierunku polany. Już po kilku metrach zlokalizował źródło dymu: gęsty, w kolorze betonu dym wydobywał się z ukośnej rury od pieca na dachu barakowozu robotników leśnych.

Pod jego stopami złamała się leżąca pod śniegiem gałąź i Herzfeld odruchowo się zatrzymał. Chciał właśnie ruszyć dalej, kiedy nagle za jego plecami zrobiło się jaśniej.

– Powiedziałem przecież, żeby został pan w samochodzie! – zawołał i odwrócił się, ale wtedy zaparło mu dech w piersiach.

Drzwi od strony pasażera były uchylone, włączyło się oświetlenie wewnętrzne w porsche, więc Herzfeld mógł stwierdzić od razu na pierwszy rzut oka, że syn ministra spraw wewnętrznych zniknął.

– Ingolf?

Żołądek Herzfelda skurczył się gwałtownie.

Jego wzrok wędrował na zmianę od barakowozu do porsche. Mimo gęstego dymu na dachu jednego i włączonego oświetlenia w środku drugiego, obydwa pojazdy sprawiały wrażenie całkowicie opuszczonych.

Herzfeld chciał pobiec z powrotem do samochodu, lecz szybko rozmyślił się i najpierw uklęknął.

Nic.

Obawiał się, że zobaczy Ingolfa leżącego nieruchomo na ziemi obok samochodu, ale tam też go nie było.

– Ingolf! – zawołał znowu. Żadnej odpowiedzi.

*Co tu się dzieje, do diabła?*

Ostrożnie podkradł się z powrotem do porsche.

Obszedł maskę samochodu i dotarł do siedzenia obok kierowcy, jednak wbrew obawom nie został ani napadnięty, ani obezwładniony.

A po praktykancie nie było ani śladu.

– Ingolf?

W samochodzie pstryknęła klimatyzacja, gdy Herzfeld zbliżył się do zamkniętych tylnych drzwi. Przez przyciemnioną szybę widział tylko puste tylne siedzenie.

Chwycił za klamkę, zacisnął palce wokół metalowego uchwyty i z głośnym okrzykiem otworzył gwałtownie tylne drzwi. Jednak nie było nikogo, kogo mógłby przestraszyć tym wrzaskiem. Żadnego bezpośredniego zagrożenia.

*Ale też nie było Ingolfa.*

Wnętrze cayenne było puste.

– Gdzie jesteś? – wyszeptał Herzfeld w mrok lasu, do którego odwrócił się bezradny.

Teraz, kiedy światło z samochodu padało bez przeszkód na zewnątrz, zauważył głębokie ślady stóp na śniegu. O ile mógł się zorientować, ślady te prowadziły od samochodu w kierunku niewielkiej grupy drzew na brzegu drogi, wśród których znajdował się także wyrosnięty dąb.

– Gdzie pan jest? – zawołał Herzfeld ponownie i poszedł po śladach.

*Co zamierza Ingolf? Dlaczego zniknął bez słowa w lesie?*

Im bardziej zbliżał się do tej grupy drzew, tym robiło się ciemniej. Po raz pierwszy w życiu żałował, że lekarze medycyny sądowej zatrudnieni w Federalnym Urzędzie Kryminalnym nie są wyposażeni w broń służbową.

I przeklinał sam siebie, że nie posłuchał własnego instynktu. Od samego początku przeczuwał, że z tym Ingolfem coś jest nie tak, nawet jeżeli był synem ministra spraw wewnętrznych. Kto wiózłby swojego profesora przez całe Niemcy tylko po to, aby zachować szansę na odbycie praktyki?

*Pomysł na interes? Bzdura.*

Herzfeld, niepewny, czy ma dalej szukać Ingolfa, czy lepiej zawrócić do samochodu, zatrzymał się około metra od dębu.

*I co teraz?*

Popatrzył w kierunku samochodu, potem na grupę drzew, do której

prowadziły ślady, a kiedy spojrzał pod nogi, od razu zauważył, co jest nie tak.

*Cholera.*

Powinien od razu na to wpaść. Ślady stóp, za którymi szedł. W śniegu. Były za głębokie.

*O wiele głębsze niż moje.*

Jakby Ingolf niósł jakiś ciężar.

*Albo...*

Herzfeld zrozumiał prawdę w tej samej sekundzie, kiedy zza drzewa wyłonił się cień.

*Albo jakby ktoś wyniósł Ingolfa z samochodu.*

Herzfeld stracił przytomność, zanim zdążył się zorientować, kto przykłada mu do twarzy ciemną, wilgotną szmatę.

Znowu znajdował się nad jeziorem. Tylko że teraz to nie Ingolf, lecz on sam wpadł do niego przez pękniętą warstwę lodu, i z głową pod wodą walczył o życie.

Chciał wyciągnąć w górę rękę, aby dosięgnąć krawędzi lodu, ale nie miał już na to siły. Wprawdzie nie odczuwał ani zimna, ani wilgoci, ale za to paralizujący, ołowiany ciężar, który ściągał go w dół; w mrok, gdzie jego płuca ostatecznie pękną pod ciśnieniem wody. Zdawał sobie sprawę, że jeżeli teraz weźmie oddech, to woda dostanie mu się do oskrzeli.

Ale jak miał się oprzeć niedającym się przewyciężyć pragnieniu złapania tchu? Nie był już w stanie kontrolować dłużej odruchu oddechowego, a na końcu i tak będzie przecież wszystko jedno, czy utonie z wodą w płucach, czy bez niej. Otworzył szeroko oczy i zobaczył pęknięcie w tafli bezpośrednio nad sobą. Lód był tak blisko, że mógłby dotknąć go językiem.

Nagle zamrożona tafla wody oddaliła się, jakby poczuła się urażona, że Herzfeld wyciągnął w jej stronę język. Dalej opadał w dół, a kiedy ucisk był już tak wielki, że groził rozsądzeniem całego jego ciała, zrezygnował z wszelkiej nadziei. Po raz ostatni pomyślał o Hannah i otworzył usta.

Jego krzyk domagający się powietrza był tak głośny, że Herzfeld się obudził.

*Dzięki Bogu...*

Z ogromną ulgą, że to tylko senny koszmar, bełkotał coś bez tchu, aby tylko słyszeć własny głos, który był dla niego dowodem, że nadal pozostaje przy życiu.

W realnej rzeczywistości było dużo ciemniej niż w jego śnie. W pierwszej chwili Herzfeld nie był pewny, czy w ogóle otworzył oczy. Poczul kilka kropel, które spłynęły mu z nosa, koszula była przyklepiona do jego piersi, ale wilgoć ta nie pochodziła z jeziora, lecz był to pot wywołany strachem, który wydostawał się ze wszystkich porów jego ciała. Herzfeld chciał obetrzeć sobie czoło i przeżył déjà vu.

Znowu nie był w stanie poruszyć rękoma, tym razem dlatego, że miał je związane za plecami.

*Co się ze mną dzieje?*

Zdezorientowany kręcił głową na wszystkie strony, ale nadal nie widział nic, poza jasnymi nitkami światła w ciemności.

Przełknął i poczuł smak krwi, potem do jego świadomości jako pierwszy wtargnął ostry ból głowy i karku. Herzfeld zmrużył kilka razy oczy. Powoli zaczął się przyzwyczajać do półmroku, który rozświetlany był tylko przez jedno źródło: czerwoną lampkę LED, oddaloną o dwa kroki od niego, która jarzyła się słabo, ale równomiernie, a im dłużej Herzfeld patrzył w tym kierunku, tym wyraźniejsze stawały się zarysy kamery wideo, do której należało to światelko. Przez długi czas wydawało mu się, że unosi się ona w powietrzu, trzymana jakby ręką ducha, potem dostrzegł trójnog statywu, na którym była zamocowana – z obiektywem skierowanym wprost na niego.

*Gdzie ja jestem, do diabła?*

Herzfeld pomyślał automatycznie o nagraniach wideo ekstremistów, na których terroryści obcinają głowy zakładnikom przed włączoną kamerą, i zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem za jego plecami nie wisi flaga z arabskim napisem.

Usiłował się odwrócić, co jednak niezbyt mu się udało z powodu bólu, a potem jego wzrok padł na wybrzuszony w górę dach z blachy falistej nad wyłożonym w większości drewnem pomieszczeniem, i zrozumiał, gdzie się znajduje.

*Jestem w barakowozie.*

Wraz z tym odkryciem powróciła mu pamięć o ostatnich minutach przed utratą przytomności i osunięciem się w mrok koszmaru: *dym z rury kominowej za stosem drewna, Ingolf, który zniknął, szmata na jego twarzy.*

Ponownie chciał się ruszyć, tym razem, aby móc pomasaować swoje pulsujące skronie, i znowu jego ramiona zostały ściągnięte do tyłu.

Krzeseł, na którym siedział, miało żelazne szczeble zamiast oparcia i nogi przyśrubowane do podłogi z desek. Ręce Herzfelda były kilkakrotnie owinięte zwykłym sznurem.

Mimo że zdawał sobie sprawę, że obetrze sobie skórę w pobliżu

tętnicy przy nadgarstku, to jednak musiał chociaż spróbować uwolnić się od więzów. Zanim jednak zdążył podjąć ten wysiłek, nagle otworzyły się jakieś drzwi i do barakowozu wszedł z podmuchem syberyjskiego mrozu Sven Martinek.

Trzymał w ręku lampę elektryczną, taką, jakich używa się do zabezpieczania miejsc budowy na drogach, i przysunął ją w stronę Herzfelda. Kiwnął przy tym do niego głową jak sąsiadowi, którego spotyka się przypadkiem podczas wyrzucania śmieci. Zamknął drzwi i zanim stanął bezpośrednio przed Herzfeldem, zasunął niewielki rygiel.

*Chory*, to było pierwsze słowo, jakie przeleciało przez głowę profesorowi, kiedy zobaczył po raz pierwszy od dłuższego czasu swojego byłego kolegę z pracy.

*Wygląda na chorego.*

I to mimo że żółtawy blask lampy budowlanej działał jak optyczna nakładka zmiękczająca

*O mój Boże, Sven. Co się z ciebie zrobiło?*

Wygląd zewnętrzny Martinka był zwierciadlanym odbiciem stanu jego rozbitej duszy. Był człowiekiem całkowicie zniszczonym, zarówno pod względem fizycznym, jak i psychicznym. Jego ubranie wyglądało na nieprane od wielu tygodni i śmierdziało potem, brudem i mokrym psem. Jego buty, z odklejającymi się na czubkach podeszwami, były tak samo w brudnych plamach jak jego twarz pokryta niechlujnym zarostem. Schudł przynajmniej o dziesięć kilogramów, więc ubranie, jakie miał na sobie, sprawiało wrażenie za dużego. Włosy miał tak samo dawno nieobcinane, jak paznokcie

*Rozpadasz się*, pomyślał Herzfeld, nie mając pojęcia, co powiedzieć do tego człowieka, który dawniej był tak pedantyczny, jeżeli chodziło o wygląd zewnętrzny, a teraz wyglądał niemal jak bezdomny włóczęga.

Milczenie przerwał Martinek, kiedy już powiesił lampę na haku obok zasłoniętego okna, po prawej stronie Herzfelda.

– No, wreszcie. – Spojrzał na zegarek na przegubie. – Nie spieszyłeś się zbyt. Myślałem już, że w ogóle się nie obudzisz.

Odwrócił się, obszedł wyglądający na niezbyt wygodny komplet mebli narożnych i otworzył skrzynię stojącą pod ławą.



– Ale cieszę się, że jesteś ze mną – powiedział odwrócony plecami do Herzfelda, co dało profesorowi kolejne sekundy, podczas których usiłował wyswobodzić nadgarstki z więzów.

Kiedy Martinek znów się odwrócił, trzymał w ręku butelkę wody.

– Mówię to całkiem poważnie. Cieszę się, że mnie znalazłeś. – Ton jego głosu był tak samo smutny, jak wyraz oczu.

Podszedł do Herzfelda, w którym nagle, w jednej chwili wybuchła niepohamowana wściekłość.

– Gdzie jest Hannah? – zapytał z taką siłą, jakiej nie podejrzewał u siebie, w tym stanie na wpół ogluszenia, w jakim się nadal znajdował. Istniało tylko to jedno pytanie. Wszystko inne go nie interesowało. – Żyje jeszcze?

Martinek zmarszczył czoło.

– Za kogo ty mnie uważasz? – zapytał zmęczonym głosem. Wypił łyk wody z butelki i odstawił ją na podłogę. Następnie z kieszeni kurtki wyciągnął półautomatyczny pistolet. – Czy ty myślisz poważnie, że zadałem sobie tyle trudu, aby dać ci nauczkę tylko po to, żeby na końcu służyć ci wyjaśnieniami?

Postukał się końcem lufy w czoło, aby pokazać, co o tym myśli.

Herzfeld zamknął na chwilę oczy i usiłował powstrzymać się od krzyku.

– Nauczkę? Mordujesz ludzi. Sven, igrasz z życiem mojej córki. Hannah jest chora. Umrze, jeżeli zbyt długo nie będzie dostawała swoich lekarstw.

– Astma, wiemy.

– My? Z kim ty współpracujesz?

Jego były kolega wykrzywił kąciki ust.

– To tak nie działa, Paul. To tutaj, to nie jest ostateczna rozgrywka, podczas której zabójca, z czystego samochwalstwa, wyjaśnia własne motywacje, aby dać czas bohaterowi na oswobodzenie się. – Przerwał na moment. – Ale jedno mogę ci spokojnie zdradzić. Na twoją komórkę przyszedł SMS. Czy nie zabroniłem ci włączania we wszystko Federalnego Urzędu Kryminalnego? I do tego jeszcze Leuthnera. Myślałem, że się nie znosicie! Napisał ci, że najnowsza prognoza pogody przewiduje tymczasowe osłabienie orkanu. Wcześniej niż

oczekiwano. Krótka przerwa, podczas której możliwy byłby ewentualnie dwudziestominutowy lot na Helgoland. Zorganizował pilota, który czeka na ciebie na lotnisku jakiegoś aeroklubu niedaleko Cuxhaven i który, tu cytuję: „jest na tyle nienormalny, że podejmie się tego ryzyka”.

Martinek uśmiechnął się cynicznie.

– Nasz kolega zdobył właściwe informacje. Niestety, poprawa pogody będzie bardzo krótkotrwała i nastąpi już za pół godziny, a więc niewiele ci to pomoże. Dlatego pozwoliłem sobie odwołać SMS-em ten lot, z podziękowaniem, a potem rozbiłem twój telefon i jego kawałki zakopałem w lesie.

*Tym samym zniszczyłeś nie tylko moją komórkę, ale także jedyną szansę dostania się na wyspę.*

– Nawiasem mówiąc, powinieneś być wdzięczny za tę niepogodę.

– Dlaczego?

– Helgoland nie leży w obszarze twoich kompetencji, Paul. Nie wiem wprawdzie, jak udało ci się dotrzeć do informacji, które w konsekwencji doprowadziły cię do mnie, ale podejrzewam, że masz tam kogoś na miejscu, kto ci pomaga, prawda?

Herzfeld przytaknął bezwiednie.

– Myślę, że tego dozorcę. Ale to wszystko jedno. W każdym razie bez orkanu nie namówiłbyś nikogo, żeby wykonał za ciebie tę brudną robotę. Gdyby szpital na tej wyspie nie został ewakuowany, to obdukcję nakazałby oficjalnie prokurator. A jak tylko wyszedłby na jaw związek między Hannah i tym trupem, wyłączyliby cię z dalszego dochodzenia. Czy ta sytuacja coś ci przypomina?

*Taki więc był plan, pomyślał Herzfeld. Martinek nie powinien wtedy brać udziału w sekcji swojej córki, a teraz Herzfeld miał przeżyć tę samą grozę i w razie konieczności przemocą próbować dotrzeć do wyników śledztwa, aby ratować własną córkę.*

– Orkan stworzył ci możliwości, bez których sam nigdy nie zaszedłbyś tak daleko – stwierdził Martinek.

Herzfeld wstrzymał oddech i zaprzestał prób wyswobodzenia się z więzów. Jego były kolega nie zadał sobie zbytniego trudu z tymi węzłami, zapewne brakowało mu doświadczenia w obezwładnianiu ludzi.

*Z pewnością to jego wspólnik wykonał za niego brudną robotę. Mężczyzna na nagraniu wideo, który pomógł mu zatopić zwłoki w jeziorze. Ktoś, kto nie potrafi zawiązać porządnego węzła, nie może być bezwzględny porywaczem, nie mówiąc już o seryjnym zabójcy.* Herzfeld modlił się, aby te jego rozważania nie okazały się jedynie czystym myśleniem życzeniowym.

– Nie rozumiem tego wszystkiego, Sven. Nie jesteś przecież mordercą – powiedział i szukał wzrokowego kontaktu z Martinkiem, który stanął obok kamery.

– Jesteś pewny?

– Tak, tego jestem pewny. Prawdopodobnie mogłeś przygotować te wskazówki i być może spreparowałeś ciała. Być może cały ten plan też jest twoim dziełem, chociaż co do tego miałbym już poważne wątpliwości. W każdym razie nabicie na pal sędziny było jednoznaczną sugestią przestępstwa seksualnego.

– Wiedziałem, że to zrozumiesz – powiedział Martinek z cieniem smutnego uśmiechu.

– Nie. Wiedziałem, jak odcyfrować twoje znaki. Ale nie ma tu mowy o zrozumieniu, Sven. Dlaczego robisz to wszystko?

*Dlaczego mnie to wszystko robisz?*

Martinek przygryzł swoją pękniętą dolną wargę i przełożył pistolet z jednej ręki do drugiej. Potem odpowiedział pytaniem na pytanie:

– Wiedziałeś, że sędzina Töven prawdopodobnie dlatego wydała tak łagodny wyrok na Sadlera, ponieważ przeciwko jej mężowi wszczęto kiedyś postępowanie z powodu molestowania seksualnego?

Herzfeld zaprzeczył ruchem głowy.

– Magnus Töven był dyrygentem i pewna młoda kobieta, wiolonczelistka, postanowiła zemścić się na nim, ponieważ wyrzucił ją z orkiestry za niepunktualność. Później wycofała wszystkie zarzuty, jednak dobre imię tego człowieka zostało zrujnowane. Aż do śmierci na zawał w stosunkowo młodym wieku, nigdzie nie znalazł pracy.

Herzfeld westchnął.

– To sam już wiesz, Sven, do czego może prowadzić ślepa żądza odwetu. Töven mściła się łagodnymi wyrokami na tej kobiecie, która doniosła na jej męża, czy raczej na społeczeństwie, w którym coś takiego

jest możliwe. Ale ty niszczysz moją rodzinę, mimo że nie mam na sumieniu twojej córki.

– Tak to widzisz? – zapytał Martinek, a w jego głosie dało się słyszeć pewne rozczarowanie.

– Tak. Bo ja nie jestem Sadlerem. Ja ani nie zgwałciłem twojej córki, ani jej nie zamordowałem.

– To prawda. – Martinek zrobił pauzę, podczas której z namysłem spoglądał na broń w swoim ręku, a potem powiedział: – Nie zabiłeś Lily. Jej nie.

*Jej nie?*

– Dlaczego podkreślasz, że jej nie?

Martinek podniósł broń, odwrócił dłoń bokiem, jak aktorzy w amerykańskich filmach, i wycelował w pierś Herzfelda.

– Jak już powiedziałem, to nie jest kulminacyjna scena z filmu.

Bez patrzenia sięgnął do stojącej obok niego kamery, nacisnął guzik z boku obudowy i z małej szufladki, która otworzyła się z przeciągłym elektronicznym piskiem, wyjął przedmiot wielkości znaczka pocztowego.

– Co chcesz zrobić? – zapytał Herzfeld. Zaczął mieć niedobre przeczucie, jednak Martinek nie pozwolił mu spojrzeć na przedmiot, który trzymał w dłoni. Stał teraz między nim i kamerą, i wpatrywał się w Herzfelda wzrokiem, który z każdą sekundą stawał się coraz bardziej pozbawiony wyrazu.

– Masz rację, Paul. Nie jestem mordercą. Brakuje mi do tego odwagi. – Odetchnął ciężko. – Ale tutaj nie chodzi tylko o ciebie lub twoją córkę. Chodzi o dużo więcej, on mi to uświadomił.

*On?*

– Kto to jest on?

– Niedługo go poznasz, tak myślę. Zaufaj mi. To dobry człowiek.

Przerażony Herzfeld uświadomił sobie, że tragedia Lily musiała zatruć mózg Martinka. Był kompletnie rozbity, jego słowa były tak samo obłąkane, jak jego czyny. W tym momencie Martinek przyłożył pięść do ust. Herzfeld zobaczył jeszcze, jak jego grdyka porusza się w górę i w dół, niczym winda, kiedy Martinek z trudem coś przełknął.

– Co ty zrobiłeś?! – wykrzyknął i rozpaczliwie szarpnął więzy.

Jeszcze kilka sekund i puszcza, był tego pewien. Ale tego czasu nie chciał mu już dać Martinek, który znów podniósł do góry broń. – Powiedziałeś, że cieszysz się z mojego przybycia – powiedział Herzfeld w ostatniej próbie odwiedzenia go od jego zamiaru. – Dlaczego?

Martinek przymknął oczy, jakby poważnie zastanawiał się nad tym pytaniem. Potem powiedział cicho:

– Żeby na końcu nie został sam.

Popatrzył na Herzfelda mokrymi od łez oczami i przyłożył sobie lufę do czoła.

– Poza tobą nie mam przecież nikogo, kto by mnie rozumiał.

Potem nacisnął spust.

Siła detonacji była tak wielka, że kawałki czaszki przemieszane z mózgiem bryznęły Herzfeldowi w twarz. Ciało Martinka drgało jeszcze przez chwilę, kiedy zwałił się na podłogę barakowozu. Były to jednak już tylko niekontrolowane odruchy umierającego systemu nerwowego.

Herzfeld zaczął krzyczeć. Z rozpacz. Z szoku. O pomoc.

Wykrzykiwał imię Martinka, nawet wówczas, gdy ciało tamtego dawno przestało drgać i wykazywać jakiegokolwiek oznaki życia. Potem zaczął wołać Ingolfa, a w końcu krzyczał z bólu, kiedy naciągnął w sposób nienaturalny nadgarstki, aby wyzwolić je z więzów.

Jednak bardziej od krwawiących z otarcia nadgarstków bolała go gorzka świadomość, że Martinek nie uspił go i nie związał po to, aby mu coś zrobić. Martinek trzymał go w szachu, aby Herzfeld nie mógł zapobiec samobójstwu swojego załamanego kolegi.

*Udało się!*

Ostatnim szarpnięciem Herzfeld wyzwolił ręce z więzów, poderwał się z krzesła i czując lekki zawrót głowy, pochylił się nad ciałem, kiedy nagle drzwi otworzyły się z hukiem i do środka wtoczył się Ingolf.

Jego płaszcz był cały w śniegu. Prawdopodobnie leżał na nim ogłuszony w lesie.

Oparł się o ścianę i pochylił do przodu, ciężko dysząc, tak że Herzfeld pomyślał już, że praktykant lada chwila zwymiotuje na widok Martinka. Kiedy Ingolf wyprostował się ponownie, Herzfeld zrozumiał, że droga do barakowozu znowu doprowadziła go na skraj wyczerpania. Prawdopodobnie on również musiał się przed chwilą oswobodzić, aby przyjść Herzfeldowi z pomocą.

– Stój, nie idź dalej – zawołał Herzfeld, a Ingolf dopiero teraz zauważył kałużę krwi na podłodze, w którą o mało nie wdepnął.

– O Boże, czy to jest...?

– Tak, Martinek.

– Czy to pan go...?

– Nie. Sam to zrobił. Niech pan przyniesie moją walizkę.

– Oczywiście – powiedział Ingolf i skinął głową, ale nic nie wskazywało na to, żeby miał zamiar ruszyć się z miejsca. Widok trupa zahipnotyzował go. Wpatrywał się w ciało jak sparalizowany.

– Hej, obudź się. Nie możemy tracić czasu – pogonił go Herzfeld. Ale dopiero drugie wezwanie dotarło do Ingolfa.

- Przepraszam, co pan powiedział?
- Moja walizka. Niech pan przyniesie mi instrumenty sekcyjne.
- Ale po co? – Twarz Ingolfa znów zrobiła się o kilka tonacji

bledsza.

Herzfeld wskazał na pulsujące czerwone światełko kamery.

– Przed samobójstwem Martinek połknął kartę pamięci. Muszę ją jak najszybciej wyjąć, zanim zniszczy ją kwas żołądkowy.

Serdeczne gratulacje, profesorze Herzfeld. Jeżeli zaszedł pan aż tak daleko, to szybko odrobi pan swoją lekcję.

Paul nigdy wcześniej nie widział tego mężczyzny z nadwagą, który w tak poufały sposób się do niego zwracał.

– Kto to jest? – zapytał Ingolf. Praktykant zadziwiająco szybko doszedł do siebie i wbrew oczekiwaniom okazał się bardzo pomocny. Nie tylko przyniósł Herzfeldowi walizkę z instrumentami sekcyjnymi, ale pomagał mu także przy otwarciu jamy brzusznej nieżywego Martinka, co z powodu niedawnego czasu zgonu i warunków dokonywanej sekcji na podłodze barakowozu przebiegło w sposób bardziej krwawy niż zazwyczaj.

Aby wyjąć kartę pamięci z żołądka Martinka, trzeba było rozebrać zwłoki i przewrócić na plecy, przy czym bardzo aktywny był Ingolf, mimo że po drzeniu jego dolnej wargi można było poznać, jak bardzo jest spięty. Fizycznie i psychicznie. Nie przetrwał jeszcze dobrze bliskiego spotkania ze śmiercią nad jeziorem, a już musiał patrzeć, jak Herzfeld w niecałe pięć minut rozciął ciało mężczyzny od szyi po kość łonową, odchylił na bok parujące w zimnie barakowozu, ociekające krwią powłoki brzucha, wyciągnął z głębi jamy brzusznej zmarłego leżący między wątrobą i śledzioną żołądek, a następnie rozciął go, aby poszukać w środku karty pamięci. Z pośpiechu zrezygnował nawet z założenia rękawiczek.

Później Herzfeld ze zgrozą będzie sobie przypominał te nierzeczywiste chwile w barakowozie, ale w tamtym momencie strach o Hannah blokował w nim każdą inną emocję.

Nie zastanawiał się nad tym, że po raz pierwszy rozciął człowieka, który był mu bliski. Jego myśli krążyły tylko i wyłącznie wokół tego, co przerażającego może znaleźć w jego żołądku. Przerażało go, co może być na nagraniu, a mimo to modlił się, aby wideo nie zostało zniszczone przez kwas żołądkowy

I jego modlitwy zostały wysłuchane.

Bez butelki wody, którą Martinek przyniósł przed swoją śmiercią,



nie udałoby się im tak szybko usunąć resztek krwi i wydzielin z karty pamięci, która teraz ponownie znajdowała się w kamerze. Jako że znajdujący się z boku wyświetlacz nie był większy od dłoni dorosłego człowieka, Herzfeld i Ingolf musieli niemal zetknąć się głowami, aby cokolwiek zobaczyć. Wcześniej zaciągnęli zwłoki Martinka do tylnej części barakowozu obok zimnego już pieca i przykryli je prowizorycznie kocem.

– Wygląda na to, że tym razem nie trzymał się pan przepisów – mówił dalej mężczyzna do kamery. Ten nieznany Herzfeldowi człowiek z podwójnym podbródkiem roześmiał się bez cienia radości. Stał tak blisko obiektywu, że ujęcie obejmowało jedynie część twarzy od nasady włosów do szyi. Całość była niekorzystnie oświetlona, a ponieważ mężczyzna był filmowany od dołu, sprawiał wrażenie jeszcze bardziej napuchniętego. W czasie mówienia odsłaniał poźółkłe od nikotyny zęby.

– Aby dotrzeć do tego punktu, musiał pan zataić ważne dowody, które odkrył pan podczas sekcji. Dziwne. Kiedy Sven prosił pana o to samo, odmówił pan spełnienia jego prośby. – Znowu zabrzmiał ten pozbawiony radości śmiech. – Ale przecież tym razem chodzi o pana własną córkę. Koszula bliższa ciału, mam rację?

– Kim ty jesteś? – wyszeptał Herzfeld, a mężczyzna na nagraniu, jakby usłyszał jego pytanie, właśnie się przedstawił.

– Zapewne zadaje pan sobie pytanie, kim jestem. Nazywam się Philipp Schwintowski, a pan z pewnością bardzo chciałby się dowiedzieć, jaką rolę odgrywam w tym wszystkim, prawda?

Herzfeld przytaknął bezwiednie.

– Wyjaśnienie jest bardzo proste: jestem ojcem dziewczyny, którą pan zabił.

Ingolf odwrócił się gwałtownie do Herzfelda, który zignorował jego pytające spojrzenie.

– Widział pan zdjęcia w szopie na łodzie?

*Zdjęcia z obserwacji Sadlera, jakie zrobił Martinek?*

Herzfeld poczuł się nagle tak, jakby stał na kołyszących się deskach okrętowego pokładu.

– Gdyby Sven nie obserwował tego sukinsyna po jego wyjściu z więzienia, nigdy nie odnalazłby Rebeki.

*Rebecca?*

Niejasno przypominał sobie streszczenie stosunków rodzinnych, jakie niedawno przekazała mu Yao: „*Sybille Schwintowski... zamężna z właścicielem firmy przeprowadzkowej Philippem Schwintowskim. Mają córkę, Rebecę, lat siedemnaście. Po tych dwojgu nie ma ani śladu*”.

– Sędzina uważała, że pedofila można zresocjalizować. Czy pan też tak uważa, profesorze? Powiem panu, co ja myślę o tym, jak powinno się traktować skazanych przestępców.

Przez krótki moment na ekranie było widać jedynie wnętrze wielkiej dłoni, potem kamera została zaciemniona. Kiedy Herzfeld zaczął dostrzegać na ekranie coś więcej poza przesuwanymi się cieniami, okazało się, że obiektyw został ustawiony w innym kierunku, a Schwintowski siedzi na krześle, które nie było dostosowane do jego wagi. Jego potężny korpus opinał szary wełniany sweter z wycięciem w kształcie litery V.

– Uważam, że każdy sprawca powinien cierpieć tak długo, jak jego ofiara. I jej najbliżsi. Co w moim przypadku oznaczałoby, że Sadler musiałby do końca swoich dni znosić najgorsze katusze.

*Schwintowski. Lily. Rebecca. Sadler.*

Herzfeld zaczął pojmować rozmiary tej grozy.

– Tacy ludzie jak Sadler nie nadają się do terapii. Jak tylko będą mieli okazję, poszukają sobie kolejnej ofiary. Gdy tylko ten potwór wyszedł z pudła, zaatakował ponownie. A tym razem trafiło na moją Rebecę.

Po policzkach Schwintowskiego popłynęły łzy.

– Wywiózł ją do piwnicy nieczynnej fabryki wędlin w Hohenschönhausen. Gwałcił ją tam przez dwa dni. – Jego głos załamał się, Herzfeldowi też łzy popłynęły z oczu. – To było przed czterema tygodniami. Sven śledził minivana Sadlera aż do parkingu przed terenami olimpijskimi w Westendzie. Musi pan wiedzieć, że Rebecca dobrze grała w piłkę nożną. Tego wieczoru świętowali wielkie zwycięstwo i było już późno, kiedy pożegnała się ze swoimi przyjaciółkami przed stojakami na rowery. Sven stracił na moment czujność. Śledził Sadlera już od wielu godzin i po prostu zasnął. Kiedy obudził się, minivan Sadlera zniknął. Parking był pusty, stał na nim tylko

jeden rower. Ten Rebekki. Miała taki koszyk na bagażniku na rzeczy sportowe. Ta świnią zostawiła go.

Schwintowski pochylił się do przodu i ponownie przybliżył nieco do kamery. Skrzyżował ręce na kolanach.

– Wie pan, nie mogę sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz spałem, od kiedy Martinek zadzwonił do drzwi mojego domu z legitymacją uczniowską Rebekki w ręku.

Jego głos zaczął drżeć.

– Znalazł ją w jej torbie sportowej. Od razu próbowałem zadzwonić na jej komórkę. Ten sadysta kazał jej nagrać się na pocztę głosową, ostatnie pożegnalne pozdrowienie dla rodziców. Nie popełniłem jednak wtedy błędu zdania się na policję. Zwłaszcza kiedy usłyszałem, jakiego rodzaju sprawiedliwości doświadczył Martinek. Jeżeli będzie się pan zajmował moim życiorysem, to natknie się pan na pogłoski, które potwierdzą, że jestem człowiekiem chętnie biorącym sprawy w swoje ręce. Sadler znalazł sobie niewłaściwą ofiarę.

Herzfeld przytaknął skinieniem głowy i przypominał sobie opis osoby cytowany przez Yao: *„Philipp Schwintowski, ma trochę na sumieniu. (...) Prasa nazywała go zabójczym Buddą, ze względu na jego tuszę. Kamera monitoringu sfilmowała go, jak zrzucił winnego mu pieniądze dłużnika z wiaduktu na autostradę podmiejską, gdzie ten został przejechany przez ciężarówkę”*.

– Martinek pomagał mi w poszukiwaniach. Objechaliśmy wszystkie miejsca, w których Sadler był obserwowany w ostatnich tygodniach. Siódme było właściwe. Niestety przybyliśmy za późno. Rebecca już nie żyła, kiedy ją znaleźliśmy.

Herzfeld nienawidził siebie za uczucie ulgi, jakiego doznał, kiedy stało się jasne, że to nie była Hannah, lecz Rebecca, którą Martinek pochował w jeziorze razem z jej ojcem. Przeprowadzona wcześniej i zarejestrowana na wideo obdukcja miała udokumentować czyny, które popełnił Sadler.

– Ale przynajmniej... – Schwintowski pociągnął nosem i wytarł łzy z twarzy wierzchem dłoni. – Przynajmniej udało nam się złapać Sadlera. Znaleźliśmy go w sąsiedniej piwnicy, kiedy oglądał nagrania, które zrobił podczas torturowania Rebekki. Spodnie miał opuszczone do

kostek. Łatwo było go obezwładnić, ponieważ właśnie szykował się, żeby sobie... – Schwintowski przełknął głośno. – Wiedział pan, że te gwałty były dla niego rzeczą drugorzędną? Chciał sobie dodatkowo zwalić konia, w nagrodę, że udało mu się nakłonić Rebeccę, żeby się zabiła.

*Taki więc był cel i metoda tego sadysty*, pomyślał Herzfeld. W zasadzie Sadler był tchórzliwą świnią. W jego przeszłości można by zapewne natknąć się na cały szereg molestowań i poniżeń, i z całą pewnością ten przestępca seksualny już od wczesnego dzieciństwa uważał się za nic niewarty kawał gówna, jakim był w rzeczywistości. Tylko podczas tych kilku sekund, kiedy czuł władzę, jaką miał nad życiem innej osoby, budziło się w nim poczucie własnej wartości i czuł się silny. A ponieważ te sekundy były tak rzadkie, zaczął utrzymywać je na filmie.

Wielki Boże. Nic dziwnego, że Schwintowskiemu odbiło i chciał zemsty na każdym, kto w jakikolwiek sposób miał coś wspólnego z bestialskim mordem na jego córce. Töven i Sadlera załatwili już wspólnie z Martinkiem.

*A teraz przyszła kolej na mnie. Ale on nie chce mnie zabić, tylko patrzeć, jak cierpię. Chce mi odpłacić tą samą monetą.*

Herzfelda zemdliło na myśl, jak mało jest prawdopodobne, aby tych dwóch ojców, którzy stracili swoje córki, pozostawiło Hannah przy życiu.

W następnej chwili Herzfeldowi aż ciarki przeszły po plecach, bo znowu Schwintowski jakby czytał w jego myślach:

– Ja wiem, pan w zasadzie nie jest złym człowiekiem, panie profesorze. Pan ani nie zgwałcił mojej córki, ani nie wydał łagodnego wyroku na jej zabójcę. Moje dążenie do zemsty dotyczyło początkowo tylko sędziny. Oraz, rzecz jasna, Sadlera, któremu już tam na miejscu odciąłem język, którym... – Głos Schwintowskiego załamał się ponownie i nie udało mu się wypowiedzieć tego, co było dla niego niemożliwe do wypowiedzenia.

*...którym on oblizywał Rebeccę, zanim ją zgwałcił.*

– W pierwszym odruchu chciałem zamęczyć Sadlera na śmierć, a sędzinę załatwić przez swoich ludzi, ale potem Martinek uświadomił mi,

że tutaj nie chodzi tylko o nas.

Oparł się zmęczony na krzesło, a Herzfeld po raz pierwszy zwrócił uwagę na pomieszczenie, w którym znajdował się Schwintowski. Sądząc po drewnianych podporach, było to puste poddasze. Obok niego musiało być niewielkie okno, przez które wpadało do środka niezbędne do nagrania światło.

– Chodzi o cały system, który z ofiar czyni sprawców – wyjaśnił Schwintowski. – O policję, która jest zbyt przeciążona, aby po każdym zgłoszeniu zaginięcia organizować akcję poszukiwawczą. Chodzi o sądy, które silniej karzą przestępców podatkowych niż pedofilów. O psychologów, którzy zalecają przepustki dla gwałcicieli, jak tylko odkryją jakąś traumę w ich dzieciństwie, podczas gdy mnie, za moje nielegalne kasyna, najchętniej zamknęliby do izolatki. No i oczywiście, chodzi także o aparat medycyny sądowej, jako część tak zwanego państwa prawa, które na końcu służy tylko sprawcom, a ofiary karze po raz drugi.

Schwintowski zacisnął powieki i podniósł ostrzegawczo gruby palec do góry:

– Poczekaliśmy, aż rana Sadlera się zagoi. Martinek zaszył mu kikut języka, aby ta świnia nam się nie wykrwawiła. A potem, kiedy już wyzdrowiał, kazaliśmy mu wykonać całą brudną robotę.

*A więc to Sadler okaleczył zwłoki? I nabił na pal sędzinę?*

Herzfeld zadawał sobie pytanie, w jaki sposób zmusili tę bestię do tego, i sam sobie odpowiedział: przyrzekli mu Hannah jako nagrodę. Teraz to jemu napłynęły łzy do oczu.

– Przyznaję, że ta zabawa w podchody, mająca zaprowadzić pana do córki, może wydawać się okrutna. Ale wskazówki znajdują się w ciałach ludzi, którzy zasłużyli na śmierć. Pan ma przynajmniej jeszcze niewielką szansę, aby uratować swoją córkę. W przeciwieństwie do naszych rodzin, które straciły już wszystko, dla czego warto było żyć.

*Stąd samobójstwo żony Schwintowskiego. A więc to prawda: Sybille Schwintowski nie została wcale zmuszona ani do wzięcia tabletek, ani też do pożegnania nagarnia, które wydział zabezpieczenia śladów znalazł w penthausie.*

– Tak więc znalazł się pan już prawie na końcu swojej drogi do

poznania faktów, panie Herzfeld. Mógłbym oczywiście zdradzić teraz panu, gdzie przetrzymujemy pana córkę, ale nie chciałbym panu tego wszystkiego tak ułatwiać. Jak już powiedziałem, po tym wszystkim, czego udało mi się dowiedzieć, jest pan dobrym człowiekiem. Ale także dobrzy ludzie popełniają błędy, za które pan musi teraz odpowiedzieć.

Schwintowski wytarł sobie łzę z kącika oka.

– Nie jestem taki jak Sven. Teatralność nie pasuje do mnie. Dlatego ostatniej wskazówki udzielę panu ustnie: Hannah pozostawiliśmy sam na sam z Sadlerem.

*O Boże.*

We wnętrzu Herzfelda otworzyły się mroczne drzwi.

– Niech pan podąży za białym światłem Alcatraz, jeżeli chce ją pan znaleźć.

– Co on ma na myśli, do diabła? – zapytał Ingolf. Herzfeld zupełnie zapomniał o jego obecności.

– Na pana miejscu pośpieszyłbym się, jeżeli nie chce pan stracić Hannah na zawsze.

To były ostatnie słowa Schwintowskiego. Podniósł się z krzesła. Najpierw z pola widzenia kamery zniknęła jego głowa. Potem było widać tylko nogi, bo wszedł na krzesło, na którym cały czas siedział.

– Nie! – wykrzyknęli Herzfeld i Ingolf jednocześnie, ale wtedy Schwintowski odepchnął już nogą krzesło.

*Jego żona wybrała tabletki. Martinek pistolet. Schwintowski strychezek.*

Herzfeld wzdrygnął się cały, widział, jak wiszące na linie ciało Schwintowskiego zaczęło dziko podrygiwać, tak długo, aż zaciągnięta na jego szyi pętla przerwała całkowicie dopływ krwi do mózgu. I kiedy Herzfeld wpatrywał się, nieruchomy ze zgrozy, w dyndające przed kamerą stopy, uświadomił sobie, że wraz z Philippem Schwintowskim umarł ostatni człowiek, który mógłby doprowadzić go do kryjówki, w której przetrzymywana była jego córka.

„Hannah pozostawiliśmy sam na sam z Sadlerem”.

Herzfeld wiedział, że te słowa będą prześladowały go do końca życia, jeżeli nie uda mu się rozwiązać ostatniej zagadki Schwintowskiego. Właściwie to powinien raczej odczuwać ulgę, jako że Sadler leżał martwy na stole w sali sekcyjnej w klinice na wyspie, co oznaczało, że Hannah nie mogła już znajdować się w jego rękach. Ale być może oznaczało to jedynie, że było już za późno. A nawet gdyby Hannah udało się do tej chwili przeżyć męki zgotowane jej przez tego sadystycznego przestępcę seksualnego, to znajdowała się obecnie w jakimś lochu, sama, bez zapewniających przeżycie lekarstw.

„*Niech pan podąży za białym światłem Alcatraz*”.

– Zakładam, że nie miał na myśli wyspy z więzieniem w San Francisco? – podzielił się swoim przypuszczeniem Ingolf.

– Nie, to była zapewne tylko wskazówka dotycząca jakiegoś więzienia znajdującego się na wyspie. Prawdopodobnie wszystko związane jest z Helgolandem.

Już dobrych kilka minut minęło od chwili, kiedy Herzfeld zobaczył przedsiębiorcę przeprowadzkowego skaczącego w otchłań śmierci, ale nadal nie mógł pozbyć się widoku jego stóp kołyszących się powoli w tę i z powrotem. Według wskaźnika u dołu wyświetlacza do końca nagrania pozostało jeszcze niecałe trzy kwadransy.

Herzfeld przesiedziałby najchętniej ten cały czas w barakowozie, aby sprawdzić, czy na nagraniu nie znajdują się jeszcze jakieś ukryte, pożyteczne wskazówki, jednak zdawał sobie sprawę z tego, że nie mają na to czasu.

*Nie mamy czterdziestu minut, aby obejrzeć do końca to wideo. Cholera, nie mamy nawet czterdziestu minut, aby dotrzeć na wyspę.*

Już chciał zatrzymać nagranie, kiedy w ostatniej chwili spojrzął na datę i nie wyłączył kamery.

– Coś pan zauważył?

– Coś mi się tutaj nie zgadza – wyszeptał Herzfeld. Dotknął ekranu. Obraz zastygł, a profesor wskazał na lewy dolny róg monitora.

– Co się nie zgadza? – zapytał Ingolf, masując sobie kark. Wysoki praktykant, aby cokolwiek dojrzeć z nagrania, musiał się ponownie pochylić do niewielkiego obrazu na ekranie kamery.

– Według podanego tutaj czasu Schwintowski zabił się trzy dni temu. Ostatni prom odszedł przedwczoraj. A więc najpóźniej od tego momentu Martinek musiał znajdować się tu na stałym lądzie.

– Kiedy znaleziono zwłoki Sadlera na Helgolandzie? – zapytał Ingolf.

– Linda odkryła je wczoraj na brzegu, ale nie oznacza to, że nie mogły leżeć tam dłużej.

– No dobrze, Schwintowski zdeponował tam Sadlera alias Erika. To było przed trzema dniami, tuż przed tym, zanim sam się powiesił. – Ingolf zmarszczył podejrzliwie brwi. – Ale co działo się w międzyczasie?

Profesor pokiwał głową.

– Dobrze pytanie! Kto w takim razie wbił Enderowi nóż w szyję, skoro Sadler i Schwintowski już nie żyli, a Martinka nie było na wyspie...

– Myśli pan, że...

– Tak. Musi być jeszcze trzeci sprawca.

Herzfeld ponownie dotknął ekranu i przewinął nagranie do miejsca, w którym Schwintowski odepchnął krzesło.

– To może też być manipulacja – wyraził przypuszczenie Ingolf, który w ostatnim momencie odwrócił wzrok, aby nie oglądać ponownie tych okropnych ujęć. – Ale dlaczego Martinek i Schwintowski mieliby się zabijać...

– Ciiiiii... – przerwał mu Herzfeld i położył ostrzegawczo palec wskazujący na ustach. – Słyszał pan to?

– Nie. Co takiego? – Ingolf ponownie odwrócił się w stronę kamery.

Herzfeld przewinął raz jeszcze, a podkreślił głośność do maksimum.

*Rzeczywiście. Nie myliłem się.*

Ingolf przytaknął podniecony.

– To jest jakiś gong albo coś w tym rodzaju?

Wskutek szumów w tle nie było go prawie słychać, dlatego przeoczyli to za pierwszym razem, ale teraz, kiedy Herzfeld wiedział, na co ma zwrócić uwagę, nie miał już wątpliwości.



– Nie, to nie gong. To zegar.

*A ja go gdzieś już dzisiaj słyszałem.*

– Zgadza się – przyznał także Ingolf. – Taki stary zegar stoi u nas w domu w bibliotece.

– I gdzieś na Helgolandzie.

Puls Herzfelda przyspieszył. Dotychczas tylko przypuszczał, że Hannah może być przetrzymywana na wyspie. Miejsce znalezienia zwłok nie musiało być jednocześnie miejscem, gdzie ją więziono, a poza tym pierwszą wskazówkę znalazł na swoim stole sekcyjnym w Berlinie. Teraz istniał wreszcie konkretny ślad prowadzący na Helgoland. Kilka godzin temu, kiedy rozmawiał przez telefon z Lindą, usłyszał bicie stojącego zegara. Nie był tylko pewny, w którym miejscu na wyspie znajdowała się wtedy jego rozmówczyni.

– Niech pan da mi swoją komórkę – powiedział Herzfeld.

Ingolf pokręcił z żalem głową i wyciągnął swój telefon z kieszeni spodni od dresu.

– Nie działa – powiedział. – Martinek wyjął baterię i kartę SIM, kiedy byłem nieprzytomny.

*Cholera. Ale należało się tego spodziewać.*

– W takim razie musimy chyba pojechać do budki telefonicznej.

Herzfeld chciał właśnie odkręcić kamerę ze statywu, aby zabrać jako dowód rzeczowy, kiedy Ingolf złapał go za ramię.

– Co jest?

– Nie chce pan najpierw sprawdzić, czy wciąż jest podłączona do Wi-Fi?

– Co pan ma na myśli?

Ingolf wskazał palcem na czerwoną lampkę LED.

– Wydaje mi się, że pana kolega był komputerowym gadżeciarzem. Najpierw laptop z odłączanym ekranem dotykowym, a teraz kamera z dostępem do Internetu.

– Czy to oznacza, że to wszystko, co tu widzieliśmy, jest online?

*Przyznanie się do winy, zarzuty, samobójstwo?*

– Nie. Ale plik wideo z wyspy musiał jakoś dotrzeć tutaj do barakowozu. A ja podejrzewam, że Schwintowski przesłał nagranie swojego samobójstwa bezpośrednio przez wideoczat do pamięci w

kamerze. W każdym razie, z czysto technicznego punktu widzenia, byłoby to, w przypadku tego modelu, jak najbardziej możliwe.

Ingolf poprosił Herzfelda, aby ten się odsunął i zaczął naciskać różne guziki na bocznej stronie obudowy kamery. W miejsce obrazu kołyszącego się w powietrzu ciała Schwintowskiego na ekranie pojawiły się szeregi liczb i danych.

Ręce Ingolfa drżały, a jego palce pozostawiały wilgotne odciski na ekranie, ale nie potrzebował wiele czasu, aby dojść do potwierdzenia swojego pierwotnego wniosku:

– Jest tak, jak myślałem. – Odwrócił się do Herzfelda, który na próżno usiłował zrozumieć, co praktykant właśnie robił.

– Schwintowski użył anonimowego chatu, czyli wykorzystał swoją kamerę na wyspie jako wideotelefon. A Martinek odebrał to nagranie tą kamerą i zapisał je.

– No i?

– Niestety nie ma żadnego i. Połączenie zostało zakończone już kilka dni temu, i dlatego nie mogę... – Ingolf przerwał w połowie zdania i nie reagował także, kiedy Herzfeld pytał go, co się dzieje. Zamiast tego chwycił kamerę obiema rękami, zasłaniając Herzfeldowi widok na to, co z nią robi. – Ha! – zawołał nagle podniecony, a kiedy ponownie odstepił od statywu, na jego twarzy malowała się mieszanka euforii i obawy.

– Co jest?

– Jak powiedziałem, chatroom Schwintowskiego został dawno zamknięty. Ale w protokołach poleceń widzę, że w ostatnich dniach Martinek wielokrotnie korzystał z innego połączenia.

Zanim jeszcze Herzfeld zdołał zadać kolejne pytanie, Ingolf wpisał na ekranie dotykowym link i pośrodku monitora ukazała się kręcąca się klepsydra.

Po niecałych dziesięciu sekundach rozległ się piszczący sygnał jako potwierdzenie nawiązanego połączenia, a na monitorze pojawiły się pierwsze śnieżące obrazy.

Rozległ się też zduszony krzyk Herzfelda, kiedy zobaczył pomieszczenie piwniczne przypominające bunkier.

Poszło łatwiej, niż się spodziewała. Jej metalowa prycza znajdowała się dokładnie pod żarówką i tym samym bezpośrednio pod hakiem rzeźnickim. Jakiś czas trwało, zanim zebrała w sobie tyle sił, aby stanąć na łóżku, a kiedy w końcu jej się to udało, i w miarę stabilnie balansowała na metalowych sprężynach, mogła bez większego trudu zdjąć kabel z haka i w jego miejsce umocować pętlę.

– No i jak, to jest właśnie to, czego chcesz? – zapytała przekornie do kamery i podjęła decyzję. Nie, nie tą o śmierci. To było już dawno postanowione. Raczej sama odbierze sobie życie, niż dopuści tego szaleńca z nożem do obrzezania swoich najczulszych miejsc.

*Kolejnego bólu już nie zniosę.*

– Poza tym, i tak przecież nie przeżyję – powiedziała sama do siebie. Nie miała żadnych wątpliwości co do tego, że zabójca spełni dane jej przyrzeczenie. Wyraz jego oczu, kiedy ją gwałcił, bił, kopał i maltretował nożyczkami, był bezwzględny i jednoznaczny. Dla niego nie była człowiekiem, lecz dziwką, przedmiotem jednorazowego użytku. Jak tylko skończy z nią, *jak tylko mnie obrzeza*, od razu jej się pozbędzie. Jediną szansą, jaka jej pozostała, to wyznaczenie samej czasu i okoliczności własnej śmierci.

I ten czas właśnie nadszedł.

Skoczy. Jak tylko zakończy ostatnie przygotowania.

Gwałtownie, nieco za szybko i stąd nieudolnie, zeszła z pryczy i boleśnie podwinęła jej się stopa. Ten nowy, dodatkowy ból, obudził w niej wściekłość, i znowu zaczęła płakać, przede wszystkim dlatego, że wiedziała, że będzie teraz musiała przez jakiś czas odpoczywać, zanim znowu da radę wejść na pryczę – a na to trzeba było czasu, którego nie miała.

*Bo pewnie zaraz wróci. „Kiedyś”, powiedział. Ale kiedy jest kiedyś?*

Podciągnęła kolana pod brodę i masowała miejsce, w którym znajdował się tatuaż, głaskała motyla i żałowała, że nie umie fruwać.

*Ale nawet gdybym umiała, to i tak teraz by mi to nie pomogło, prawda?*

Kiedy ból przeszedł w łagodne pulsowanie, spróbowała ostrożnie wstać, ale się nie dało. Kontuzja, sama w sobie, była niegroźna, w porównaniu z tym, co musiała dotychczas wycierpieć. Ale w ogólnym obrazie ta skrecona kostka była kroplą, która przepełniła czarę cierpienia. W każdym razie w tym momencie nie byłaby w stanie przesunąć pryczy do rogu bunkra, aby stamtąd rozbić kamerę.

Przypuszczała, nie, wiedziała, że jej mordercy tylko dlatego nie było tak długo, ponieważ podniecało go oglądanie, jak wielką władzę nad nią ma. Zapewne podglądał ją cały czas. Prawdopodobnie będzie mu stawał za każdym razem, kiedy później będzie oglądał, jak ona skacze w otchłań śmierci. Jednak nie chciała dać mu tej satysfakcji. Jeżeli umrze, to bez publiczności.

*Tylko jak zniszczyć kamerę, zanim on przyjdzie?*

Podpełzła do rogu, nad którym zamocowana była, za pomocą prostej, ale skutecznej konstrukcji z dwustronnej taśmy klejącej, nieustannie pulsująca czerwonym światłem kamera. Urządzenie pracowało bezprzewodowo i działało na baterie, w każdym razie nie dostrzegła żadnego kabla, za który mogłaby chwycić i po prostu ściągnąć kamerę w dół.

W tym momencie, kiedy znajdowała się bezpośrednio pod obiektywem, sądząc po kącie ustawienia kamery, nie była w ogóle, lub przynajmniej częściowo, widoczna, a ta świadomość, że zniknęła z pola widzenia tego szaleńca, napawała ją irracjonalną radością, która jednak nie trwała długo i ustąpiła miejsca głębokiemu smutkowi.

*Nie tylko on nie może mnie widzieć. Ja sama nigdy więcej nie będę mogła zobaczyć się w lustrze.*

Zamknęła przepełnione łzami oczy i usiłowała zrozpaczona wygrzebać z głębi świadomości wspomnienia o własnej tożsamości, jednak wszystko, co jej się ukazywało, to niepowiązane ze sobą okruchy zdarzeń:

Jej ojciec na rowerze.

Dużo kartonów przewodzących, takich jak ten, w którym znalazła stryczek.

Jej matka na lotnisku.

Tatuażysta, który ostrzegał ją, że to miejsce jest szczególnie bolesne.

Przypomniała sobie, że chciała zdawać maturę i że była dobra z matmy i wuefu – ale to jej nie wystarczyło.

– Nie chcę umierać! – wyszeptała i przełknęła gwałtownie ślinę. – A przynajmniej tak długo, dopóki nie dowiem się dlaczego.

Wytarła sobie łzy z kącików oczu, a potem powiedziała nieco głośniej:

– I dopóki nie dowiem się, kim jestem.

Mimo to podniosła się ponownie i pokuśtykała z powrotem do pryczy. Lepiej, żeby się znowu pokazała, zanim wróci ten obłąkaniec. Leżenie na zimnej podłodze i tak przecież nie uruchomi jej wspomnień.

Rozmyślać mogła także ze stryczkiem na szyi.

To nie zadziała – zaprotestował Ingolf, który miał trudności z dotrzymaniem profesorowi kroku. Herzfeld przedzierał się przez polanę do porsche, w głębokim po kolana śniegu. Odkręconą naprędcę ze statywu kamerę niósł ukrytą pod puchową kurtką, chociaż musiał stwierdzić, że ten środek ostrożności jest zupełnie zbędny.

Leuthner miał jednak rację. Jakby na przekór ich oczekiwaniom, pogoda wyraźnie się poprawiła i nie było już zagrożenia, że kamera zostanie uszkodzona przez wiatr czy padający śnieg. Sztorm przemienił się w silną bryzę i wbrew wszelkim prognozom nawet kilka wieczornych promieni słonecznych przebiło się przez rozdartą pokrywę chmur.

– Szybciej – zawołał Herzfeld i odwrócił się szybko, aby sprawdzić, co z Ingolfem. Przemarznięty praktykant rozcierał sobie ciało, ciasno obejmując ramionami tułów. W swoim ciemnym dresie niemal całkowicie zlewał się z szaroczną ścianą lasu i stosem leżących za nim ściętych pni.

– Nie możemy pojechać – wykrztusił, a Herzfelda opadło mroczne przeczucie.

– Zabrał panu kluczyki?

– Tak, ale to nie problem. Schowałem w samochodzie zapasowy.

– Okay, w takim razie ruszamy. – Herzfeld ponownie poszedł przodem w kierunku porsche. Oświetlenie wewnętrzne nadal się paliło, bo otwarte było troje z czworga drzwi. – Musimy dotrzeć do najbliższej miejscowości. Wezwać pomoc.

Herzfeld nie miał pojęcia, jak wyglądały warunki pogodowe na pełnym morzu, ale podejrzewał, że w tych okolicznościach pozwolenie na start otrzyma przynajmniej helikopter ratunkowy. W każdym razie, zanim pogoda pogorszy się ponownie, musiał się z kimś skontaktować – wszystko jedno, czy z Leuthnerem, Federalnym Urzędem Kryminalnym, policją czy ze służbami ratunkowymi.

*I zanim moja córka skoczy w otchłań śmierci.*

Zobaczył tylko pustą, stalową pryczę i nagie ściany, więcej kamera nie obejmowała, ponieważ ona schowała się w kącie piwnicy, jak mógł

wywnioskować z odgłosu jej oddechu. Ale stryczek na haku rzeźnickim mówił sam za siebie. Był dla niego sygnałem, że Hannah jest o krok od podzielenia losu córki Martinka. Schwintowski otworzył mu oczy. To był sposób Sadlera: tak długo torturował swoje ofiary, aż na oczach kamery wybierały dobrowolną śmierć. Wprawdzie Sadler leżał już od wczoraj na stole sekcyjnym Lindy, ale co ten sadysta zdążył zrobić Hannah wcześniej? Jakie męki jej obiecał?

I jak długo już, sama i opuszczona, siedziała w swoim lochu, czekając na niewyobrażalny ból? Z pewnością wystarczająco długo, aby złamało to jej duszę.

Sadler mógł już nie żyć, ale ziarno, jakim zatrzał psychikę Hannah, było ciągle w niej. I z tego powodu Schwintowski kazał mu się pośpieszyć.

To była kwestia minut, zanim Hannah podejmie swoją ostatnią decyzję.

I skoczy.

– Gdzie jest dokładnie zapasowy klucz? – dopytywał się Herzfeld, kiedy dotarł do polnej drogi. Z powodu długiego mrozu ziemia pod warstwą śniegu była twarda jak beton i dla samochodu terenowego nie stanowiłaby żadnego problemu. Gdyby nie...

– Nie, nie, nie! – krzyknął Herzfeld, waląc się obiema pięściami w skronie. Ingolf, który właśnie dołączył do niego, jeszcze pogorszył sytuację, mówiąc:

– Bardzo mi przykro.

*Ach tak? Przykro ci, że moja córka właśnie będzie się wieszać na Helgolandzie, podczas gdy my bezradnie tkwimy w tym lesie? Bez komórek? Bez samochodu?*

Ich sytuacja była beznadziejna, a to z powodu banalnej rzeczy: Martinek przeciął wszystkie opony. Nawet gdyby udało im się dojechać na felgach do głównej szosy, kosztowałoby to zbyt wiele czasu, którego nie mieli.

Nie panując nad sobą z wściekłości i rozczarowania, Herzfeld kopnął jedną z dziurawych opon i z całej siły zatrzasnął prawe tylne drzwi.

– Mamy niestety do dyspozycji tylko jedno koło zapasowe –

powiedział Ingolf i otworzył tylne drzwi. Pochylił się do środka i wyjął drugi klucz spod koła.

– To nam już jednak nie pomoże. – Herzfeld oparł zrezygnowany głowę o szybę po stronie kierowcy. Jego wzrok padł przy tym na oprawioną w skórę instrukcję obsługi cayenne, która spadła na podłogę przed siedzeniem pasażera. Nagle podskoczył, jakby poraził go prąd. Po sekundzie grozy otworzył gwałtownie drzwi, wsiadł i położył kamerę na tylnym siedzeniu. – Szybko, szybko – zawołał do Ingolfa, który właśnie chciał zamknąć tylne drzwi samochodu, a teraz patrzył na niego skonfundowany.

– Co pan chce zrobić?

– Klucz zapasowy, dawaj.

Ingolf zamknął drzwi, jednak niespecjalnie śpieszył się, żeby usiąść obok Herzfelda.

– Daleko tak nie zajedziemy – bąknął sceptycznie, podając Herzfeldowi klucz.

– Mamy przed sobą krótką drogę.

– Krótką? Najbliższa miejscowość leży dziesięć minut jazdy stąd.

Przy aktualnym stanie mojego samochodu oznacza to... auuuuu!

Ingolf złapał się jedną ręką uchwyty nad drzwiami, a drugą oparł na schowku na desce rozdzielczej, aby przeciwstawić się siłom odśrodkowym, jakie nagle na niego oddziaływały, bo Herzfeld nacisnął pedał gazu. Kombinacja pozbawionych powietrza opon i wyboistej drogi leśnej spowodowała, że porsche z luksusowej maszyny na powietrznych amortyzatorach przemieniło się w dzikiego konia, a Ingolf uderzał głową na przemian w szybę i sufit.

– Jest pan przypięty? – To było ostateczne pytanie, jakie Herzfeld zadał swojemu pasażerowi, który krzyczał, że jadą w złym kierunku. Rzeczywiście, posuwali się w głąb lasu, a nie w stronę szosy. Herzfeld miał coraz większe trudności w utrzymaniu pojazdu na tej wąskiej ścieżce.

– Chce pan nas zabić?

*Prawie trafiłeś, chłopcze.*

Herzfeld upewnił się szybkim spojrzeniem, że pas zaskoczył, potem zamknął oczy i szarpnął gwałtownie kierownicą w bok.



Porsche otarło się o przykryty śniegiem pień i o mało nie chybiło celu. Po niewielkim obrocie uderzyło bez hamowania w dwustuletni dąb, którego pień wszedł w samochód jak nóż – od chłodnicy poprzez komorę silnika aż do deski rozdzielczej i przeciął go na dwie części, wyzwalając siłę, pod wpływem której przednie szyby rozprysnęły się jak konfetti.

**Helgoland**

Wraz ze spadkiem temperatury w sali sekcyjnej, coraz bardziej słyszalne stawało się charczenie Endera. Jego wysiłkom, żeby nabrać powietrza w płuca – a dokładniej: wysiłkom jego nieprzytomnego ciała – towarzyszył dźwięk, jakby ktoś próbował wyciągnąć rurką ostatnie krople płynu z plastikowego kubka.

Linda klęczała obok niego, od kiedy usiłował przekreślić się na bok we śnie. Niekontrolowane ruchy Endera poprzedziło lekkie drżenie nóg, które na razie się uspokoiło. Za to jego gałki oczne poruszały się niespokojnie pod zamkniętymi powiekami z jednej strony na drugą.

– Nie martw się, wszystko będzie dobrze – powtarzała Linda wciąż to samo zdanie, w które od dawna już nie wierzyła, a które wymawiała tylko dlatego, że nic więcej nie miała właściwie do roboty. Z tych dwóch godzin, jakie przyrzekł jej Herzfeld, pozostało jeszcze kilka minut, a ona nie widziała żadnego powodu do nadziei, że profesor dotrzyma słowa i przyśle profesjonalną pomoc. Co jakiś czas usiłowała do niego zadzwonić. Najpierw w nieskończoność powtarzał się sygnał, a on nie odbierał, a później zaczęła się natychmiast włączać poczta głosowa:

*„Abonent chwilowo poza zasięgiem sieci. Proszę zostawić wiadomość...”*

Linda westchnęła zrozpaczona.

– Jeszcze kwadrans i sama pójde – przyrzekła Enderowi, którego zimną i wilgotną dłoń ścisnęła kurczowo, aby przynajmniej podświadomie czuł, że nie jest sam.

Kiedy tak klęczała kolanami na materacu, zmagając się z kilkoma emocjami jednocześnie, jedną bardziej niestosowną od drugiej. Jednak stopniowo wszystkie te emocje przyćmione zostały koniecznością pójścia do toalety.

Ostatni raz była tam w swoim domku na plaży, a od tego czasu minęła już wieczność. Wprawdzie przez ostatnie kilka godzin prawie nic

nie piła, ale teraz miała wrażenie, jakby pęcherz miał jej zaraz pęknąć. Zastanawiała się już, czy nie skorzystać z miski, ale chwilowo powstrzymało ją od tego ciężkie uczucie zmęczenia.

W ciągu ostatnich minut kilkakrotnie już zapadła w trwający kilka sekund sen. Do tego wszystkiego zaczynała jeszcze odczuwać głód, mimo niezbyt apetycznego otoczenia.

Czuła, że spada jej poziom cukru, niedługo nie będzie już w stanie podnieść ręki, jeżeli szybko czegoś nie zje.

*Pewnie dlatego po pogrzebie zawsze była uczta pogrzebowa,* brzmiała jej ostatnia racjonalna myśl, zanim głowa bezwładnie opadła jej na piersi. Czuła, jak traci równowagę, ale nic sobie nie robiła z tego, że osunęła się na wyłożoną kafelkami ścianę obok materaca. Nie chciała tylko przerywać połączenia z Enderem i dlatego ścisnęła jego dłoń tym mocniej, im głębiej zapadała w pozbawiony jakichkolwiek marzeń sen. Niestety, nie trwał on długo.

Huk gromu, który przywrócił ją do teraźniejszości, był tak potężny, że będąc jeszcze w półśnie, usiłowała wmówić sobie, że to jej się tylko śniło. Jednak potem znowu zagrzmiało tak głośno, jakby Linda znajdowała się bezpośrednio pod kopułą dzwonu, w którą ktoś walił młotem.

Ktoś z zewnątrz musiał z całej siły skoczyć na drzwi, Linda nie potrafiła wytłumaczyć sobie inaczej tych wibracji i potężnego echa.

W mroku rozświetlonym tylko przez skierowaną na sufit latarkę nie było widać nic podejrzanego, ale Linda była przekonana, że stalowa okładzina drzwi musiała zostać z tamtej strony wgnieciona. Nie zdziwiłaby się, gdyby wybrzuszenie było także widoczne od wewnątrz.

Nagle ponownie coś (*noga, ciało?*) uderzyło głucho w drzwi, a Linda zrobiła tym razem to, czego dotychczas unikała ze strachu: głośno krzyknęła i puściła dłoń Endera.

Uczucie głodu, pełny pęcherz, zmęczenie i wyczerpanie – wszystko to zostało zapomniane. Podniosła się z trudem i wpatrywała się w drzwi, zza których nadal dobiegały jakieś odgłosy. Wprawdzie teraz nikt już nie rzucał się na drzwi, ale za to Linda usłyszała metaliczne kołatanie. A potem je zobaczyła.

*Światło.*

Zimne i ostre jak klinga noża padało przez coraz bardziej powiększającą się szparę w drzwiach, co oznaczało, że ktoś z zewnątrz musiał z całych sił napierać na klamkę, żeby je przesunąć. Jednie przewrócona szafka z instrumentami uniemożliwiała napastnikowi wejście do pomieszczenia.

– Kim pan jest?! – krzyknęła Linda. Żadnej odpowiedzi.

Szarpanie drzwiami nie ustawało, chociaż szczelina, jak na razie, przestała się powiększać. Kant szafki, zgodnie z zamierzeniem Lindy, zaklinował się na klamce drzwi, i nie dały się one dalej otworzyć. Napastnik zmienił jednak teraz taktykę i nie usiłował już przesunąć drzwi w bok, lecz uderzał w nie z zewnątrz, aby impetem wstrząsów odsunąć blokującą je przeszkodę.

Linda zadziałała instynktownie, odsuwając w pierwszym rzędzie materac z Enderem ze strefy zagrożenia. Następnie zaczęła napierać na szafkę, aby zapobiec jej odsunięciu się od drzwi. Dopóki jej brzegi były mocno zakleszczone, z prawej o ścianę, z lewej o klamkę drzwi, zabójca nie mógł wejść do środka.

*Chyba że znajdzie inny sposób dotarcia do mnie.*

Spojrzała na sufit, ale w panującym półmroku nie dojrzała żadnych włazów do tuneli nawiewu nad głową, co nie znaczyło, że ich tam na górze nie było. Wręcz przeciwnie. Napastnik nieustannie rzucał się na przesuwane drzwi i za każdym razem Lindzie z najwyższym trudem udawało się dosunąć z powrotem odskakującą szafkę na instrumenty. Wiedziała, że to tylko kwestia czasu, kiedy jej opór zostanie przełamany.

*Chyba że...*

Rozejrzała się w panice wokół siebie i oszacowała czas, jakiego potrzebowała do przysunięcia kolejnej zapory.

Obydwa ciężkie stoły sekcyjne stały kilka metrów od niej, co oznaczało, że były nieosiągalne, nie mówiąc już o tym, że przymocowano je do podłogi i tym samym unieruchomiono.

*Ale za to łóżko!*

Linda wykorzystała przerwę, jaką z konieczności zrobił sobie napastnik, aby złapać za łóżko na kółkach, na którym przywieźli sędzinę. Nie namyślając się długo, czy to rzeczywiście w czymś pomoże, przewróciła je na kant i oparła o drzwi. W tej samej chwili otworzyła się

szuflada z instrumentami sekcyjnymi i różne przedmioty wypadły na podłogę. Obok plastikowych rurek, drewnianych łopatek i gumowych taśm Linda zauważyła dwa długie zaostrome metalowe pręty, które wyglądały jak szpikulce do lodu i które wydały jej się darem niebios.

W huku wywołanym ponownymi uderzeniami w drzwi z zewnątrz Linda złapała za jeden z nich i weszła na szafkę z instrumentami. Dzięki temu mogła dosięgnąć ręką górnej szyny, po której przesuwały się drzwi. Gorączkowo zaczęła je obmacywać wzdłuż, aż w końcu natknęła się na to, czego szukała.

*Śruba!*

– Czego pan chce ode mnie?! – zawołała, nie otrzymując żadnej odpowiedzi.

Impet uderzeń, które wstrząsały drzwiami, powodował, że również Linda wzdrygała się przestraszona za każdym razem, i dlatego musiała próbować kilkakrotnie, zanim udało jej się odpowiednio przyłożyć ostrze metalowego pręta do śruby.

Półprzytomna ze strachu i rozpaczony uderzyła gołą ręką w gumowy trzonek pręta, a potem spróbowała raz jeszcze, aż wreszcie wyczuła, że udało jej się nieco poluzować śrubę. Wyobraziła sobie, że musi temu zabójcy, czyhającemu na nią na zewnątrz, wyłamać ząb ze szczęki, wcisnęła ostrze głębiej w szynę (*głębiej w dziąsło*) i pchnęła dźwignię do góry.

*Czy zadziałało? Czy śruba wystaje na tyle, aby blokować szynę?*

Tego Linda nie wiedziała. Nie miała też pojęcia, dlaczego odgłosy na korytarzu prowadzącym do sali nagle umilkły, zaraz po tym, jak zeszła z szafki na instrumenty.

Dygocąc na całym ciele, z palcami jednej dłoni zaciśniętymi kurczowo na stalowym pręcie, a z drugą wplątana w rozpaczliwym geście we włosy, wpatrywała się w drzwi, które przestały się poruszać.

Do oczu napłynęły jej łzy, kiedy uświadomiła sobie, że gdzieś między próbą zrobienia dodatkowej zapory z przewróconego łóżka a usiłowaniami, by poluzować śrubę, musiała stracić kontrolę nad pęcherzem. Plama między jej nogami stawała się powoli zimna i do potwornej mieszanki miotających ją emocji dołączyło jeszcze zawstydzenie.

*I co teraz?*

Linda domślała się, że dzięki swoim działaniom co najwyżej zyskała trochę na czasie. I że bez czyjejś pomocy nigdy nie uda się jej wydostać na zewnątrz. Ostatnie resztki sił, jakie jeszcze w sobie miała, właśnie zostały zużyte.

Wycieńczona osunęła się plecami po ścianie na podłogę i zakryła twarz rękami. W uszach miała tak silny szum, że nie słyszała nawet swojego dyszącego oddechu.

Nie mówiąc już o cichym odgłosie, z jakim otworzyły się od wewnątrz drzwi drugiej szuflady chłodni na zwłoki, zaraz po tym, jak Linda zamknęła na moment oczy, aby przemyśleć beznadziejność własnej sytuacji.

Pierwsze, co dotarło do Lindy, to głos, który wydał jej się jednocześnie znany i nierzeczywisty. Potem otworzyła oczy i zorientowała się, że musiało upłynąć trochę czasu, ponieważ agregat awaryjny prądu znowu działał, a tym samym także oświetlenie na suficie.

Nie miała czasu, aby się nad tym zastanawiać, nie słyszała, jak zbliża się do niej mężczyzna, który teraz trzymał ją w uścisku jak w imadle. Kwestia, czy rzeczywiście zasnęła z wyczerpania, stała się zupełnie nieważna w obliczu oczekiwanego bólu.

*W obliczu mojej bliskiej śmierci.*

– Nie poznajesz mnie? – wyseplenił psychopata, któremu Linda nie chciała nadawać żadnego imienia, nawet w myślach, ponieważ wymówienie jego imienia oznaczałoby akceptację jej własnego końca.

Chciała wstać, ale mężczyzna na to nie pozwolił, trzymając ją za ramiona i przyciskając plecami do ściany.

– Nieco się zmieniłem od czasu, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni – powiedział. Jego słowa brzmiały, jakby mówił z pełnymi ustami, a przecież jego twarz wyglądała tak, jakby było to absolutnie niemożliwe. Brakowało mu połowy żuchwy, a na lewym policzku otwierała się rana o poszarpanych brzegach. To było źródło jego zgniłego oddechu, który Linda czuła z każdym wypowiedzianym przez niego słowem. I powód, dla którego każdemu jego słowu towarzyszyło syczenie. – Przecież to ja, twój najukochańszy Danny.

*Danny.*

Teraz już Linda nie mogła opierać się prawdzie. Zabójca przestał być obcym człowiekiem. Niebezpieczeństwo miało swoje imię. I nie pochodziło z zewnątrz, lecz przez cały czas ukrywało się tuż przy niej.

*W sąsiedniej szufladzie chłodni, obok mnie.*

A więc jednak nie myliła się i nie było to żadne urojenie, kiedy nie tak dawno myślała, że zobaczyła cień przemykający w lustrze otwartej windy. Czyżby od tego czasu był z nią razem w sali sekcyjnej? Linda otworzyła usta i usiłowała odsunąć się od Danny'ego, kiedy

nieoczekiwanie poluzował swój uchwyt.

– Spokojnie, kochanie. Nie bój się!

Danny Haag, stalker, od którego jej brat chciał ją na zawsze uwolnić – człowiek, przed którym uciekła na Helgoland, tylko po to, aby znaleźć się w piekle – ten właśnie mężczyzna usiłował teraz uśmiechnąć się do niej, potęgując tylko przez to potworność swojego wyglądu.

Wyciągnął do niej rękę, jakby chciał pomóc jej wstać.

– Twój brat Clemens chciał nas rozdzielić – powiedział z wysiłkiem. Linda siedziała na podłodze w kucki i patrzyła przerażona na Danny’ego, który miał łzy w oczach. – On jest przeciwny naszej miłości, malutka. Tak bardzo, że usiłował nawet mnie zabić. Wiedziałaś o tym?

Linda pokręciła przecząco głową, jak w transie.

Zauważyła, że włosy Danny’ego, niegdyś wielka duma próżnego artysty, nie były ani przycięte, ani umyte.

– Najpierw mnie pobili, twój brat i jego wytatuowani przyjaciele. Potem zostawili mnie w lesie. I nagle pojawiała się ta dziewczynka. Powiedział jej, gdzie mnie znajdzie.

Mówił powoli, usiłował wymawiać słowa zrozumiale, co jednak mu się nie udawało z powodu obrażeń. Jego słowa nie miały często ani początku ani końca, z sykiem przechodziły jedno w drugie.

Danny pociągnął nosem. Jego głos stał się płaczliwy.

– O mało nie rozdzielili nas na zawsze, kochanie. Nawet nie wiesz, przez co musiałem przejść. Na wpół żywy, w bagażniku, w lesie. Jedyne myśli o tobie i wspomnienie naszej miłości trzymały mnie przy życiu. Modliłem się, żebyś przyszła do mnie, mój aniele, i mnie uratowała. Ale zamiast ciebie przyszedł diabeł. Najpierw pomyślałem, że ta mała chce mi pomóc, a ona wyjęła wtedy broń, którą twój brat przygotował dla niej w samochodzie, i strzeliła mi w twarz.

Oszołomiona Linda obmacywała lewą ręką podłogę wokół siebie, w nadziei na znalezienie jakiegoś instrumentu, który wypadł z szafki.

*Może ten szpikulec do lodu, a najlepiej nóż sekcyjny. Cholera, gdzie ja położyłam ten nóż?*

– Myślę, że ona nawet nie mogłaby być pociągnięta do odpowiedzialności karnej – powiedział Danny, a Linda ze strachu prawie już zapomniała o kim on w ogóle mówi. – I nie poszłaby do więzienia,



gdyby ją złapali. Ale nie udało się, jak widzisz. Nie sprawdziła, czy naprawdę nie żyję. Inaczej zauważyłaby, że w ostatnim momencie udało mi się odwrócić głowę.

Pokazał Lindzie zmasakrowaną przez kulę żuchwę. Linda wstała. Mimo odrazy odczuwała jednak coś w rodzaju litości dla Danny'ego, któremu z brzegów rany w sposób niekontrolowany spływała ślina.

– Przyznaję, że bezpośrednio po tym, byłem pełen nienawiści. Chciałem się zemścić. Na twoim bracie, tej dziewczynce i, to także przyznaję, na tobie, bo nawet do mnie nie zadzwoniłaś. A ja nie mogłem się do ciebie dodzwonić na twój stary numer. I podczas gdy leżałem w domu, faszerowałem się środkami przeciwbólowymi i daremnie czekałem na twój telefon, zacząłem sobie wyobrażać, co wam wszystkim zrobię.

Uśmiechnął się potwornym grymasem, a litość Lindy zmieniła się w czyste przerażenie.

– Jak mnie znalazłeś? – wyrzuciła z siebie.

– Przez twoje e-maile. Na szczęście dałaś mi swoje hasło.

*Dałaś? Wykradłeś je! Tak jak i pin do mojej poczty głosowej i wszystko inne, czym usiłowałam chronić moją sferę prywatną!*

– Przeczytałem e-mail od Clemensa. Napisał, że zorganizował dom dla ciebie na Helgolandzie, tak, jakbyś się na to zgodziła. Przyjechałem ostatnim promem, zanim rozszalał się sztorm.

Linda wyobraziła sobie ze szczegółami, jak Danny, grubo opatulony, zchodzi z pokładu. Z szalem narzuconym na głowę, tak jak wielu innych pasażerów, chroniących w ten sposób twarz przed zimnem. Tylko, że jego szal zasłaniał rany.

*Ale skoro przyjechałeś tutaj z mojego powodu, to co masz wspólnego z córką Herzfelda? Skąd te trupy? I kto przed chwilą walił w drzwi na korytarzu?*

Danny zrobił gest, jakby chciał dotknąć jej twarzy, ale ona się uchylila.

– Co ci jest, słoneczko? – Otworzył ramiona w zapraszającym geście. – Przecież powiedziałem, że już się na ciebie nie gniewam. To już jest przeszłość. Przez długi czas byłem pełen nienawiści, tak,

przyznaję. Nawet pierwszego dnia, kiedy przybyłem tu na wyspę. Chciałem cię przerazić, położyłem się do twojego łóżka, używałem twoich ręczników, ale potem usłyszałem, jak rozmawiasz przez telefon ze swoim bratem. Chciałaś się dowiedzieć, co mi zrobił. Boże, Linda, byłaś taka wściekła, taka zatroskana o mnie, wtedy nabrałem pewności, że to on zmusił cię do opuszczenia miasta i że nadal mnie kochasz. Prawda, że kochasz mnie jeszcze?

Lindzie zrobiło się niedobrze, jednak zdawała sobie sprawę, że musi robić wszystko, aby cała sytuacja znowu nie wymknęła się spod kontroli.

– Tak, Danny – powiedziała więc zduszonym głosem i podniosła się z trudem.

– Spójrz na mnie! – zażądał i podszedł o krok bliżej. Linda rozważała swoje szanse i doszła do wniosku, że nie ma żadnych. Była nieuzbrojona, jedyni ludzie, którzy mogli jej pomóc, byli martwi lub leżeli w agonii, a ona sama się tu zamknęła.

– Powiedz, że mnie kochasz.

– Kocham cię – skłamała.

– Twój głos jest pełen zwątpienia.

*A twój pełen obłędu.*

– Ponieważ nie rozumiem, dlaczego się tutaj schowałeś – usiłowała kontynuować swoją grę. – Dlaczego wcześniej się nie pokazałeś?

– Wstydzilem się, Linda. Zrozum. Kiedy tu przyszedłem, chciałem się zemścić. Ale kiedy cię zobaczyłem, pragnąłem już tylko być przy tobie. Ale jak mogłem w takim stanie ci się pokazać?

Pokazał na swoją zmasakrowaną twarz.

– Bałem się, że już mnie nie zechcesz. A więc pozostawałem w tle. Ale zawsze byłem w pobliżu ciebie, a zwłaszcza gdy się zorientowałem, że masz tutaj problemy. – Przełknął ciężko, jakby coś uwięzło mu w gardle. – Jestem twoim aniołem stróżem.

– A więc nie przyszedłeś, żeby mi zrobić krzywdę? – zapytała Linda, a jej wargi wykrzywiły się w groteskowym uśmiechu. Długo nie będzie w stanie tak udawać. Przynajmniej udało jej się nie szarpnąć głową, kiedy Danny dotknął jej włosów.

– Nigdy nie zrobiłbym ci krzywdy, przecież wiesz.

*Oblaleś mi kwasem czoło i zabiłeś mojego kota!*

– To dlaczego zrobiłeś to wszystko tutaj?

– Co tutaj zrobiłem? – zapytał i w jego głosie zabrzmiało szczere zdziwienie.

– No, wszyscy ci ludzie. Co oni ci zrobili?

– Ci, tutaj? – zapytał, idąc za jej wzrokiem, który najpierw powędrował do Endera, a potem od jednego stołu sekcyjnego do następnego.

Danny potrząsnął głową.

– Nie mam z tym nic wspólnego.

*Nic wspólnego? Czy to możliwe?*

– To był ktoś inny, przysięgam. Nie mam pojęcia, co się tutaj dzieje. Myślałem, że ty mi to wyjaśnisz. Czy to Clemens zmusił cię do rozcinania tych trupów?

– Nie – odpowiedziała i w tym samym momencie pożałowała swojej nieostrożności. Clemens był tym, kogo Danny najbardziej nienawidził, obarczał winą za wszystko, i to mogła wykorzystać.

– W takim razie, kto cię zmusza?

– Wyjaśnię ci to, jak stąd wyjdziemy, Danny.

Chciała odwrócić się do drzwi, ale on przytrzymał ją za rękę.

– Linda?

Odwróciła się do niego i przeszedł ją dreszcz. Mimo że część jej żałowała tego, co mu zrobiono, jednak nie mogła się pozbyć myśli, że wygląd zewnętrzny Danny'ego po raz pierwszy odpowiada jego chorej istocie.

– Co? – zapytała.

– Pocałuj mnie!

– Słucham?

Poczuła straszny ucisk w gardle.

– Całus na pojednanie. Żebym był pewny, że nie pomyliłem się co do ciebie.

Uniósł podbródek, z którego zwisała rozciągnięta kropla śliny jak pająk spuszcający się na swojej nici.

*Nie, proszę, nie. Tylko nie to.*

Zamknęła oczy, co on błędnie zrozumiał jako jej zgodę. Kiedy

przyciągnął ją do siebie, musiała siłą stłumić w sobie krzyk.

– Wiem. Dla innych jestem odstręczający, ale ty patrzysz na mnie oczami miłości. Prawda, że tak jest, Linda?

– Tak.

Zamknęła oczy i poczuła, jak jego wilgotne usta przyciskają się do jej warg, jak jego język usiłuje rozchylić jej ściśnięte usta. Przełknęła gwałtownie ślinę, aby nie zwymiotować.

Przez moment zwiększał nacisk, ale potem odchylił się od niej tak gwałtownie, że o mało nie straciła równowagi, gdyby jej nie przytrzymał.

– Co się stało? – zapytała, a odpowiedź wyczytała w jego oczach. Były pełne nienawiści, wściekłości i rozczarowania. Linda знаła jego wahnięcia, te porywcze zmiany nastrojów, które popychały go do skrajności.

*Cholera, zawałiłam sprawę.*

Danny uniósł koszulę, a ona zobaczyła nóż sekcyjny, którego szukała, tkwiący za paskiem jego spodni.

– Ty szmato – wyszeptał. Potem uderzył ją otwartą dłonią w twarz. Linda chciała rozmasować palący policzek, kiedy poczuła kolejną falę bólu przechodzącą jej przez głowę. To Danny złapał ją za włosy.

– Myślisz, że nie wiem, kiedy mnie okłamujesz?

Teraz stał za nią, z ostrzem przyłożonym do jej szyi. Znowu poczuła jego wodę po goleniu i wywołało to w niej jeszcze większą falę mdłości niż wszechobecny trupi zapach.

– Czujesz do mnie wstręt.

– Nie, Danny.

– Czuję, że już mnie nie kochasz.

– Kocham.

– Masz innego?

– Co? Nie, przysięgam...

Danny złapał ją za rękę, wykręcił do tyłu i pchnął do przodu. Oboje upadli na jeden ze stołów sekcyjnych. W tym momencie zgasło światło

– Danny, proszę, daj nam jeszcze jedną szansę. Kocham cię.

– Mam po dziurki w nosie twoich kłamstw.

Zatrzymał się i pociągnął ją za włosy, unosząc jej głowę, tak że po

raz ostatni zobaczyła Endera, do którego, z tego, co działo się wokół niego, zupełnie nic nie docierało. Danny położył latarkę niedaleko materaca, dlatego też miejsce, gdzie leżał Ender, było lepiej oświetlone, niż to, gdzie oni się teraz znajdowali.

– Było coś między wami? – zapytał Danny z pełną powagą.

Linda nie miała pojęcia, co miałyby odpowiedzieć na to szaleństwo. Znow pchnął ją do przodu, a Linda zaczęła przeczuwać, dokąd może ją zaprowadzić ten wymuszony marsz przez salę sekcyjną.

– A może pieprzysz się z tym facetem, z którym ciągle gadasz przez telefon?

Dotarli do zlewu, i tak jak się spodziewała, Danny poluzował uchwyt, aby móc odkręcić wodę.

Strumień uderzył silnie w zlew, który od czasu obdukcji był do połowy wypełniony wodą wymieszaną z krwią, a Linda zastanawiała się gorączkowo, co mogłyby powiedzieć lub zrobić, aby uniknąć nieuniknionego. Ale nic nie przyszło jej do głowy, a od chwili, kiedy woda dotarła do oznaczenia informującego o dopuszczalnym poziomie, wszystko przebiegło bardzo szybko. Linda nie miała nawet czasu, aby po raz ostatni zaczerpnąć powietrza i nabrała duży haust zimnej wody, kiedy Danny wepchnął jej głowę do zlewu.

– Skoro ja cię nie mogę mieć, nie dostanie cię żaden inny! – wykrzyczał.

*Tylko spokojnie. Jeszcze nie wszystko stracone*, pomyślała i miała ochotę jednocześnie krzyczeć, płakać i... *oddychać*.

W jednym z komiksów, jaki narysowała przed kilkoma laty, bohaterka przechytrzyła swojego mordercę, ponieważ zaczęła udawać nieżywą, na długo przed tym, zanim rzeczywiście skończyło jej się powietrze. Ale teraz Linda na własnej skórze przekonała się, jak nierealistyczna była to scena.

Kiedy została wciśnięta pod wodę, przestała panować nad swoimi ruchami. Instynktownie kopała, waliła rękami i miotła się na wszystkie strony. Już teraz, kilka sekund po zanurzeniu, myślała, że nie wytrzyma ani chwili dłużej bez tlenu. Skóra piekła ją, jakby ktoś wtarł w nią proszek wywołujący swędzenie. W tym stanie nie było możliwe świadome zwiótczenie mięśni, aby Danny uznał ją pomyłkowo za

martwą i zwolnił uścisk.

*Umrę.*

Jej dłonie uderzały o stalowy brzeg stołu sekcyjnego.

*Ender. Wstań. Nóż. Pomocy.*

Jej ostatnie myśli zredukowały się do pojedynczych słów. Nadal wprawdzie krzyczały w jej głowie, ale już niedługo staną się cichsze. Tak jak jej dłonie nie będą już uderzały o brzeg zlewu.

Słyszała coraz głośniejsze dudnienie, jakby siedziała w startującym samolocie. Przed jej oczami tańczyły ogniste błyskawice, a ona nie miała pojęcia, czy ma oczy otwarte, czy zamknięte.

*Ja. Nie. Chcę. Umierać.*

Linda uderzyła kolanem o coś pod zlewem, ale czuła jedynie mocny chwyt Danny'ego na karku.

Dudnienie w jej głowie przeszło w rytmiczne łomotanie. Jej ruchy stawały się coraz wolniejsze i jej ciało groziło zwiotczeniem, ale nie dlatego, że to udawała, tylko że rzeczywiście umierała.

*Nieeee!*

Po raz ostatni zacisnęła dłoń w pięść, chociaż wiedziała, że nie ma już na tyle siły, aby uderzyć nią do tyłu, w twarz stalkerowi, który pochylał się nad nią, przygniatając ją ciężarem własnego ciała.

*Ale...?*

Linda wyprostowała palce, aby natychmiast je zacisnąć ponownie.

*Co... to... jest?*

Do huku panującego w jej czaszce wmieszały się wspomnienia z dzieciństwa. Przypomniała sobie spacer po lesie i procę, którą ojciec wyciął dla niej z gałęzi, i początkowo nie mogła zrozumieć sensu tej myśli, aż nagle uświadomiła sobie, co znalazła przez przypadek na stole sekcyjnym.

*Ja...*

Linda złapała to coś jeszcze mocniej...

*Ja nie chcę...*

...ostatnim gestem oporu przeciwko śmierci poderwałaś rękę do góry, w kierunku, gdzie spodziewała się głowy stalkera.

*...umierać...*

I miała szczęście.

Ktoś inny trzymałby się przypuszczalnie w pewnej odległości. Zapewne poluzowałby uchwyt w ostatnich sekundach śmiertelnych podrygów ofiary. Ale Danny chciał być w chwili śmierci Lindy jak najbliżej niej. Dlatego jego twarz znajdowała się tuż nad powierzchnią wody, kiedy ostrze kija, na który była nadziana sędzina, przeszło przez jego prawy oczodół do wnętrza czaszki.

Linda poczuła, jak ten ważący tony ciężar spadł z jej ciała i poderwała głowę do góry. Zaczęła kaszleć i krzyczeć jednocześnie, więc nie mogła wciągnąć do płuc odpowiedniej ilości powietrza, kiedy upadła obok zlewu na podłogę.

Zdawała sobie sprawę, że nie może tak długo leżeć, a przynajmniej powinna się wyprostować, bo inaczej się udusi, ale zamiast tego podciągnęła kolana aż do piersi i czuła się, jakby jej głowa tkwiła w plastikowej torbie. Każdy oddech był męczarnią, która wymagała od niej nadludzkich wręcz wysiłków.

*Nie dam rady.*

Przynajmniej nie marnowała już myśli na to, co stało się z Dannym i nie zastanawiała się, czy za sekundę znowu jej nie zaatakuje, podczas gdy ona, niezdolna do walki, walczy na podłodze o każdy haust tlenu. Młot pneumatyczny w jej głowie stawał się coraz głośniejszy, miażdżył każdą myśl, z wyjątkiem jednej: *powietrza!*

Łomot pod jej czaszką był tak potężny, że w ogóle nie słyszała innych odgłosów wokół siebie.

Ani rżenia Danny'ego, ani piszczenia i skrzypienia drzwi wejściowych, które ktoś z zewnątrz usiłował otworzyć łomem, aby móc wreszcie dostać się do sali sekcyjnej.

Gdzie stoi zegar?

Linda otworzyła oczy, myślała, że śni i zamknęła je ponownie.

– Hej, nie, nie, nie. Nie zasypiaj!

Poczuła potrząsanie – jak w samochodzie jadącym po kocich łbach, tylko że ona odczuwała to, jakby nie miała zupełnie nic wspólnego z ciałem trzymanym właśnie przez dwie silne męskie dłonie. Jakby to był zupełnie ktoś inny, któremu ten mężczyzna, o wyrazistym i jednocześnie zmęczonym wyglądzie, odsuwał włosy z twarzy.

– Kim pan jest? – zapytała Linda tak niewyraźnie, że jej mamrotanie przypominało próby wysławiania się przez Danny’ego. Jej język był opuchnięty i zdrętwiały.

– To ja – odpowiedział mężczyzna niezbyt sensownie, a potem krzyknął coś za siebie do tych pozostałych, którzy kręcili się za nim.

*Przyszedł pan z całą armią, aby mnie wreszcie wykończyć?*

Głowa Lindy opadła do przodu, na puchową kurtkę tego mężczyzny. Po raz pierwszy od dłuższego czasu poczuła się bezpiecznie, mimo że nadal podejrzewała, że wspiera głowę na piersi któregoś z zabójców, odpowiedzialnych za te wszystkie trupy, które nie były ofiarami jej byłego chłopaka.

– Danny – wyksztusiła przerażona, kiedy uświadomiła sobie, że nie wie, co się z nim stało.

– Wszystko w porządku – uspokoił ją donośny głos, który wydał jej się przyjemnie znajomy. – Wyłupiłeś mu oko, stracił przytomność z bólu i został obezwładniony. Nic już ci nie robi.

Gdyby ten mężczyzna ponownie nią nie potrząsnął, znowu o mało by nie odleciała. O wiele bardziej otrzeźwiający były jednak słowa, jakie do niej wypowiedział:

– To ja, Linda. Paul Herzfeld.

Rozwarła szeroko oczy, mrugnęła kilka razy i potrząsnęła z niedowierzaniem głową, która nagle wydała jej się zupełnie pusta.

– Paul? – zapytała, jakby nigdy wcześniej nie słyszała tego imienia.

*Naprawdę ci się udało?*



– Tak. Już nie musisz się bać. Wszystko będzie dobrze. – Ujął jej twarz w obie dłonie i spojrzał głęboko w oczy. – Muszę tylko wiedzieć, gdzie dokładnie byłaś, kiedy zaczął bić zegar!

**Haus Töven.** Gdzie to jest? – zapytał Herzfeld przysadziściego mężczyznę, który zagroził mu wejście do kliniki.

Lądowanie helikoptera ratunkowego na parkingu kliniki zwabiło mały tłumek ludzi, wśród nich owego barczystego mężczyznę, który donośnym głosem przedstawił się jako burmistrz wyspy.

– Nazywam się Till Bandrupp i domagam się wreszcie wyjaśnienia, co się tutaj dzieje.

Na jego twarzy było wyraźnie widać nieufność, a Herzfeld dobrze to rozumiał. Swoim aktualnym wyglądem przypominał raczej oszalałego seryjnego mordercę niż profesora medycyny sądowej. Jego ubranie i ręce były poplamione krwią, pas porsche przeciął mu podczas zderzenia skórę na szyi, włosy sterczały mu na wszystkie strony, a twarz miał pokrytą proszkiem po pęknięciu poduszki powietrznej. Tylko Ingolf, który pozostał w budynku szpitala z powodu skrajnego wyczerpania, wzbudzał jeszcze mniej zaufania podczas ich przybycia.

– Nazywam się Paul Herzfeld i kieruję jednostką specjalną przy Federalnym Urzędzie Kryminalnym – powiedział i pokazał burmistrzowi swoją legitymację. Jednocześnie dał znak lekarzowi pogotowia i pilotowi, który ich tutaj przetransportował, aby poszli za nim, ale kiedy Bandrupp podniósł ostrzegawczo rękę, obaj mężczyźni niezdecydowanie stali w miejscu.

– Chwileczkę. Nie może pan tak po prostu zjawić się tutaj i...

– Mogę, jak najbardziej. I przyrzekam panu, że wszystko wyjaśnię, tylko teraz nie mam na to czasu.

Herzfeld spojrział temu mężczyźnie z ogorzałą twarzą głęboko w oczy i wiedział już, że nie ma do czynienia z tępym służbistą, który kurczowo domaga się trzymania przepisów, kiedy należy raczej działać.

– Proszę! – powiedział Herzfeld z naciskiem. – Życie mojej córki zależy od naszego szybkiego działania.

Bandrupp wahał się jeszcze przez moment, potem odsunął się na bok i powiedział z lekkim skinieniem głowy:

– No więc, dobrze. Zaprowadzę tam pana, ale mam nadzieję, że w

drodze zaserwuje mi pan cholernie dobre uzasadnienie.

Burmistrz poszedł przodem i zaprowadził ich do elektrycznego pojazdu, który zaraz po przyjeździe zaparkował obok helikoptera ratowniczego. Silny podmuch wiatru uderzył teraz w ten pojazd, ale nie można było tego porównać ze sztormem, jaki szalał przez ostatnie godziny, chociaż ciemne chmury nad Morzem Północnym wskazywały na to, że krótka przerwa w nawałnicy zbliżała się już do końca.

Bandrupp spojrział w niebo, potem na Herzfelda, który ze swoją walizką na instrumenty sekcyjne na kolanach zajął miejsce obok kierowcy, i zwrócił się do pilota i lekarza ratownika na tylnym siedzeniu:  
– Musieliście naprawdę postradać zmysły, że odważyliście się tutaj przylecieć.

Obaj mężczyźni przytaknęli bez słowa.

Jeżeli Ender i Hannah przeżyją ten dzień, to będzie to zasługa instrukcji obsługi. Kiedy Herzfeld kilka godzin wcześniej chciał przeczytać, jak programuje się system nawigacji w samochodzie Ingolfa, przejrzał także rozdział dotyczący modułu bezpieczeństwa GPS w porsche. W tamtym momencie informacje na temat zintegrowanego systemu ratunkowego w razie wypadku wywołały u niego jedynie zniecierpliwione zmarszczenie czoła. Chciał się wtedy dowiedzieć, w jaki sposób dodaje się do nawigacji współrzędne geograficzne, a nie, co się stanie w chwili, kiedy po uderzeniu wybuchną poduszki powietrzne. Według informacji producenta, od tej chwili miało minąć nie więcej niż dziesięć minut do lokalizacji przez centralę sygnałów z nadajnika wraku i wysłania zespołu ratowniczego na miejsce wypadku.

Przy podawaniu tego zakresu czasowego inżynierowie zawyżyli jednak dane: wszystko trwało siedem minut, jak stwierdził na własnej skórze Herzfeld. A kiedy specjalnie uderzył samochodem w drzewo, to nie wysłali karetki, lecz od razu helikopter.

Lekarz pogotowia i jego asystent, którzy wylądowali na polanie, początkowo ucieszyli się, że obok całkowicie zniszczonego samochodu terenowego znaleźli zdrowych swoich pacjentów. Kiedy jednak później usłyszeli, czego od nich domagają się Herzfeld i Ingolf, uznali to za skutek szoku. Dopiero kiedy Herzfeld wyciągnął swoją legitymację Federalnego Urzędu Kryminalnego i zażądał, aby połączyli go z kolegą

nazwiskiem Leuthner, zaczęli pojmować, że tych dwóch wariatów mówi całkiem poważnie i naprawdę chce, aby przetransportować ich na prywatne lotnisko w pobliżu Cuxhaven, gdzie rzekomo czeka na nich pilot z cessną.

Kiedy jednak zespół ratowniczy usłyszał, że w szpitalu na wyspie leży mężczyzna z ciężką raną kłutą szyi i musi być natychmiast przewieziony na ląd, sprawdzili prognozę pogody i zdecydowali się sami zająć tą sprawą.

Lekarz obstawał jednak przy tym, aby nie łamać żadnych przepisów, i chciał przewieźć Ingolfa i Herzfelda do najbliższej szpitalnej izby przyjęć, zanim polecą dalej na Helgoland. Wtedy jednak stwierdził zdumiony, że młodszy z pacjentów jest synem ministra spraw wewnętrznych, polityka, którego biografię niedawno przeczytał i od tego czasu podziwiał. Tym, co przeważyło o wzięciu ich na pokład, była plastikowa torba, którą Ingolf wyciągnął z tajnego schowka pod kołem rezerwowym i przekazał obu ratownikom ze słowami: „Potraktujcie to panowie jako dodatek za złą pogodę”.

Herzfeld nie chciał w ogóle wiedzieć, ile gotówki woził ze sobą praktykant, ale miny tych obu po zajrzeniu do środka mówiły same za siebie.

I tak doszło do tego, że zespół ratunkowy, po rozmowie z centralą, wykorzystał poprawę pogody i wziął kurs na Helgoland. Do wyspy dolecieli po dwudziestu minutach silnych turbulencji, z powodu których Ingolf kilka razy musiał wymiotować. Teraz praktykant siedział na noszach w klinice i nie nadawał się do niczego.

*Dwadzieścia minut.*

Szybciej niż Herzfeld mógł sobie wymarzyć.

*A mimo to zapewne za późno.*

W drodze do domu nad urwiskiem ograniczył się do poinformowania burmistrza o najważniejszych faktach: że jego córka została porwana przez grupę zrozpaczonych rodziców, którzy uważali się za ofiary wymiaru sprawiedliwości i chcieli się zemścić na ludziach, którzy byli, w ich oczach, za to odpowiedzialni.

– I wszyscy porywacze już nie żyją? – dopytywał się Bandrupp z niedowierzaniem, kiedy zatrzymali się przed domem sędziny Töven nad

stromym urwiskiem.

– Tak. Wybrali dobrowolną śmierć, kiedy ich misja dobiegła końca.

*Sadler, Töven, moja córka. Ofiary ich zemsty leżały albo w sali sekcyjnej... albo są na najlepszej drodze w tym kierunku.*

– A jak ci mordercy przybyli na wyspę, że my tego nie zauważyliśmy? – zapytał Bandrupp, jednak Herzfeld nie chciał tracić więcej czasu na wyjaśnienia, mimo że według niego odpowiedź była prosta, kiedy zobaczył na posesji sędziny przyczepę do przewozu koni: „W okamgnieniu ze Schwintowskim”.

Znany mu slogan reklamowy na łopoczącej na wietrze plandece krzychał mu prosto w twarz.

*W okamgnieniu, inaczej umrze ci dziecko.*

Mógł się założyć o wszystko, że jacht przedsiębiorcy, którym przewiózł na wyspę zadeklarowany jako rzeczy z przeprowadzki „fracht”, był zacumowany w jednym z obu portów.

– Hej, niech pan na mnie poczeka – usłyszał wołanie burmistrza, który spod swojego siedzenia wygrzebał długą latarkę, ale Herzfeld wyskoczył już z samochodu i dotarł do drewnianych drzwi.

Nie były zamknięte. Wpadł do domu, wszedł po schodach na pierwsze piętro, a stamtąd wąskimi schodami na poddasze.

Włączył światło. Poddasze wyglądało tak samo, jak zapamiętał je z wideo: białe skosy, oklejone chropowatą tapetą do malowania, okienko w dachu, przewrócone krzesło... *i stryczek przywiązany do belki nad nim*. Herzfeld czuł się, jakby wędrował przez koszmar senny, który stał się rzeczywistością. Nagranie się zmaterializowało i stało się przerażającą prawdą. Tak realną, że w myślach usłyszał głos Schwintowskiego, który mówił do niego: „*Hannah jest blisko mnie*”.

Nie było żadnych wątpliwości. Znalazł się tu, gdzie przedsiębiorca popełnił samobójstwo.

Tylko jedna rzecz nie pasowała do tego obrazu grozy: stryczek był pusty.

Schwintowski już na nim nie wisiał.

W pierwszej chwili Herzfeld chciał ponownie zbiec na dół i sprawdzić każdy pokój w poszukiwaniu córki.

*„Hannah jest blisko mnie”.*

Potem jednak przypomniał sobie, że Ender już to załatwił, kiedy Linda natknęła się na zwłoki sędziny w dużym pokoju. Poza tym nie było tutaj piwnicy, jak zapewnił go Bandrupp. A na wideo widział wyraźnie betonowe ściany.

*Betonowe ściany i stryżek, taki jak na poddaszu.*

Herzfeld przypomniał sobie powiedzenie Martinka, że decyzji nie należy podejmować w stanie wzburzenia, nie wiedział jednak, jak wyłączyć ten orkan, który teraz szalał już nie na wyspie, lecz, coraz mocniej, w nim samym.

Co stało się ze zwłokami Schwintowskiego? I co miał na myśli, mówiąc o swojej ostatniej zagadce?

*„Niech pan podąży za białym światłem Alcatraz”.*

Herzfeld podszedł do okienka w dachu i otworzył je. Świeży, zimny wiatr spowodował, że napłynęły mu łzy do oczu.

Słyszał fale uderzające o klif, poczuł aromatyczny zapach morza i wpatrywał się w zapadający zmierzch. Słońce jeszcze nie zaszło, ale chmury wisiały znowu tak nisko, że wyspa stawała się zamazanym, mrocznym krajobrazem.

– Tutaj jest krew – powiedział ktoś za jego plecami, ktoś, kogo głos był mu obcy, ponieważ ten człowiek niewiele odzywał się dotychczas. Herzfeld odwrócił się do pilota, który także zdążył już wejść na poddasze i wpatrywał się w ciemną plamę na drewnianej podłodze.

– Już wyschła, nie jest świeża.

Bandrupp wzruszył pytająco ramionami. Burmistrz musiał schylić kwadratową głowę, aby nie uderzyć się o pochyłość dachu. Kiedy zauważył, że żarówka na suficie daje wystarczająco dużo światła, wyłączył swoją latarkę.

– Ta krew nie ma sensu – wymamrotał zamyślony Herzfeld.

– Proszę?

- Schwintowski powiesił się, nie zadźgał.
  - Kto to jest Schwintowski? – Chciał wiedzieć Bandrupp.
- Także lekarz pogotowia i pilot spojrzeli na niego skonsternowani.
- On porwa... On jest... – Herzfeld machnął ręką zrezygnowany. –

To bardzo długa historia.

– To może powinien pan zacząć ją opowiadać, skoro mamy panu pomóc.

– Pomóc? – prawie wykrzyknął Herzfeld. Musiał odkaszlnąć, co tylko wzmocniło w nim obraz duszącej się córki, a w konsekwencji zupełnie stracił panowanie nad sobą. – Chcecie mi pomóc? To świetnie. Przed pół godziną widziałem nagranie wideo, na którym mężczyzna powiesił się na tym poddaszu. Tuż przed śmiercią powiedział mi, że moja córka jest w jego pobliżu, a ja mam tylko podążać za białym światłem Alcatraz. Wiecie, co ten szaleniec mógł mieć na myśli?

Ku zdumieniu Herzfelda Bandrupp skinął głową, dał mu znak latarką, żeby poszedł za nim i odwrócił się.

– Hej, dokąd pan idzie?

Burmistrz nie odpowiedział, a Herzfeld musiał schodzić po kilka stopni naraz, aby za nim nadążyć. Kiedy znalazł się na parterze, pobiegł za Bandruppem, dogonił go tuż przed końcem korytarza. Burmistrz otworzył drzwi wiodące na zewnątrz. Herzfeld wyszedł za nim na mróz.

W bladym świetle, jakie padało z domu, taras sprawiał wrażenie tratwy. Grube deski tworzyły wystający poza klif kwadrat. Liny, rozpięte od rogów tarasu jako rodzaj poręczy, przypominały ring bokserski. Bandrupp podszedł bardzo blisko do nich i zaświecił latarką w kierunku południowym, gdzie była wyższa część wyspy. Strumień światła zagubił się już po kilku metrach.

– Widzi pan to, tam dalej?

Herzfeld zmrużył oczy i nie był pewny, czy coś dostrzega.

– Nie mam pojęcia. Myślę, że... tak!

*Rzeczywiście. Coś błysnęło.*

Stopniowo z mroku zaczęły się wyłaniać zarysy wieży.

– Co to jest?

Bandrupp spojrział na niego.

– Nasza latarnia morska. Wysyła sygnały świetlne co pięć sekund.

Kanciasta, ceglana wieża, jak na komendę, potwierdziła słowa burmistrza.

– To samo światło i ta sama częstotliwość, co w latarni na Alcatraz.

– Czy wieża ma również piwnicę? – zapytał Herzfeld, wypełniony elektryzującą nadzieją.

– Można tak powiedzieć – odrzekł burmistrz, ale bez pewności w głosie.

– No, to chodźmy tam! – Herzfeld zamierzał już ruszyć w tamtym kierunku, ale burmistrz pozostał w miejscu, kręcąc głową.

– To nie ma sensu, profesorze.

– Dlaczego?

– Pod wieżą rozciąga się system bunkrów z czasów drugiej wojny światowej liczący około dwudziestu kilometrów. Główne dojście zablokowaliśmy już przed laty, po tym, jak się tam zgubiła dwójka dzieci. – Twarz mu sposepniała. – Znaleźliśmy je dopiero po kilku dniach. Już nie żyły.



Kiedy usłyszała odgłosy za drzwiami, stało się dla niej jasne, że teraz nadszedł już ten moment.

*Szybko. Zanim zdąży wrócić.*

Długo, zbyt długo, usiłowała utrzymać równowagę. Sprężyny wpijały się w jej nagie stopy, szorstka pętla ocierała o szyję. Poza tym była zmęczona.

*Zmęczona życiem.*

Teraz nie było już odwrotu. Musiała działać, chociaż nie udało jej się jednak odzyskać pamięci.

Ale jak miała to zrobić, skoro każdy oddech wywoływał ból?

Wystarczyło, że raz wzięła głęboki wdech, i już miała uczucie, że eksploduje. O ile się nie myliła, ponownie zaczęło się krwawienie między nogami. Nie chciała tego sprawdzać. Już sama myśl o dotknięciu się tam na dole wywoływała w niej straszny ból.

Odgłosy pod drzwiami stawały się coraz wyraźniejsze, zamknęła oczy.

*No, dalej. Na co jeszcze czekasz? Chcesz zobaczyć, jak obcina ci łechtaczkę kawałkiem szkła? Chcesz poczuć zardzewiałe ostrze noża między wargami sromowymi?*

Pociągnęła nosem, ale nie walczyła już dłużej ze łzami, nawet jeżeli wszystko to było filmowane, ponieważ nie udało jej się zniszczyć kamery.

*I co z tego? Przynajmniej pozostaną dowody, jeżeli ta świnia zostanie kiedyś złapana.*

Po raz ostatni otworzyła oczy, popatrzyła przez lzy na wnętrze bunkra. Żarówka, umywalka, prycza – tutaj nie było nic, z czym można by się pożegnać.

*Nic poza...*

Jej spojrzenie powędrowało z powrotem ku podłodze, obok łóżka.

Tam, gdzie stał karton, z którego wyjęła stryczek.

Odgłosy pod drzwiami były coraz głośniejsze. Zaraz się rzuci. A mimo to zmusiła się, aby spokojnie prześledzić swoje ostatnie myśli. Czując przy tym, jak opada z niej cała panika i pośpiech, to ostatnie spojrzenie na karton przywróciło coś, o czym była przekonana, że zginęło bezpowrotnie: jej pamięć.

## Helgoland

Szybko. Muszę tam wejść.

– To przecież nic nie da – burknął burmistrz i wypróbował inny klucz z pęku, aby otworzyć drzwi przeciwpożarowe. Brama do sieci bunkrów z drugiej wojny światowej znajdowała się w wale ziemnym przypominającym groblę, łączącą się z podstawą wieży latarni. Przypominała wejście do stadionu piłki nożnej, przez które gracze wychodzą z podziemi na boisko. – Dawno już nie używałem tego klucza – powiedział Bandrupp przeprasząco. Herzfeld ruszał zniecierpliwiony latarką, którą burmistrz wcisnął mu do ręki – jedyne źródło światła, jakie mieli do dyspozycji, z wyjątkiem stożka światła latarni, który co pięć sekund przecinał ciemność bezpośrednio nad ich głowami.

– Czy jest jakaś inna możliwość wejścia do środka?

– Inna? – Bandrupp wybrał kolejny klucz. – To jest prawdziwy labirynt. Ledwie zbadany. Wiele korytarzy kończy się pośrodku skalistego wybrzeża. Tak więc, mówiąc szczerze... – Potrząsnął z żalem kwadratową głową. – Potrzebujemy ze stu ludzi, aby przeszukać to wszystko.

– Kurwa! – Herzfeld wykrzyczał swoją rozpacz i kopnął wściekły w drzwi.

*Tyle przeszkód mam już za sobą. Jestem tak blisko celu. A mimo to przegrałem.*

– Hej, co jest? Dlaczego pan przerwał? – zapytał burmistrza, który odszedł od drzwi.

– To nie ma przecież sensu, próbowanie ich wszystkich – odpowiedział z żalem i schował swój pęk kluczy. – Kilka minut więcej nie robi chyba tu żadnej różnicy. Poczekajmy na chłopców ze straży pożarnej na wyspie, oni mają odpowiednie wyposażenie...

– W dupie mam czekanie – przerwał mu Herzfeld i wyrwał mu klucze z dłoni.



Metaliczne odgłosy pod drzwiami zamilkły na chwilę, zaraz po tym, jak ktoś w nie kopnął.

*Ta świnia chce mnie nastraszyć. Przeciąga moment wejścia.*

Podniosła ręce i chwyciła się obiema dłońmi za stryczek, który już otarł jej szyję do krwi. Teraz nie będzie to już długo trwało. Zaraz ten szalenciec skończy ze swoimi gierkami i włoży właściwy klucz do zamka i wejdzie do lochu.

Ale tego już się nie bała. Również śmierci. Teraz, kiedy odnalazła swoje „ja”, i to akurat w starym pudle przewodzkowym. Przy czym nie wiedziała, dlaczego widok tego kartonu nie uruchomił już wcześniej mechanizmu jej wspomnień. Nie było się już jednak co nad tym zastanawiać. Teraz musi działać, zanim będzie za późno. Zanim ten szalenciec z nożem do obrzezania stanie przed nią, odetnie od stryczka i od nowa będzie się nad nią znęcać. Bestialsko torturować. By w końcu ją zabić.

*Nie. Z tym już koniec. Żadnego bólu więcej.*

Znowu usłyszała brzęk metalu. Znowu pęk kluczy uderzył z zewnątrz o drzwi przeciwpożarowe.

Spojrzała po raz ostatni w kamerę i pokazała zabójcy środkowy palec.

– Teraz już wiem, kim jestem – powiedziała i uśmiechnęła się z zadowoleniem. – Nie jestem dziwką, ty gnoju.

Potem wykrzyknęła swoje imię do kamery i skoczyła.

Kiedy drzwi przeciwpożarowe się rozwarły i mężczyźni wpadli do środka, już nie żyła.

**Helgoland**

**Hannah!** – krzyknął Herzfeld i usłyszał swój zwielokrotniony głos. Jego wołanie odbiło się echem w korytarzach systemu bunkrów. Bezpośrednio przed nim pomieszczenie rozwidłało się na dwa tunele, prowadzące w przeciwnych kierunkach. Wszystko, co Herzfeld mógł dostrzec w świetle latarki, to szary beton ścian. Z porowatych murów wypływały grube krople wody i gromadziły się w kałużach na lekko spadzistej podłodze

– Hannah, jesteś tutaj? – Herzfeld spróbował raz jeszcze. Nieco głośniej. I z większą rozpaczą.

Już po kilku krokach przeniknęło ich zimno, które przypominało mu pierwsze wpadnięcie do jeziora i tym samym śmierć.

– Hannah? Córeczko?

– Tutaj ktoś jest – usłyszał słowa Bandruppa, który na rozwidleniu wybrał inną drogę. Znajdował się w jednym z licznych pozbawionych drzwi pomieszczeń, które w nieregularnych odstępach ciągnęły się po obu stronach tunelu. Także głos burmistrza odbijał się echem po labiryncie, i Herzfeld miał problemy z ustaleniem kierunku, kiedy biegł z powrotem do wejścia.

– Gdzie?! – zawołał i pobiegł wzdłuż drugiego korytarza.

Pytanie było zbyteczne. Bandrupp i lekarz pogotowia stali przed wejściem do wąskiego, kwadratowego pomieszczenia bunkra, z którego dochodził wibrujący dźwięk z towarzyszeniem elektrostatycznych trzasków. Herzfeld precyzyjnie przesunął się między nimi i od razu zrozumiał, co powstrzymało ich przed wejściem do środka.

Za bardzo się bali, że stwierdzą już tylko śmierć dziewczynki.

*Hannah!*

Herzfeld ze szlochaniem wpadł do kwadratowej komory, uklęknął przed kanapą, na której leżała skulona dziewczyna, ujął jej bezwładną dłoń, a kiedy zorientował się, że nie daje żadnego znaku życia,

przycisnął jej ciało do siebie, przytrzymał w mocnym uścisku i płakał w jej rozpuszczone włosy pachnące kurzem i potem.

– Jestem przy tobie, maleńka. Już wszystko w porządku. Jestem przy tobie, Hannah.

Poczuł, jak ktoś położył mu rękę na ramieniu, ale nie chciał odwrócić się do współczującego głosu burmistrza. Zamiast tego ujął w obie dłonie głowę Hannah, sprawdził jej oddech i puls na tętnicy szyjnej.

– Kortyzon! – krzyknął do tyłu, a lekarz, który także klęczał teraz obok niego, pokręcił głową.

– Chyba go nie potrzebuje.

– Co? – Herzfeld spojrział na niego z wciekłością. – Moja córka jest astmatyczką, więc niech pan przestanie bredzić, tylko wyciągnie lepiej strzykawkę.

– To jest zbędne. – Lekarz wskazał na Hannah. – Niech pan spojrzy.

I wtedy Herzfeld dostrzegł sam: inhalator w jej dłoni. Jej krótki, ale regularny oddech.

– Ona nie ma ataku – mówił dalej lekarz spokojnym tonem. – Ona...

Herzfeld przytaknął i dokończył zdanie lekarza:

– Ona jest w szoku.

W tym momencie Hannah otworzyła oczy, które dotąd miała zamknięte. Przez ułamek sekundy patrzyła na swojego ojca, ale w żaden sposób nie dała do zrozumienia, że go rozpoznaje. Gorzej jeszcze: jej szklany wzrok był całkowicie pozbawiony wyrazu i wpatrywał się w pustkę.

– Hannah, córeczko. Jestem tutaj – mówił dalej Herzfeld, ale ona nie mrugnęła, nawet kiedy pstryknął palcami przy jej twarzy. Nagle, kiedy Herzfeld właśnie odgarniał jej włosy z czoła, otworzyła usta.

– Co powiedziała? – zapytał lekarz obok niego, jak tylko słowo wyszło z jej ust, ale i Herzfeld nie zrozumiał jej mamrotania. To było coś, co brzmiało jak „wytwór” albo „otwór”.

*A może potwór?*

Hannah usiłowała wypowiedzieć to słowo jeszcze raz, ale nie udało jej się wydobyć z siebie głosu. Jednocześnie podniosła rękę. Herzfeld

odwrócił głowę w bok, spojrział tam, gdzie wskazała jego apatyczna córka. Bandrupp już znacznie wcześniej dostrzegł ten telewizor na stoliku kempingowym, prawdopodobnie właśnie światło padające z ekranu poprowadziło go we właściwym kierunku w tunelu. Teraz stał tuż przy tym archaicznym aparacie, do którego dochodził kabel podłączony do zestawu kilku akumulatorów samochodowych.

Herzfeld chwycił bezwładne ręce Hannah. Rozcierał jej zimne palce, wpatrując się jednocześnie w telewizor. W swoim życiu widział już wiele twarzy śmierci, jednak żadne z nich nie poruszyło go tak, jak obraz tej nagiej, umazanej krwią dziewczyny, wiszącej na stryczku nad metalową pryczą.

*Kto to jest?*

Mimo że twarz tej młodej kobiety widział po raz pierwszy, jej widok tak nim wstrząsnął, jakby w albumie u obcych ludzi trafił na dziwnie znaną sobie fotografię. Na ekranie widać było pomieszczenie podobne do bunkra, które już wcześniej widział na kamerze wideo w barakowozie.

O wiele za młodo zmarła dziewczyna, jakby poruszana niewidzialną siłą, obracała się na stryczku wokół własnej osi. Herzfeld wydał z siebie zduszony okrzyk, kiedy dostrzegł tatuaż w kształcie motyla na kostce dziewczyny.

*Nie!*

Powoli, jak alpinista wciągany na linie zabezpieczającej, opuścił miejsce obok Hannah i chwiejnie podszedł do telewizora.

– Nie dotykać! – krzyknął do Bandruppa, ale było już za późno. Burmistrz wyłączył odtwarzacz DVD znajdujący się pod stołem kempingowym, a powód tego działania odbijał się w jego oczach, kiedy odwrócił się do Herzfelda. Nie mógł dłużej znieść tego widoku.

*Ale ja muszę to zobaczyć*, pomyślał Herzfeld, zdając sobie sprawę, że nagranie, na które Hannah musiała patrzeć przez cały czas swojego przymusowego pobytu tutaj, było w zasadzie przeznaczone dla niego.

Odsunął burmistrza na bok, zignorował podstawową zasadę obowiązującą na miejscu zbrodni, aby niczego nie dotykać, i uklęknął tuż przed telewizorem.

*Muszę to zobaczyć. Po to zostałem tutaj zwabiony.* Nacisnął



klawisz „Play”, i odtwarzanie przeskoczyło do ostatniego, przerwane go rozdziału.

*Rzucone mi w twarz oskarżenie.*

Do miejsca, kiedy młoda kobieta stała jeszcze na sprężynach swojego legowiska, na którym została prawdopodobnie bestialsko zgwałcona; na metalowej pryczy w piwnicznym pomieszczeniu, które robiło wrażenie jeszcze bardziej ponurego niż loch, do którego została wrzucona Hannah i w którym teraz klęczał, aby stać się świadkiem aktu najwyższej rozpacz.

– Nie powinien pan raczej tego oglądać – powiedział Bandrupp drżącym głosem, ze wzrokiem odwróconym w inną stronę. Herzfeld przybliżył się jeszcze bardziej do ekranu. Dały się słyszeć trzaski wyładowań elektrostatycznych, kiedy palcami dotknął twarzy tej nieznanego sobie, a jednocześnie tak bliskiej dziewczyny. Zadziwiające było to, że przez jej całe ciało przeszedł jakby impuls świeżej energii, zaraz po tym, jak rozejrzała się wokoło po raz ostatni, a jej spojrzenie otarło się o karton stojący obok łóżka. Nagranie było bardzo ostre i w kolorze, o wiele lepszej jakości niż ze zwykłej kamery monitoringu.

*Ktoś zadał sobie trud, aby utrwalić jej męki. I był też głos!*

W tym momencie był tylko szum, potem jednak młoda kobieta podniosła głowę. Lekki uśmiech zmazał wyraz paniki i bezsilność z jej mokrej od łez twarzy. Potem pokazała widzowi środkowy palec i wykrzyknęła zadziwiająco mocnym głosem: „Teraz już wiem, kim jestem. Nie jestem dziwką, ty gnoju”. I zaczęła się śmiać. „Nazywam się Rebecca Schwintowski”.

Z tymi słowami ostatnia ofiara Jana Sadlera skoczyła w otchłań śmierci, siedemnastoletnia dziewczyna, którą porwał i torturował już kilka tygodni wcześniej.

Herzfeld odsunął się od telewizora i wrócił do Hannah, która nadal, jak zahipnotyzowana, wpatrywała się w ekran. Z płaczem zasłaniał jej dłonią oczy, aby nie musiała po raz kolejny oglądać dalszej części nagrania, kiedy drzwi do piwnicy odskoczyły i do środka wpadło dwóch mężczyzn, których Herzfeld od razu rozpoznał. Jednym z nich był jego były kolega Sven Martinek, a tego drugiego dopiero niedawno zobaczył na nagraniu wideo.

Ojciec Philipp Schwintowski znalazł swoją córkę Rebecę.  
I stracił na zawsze.

Paul Herzfeld? – zapytała młoda kobieta, która wyszła z mroku z plecakiem na ramionach.

– Linda?

Herzfeld spojrział w górę i z trudem podniósł się z niewygodnego miejsca na plastikowej ławce przed bramą kliniki na wyspie. Daremnie usiłował stłumić ziewanie. Zmęczenie było silniejsze. Miał nadzieję, że Hannah zdąży się obudzić, zanim pojawi się policja ze stałego łądu i weźmie go na przesłuchanie. Zasnęła w jego ramionach jeszcze podczas transportu z bunkra. Teraz leżała na drugim piętrze kliniki, owinięta grubo w ciepłe koce, z podłączoną kroplówką, która miała przywrócić jej równowagę płynów. Jeszcze dziesięć minut temu trzymał ją za rękę, ale teraz wyszedł na chwilę na zewnątrz, na zimne powietrze, aby samemu nie zasnąć w przegrzonym nieco pokoju szpitalnym.

– Gdzie byłaś? Szukałem cię, ale nigdzie nie można było cię znaleźć.

– Pakowałam swoje rzeczy. Nic już nie trzyma mnie na tej wyspie – powiedziała. – Zmywam się stąd pierwszym promem.

Herzfeld skinął głową, a potem powstała nieprzyjemna cisza, jako że nie wiedział, co powinien powiedzieć tej młodej kobiecie, która narażała dla niego życie.

Wcześniej, w sali sekcyjnej, po jej walce z Dannym, tylko na chwilę uklęknął przy niej. Teraz spojrział Lindzie po raz pierwszy świadomie w oczy i stwierdził, że zupełnie inaczej ją sobie wyobrażał. Jak to się często zdarza, kiedy znamy tylko czyjś głos, rzeczywistość nie chciała dopasować się do wizerunku, jaki nakreśliła wyobraźnia. Herzfeld spodziewał się sympatycznej, ale mimo młodego wieku zniszczonej życiem kobiety. Interesującej, ale nie żadnej piękności. Artystki, która większą wagę przywiązuje do swoich dzieł niż do własnego wyglądu. Tymczasem stała przed nim pewna siebie,

inteligentna kobieta, która najwyraźniej zupełnie nie jest świadoma własnej atrakcyjności. Przy swoich wydatnych biodrach nigdy nie otrzymałaby kontraktu na pracę modelki, ale zapewne zależało jej na nim tak, jak na powtórcie wydarzeń z ostatnich godzin.

– Ja, ja... – Herzfeld zauważył, że się jąka, ponieważ nadal nie miał pojęcia, jaka miałyby być najodpowiedniejsza forma podziękowania za to, co dla niego zrobiła. – Uratowałaś moją córkę – powiedział w końcu.

Reakcja Lindy podziiałała na niego jak kubeł zimnej wody. Tylko że mocniej. Kobieta zamachnęła się i wymierzyła mu siarczysty policzek.

– Powiedziałeś dwie godziny – syknęła na niego wściekła i ponownie się zamachnęła. – Tylko dwie godziny i zabierzesz mnie stąd. Z jej ust wydobywały się kłęby pary.

Herzfeld masował sobie jedną dłonią palący policzek, a drugą zasłaniał twarz, aby chronić się przed ewentualnym kolejnym ciosem.

– Kurwa, pewnie bym tu zdechła, gdybyś jeszcze dłużej zwlekał.

– Bardzo mi przykro.

– Tak, na pewno.

Opuściła rękę, odetchnęła ciężko i wygrzebała paczkę papierosów z kieszeni kurtki. Herzfeld obserwował przez chwilę jej daremne wysiłki i w końcu stulił dłonie, zapewniając jej osłonę przed wiatrem, aby mogła zapalić.

– Dzięki. – Spojrzała na niego i przeprosiła za policzek. – Ale zasłużyłeś.

Herzfeld przytaknął. *Prawdopodobnie nawet na więcej.*

Trzy samobójstwa, bestialsko zamordowana sędzina, egzekucja na sadyście i jego córka, która zapewne do końca życia będzie zmagająca się z traumą – gdyby wówczas posłuchał Martinka i sfalszował dowody, wszystko to nigdy by się nie wydarzyło.

Nie musiałby zmuszać Lindy do otwierania ciał, a Ender nie walczyłby teraz o życie. Zapewne oszczędzona też zostałaby Lindzie walka ze stalkerem w ciemnościach sali sekcyjnej, chociaż to, co on zrobił, jako jedyne nie było spowodowane przez Herzfelda.

– Niezły mamy tutaj ruch – powiedziała Linda, patrząc na jasno

oświetlone wejście do szpitala. – Chyba znowu jest prąd.

Herzfeld przytaknął.

Skaptowany za pomocą pieniędzy i dobrego słowa zespół ratowniczy okazał się prawdziwym darem niebios, który wraz z burmistrzem, fizjoterapeutką i licznymi ochotnikami (bez przeszkolenia, ale za to z ofiarną chęcią pomocy) przekształcił klinikę, a przynajmniej te części budynku, które nie ucierpiały w wyniku sztormu, w funkcjonujący lazaret.

Ender i Danny zostali ustabilizowani medycznie i przewiezieni helikopterem ratowniczym na stały ląd. Herzfeld zaproponował nawet, że jeżeli będzie to konieczne, pomoże w nagłych operacjach tu, na wyspie, chociaż nie był do tego przeszkolony, ale potem okazało się, że pogoda już się poprawiła. Wprawdzie statki nie mogły jeszcze wychodzić w morze, ale dla helikoptera start i lądowanie odbywały się bez większych problemów.

– A tak właściwie to gdzie zgubiłeś swojego asystenta? – zapytała Linda i wydmuchała sobie nieco dymu pod grzywkę. Herzfeld nie był pewny, ale wydawało mu się, że zobaczył na jej czole kilka źle zagojonych blizn.

– Czuje się już lepiej.

Rzeczywiście, Ingolf pytał już burmistrza o możliwość zamówienia sushi, i usłyszawszy odpowiedź odmowną, uznał ten brak za lukę na rynku na tej otoczonej morzem wyspie. Tak więc wyglądało na to, że przeszedł mu również mdłości po burzliwym locie.

– Daj mi też jednego – poprosił Herzfeld, ale nie udało mu się wyłudzić od Lindy swojego pierwszego papierosa od czasów studiów, ponieważ otworzyły się przesuwane drzwi kliniki i jedna z pielęgniarek ochotniczek przedstawiła mu się z nazwiska, które natychmiast zapomniał, kiedy zakomunikowała mu, że Hannah się właśnie przebudziła.

Kiedy Herzfeld wszedł do wąskiego pokoju szpitalnego, myślał, że jego córka będzie wyczerpana i przysypiająca po koszmarze ostatnich dni. Mylił się. Była całkowicie obudzona.

I wściekła.

– Czego chcesz?

Dwa słowa. Pełne gorczy i wrogości.

– Przyszedłem, żeby... – zaczął Herzfeld i zaciął się, kiedy Hannah wyprostowała się w łóżku, a w jej oczach zaiskrzyło. Była blada, z zapadniętymi policzkami, ale z jej spojrzenia tryskała energia, jaką wyzwolić może tylko bezgraniczny gniew.

– Przyszedłeś? Po co? Żeby ci dziękowała jako mojemu wybawcy?

Siedząc, wykonała coś w rodzaju ukłonu i zamasztyego ruchu ręką, jakby Herzfeld był królem, a ona jego poddaną.

Chciał przysunąć sobie krzesło od stolika dla gości, jednak po chwili zdecydował, że będzie stał.

– Chciałem tylko zobaczyć, jak się czujesz.

– Dlaczego?

Spojrzał na nią zdumiony. Hannah demonstracyjnie skrzyżowała ramiona na piersi.

– No, pytam cię. Dlaczego właśnie teraz?

Nigdy jeszcze nie widział, żeby tak wrogo się zachowywała. Ani w stosunku do niego, ani do innych.

– Aha. – Wyraz jej twarzy stawał się coraz bardziej nieprzyjazny. – Rozumiem. Czyli, że najpierw musi się mi coś przydarzyć, żebyś w ogóle się pokazał.

Z oczu popłynęły jej łzy. Nie miała jednak zamiaru ich wycierać, tylko pozwoliła im spływać po policzkach.

– Przykro mi, że musiałaś przez to wszystko przechodzić.

– Przykro?

Jej dłonie zacisnęły się w pięści tak mocno, że zbieleły jej knykcie.

– Tobie jest przykro? – prawie krzyczała. – Widziałam, jak ona

umiera, tato. Ta dziewczyna była w moim wieku, a ja widziałam każdy pieprzony szczegół, wszystko, co ta bestia jej zrobiła.

*Wiem, dziecko. Ale niestety, nie ma takiej rzeczy na świecie, którą mógłbym zrobić, aby to cofnąć.*

– To działa się naprawdę. Patrzyłam w jej oczy i wiedziałam, co myśli. Co czuje, podczas gdy on...

Przerwała, bo słowa uwięzły jej w gardle, zamknęła oczy, a Herzfeld wiedział, że przed jej oczami właśnie po raz kolejny przesuwają się najgorsze sceny z męczarni Rebekki.

– Za nic nie powinnaś była tego widzieć – powiedział i podszedł do jej łóżka. Zaczęła tak silnie drżeć na całym ciele, że Herzfeld obawiał się, że może wyrwać sobie rurkę wenflonu z żyły.

– Te obrazy były straszne. Ale to nie one były najgorsze – powiedziała Hannah, a dolna warga wciąż jej drgała. – Gorsze było to, co ten Sadler mówił. Co zapowiedział, że jej zrobi, kiedy wróci. Wierz mi, tato. Ja także bym skoczyła.

Otworzyła ponownie oczy, spojrzała na niego jasnym, zimnym wzrokiem, którego nigdy jeszcze nie widział u swojej córki.

– Nie mogłaś zatrzymać płyty? – zapytał Herzfeld. – Czym ci zagrozili, jeśli nie będziesz patrzyła?

Odpowiedź była jak straszliwy cios.

– Niczym mi nie grozili.

– Co masz na myśli?

– To, co powiedziałam: nikt mnie do niczego nie zmuszał.

Nagranie oglądałam dobrowolnie.

Herzfeld zamrugął bezradnie.

– Ale na litość boską, dziecko. Dlaczego?

– Bo chciałam.

– Nikt nie chce oglądać czegoś takiego, kochanie.

– A jednak. On mi to wyjaśnił. Twój kolega, który mnie tam przyprowadził i dał mi DVD. Powiedział, że kiedy już to obejrzę, to zrozumie, dlaczego chcą ci dać nauczki. Dlaczego chcą dać nauczki całemu systemowi.

*Martinek, ty podła świni.*

– Tutaj nie chodzi tylko o nas, tato. Już jutro tytuły gazet będą o

tym krzyczały, a wtedy każdy będzie wiedział, że w naszym tak zwanym państwie prawa ofiary nie mają żadnej szansy, a sprawcy wszelkie możliwe prawa.

Herzfeld zamknął na moment oczy. Było oczywiste, że Hannah powtarza tutaj tylko frazesy, które wtłoczyli jej do głowy porywacze, i nie wiedział, jak ma na nie odpowiedzieć, nie powiększając jej wrogości wobec siebie.

– Najważniejsze jest teraz, żebyś się dobrze poczuła, kochanie.

– Nigdy nie czułam się źle.

– Proszę?

– Traktowali mnie dobrze. Miałam wystarczająco dużo jedzenia i picia. Pomyśleli nawet o moim sprayu na astmę.

– Dobrze traktowali? Oni cię porwali i trzymali w zamknięciu.

Hannah przewróciła oczami, jakby jej ojciec był tępakiem.

– Nic nie rozumiesz. Nigdy nie miał mi spaść nawet włos z głowy. Ani przez chwilę nie byłam w niebezpieczeństwie. Na początku, kiedy miałam nagrać się na pocztę, trochę się bałam. Ale niepotrzebnie. Ten gruby, ten Schwintowski, dobrze się mną opiekował.

– A gdybym nie przyszedł w porę?

– To za dwa dni otrzymałbyś e-mail ze szkicem bunkra. Sama widziałam, jak Schwintowski ustawia timer na swojej komórce. Co, jesteś zdziwiony, prawda? – Roześmiała mu się szyderczo w twarz.

*Cholera, Martinek. Dlaczego musiałeś jej to zrobić?*

Nic nie jest tak łatwe do zmanipulowania, jak dusza nastolatka. W warunkach ekstremalnych nawet ukształtowane osobowości mają skłonność do solidaryzowania się z porywaczami.

Herzfeld zdawał sobie z tego sprawę, tylko nie radził sobie z faktem, że to jego własna córka wykazuje wyraźne objawy syndromu sztokholmskiego.

– To wszystko by się nie wydarzyło... – zaczęła głośno.

Herzfeld podniósł rękę, chciał się bronić.

– Nie, skarbie, mylisz się...

– Gdybyś mu wtedy pomógł...

– To by nic nie dało.

Chciał jej wyjaśnić, że nie mógł zmanipulować tych dowodów,



ponieważ jego praca polega na tym, aby był obiektywny i niezależny, że w żadnym chyba innym zawodzie nie jest się tak zobligowanym do szanowania prawdy, jak właśnie w tym. Ale nie udało mu się do niej dotrzeć.

– Mama też miała rację...

– Obrońcy Sadlera roznieśliby w pył zmanipulowaną ekspertyzę, a on mógłby wtedy zostać nawet uniewinniony.

– Jesteś wstrętny. Twoja praca jest wstrętna...

– I nie zapobiegłoby to śmierci córki Martinka...

– Ale Rebekki owszem. Ty także jesteś naoliwionym trybikiem, który utrzymuje ten cały system przy życiu.

Oboje zaczęli przerzucać się słowami, które stawały się coraz głośniejsze, zachodziły na siebie i mieszały w niezrozumiałym krzyku. Nie słuchali już siebie nawzajem, aż w końcu Herzfeld podjął ostatnią próbę i chwycił córkę za rękę.

Hannah wydała z siebie głośny i przenikliwy pisk, taki sam jak ciężarna suczka, którą budowlaniec kopnął w brzuch, i Herzfeld odsunął się od niej.

– Hannah, proszę, jest mi bardzo przykro – zaczął raz jeszcze, ale to już nie miało sensu.

Nie chciała go w ogóle słuchać i naciągnęła kołdrę na głowę.

Przez krótką chwilę stał jeszcze przy jej łóżku, słuchał jej krzyków, liczył zdławione szlochania i uspokoił się dopiero wówczas, gdy stały się cichsze i bardziej nieregularne. Wtedy wyszedł z pomieszczenia z takim uczuciem w sercu, jakby stracił na zawsze to, co było najważniejsze w jego życiu.

– Ona się uspokoi – powiedział Ingolf, który czekał pod drzwiami i widocznie wszystko słyszał. – To tylko szok.

– Skoro pan tak mówi – wysyczał Herzfeld i w tym samym momencie tego pożałował. Przecież Ingolf chciał mu tylko pomóc.

*Ale mnie nie można już pomóc.*

– Jestem pewien, że już jutro będzie żałowała tego, co mówiła i że wolałaby raczej odgryźć sobie język, niż...

– Bardzo dziękuję, ale teraz chciałbym...

Herzfeld zatrzymał się, spojrzał na drzwi, za którymi leżała

Hannah, a potem na Ingolfa. „*Odgryźć sobie język...*”

Nie wiedział dlaczego właśnie te słowa Ingolfa poruszyły go tak nieprzyjemnie, że miał wrażenie, jakby nagle zabrakło mu tchu.

– Dokąd znowuż pan teraz idzie? – zawołał za nim zdumiony syn ministra spraw wewnętrznych, jednak Herzfeld działał jak w transie i nic mu nie odpowiedział

„*Odgryźć sobie język...*”

Skrawki wspomnień spadały jak konfetti na podłogę, ale nie chciały się ułożyć w żaden sensowny obraz. Myślał o szopie na łodzie Martinka, o słoiku z językiem, o Sadlerze. I o tym, co powiedziała mu Linda w trakcie pierwszej obdukcji.

I podczas gdy wspomnienia wirowały w jego głowie, szedł coraz szybciej, potem przeszedł w lekki trucht, aż w końcu zaczął biec korytarzem szpitalnym, w dół schodami aż do sali sekcyjnej, gdzie chciał sprawdzić swoje straszne podejrzenie.

*„Czy zwłokom brakuje na przykład stawów skroniowo-żuchwowych?”*

*„Nie. Ktoś wyciął biedakowi język”.*

Z głosem Lindy w głowie i wspomnieniem ich pierwszej, przeprowadzonej przez telefon obdukcji wszedł między stoły sekcyjne. Ktoś włożył obydwa ciała do białych worków na zwłoki. Ale to była jedyna próba uporządkowania chaosu, jaki powstał w ciągu ostatnich godzin. Sala sekcyjna znajdowała się w stanie wręcz katastrofalnym: liczni pomocnicy, którzy przybyli z miasteczka do szpitala, pozostawili po sobie ślady. Odciski butów otoczone śnieżną breją ciągnęły się po całej podłodze, na której nadal leżały instrumenty, plastikowe rękawice, a nawet poplamiony materac. Przynajmniej szafka na narzędzia i łóżko zostały ustawione jak trzeba, chociaż znajdowały się teraz na samym środku i po prostu zawadzały.

Herzfeld otworzył zamek błyskawiczny pierwszego worka. Ponieważ ciało, wbrew zwyczajom, było ułożone stopami do przodu najpierw obnażył nogi i nagi tors sędziny. Nawet on nie mógł patrzeć bez odrazy na pokryte zeskorpiałą krwią, wzdęte gazami pęcherze na skórze ud. Jak musiała na to zareagować Linda, kiedy jeszcze w dodatku w odbycie zwłok tkwił kij?

Zamknął worek i zajął się teraz Sadlerem na sąsiednim stole, którego rozcięty podkoszulek odkrył przy wejściu na jednym ze stołów pomocniczych.

Jan Erik Sadler.

*„Czy w jamie ustnej znajduje się krew?”*

Herzfeld zawahał się, zanim rozsunał także i ten zamek błyskawiczny, aby dokładniej przyjrzeć się ciału Sadlera.

Zamknął oczy i usiłował raz jeszcze zwizualizować sobie twarz Sadlera, na podstawie licznych zdjęć, jakie widział w szopie na łodzie Martinka. Potem otworzył worek na zwłoki.

*Nie ma wątpliwości.*

Mężczyzna leżący przed nim na stole sekcyjnym wyglądał tak

samo, jak go zapamiętał. Herzfeld rozpoznałby go i bez tych zdjęć robionych z ukrycia. Na początku procesu fotografia Sadlera przez kilka tygodni bez przerwy pojawiała się w gazetach. Jego włosy były teraz nieco dłuższe, lecz nawet mimo rozmazanych plam krwi na twarzy, nie było wątpliwości, że tutaj leży morderca Lily, córki Martinka.

*Morderca Rebekki, córki Schwintowskiego.*

Herzfeld pochylił się nieco do przodu, aby uzyskać lepszy wgląd w szeroko otwartą jamę ustną Sadlera. Wkładając do środka długopis, który wyjął z wewnętrznej kieszeni kurtki, tak jak się spodziewał nie natrafił na żaden opór. Język został usunięty dokładnie tak, jak opisała mu Linda i jak wyznał to na nagraniu wideo Schwintowski. *„Moje dążenie do zemsty dotyczyło początkowo tylko sędziny. Oraz, rzecz jasna, Sadlera, któremu już tam na miejscu, odciąłem język, którym on...”*

– Ale coś tu się nie zgadza – wyszeptał Herzfeld sam do siebie.

*Jak to możliwe, że Linda odkryła krew w jamie ustnej?*

Herzfeld zamarł. Teraz już wiedział, co go tak zaniepokoiło. Raz jeszcze przypomniał sobie wyznanie Schwintowskiego na wideo: *„Poczekaliśmy, aż rana Sadlera się zagoi. Martinek zaszył mu kikut języka, aby ta świnia nam się nie wykrwawiła. A potem, kiedy już wyzdrowiał, kazaliśmy mu wykonać całą brudną robotę”*.

– Jak to możliwe? – wyszeptał ponownie Herzfeld, powoli otwierając worek na zwłoki na całym odcinku klatki piersiowej ciała. Jeżeli Sadler został okaleczony kilka tygodni temu, to Linda musiałaby znaleźć szew, nici albo strup.

*Ale żadnej krwi.*

– To nie ma sensu...

Pochylił się nad ciałem i wtedy to zauważył.

Gdyby nie był tak zmęczony, wyczerpany i rozkojarzony, to w normalnych warunkach zauważyłby to od razu. *Linda rozcięła jamę ustną zwłok, otworzyła gardło i wyjęła kapsułę z krtani*, pomyślał w tej samej sekundzie, w której Sadler uniósł prawą rękę i wbił nóż sekcyjny w jego brzuch.

**Kurwa.**

Najchętniej dźgnąłby jeszcze raz, ale teraz musiał natychmiast uciekać. Spadać stąd. Szybko.

*Kurwa. Kurwa. Kurwa.*

Sadler zeskoczył ze stołu sekcyjnego.

*Niech to wszystko szlag!*

Koniec. Przepadło.

Jego plan – jedyna możliwość wydostania się niezauważonym z tej cholernej wyspy – zaprzepaszczone. Tylko dlatego, że ten dumny ciul zaczął coś podejrzewać i wrócił do sali.

A już tyle musiał znieść, do cholery!

Najpierw tortury. Ten grubas Schwintowski wyciął mu język. Nożem do chleba. Tak po prostu.

Tylko dlatego, że ta dumna szmata, jego córka, wzięła się i powiesiła. Głupia cipa. Najgorsze dymanie, jakie miał w życiu.

Nie miał pojęcia, jak znaleźli Rebeccę. Nie miał pojęcia, jak znaleźli jego. Jakoś przeczuwał, że jest śledzony, od kiedy go wypuścili z kicia. Pewnie przez tego drugiego gnoja, Martinka, którego córka była o wiele lepsza. *O wiele młodsza.*

Porwali go, te świnię. W skrzyni w ciężarówce do przeprowadzek. Gdzieś na wschód, te durne sukinsyny, do domu nad jeziorem. Najpierw pomyślał, że tutaj wykończą go już ostatecznie. I tak, to był cud, że nie udusił się własną krwią po tym, jak ten grubas wyharatał mu język.

Ale potem ta lekarska ciota zaproponowała mu układ.

*Sędzina za ostatnie dymanie.*

Nie wierzył w ani jedno ich słowo. Znaczy się, czy go naprawdę dopuszczą do tej Hannah, kiedy załatwi za nich brudną robotę. Ale czy miał jakiś wybór? Gdyby odmówił, Schwintowski zamęczyłby go na śmierć, tego był całkowicie pewny. To już lepiej zyskać na czasie i czekać na dogodną okazję do ucieczki. Poza tym było zabawnie, nabić na pal tę starą sędzinę. Wlepiła mu trzy i pół roku, kurwa jedna.

Sadler ostrożnie przemykał się do wyjścia z sali sekcyjnej.

Herzfeld leżący za nim na podłodze przestał rzeźić. I dobrze.

*Czy ten gnojek przyszedł aby sam?*

Wszyscy oni to niedołęgi. Jak ten Martinek. Gdyby nie ten gruby przedsiębiorca od przeprowadzek, to dawno już by się uwolnił. Ale Schwintowski to całkiem inny typ niż ten jego, pożał się Boże, współnik. Martinek nigdy nie zdobyłby się na to, żeby odciąć mu język. Sam też nie dałby rady przewieźć go na wyspę. Odurzonego i wepchniętego do boksu dla konia, i załadowanego na łódź towarową tego przedsiębiorcy. Razem z Hannah. Cholera. Nigdy jej jeszcze nie widział, ale wiedział, że jest tutaj na wyspie. Przecież słyszał jej głos, kiedy w sąsiednim lochu rozmawiała z tym grubym sukinsynem. Zakłamana suka, tak zwyczajnie z nim rozmawiała, jakby ta gruba świnia była jej najlepszym kumplem.

Kiedy jego robota u sędziny została załatwiona, stało się, jak się stać musiało. To było przecież jasne. Próbowali go zabić. A dokładniej: Schwintowski próbował. Ten drugi został na stałym lądzie, z jakiegoś tam powodu.

*Przejebane, prawda? Gdyby tak udało się wcześniej zwiać.*

Schwintowski próbował go udusić gołymi rękami.

Martinek był lekarzem. Sprawdziłby puls nie na nadgarstku, ale na szyi. Schwintowski wyszedł z wprawy. Wcześniej być może dusił ludzi, który byli mu winni pieniądze. Ale to musiało być lata temu. Ten głupek za wcześniej przestał, a kiedy on ponownie doszedł do siebie, leżał na brzegu ubrany tylko w podkoszulek, z nieznośnym piskiem w uszach. Miał wrażenie, że głowa zaraz mu eksploduje, jednocześnie paliło go gardło, jakby napił się kwasu. Chciał wołać o pomoc, i dopiero kiedy usłyszał własny, zdławiony charkot, przypomniał sobie, że nie ma języka. Zamiast tego miał w ustach coś innego, obcego, jakiś przedmiot z plastiku, który Schwintowski musiał włożyć mu do gardła, a który podnosząc się wypluł na piasek.

*Zaraz, co to było?*

Sadler zatrzymał się w na wpół otwartych przesuwanych drzwiach, wyjrzał z sali na korytarz i przypomniał sobie chwilę, jak obudził się na brzegu. Na wpół sparaliżowany z zimna. Schwintowski, ta świnia, zdjął mu zimową kurtkę i naciągnął tylko cienki podkoszulek, na którym napisane było flamastrem jego drugie imię: „Erik”.

*Dlaczego?*

Sadler na chwiejnych nogach wrócił podczas sztormu do domu sędziny, aby urwać jaja temu szczurowi, który chciał go udusić. Ale niestety, nie dane było mu mieć tej przyjemności. Znalazł Schwintowskiego na poddaszu. Dyndającego na stryczku przed włączoną kamerą wideo. Ten idiota sam się załatwił.

*I co teraz?*

Sadler chciał się zemścić, ale teraz nie było już nic poza galaretowatym, martwym mięsem. Dostał szalu. Najpierw zdjął Schwintowskiego ze stryczka, a potem odciął mu jego tłusty, kłamliwy język.

Oko za oko. Język za język. *Szkoda tylko, że ta stara świnia już tego nie poczuła.*

Trzymanie w rękę języka Schwintowskiego miało w sobie coś uspokajającego. Coś oczyszczającego. Nagle wróciła mu zdolność klarownego myślenia.

Przypomniał sobie rozmowy między Hannah i Schwintowskim, które podsłuchiwał w sąsiedniej celi. O ich planie dania nauczki systemowi i takie tam bzdury. Sadler niewiele z tego zrozumiał, ale jedno zdanie wbiło mu się w pamięć. Schwintowski powtórzył je dwukrotnie: raz, kiedy stał już na korytarzu tego cholernego bunkra, zanim zamknął drzwi do celi Hannah.

– Nie bój się, dziewczyno. Ciało mordercy doprowadzi twojego ojca do ciebie.

Teraz zrozumiał sens tych słów. Herzfeld był rozpruwaczem trupów, tak jak ojciec Lily. A jego własne ciało miało posłużyć tamtemu jako kierunkowskaz.

*Ale zadarliście nie z tym, co trzeba, chłopcy. Nie ze mną takie numery.*

Z drugiej strony pomysł, żeby odnaleźć Hannah i tym samym obiecaną nagrodę, był nader kuszący. Ponieważ jednak do celi wszedł z workiem na głowie i tak też ją opuścił, nie wiedział, gdzie dokładnie była trzymana. Ale przy odrobinie szczęścia jej ojciec, ten rzeźnik trupów, zaprowadzi go do swojej córki. A teraz wszystko, co musiał zrobić, to podtrzymać jakoś tę zabawę w podchody. Przy tej cholernej

pogodzie nie mógł nic więcej zrobić, jak tylko czekać i obserwować. Kto wie, być może jednak uda mu się dostać to dymanie w nagrodę.

Sadler potrzebował prawie godziny, aby nałożyć Schwintowskiemu podkoszulek z napisem „Erik”, który strasznie opinał ciało tamtego, chociaż miał rozmiar XXL. *Tłusty wieprz*. Samo przeniesienie ciała na dół na plażę i umieszczenie go dokładnie w tym samym miejscu, w którym to on miał leżeć, było już dziecinnie proste. Miejsce odnalazł dzięki tej ohydnej, małej saszetce, którą Schwintowski zostawił na betonowym słupie. Natomiast o mało by nie zapomniał o tym kawałku żółtego plastiku, który Schwintowski włożył mu luźno do ust, a który on wepchnął temu gnojowi do gardła z całej siły, tak głęboko, jak tylko się dało. Od tej chwili Sadler zamienił się w ciekawskiego obserwatora. Zobaczył, jak ta szmata z dużym tyłkiem i chudymi ramionami znalazła ciało. Jak nerwowo telefonowała. I jak następnego dnia rano przeniosła razem z tym Turkiem Schwintowskiego do kliniki.

Większość z tego, co obserwował z ukrycia, całkiem nieźle go podniecało: na przykład, jak ta dziewczyna zaczęła nagle rozbierać trupa. A nawet rozcinać! Ten facet, z którym rozmawiała przez telefon, to był z pewnością ojciec Hannah. Ale kim do diabła był ten drugi wariat z przestreloną twarzą, który także przekradał się w ciemności po korytarzach i podglądał te rzeczy dziejące się w sali sekcyjnej?

Potem zepsuł się agregat awaryjnego zasilania i wtedy wpadł mu w ręce dozorca szpitala, który szedł go zreperować.

Na szczęście zabrał ze sobą nóż z sali, inaczej Turek z pewnością wszcząłby alarm.

Od tego momentu nie chciał już ryzykować. Może to jednak nie najlepszy pomysł, żeby szukać Hannah. Dziewczyny są przecież wszędzie.

Aby uporządkować myśli, poszukał łóżka w najciemniejszej kącie kliniki i na początek przekimał się jakiś czas. Wspaniałe uczucie. Wprawdzie zimno jak cholera, ale za to pierwszy po wielu tygodniach prawdziwy materac. Kiedy się obudził, chciał sprawdzić, co dzieje się w sali sekcyjnej. Może ta Linda dowiedziała się już czegoś o Hannah? A jeżeli nie, to mógłby się z nią zabawić. Wprawdzie ta mała była za stara, ale całkiem milutka, a on dawno już nie pieprzył, i w związku z tym nie



był wybredny. Miała szczęście ta szmata, że się zabarykadowała, a jemu nie udało się w porę do niej dotrzeć, zanim cała klinika nie zamieniła się nagle w jeden wielki dom wariatów. Znienacka wylądował helikopter, jacyś ludzie wpadli do szpitala, wszędzie słychać było głosy.

Prawdziwy cud, że go nie odkryli.

Przeczekał pierwszy rejwach i rozważał wyjście ze szpitala, ale dokąd miałby pójść? A nawet gdyby znalazł dobrą kryjówkę, to jak, do diabła, miałby wydostać się z tej cholernej wyspy?

Wpadł na pewien pomysł, ale aby go zrealizować, musiał raz jeszcze udać się do paszczy lwa. Do sali sekcyjnej.

W przeciwieństwie do całej kliniki, była ona zadziwiająco pusta. Ktoś zapakował tę kurwę sędzinę i rozprutego grubasa w worki na ciała.

*Całkiem niezły pomysł.*

Nie zastanawiając się długo, jakie są szanse, że jego plan zadziała, bez większego wysiłku – był już teraz wypoczęty – ściągnął Schwintowskiego ze stołu razem z plastikową płachtą i wsadził do jednej z szuflad chłodni. Potem wziął nowy worek na ciała, rozłożył go na stole sekcyjnym i sam wszedł do środka. Zaciągnięcie zamka błyskawicznego od wewnątrz wcale nie było takie łatwe, ale w końcu mu się udało.

*Kurwa!* Plan był prawie perfekcyjny.

Pobieżny ogląd w niczym by mu nie zagroził. Gdyby ten idiota Herzfeld nie sprawdzał tak dokładnie, to wraz z Töven wywieźliby go jako trupa z wyspy. Potem jakoś by się już uwolnił. Najpóźniej na stałym lądzie dźgnąłby nożem w twarz tego, kto otworzyłby worek, tym samym, który tkwił teraz w brzuchu martwego profesora.

*Boże, ale było super patrzeć w jego oczy, kiedy poczuł nóż i wiedział, że teraz umrze.*

Sadler nadal miał wzwód.

Znajdował się teraz w połowie drogi między salą sekcyjną i windami. Od strony klatki schodowej dochodził odgłos ciężkich kroków, które jednak wydawały się oddalać. Mimo to schował się za szafkę z lekarstwami na korytarzu. Nie miał pojęcia, gdzie teraz pójść. Wszystko wskazywało na to, że tutaj w klinice absolutnie nie może dłużej zostać. Jeszcze przed chwilą cała sytuacja była dla policji jasna: Töven? Nie żyje! Sadler? Nie żyje.

Dwa ciała w sali sekcyjnej = pasuje!

Ktoś, kto widział wideo z samobójstwem Schwintowskiego, mógłby się może zdziwić, że ten gnojek nie wisi już na belce pod dachem sędziny. Ale co innego, gdyby gliny przeczesywały wyspę w poszukiwaniu zaginionych zwłok, a co innego, gdyby ścigały uciekającego mordercę. A to zaczną niedługo robić, jak tylko odkryją zwłoki Herzfelda w sali sekcyjnej.

*Kurwa.*

Kroki stały się cichsze, ale za to ruszyła winda.

*Jedzie na górę czy na dół?*

Sadler nie miał już czasu, aby obserwować światelko od windy. Nie pozostało mu nic innego, jak tylko wyjść z cienia szafki z lekarstwami. Jeśli nie chce znaleźć się w pułapce, musi dotrzeć do schodów, zanim drzwi windy się otworzą.

*No, to dawaj.*

Chciał właśnie ruszyć przed siebie, kiedy nagle coś ciepłego trafiło go w kark.

Oddech.

*Co do diabła...*, pomyślał jeszcze, a potem jego czaszka eksplodowała, zaraz jak tylko się odwrócił.

Tym razem było inaczej niż wtedy podczas bójki z tym robotnikiem budowlanym. Tym razem złamany został także jego własny nos.

Ból z roztrzaskanej kości nosowej Herzfelda, kiedy uderzył Sadlera głową w twarz, był bardziej do zniesienia niż ten, jaki poczuł niedawno, kiedy niewiele myśląc, wyjął sobie nóż z brzucha.

Zamiast krzyczeć, po prostu zemdłał, ale tylko na kilka sekund. A potem poczuł się tak, jakby ktoś przekręcił przełącznik w jego głowie, który sprawił, że niekontrolowana wściekłość zdominowała wszelkie działania i odczucia, i ponownie dodała mu sił.

Wściekłość, tak dzika i naładowana energią, jak wybuch wulkanu. Zważywszy ilość utraconej krwi, Herzfeld powinien słabnąć z każdą sekundą, ale gniew dodał mu tylko sił.

– Zabiję cię! – wydyszał i kopnął gwałciciela w żołądek.

Sadler skulił się. Z jego pozbawionych języka ust wydobył się gardłowy dźwięk. Po pierwszym uderzeniu w głowę zatoczył się do tyłu, nigdzie nie mógł złapać oparcia i zwałił się na podłogę. Gęsta krew kapiała z przekrzywionego nosa. Spojrzał w górę na Herzfelda, jakby ten powrócił z krainy umarłych. Wtedy but Herzfelda trafił ponownie w cel, a Sadler uderzył głową o ścianę.

Rozległ się dźwięk przypominający łamanie suchej gałęzi, ale Herzfeld nie mógł tego słyszeć z powodu hałasu we własnej głowie.

Zbyt wiele głosów przekrzykiwało się w jego wnętrzu. Słyszał Martinka, jak robi mu wyrzuty, że zabił Lily po raz drugi, i jak mówi, że modli się, aby Paul pewnego dnia doświadczył tego, co znaczy stracić własną córkę.

*O tak, Sven. Pokazałeś mi to.*

Herzfeld kopnął Sadlera w żołądek, słysząc jednocześnie, jak Rebecca wykrzykuje swoje własne imię, kiedy ze strachu przed dalszymi torturami skoczyła w otchłań śmierci.

Podniósł tego sadystę za włosy do góry i wbił mu kolano w twarz. Gardłowe krzyki Sadlera nie były w stanie zagłuszyć słów Hannah:

„Nienawidzę cię”.

Załoczył Sadlerowi nelsona i przyłożył mu nóż do gardła, ale wtedy właśnie popełnił błąd – wziął głęboki wdech. W tej samej sekundzie jego spojrzenie rozjaśniło się i nagle wszyscy oni pojawili się przed nim:

Linda, Ingolf, Bandrupp.

Wyszli z windy w towarzystwie dwóch policjantów. Prawdopodobnie chcieli zaprowadzić funkcjonariuszy, którzy wreszcie dotarli na wyspę, do ciał w sali sekcyjnej.

Herzfeld nie miał pojęcia, jak długo tam już stali. I gapili się na niego. Przemawiali do niego. Jeden z policjantów wyjął służbową broń i krzyczał:

– Rzuć to! Natychmiast rzuć!

Herzfeld spojrział na niego, poczuł, że jego wściekłość powoli słabnie, a przewagę ponownie chce zyskać ból.

– Nie mogę – wycharczał.

*Jaka kara czeka przestępcę, który został zmuszony do popełnienia zabójstw?*

Zobaczył w duchu, jak Schwintowski potakująco kiwa głową w jego kierunku. Odrobił swoją lekcję. Niekiedy trzeba złamać przepisy, aby zrobić rzecz właściwą.

– Proszę. Niech pan tego nie robi! – To Ingolf.

– Zmarnuje pan sobie życie. – Bandrupp.

Ostatnie zdanie pochodziło od Lindy:

– Zostaw, to nic nie da. Nie poczujesz się po tym lepiej.

– Wiem – przytaknął Herzfeld i przypomniał sobie udręczoną twarz Rebekki. Przypomniał sobie krew między jej nogami i wyraz jej oczu, kiedy przypomniała sobie, kim jest, i zrozumiała, że ma tylko jedną możliwość zakończenia tej sprawy. Tak samo jak i on, dzisiaj i teraz.

I słysząc w głowie echo słów zabitych, podciął Sadlerowi gardło.

## Epilog

### Trzy tygodnie później

Im droższy hotel, tym grubsze dywany.

Paul Herzfeld miał uczucie, jakby stąpał po gąbce. Kiedy szedł korytarzem, jego buty zapadały się bezgłośnie w wykładzinę, której włókna wystawały tak wysoko, że za każdym razem musiał podnosić stopy, jak podczas brodzenia w płytkiej wodzie. Zaczął się przy tej okazji pocić, ale nie z powodu wysiłku fizycznego, lecz blizny, którą zawdzięczał Sadlerowi. Lekarze powiedzieli, że ból będzie mu towarzyszył przez całe życie, zawsze wtedy, kiedy będzie podnosił coś ciężkiego, wchodził po schodach, uprawiał sport – albo, jak właśnie w tej chwili, po prostu oddychał.

Herzfeld zatrzymał się i przycisnął dłoń do miejsca pulsującej blizny po operacji nad pępkiem. Najchętniej zawróciłby.

Wyczyszczone na błysk mosiężne kierunkowskazy na ścianach ostrzegły go zawczasu. Pokój numer 4011 hotelu Hyatt na Potsdamer Platz znajdował się na samym końcu korytarza. Mógł mówić o szczęściu, że nie miał ze sobą żadnej walizki. Kółka z pewnością zaplątałyby się totalnie w tym grubym dywanie.

4003, 4005, 4007... Herzfeld nie musiał właściwie zwracać uwagi na numery pokoi. Drzwi, których szukał, nie można było przeoczyć. Miał wrażenie, jakby znajdowały się o dobry kilometr od wind, a poza tym były dwukrotnie większe od pozostałych i jako jedyne zdobiły je bukiety kwiatów po obu stronach.

Herzfeld powąchał jedną z róż, której jednak nie udało się przebić przez spray o zapachu szlachetnego drewna rozpylany w klimatyzacji całego kompleksu, który dopadał człowieka już na ulicy przed hotelem. Chciał właśnie zapukać, kiedy zauważył okrągły przycisk w drzwiach, tuż obok szpary na elektroniczny klucz. Nacisnął go i usłyszał przytłumione brzęczenie w środku.

– Jak miło, że udało się panu znaleźć czas, profesorze!

Ingolf von Appen musiał chyba czekać tuż pod drzwiami, tak szybko je otworzył.

Uściskał dłoń Herzfelda, promieniejąc przy tym na całej twarzy, z policzkami zabarwionymi na czerwono z przejęcia. Gdyby był psem, pomyślał Herzfeld, z pewnością skoczyłby mu przednimi łapami na powitanie na pierś i machałby jak szalony ogonem z euforii.

– Może zdejmie pan płaszcz? – zapytał Ingolf jeszcze w przedsionku, a Herzfeld rozejrzał się zdumiony.

Ten przedsionek był większy niż hol w niejednym domku jednorodzinny. Nie było wątpliwości: pokój 4011 nie był pokojem, lecz apartamentem. Już sama przestrzeń mieszkalna, do której wprowadził go Ingolf, była dwukrotnie większa od zwykłego pokoju hotelowego: ze stołem, kanapą narożną i telewizorem plazmowym, na którym można byłoby spokojnie grać w tenisa stołowego, gdyby położyć go na płask. W tym momencie bezgłośnie pokazywał reklamę piwa.

Herzfeld naliczył czworo drzwi wychodzących z salonu, jedna para była otwarta i prowadziła do łazienki, która z pewnością nie przyniosłaby ujmy nawet rzymskiemu konsulowi. Marmur w kremowym kolorze, pasujący kolorystycznie do wystroju całego wnętrza.

– Po co ten zbytek? – zapytał.

Ingolf spojrzał na niego nierozumiejącym wzrokiem, wkładając jednocześnie stary płaszcz zimowy Herzfelda do ściiennej garderoby. Nienaganny jak zwykle syn ministra spraw wewnętrznych miał na sobie granatowy blezer ze złotymi guzikami i chusteczką w kieszonce, do tego szare flanelowe spodnie i obszyte na brzegach buty typu budapester. Z krawata zrezygnował, prawdopodobnie dlatego, że w weekend dopuszczalna była większa swoboda. Za to każdy włos na jego głowie leżał jak zacementowany, a Herzfeld zadawał sobie pytanie, jak długo ten chłopak będzie musiał stać pod prysznicem, aby zmyć cały ten żel.

On sam natomiast odpowiadał raczej klasycznemu wizerunkowi roztargnionego profesora. Jego brązowy sweter z wycięciem w kształcie litery V nie pasował ani do znoszonej sztruksowej marynarki, ani do adidasów. Nie golił się od kilku dni, więc jego twarz poniżej kości policzkowych robiła wrażenie wielkiego cienia.

– Co ma pan na myśli, mówiąc zbytek? – zapytał Ingolf,

prowadząc profesora w głąb hotelowego apartamentu.

Herzfeld wyjął z tylnej kieszeni spodni grubą wyściełaną kopertę z herbem rodzinnym Appenów i uniósł ją w górę jak sędzia czerwoną kartkę.

– Mam na myśli to zaproszenie. Napisał pan, że chciałby się spotkać na kawie. To dlaczego wynajął pan do tego apartament prezydencki w pięciogwiazdkowym hotelu?

Przez moment Ingolf wyglądał na jeszcze bardziej skonfundowanego, a potem roześmiał się serdecznie.

– Nie, to pomyłka, profesorze. Nie wynająłem tego apartamentu specjalnie na nasze dzisiejsze spotkanie.

– Ale?

– Ja tu mieszkam.

Herzfeld ponownie rozejrzał się wokoło.

– Pan chyba nie mówi tego poważnie.

– Ależ tak. Od pół roku. Już nie wytrzymałem z moim starym w domu i musiałem znaleźć jakieś szybkie rozwiązanie. Całość jest co prawda urządzona jeszcze nieco bezosobowo, ale studiując aktualnie ekonomikę przedsiębiorstw, nie chcę sobie robić dodatkowego stresu z architektem wnętrz, co pan oczywiście rozumie.

– Oczywiście – powiedział Herzfeld sucho. – Który student nie ma z tym problemów?

Spojrzał na sięgające podłogi panoramiczne okno, za którym rozciągał się wspaniały widok na Filharmonię Berlińską i Tiergarten.

– Wiem, że uważa mnie pan za dekadenta, ale ten apartament jest o połowę mniejszy od tego nade mną, zajmowanego przez rockowego piosenkarza, a poza tym, jeżeli zapłaci się na dwa lata z góry, to dostaje się rabat.

– Co pan powie.

Wyglądało na to, że Ingolf jest odporny na sarkazm, ponieważ z zapałem opowiadał dalej:

– Poza tym wszystko jest inclusive: prąd, woda, ogrzewanie, sprzątaczką, studio fitness, a nawet basen.

– Proszę nie zapominać o żelu pod prysznic – dodał Herzfeld ze śmiertelnie poważną miną. – Inni płacą za to majątek w Rossmannie, a

tutaj wszystko jest za darmo w łazience.

Jak na zawołanie, usłyszał odgłos spuszczonej wody w toalecie, potem obok niego otworzyły się drzwi, których dotąd nie zauważył.

– To co, kontynuujemy? – zapytał Ender, który, odwrócony do nich plecami, opryskiwał sobie twarz nad umywalką. Kiedy podniósł głowę, zobaczył Herzfelda w lustrze. – Paul!

Odwrócił się gwałtownie, wyglądało na to, że zbyt szybko, ponieważ z twarzą wykrzywioną bólem złapał się za ortopedyczny kołnier w kolorze ciała. Miał więcej szczęścia niż mięśni. Lekarze działali cuda: podczas trzygodzinnej operacji usunęli nóż sekcyjny, załatali naczynia krwionośne i zaszyli ranę. Jeżeli w najbliższych tygodniach będzie na siebie trochę uważał, to nie powinny powstać żadne trwałe uszkodzenia.

– Miło cię widzieć bez żadnych zwłok w pobliżu. Czy może wzięłeś pracę ze sobą? – Ender wyszczerzył zęby jeszcze szerzej niż Ingolf na powitanie. – Chodź, musisz to zobaczyć.

Herzfeld pomyślał, że Ender chce mu pokazać główną atrakcję apartamentu, ale ten popchnął go w kierunku telewizora. Reklamy już się skończyły, a na ekranie pojawiło się logo programu rozrywkowego, równie subtelne jak logo brukowego „Bild Zeitung”.

– *Mam talent!* – powiedział Ender, jakby Herzfeld nie umiał czytać. W jego rękach znalazł się potężny pilot, którym włączył głośność.

– Co to za bzdury?

Ingolf wyjaśnił, stojąc za jego plecami:

– Przez te bzdury pana przyjaciel o mało nie stracił reputacji.

– Czego nie straciłem? – zapytał Ender, nie odwracając wzroku od telewizora. Starszy mężczyzna w czapce marynarskiej, patrzący przed siebie z debilnym wręcz wyrazem twarzy, absorbował całą jego uwagę.

– Ta świnią ukradła mi miejsce. – Wymachiwał pilotem, jakby trzymał w rękach floret. – Właściwie to ja powinienem tam występować. Ja przeszedłem do kolejnego etapu z moim komediowym numerem. Ci idioci nominowali tego nudnego palanta zamiast mnie tylko dlatego, że utknąłem na Helgolandzie.

– Ale po co? – zapytał Herzfeld z pełnym obrzydzenia



spojrzeniem. – Żeby przed kamerą wyjął swoją sztuczną szczękę?

– Prymitywne, prawda? On robi to tylko dla tego numeru – wyjaśnił Ender. – Starofrancuski, rozumiesz: robienie loda bez zębów.

– Bardzo zabawne.

– No, właśnie. Jego dowcipy nie są nawet w przybliżeniu tak dobre, jak moje. Szlag by to.

– Jestem pewien, że w następnym roku dostanie pan swoją wielką szansę – powiedział Ingolf i poklepał Endera z tyłu po ramieniu.

Ton jego głosu i ten gest skojarzyły się Herzfeldowi z psychiatrą, który mówi swojemu pacjentowi, że wszystko będzie dobrze, jeżeli tylko nie zapomni brać przepisanych mu pigułek.

– Później możemy razem obejrzeć sobie nagranie. Ale teraz proponuję, skoro już jesteśmy w komplecie, abyśmy wreszcie zaczęli.

Była to nie tyle propozycja, co decyzja, bo Ingolf pomaszerował, nie czekając na zgodę swoich gości, przez cały salon i otworzył jedne z czworga drzwi.

– Zapraszam panów do mojego gabinetu.

Herzfeld zatrzymał się na chwilę na progu, potem wszedł do pomieszczenia, w którym zobaczył kolejną znaną twarz.

– Linda.

– Paul.

To, co Ingolf nazwał swoim gabinetem, w innych miejscach określa się mianem sali konferencyjnej.

Linda siedziała przy długim stole i przerwała pracę nad rysunkiem, którym zabijała zapewne czas oczekiwania. Szkic pokazywał umierającego mężczyznę leżącego w kałuży krwi. Mimo, a może właśnie z powodu zniewalającej przemocy emanującej z tego komiksowego rysunku, Herzfeld nie mógł nie docenić talentu Lindy.

– Dobrze cię widzieć.

Linda podniosła się i uściskała Herzfelda jak powracającego z wojny żołnierza. Miała na sobie skórzaną kurtkę z podszewką ze sztucznego futra, której kołnierz połechtął go po uchu. Jej zapach był przyjemny, wytrawny i kwiatowy zarazem, chociaż Herzfeld był pewien, że nie użyła perfum.

– To dużo lepsze od walnięcia w twarz z ostatniego razu – szepnął,

kiedy odsunęła się od niego.

Potem skinął głową mężczyźnie siedzącemu naprzeciwko Lindy, który jako jedyny, poza Ingolfem, robił wrażenie, jakby czuł się dobrze w pomieszczeniach takich, jak to: garnitur szyty na miarę, krawat z wielkim węzłem, wypielęgnowane paznokcie i zęby białe jak korektor Tipp-Ex. Widać było, jak trudno temu uosobieniu doradcy przedsiębiorstwa zaakceptować strój Endera, który w dresie zajął miejsce na krześle obok niego. Herzfeld usiadł z twarzą wykrzywioną bólem i z ręką przyciśniętą do bandaża elastycznego nad żołądkiem.

Ingolf von Appen zaczął prezentację, nie przedstawiając nieznanego. W tym celu przyciemnił pomieszczenie i włączył rzutnik komputerowy, który wyświetlił obraz na białym ekranie znajdującym się na drugim końcu gabinetu.

– Zaprosiłem dzisiaj państwa do mnie do domu, ponieważ potrzebuję waszej pomocy.

– Tak samo mówił Herzfeld, kiedy do mnie zadzwonił i wszyscy wiemy, jak to się skończyło – powiedziała sarkastycznie Linda.

Ender był jedynym, który się roześmiał.

– Bez obaw. To, do czego państwa potrzebuję, jest o wiele mniej ryzykowne, ale za to bardziej zyskowne.

Ingolf wyświetlił pierwszy obrazek z Power Pointa, który zawierał tylko prosty napis: *G.P.SAVE*.

– Co to ma być?

– To, drogi profesorze, jest właściwy powód, dla którego chciałem u pana odbyć praktykę. Przypomina pan sobie zapewne, jak opowiadałem panu o *PetSave*.

– O pańskim kocie, tak. Opracował pan chip do GPS, za pomocą którego można odnaleźć zaginione zwierzęta.

Ingolf wyszczerzył zęby.

– Dokładnie. A *G.P.SAVE* – tu skierował laserowy wskaźnik na logo na ekranie – ...oparty jest na idei *PetSave*. Tylko o jeden stopień ewolucyjny wyżej.

– Chce pan szukać zaginionych ludzi? – zapytał Ender.

– Nie – zaśmiał się Ingolf. – Chcę zapobiegać ich porwaniu.

Jego spojrzenie stało się nagle poważne i spoczywało wyłącznie na

Herzfeldzie.

– Przeczytałem kiedyś pana artykuł, panie profesorze, w jakimś czasopiśmie, w którym napisał pan, że na ciele człowieka znajduje się pięćdziesiąt sześć miejsc, w których można by, za pomocą zabiegów chirurgicznych, schować różne przedmioty, nie pozostawiając widocznych blizn.

W „National Geographic”. Herzfeld skinął potakująco głową.

– Proszę tylko pomyśleć, ile moglibyśmy zaoszczędzić cierpień rodzinom i krewnym, gdyby udało nam się zawczasu wszczepić osobom zagrożonym porwaniem nadajnik GPS.

Na ekranie pojawiła się nowa grafika.

– W samej tylko Ameryce Południowej co sześćdziesiąt sekund porywany jest człowiek. W Niemczech jest ich oczywiście dużo mniej, ale mimo to wzrasta strach wśród ludności. Na całym świecie.

Spojrzał uważnie na każdego z obecnych i było oczywiste, co chcieli powiedzieć jego oczy: „*I to bynajmniej nie od czasu sprawy Sadlera*”.

– Moi analitycy dostrzegają potencjalny rynek wzrostu liczący ponad dwadzieścia milionów zainteresowanych klientów. W najgorszym przypadku oznacza to wygenerowanie obrotu rocznego rzędu jeden przecinek cztery miliarda dolarów. Odpowiadałoby to zyskowi w wysokości czterystu trzydziestu milionów. Jeżeli interes będzie szedł źle.

Zrobił pauzę, żeby odczekać, jak jego słowa podziałają na obecnych.

– Rynek jest potężny i ma licznych odbiorców: przedsiębiorstwa, które muszą płacić ogromne ubezpieczenia za swoich najważniejszych managerów w Trzecim Świecie na wypadek porwania. Państwo, które jest zainteresowane tańszym dozorem elektronicznym dla więźniów. Ale w pierwszym rzędzie są to rodzice, którzy chcą wiedzieć, gdzie znajdują się ich dzieci. Jeżeli taką operację przeprowadzilibyśmy zaraz po urodzeniu, wówczas zatroskana matka mogłaby, w tej samej sekundzie, kiedy zada sobie pytanie, dlaczego jej dziecko nie wróciło jeszcze z placu zabaw, włączyć po prostu komputer i sprawdzić dokładne miejsce pobytu swojej pociechy.

– Chwileczkę, czy ja się przesłyszałam, czy też powiedział pan, że

chce ludziom wszczepiać chipy? – zapytała Linda.

– Tak. Gdy tylko pojawi się uzasadnione podejrzenie, można wysłać oddział interwencyjny, aby szukać takiego porwanego. Technika jest już wystarczająco zaawansowana, a nasi prawnicy sprawdzili warunki ramowe. Jeżeli zabiegi te będą dokonywane przez lekarzy, a zgodę wyrażą wszyscy uczestnicy, wtedy pod względem prawnym nie ma żadnych przeciwwskazań.

– A pod względem moralnym? – oburzyła się Linda.

– Nie miałbym żadnych obiekcji – pośpieszył z pomocą Ingolfowi Herzfeld, jednocześnie unosząc rękę w górę. – Rozumiem cię, Lindo. Ochrona danych, prawa jednostki, wszystko to delikatne kwestie, ale w sferze argumentów teoretycznych. Gdybyś zapytała mnie pół roku temu, to z oburzeniem zareagowałbym na taką propozycję. Ale teraz? Po tym wszystkim, co przeszedłem? – Wzruszył ramionami. – Gdybym miał możliwość zlokalizowania Hannah przez satelitę, to oddałbym za to moją prawą rękę.

– A więc byliby pan gotów udzielić wsparcia idei *G.P.SAVE*? – Oczy Ingolfa rozbłysły.

– Nie.

– Ale... – Von Appen wydawał się skonsternowany. – Przecież powiedział pan...

– Powiedziałem tylko, że nie mam do pana pomysłu zastrzeżeń natury moralnej. Ale nie będę brał w tym udziału.

Herzfeld zrobił ruch, jakby chciał wstać.

– Chwileczkę, niech pan poczeka, profesorze. Nie potrzebuję pana jako lekarza, jeżeli pan tak myśli. Nie będzie musiał pan nikogo rozcinać. Ma pan pełnić tylko funkcję doradcy. Wszyscy państwo tutaj...

– Ingolf spojrzał na zebranych – ...wy wszyscy pracowalibyście jako zespół. Pani, Lindo, jest wspaniałą i utalentowaną rysowniczką. Mogłaby pani przejąć marketing. A to, że krytycznie podchodzi pani do sprawy, jest najlepszym warunkiem dla objęcia tej posady. A pan, Ender... – Skinął głową w jego kierunku. – Pan ma talent organizacyjny i mógłby zająć się sprzedażą.

– Ja? – zdumiony Ender wskazał palcem na siebie. – Ja byłem tylko dozorcą i zrezygnowałem z tej pracy na rzecz kariery komedianta.

– Świetnie, to oznacza, że wszyscy nie mamy aktualnie żadnych zobowiązań zawodowych. Także pan, profesorze, został urlopowany.

*Tak, można tak to określić.*

– Proszę państwa, wystarczy tylko chcieć. Z samego tylko wynagrodzenia gwarantowanego za pierwszy rok każde z was będzie mogło wjechać własnym porsche na drzewo.

Nawet Herzfeld musiał się roześmiać. Ingolf do dnia dzisiejszego nie zgłosił cayenne swojemu ubezpieczycielowi jako szkody całkowitej.

– Dlaczego nie powie nam pan prawdy, von Appen? Czteryście milionów zysku? A my jesteśmy najlepszym zespołem? Bzdura. – Linda prychnęła i odsunęła włosy z blizny na czole. – Jest tylko jeden, jedyny powód, dla którego zwołał nas pan tutaj. Nie dlatego, że jesteśmy wspaniałymi ekspertami. – Wskazała na Herzfelda. – Może z wyjątkiem jego.

– Ale?

– Ale dlatego, że znaleźliśmy porwaną dziewczynę i przerwaliśmy serię zabójstw. Jesteśmy głównym medialnym wydarzeniem roku. Potrzebuje pan nas jako reklamy.

– A gdyby tak było? – uśmiechnął się Ingolf.

– To byłby pan idiotą – ponownie zameldował się do głosu Herzfeld. – Już pan zapomniał? Jestem na wolności tylko za kaucją. Za pół roku zaczyna się mój proces z powodu umyślnego zabójstwa.

– I właśnie tutaj do gry wchodzi doktor Torben Ansorge – uśmiechnął się szeroko Ingolf.

Krawaciarz siedzący obok Endera dotknął ręką kołnierza koszuli, odchrząknął i bardzo poważnie skinął wszystkim głową.

– Doktor Ansorge to jeden z najlepszych obrońców w sprawach karnych w naszym kraju i jestem pewien, panie profesorze, że oszczędzi panu najgorszego.

Adwokat przytaknął z wyrazem samozadowolenia na twarzy.

– Czy to prawda? – Herzfeld zwrócił się do niego. – Myśli pan, że mógłby uchronić mnie przed więzieniem?

– Nie będzie to łatwe – powiedział Ansorge zadziwiająco wysokim głosem. – Ale jeżeli istnieje taka możliwość, to ją znajdziemy.

*My? Czy ten bufon mówi już o sobie w liczbie mnogiej?*

– Ostatecznie nie zabił pan żadnego laureata Pokojowej Nagrody Nobla, lecz Jana Sadlera.

– No, to w takim razie wszystko jest w porządku – powiedział Herzfeld. – Mam tylko jedno pytanie.

– Mianowicie jakie? – Prawa powieka adwokata drgnęła w radosnym oczekiwaniu.

– Czy w ciągu tych wszystkich lat, jako obrońca w sprawach karnych, podjął się pan kiedyś obrony kogoś, kto był bez żadnych wątpliwości winny?

Ansorge zawahał się, a tę pauzę wykorzystała Linda, aby odpowiedzieć na pytanie.

– On reprezentuje mojego brata, który usiłował trzymać ode mnie z daleka stalkera. Zamiary Clemensa były dobre, ale za to metody wręcz przeciwnie. Jest z całą pewnością winny, tak jak i jego przyjaciel Sandro, który użył nieletniej dziewczyny jako narzędzia do wyeliminowania Danny’ego.

Herzfeld skinął głową. O tej trzynastoletniej Fionie i problemach państwa prawa z pociągnięciem jej do odpowiedzialności karnej czytał w gazecie.

– A mimo to pani brat zasługuje na ochronę ze strony systemu – dodał Ansorge. – Jedną z ważniejszych zasad naszej konstytucji jest zapewnienie każdemu możliwie najlepszej obrony.

– No dobrze, a czy wśród tych winnych był może jakiś gwałciciel lub morderca dziecka?

– Musiałbym zajrzeć do akt...

– Bardzo pana proszę, doktorze Ansorge. Najlepszy obrońca w sprawach karnych Niemiec musi mieć chyba dobrą pamięć. Czy był chociaż jeden przypadek zgwałcenia lub molestowania dzieci?

– Myślę, że tak, ale w takich sprawach z pewnością nie uzyskaliśmy uniewinnienia, lecz tylko...

– ...wyciągnęliście prawdę na światło dzienne i liczyliście po prostu na to, że sprawiedliwości stanie się zadość...

Herzfeld powiedział to bez oburzenia. Bez odrazy. I bez potępienia doktora Ansorge. Dokładnie tak samo działałby dawniej. Przed porwaniem swojej córki.

Trzymał się ustalonych zasad i ufał systemowi. Liczył na to, że znajdzie się sędzia, który właściwie oceni fakty. I do czego to doprowadziło? Sadler po śmiesznie krótkim czasie został zwolniony. A potem kolejna rodzina została najpierw naznaczona tragedią, a następnie całkowicie unicestwiona. Zmarło kilkoro ludzi.

– Dziękuję, ale nie przyjmę i tej propozycji.

Herzfeld podniósł się i opuścił salę konferencyjną, nie odwracając się ani razu.

– Hej, niech pan zaczeka.

Ingolf pobiegł za nim i zatrzymał go w przedsionku.

– Popełni pan błąd, jeżeli nie pozwoli, aby to on pana bronił.

Herzfeld otworzył garderobę i wyjął swój płaszcz.

– Niech pan da sobie spokój, Ingolf. Jest pan miłym facetem. Może nieco zwariowanym, ale lubię pana, naprawdę.

– Zwariowanym? Kto z nas dwóch jest tutaj wariatem? Stracił pan pracę, chcą odebrać panu prawo wykonywania zawodu, nie mówiąc już o reputacji, a później będzie pan musiał pójść na całe lata do więzienia. Właśnie pokazałem panu sposób, w jaki może pan tego uniknąć. Zarobi pan miliony, a w dodatku nie będzie musiał pójść do więzienia.

– To wszystko nie jest dla mnie takie ważne, Ingolf.

– Pieniądze i wolność? Co jest w takim razie ważniejsze od pana przyszłości?

– Teraźniejszość. – Herzfeld uśmiechnął się smutno. – Najpierw straciłem żonę, a teraz również córkę. Muszę wykorzystać ten krótki czas, jaki mi pozostał, aby spróbować naprawić moje stosunki z Hannah. Nie będę go marnował na prezentacje w Power Poincie i strategię negocjacyjną. – Podeszedł do drzwi, otworzył je i odwrócił się raz jeszcze, stojąc już na hotelowym korytarzu. – Głowa do góry, Ingolf. Niech pan tak nie patrzy. Wiem, że chciał pan zrobić dla mnie coś dobrego. Ale nie musi się pan rewanżować tylko dlatego, że wyciągnąłem pana z jeziora. Bardzo mi pan pomógł. Jesteśmy kwita.

Podał mu rękę.

– I proszę się nie martwić. Nie popełniłem oszustwa podatkowego, tylko zabiłem człowieka. To co może mi się stać?

Droga powrotna nie wydała mu się już tak długa. Dywan nie był

już taki gruby, a powietrze w dużo mniejszym stopniu przesiąknięte zapachami niż poprzednio. Nawet jego bóle wydawały się już nie tak intensywne, ale Herzfeld zdawał sobie naturalnie sprawę z tego, że to wszystko tylko złudzenie. Już za kilka godzin alarm w jego zegarku na przegubie przypomni mu o konieczności wzięcia lekarstw. A aktualny, świetny nastrój pryśnie już w momencie, kiedy po raz kolejny dodzwoni się jedynie na pocztę głosową Hannah. Jednakże teraz, w tej chwili, poczuł po raz pierwszy od bardzo długiego czasu kiełkującą w sobie niewielką nadzieję, że cała ta sytuacja ma szansę się odmienić. I rzeczywiście: to uczucie utrzymywało się przez jakiś czas. Przez cztery piętra, całą jazdę windą aż do lobby, i zniknęło dopiero wówczas, gdy Paul Herzfeld wyszedł z hotelu w deszcz, aby wtopić się na chodniku w anonimowy tłum ludzi.



Molestował czterolatkę – i dalej wolno mu mieszkać w domu swojej ofiary: Andreas S. został wprawdzie w ubiegłym tygodniu skazany na 22 miesiące pozbawienia wolności, jednak sędziowie wydali wyrok w zawieszeniu – ponieważ adwokaci Andreasa S. wynegocjowali z prokuraturą ugodę: Andreas S. przyznał się do winy i z tego powodu nie poszedł do więzienia.

Źródło: „Stern” z 13 kwietnia 2011

Przedsiębiorca Stefan W. (...) zataił milionowe przychody. Kiedy urząd skarbowy wpadł na jego trop i dokonał przeszukania w jego mieszkaniu oraz w kancelarii jego doradcy podatkowego, Stefan W. stwierdził, że (...) deklaracje podatkowe z pełnymi danymi zostały już przygotowane. Jednak wymiar sprawiedliwości nie uznał tego za skuteczne zgłoszenie popełnienia przez siebie przestępstwa. Monachijski Sąd Krajowy skazał go z powodu oszustwa podatkowego, jak również oszustwa w kwestii lokat, na siedem lat więzienia.

Źródło: „Basler Zeitung” z 2 lipca 2010

**INSTYTUT MEDYCYNY SĄDOWEJ**  
**Wydział specjalny: przypadki nadzwyczajne**  
**Protokół z obdukcji**

<b>Selekcja z dnia:</b> 26.09.2012 <b>Nazwisko:</b> Odcięci imienna brak <b>Zawód:</b> Thriller	<b>Nr sekcji:</b> 666
<b>Data i godzina zgonu:</b> Czas zgonu nieznany, prawdopodobnie w późnych godzinach wieczornych, na powłokach ciała widoczne liczne ślady po urazach zadawanych narzędziem ostro-krawędzistym, których cechy mogą przemawiać za różnym czasem powstania. Urazy prowadzące do naruszenia funkcji narządów wewnętrznych (gwałtowne przewracanie kartek).	<b>Obdukcji dokonali:</b> 1. Dr prawa Sebastian Fitzek 2. Prof. dr med. Michael Tsokos
<b>Data urodzin:</b> Wiosna 2011	<b>Podczas sekcji asystowali:</b> Hans-Peter Übleis (wydawca wszystkich protokołów obdukcji w wydawnictwie Droemer), Carolin Graehl oraz Regine Weisbrod (sekcje stylu, zdania i słowa), Sabina Rabow (prezentacja dowodów opinii publicznej), Fritz Breitenhaler i Frank Hellberg (piloci lotu Berlin-Helgoland-Berlin w celu zgromadzenia i zabezpieczenia dowodów), Lars Carstens (policja wodna Helgoland), Sibylle Dietzel (preparowanie obiektów sekcyjnych), Roman Hocke (zabezpieczanie dowodów umowami), Christian Meyer (odbieranie i transportowanie dokonujących obdukcji), Helmut Henkenseifen (zdjęcia na miejscu zbrodni), Noomi Rohrbach (naukowa organizacja wieczorów autorskich), Monika Neudeck (kontakty reporter policyjny), Manuela Raschke (dobry duch Fitzka), Karl Raschke (fizjologiczne utrzymywanie Fitzka w formie), Freimut Fitzek (wsparcie ojcowskie), Sandra Fitzek (wsparcie matzelskie), Anja Tsokos (za wiele cierpliwości w stosunku do nawiedzzonego).

Dostarczony jako: Ofiara oczywistego przestępstwa z za biurka.	
Początek sprawy: W programie telewizyjnym w 2009 roku autor thrillerów psychologicznych sportyka autora książek popularnonaukowych i lekarza medycyny sądowej; wza- jemnie zainteresowanie własnymi dziełami i obopólna sympatia; ponowne spotkanie w 2010 roku; pomysł wspólnego projektu książkowego podczas konsumpcji steków (krwistych).	Przyczyna zgonu: Przeczytanie  Wyniki obdukcji: Mierząca 13 x 20,5 x 2 cm książka, oprawa miękka ze skrzydełkami, waga 390 g, 352 strony. Motyw skalpela na pierwszej stronie okładki. Nie stwierdzono makroskopowo żadnych większych uszkodzeń; tylko pojedyncze osłone uszy. Różnorodne odciski palców niezidentyfikowanych jeszcze czytelników na całym korpusie książki. Wyraźne plamy opadowe powstałe na ostatniej stronie okładki, nie błędą nawet pod mocnym naciskiem palców. Na grzbiecie książki widoczny wyciek masywnej ilości krwawej substancji z domieszkami niezidentyfikowanych wydzielin o nieznanym etiologii.  Sekcja utrudniona, jako że obiekt znajduje się pod napięciem.
Dowody rzeczowe w załączeniu.	

